

IAN CALDWELL ukończył w 1998 roku historię na Uniwersytecie Princeton. Członek elitarnego stowarzyszenia Phi Beta Kappa. **Reguła czterech** (2004) stanowi jego debiut literacki.

DUSTIN THOMASON ukończył w 1998 roku antropologię i medycynę na Uniwersytecie Harvarda. W 2003 roku obronił pracę doktorską z medycyny na Uniwersytecie Columbia. **Reguła czterech** (2004) jest jego debiutem literackim.

Ian Caldwell
Dustin Thomason

Reguła czterech

Tytuł oryginału: THE RULE OF FOUR

ISBN 83-7359-267-9

WYDAWNICTWO ALBATROS

Wydanie I

Warszawa 2005

Naszym rodzicom

Uwaga historyczna

Hypnerotomachia Poliphili to jedna z najcenniejszych i najbardziej niezrozumiałych książek, jakie ukazały się w Europie Zachodniej wkrótce po wynalezieniu druku. Do dziś zachowało się mniej egzemplarzy *Hypnerotomachii* niż Biblii Gutenberga. Uczni wciąż dyskutują, kim był jej tajemniczy autor, Francesco Colonna, i jaki cel mu przyświecał. Dopiero w grudniu 1999 roku, pięćset lat od wydrukowania oryginalnego wydania *Hypnerotomachii* i kilka miesięcy po wydarzeniach zrelacjonowanych w *Regule czterech*, ukazał się jej pierwszy pełny przekład na język angielski.

*Szanowny czytelniku, posłuchaj, jak Polifilo
opowiada swe sny,*

Które zesłały mu najwyższe niebios.

*Twój trud nie pójdzie na marne, a jego słowa cię nie
znużą,*

*Ponieważ w tym wspaniałym dziele znajdziesz wiele
cudów.*

*Jeśli, poważny i nudny, gardzisz miłosnymi
historiami,*

*Wiedz, błagam, że tu wszystko jest dobrze
skomponowane.*

Odmawiasz? Ależ przynajmniej styl, nowy język,

Poważne rozważania i mądrość zasługują na uwagę.

Jeśli to także odrzucasz, zauważ geometrię,

Starożytną mądrość wyrażoną znakami Nilotów,

Ujrzysz tu wspaniałe pałace królów,

Kult nimf, fontann i biesiad.

Strażnicy tańczą, ubrani niedbale, a całe

*Ludzkie życie zamknięte jest w mrocznych
labiryntach.*

*Hypnerotomachia Poliphili, anonimowa Elegia
do czytelnika*



Prolog

Myślę, że mój ojciec – tak jak wielu z nas – poświęcił znaczną część życia na rekonstruowanie historii, której nie dane mu było nigdy zrozumieć. Historia ta zaczęła się niemal pięćset lat przed moim wyjazdem na studia i zakończyła się wiele lat po jego śmierci. Pewnej nocy, w listopadzie 1497 roku, z mroków Watykanu wyłonili się dwaj konni posłańcy i popędzili do kościoła św. Wawrzyńca położonego za murami Rzymu. To, co się wtedy zdarzyło, odmieniło ich losy, a mój ojciec wierzył, że może zmienić również koleje jego życia.

Nigdy nie przywiązywałem większej wagi do jego wiary. Syn to obietnica, jaką czas składa mężczyźnie, gwarancja, jaką ma każdy ojciec, że to, co jest mu drogie, nie zostanie pewnego dnia uznane za głupotę, a osoba, którą kocha najbardziej na świecie, źle go zrozumie. Jednak mój ojciec, uczony znawca renesansu, nigdy nie lękał się mówić o możliwości powtórnych narodzin. Tak często opowiadał mi historię dwóch posłańców, że nawet gdybym bardzo się starał,

z pewnością nie zdołałbym jej zapomnieć. Ojciec wyczuwał, jak to dziś rozumiem, że wynika z niej pewna nauka, pewna prawda, która w końcu nas połączy.

Posłańcy zostali wysłani do kościoła św. Wawrzyńca z listem pewnego szlachcica. Zostali ostrzeżeni, by go nie otwierali, bo w przeciwnym razie czeka ich śmierć. List był opatrzony czterema pieczęciami z ciemnego laku i miał zawierać tajemnicę, którą kilka wieków później mój ojciec próbował rozwikłać przez trzydzieści lat. W tamtych czasach Rzym ogarnęły ciemności, miasto utraciło dawny polor i jeszcze go nie odzyskało. Na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej wciąż namalowane było rozgwieżdżone niebo, a apokaliptyczny deszcz spowodował wylew Tybru, na którego brzegach, jak twierdziły stare plotkary, pojawił się potwór z ciałem kobiety i głową osła. Dwaj chciwi jeźdźcy, Rodrigo i Donato, nie posłuchali ostrzeżeń swojego pana. Stopili lakowe pieczęcie nad płomieniem świecy, po czym otworzyli list, by poznać jego treść. Przed wyruszeniem w drogę do kościoła ponownie zapieczętowali list, tak zręcznie podrabiając pieczęć, że nikt nie mógłby dostrzec oszustwa. Gdyby ich pan nie był tak mądrym człowiekiem, dwaj kurierzy z pewnością by przeżyli.

Przyczyną zguby Rodriga i Donata nie były bowiem pieczęcie, lecz ciemny lak, w którym zostały odcisnięte. Gdy dojechali do św. Wawrzyńca, czekał na nich pewien murarz, który wiedział, że w laku znajdował się ekstrakt z wilczej jagody, trującego ziele, które powoduje rozszerzenie źrenic. Dziś związek ten używany jest w medycynie, lecz w owych czasach korzystały z niego przede

wszystkim włoskie kobiety w celach kosmetycznych, gdyż szerokie źrenice uważano za oznakę piękności. To właśnie z tego powodu ziele nazwano belladonną co znaczy „piękna kobieta”. Gdy Rodrigo i Donato dwukrotnie topili lak, by otworzyć i zapieczętować list, dym dostał się do ich oczu. Na miejscu, w kościele, murarz zaprowadził ich do świecznika przy ołtarzu. Gdy ich źrenice nie zwężyły się mimo światła, wiedział już, co zrobili. Dwaj posłańcy na próżno usiłowali skupić wzrok, by zobaczyć, co robi murarz. Ten wykonał otrzymane polecenie: wyciągnął miecz i uciął im głowy. „To był sprawdzian, czy słudzy zasługują na zaufanie”, powiedział jego pan. Posłańcy nie zdali egzaminu.

Mój ojciec poznał los Rodriga i Donata z dokumentów, które odkrył na krótko przed śmiercią. Murarz nakrył zwłoki, po czym wywlókł je z kościoła, krew zaś wytarł kawałkiem płótna do wyciskania sera i szmatami. Ich głowy wsadził do juków po bokach wierzchowca, którego dosiadał, a ciała umieścił na grzbietach koni posłańców i przywiązał je do swojego. W kieszeni Donata znalazł list, po czym go spalił, ponieważ była to mistyfikacja i nie istniał żaden prawdziwy adresat. Nim odjechał, ukląkł jeszcze przed ołtarzem, by wyrazić skruchę z powodu grzechu, jaki popełnił na polecenie swego pana. Miał wrażenie, że sześć kolumn kościoła św. Wawrzyńca to wielkie, czarne zęby z otworem pośrodku. Prosty murarz przyznał, że zadrzał na ten widok, ponieważ jako dziecko dowiedział się, siedząc na kolanach matki, wdowy, jak Dante opisał piekło. Wiedział, że

najwięksi grzesznicy mieli za karę być wiecznie przeżuwani przez *lo'mperador del doloroso regno**.

Być może stary święty Wawrzyniec wreszcie wyrzął z grobu, zobaczył krew na rękach biedaka i mu wybaczył. Może murarz nie doczekał się przebaczenia i zgodnie z obyczajami współczesnych świętych i męczenników Wawrzyniec zachował kamienne milczenie. Jeszcze tej samej nocy, zgodnie z rozkazami pana, murarz zawiózł ciała posłańców do rzeźnika. Zapewne lepiej, byśmy nie wnikali, co się z nimi stało. Ich kawałki murarz i rzeźnik rozrzucili na ulicach. Mam nadzieję, że zostały zebrane przez śmieciarzy lub zjedzone przez psy, nim ktoś zdążył je upiec.

Rzeźnik wymyślił natomiast inny sposób wykorzystania głów nieszczęśników. Miejski piekarz, który miał w sobie diabła, kupił głowy od rzeźnika i nim poszedł wieczorem do domu, umieścił je w piecu chlebowym. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem wdowy z miasteczka mogły korzystać z pieca po zmroku, gdy jeszcze nie wystygł. Na widok ludzkich głów w piecu niewiasty wrzasnęły z przerażenia i o mało nie zemdlały.

Tak oto głowy Donata i Rodriga zostały wykorzystane do splełtania figla starym kumoszkom, co wydaje się dość podłym losem. Wyobrażam sobie jednak, że w ten sposób obaj zdobyli sławę, o jakiej za życia mogli tylko marzyć. W każdej cywilizacji to właśnie wdowy są strażnikami zbiorowej pamięci, te zaś, które znalazły ich głowy

* *lo'mperador...* (wł.) - Cesarz władający nad krainą nędzy, Dante, Boska komedia. Piekło, Pieśń XXXIV, przekład Edward Porębowicz, PIW 1975

w piecu chlebowym, z pewnością nigdy tego nie zapomniły. Nawet, gdy piekarz przyznał się, co zrobił, wdowy z pewnością opowiadały wszystkim rzymskim dzieciom o swoim odkryciu i tak kolejne pokolenie zapamiętało historię o głowach w piecu równie dokładnie, jak relacje o potworze wyrzuconym przez powódź na brzeg Tybru.

Opowieść o dwóch posłańcach w końcu popadła w zapomnienie, ale jedno nie ulega wątpliwości: murarz dobrze wykonał swoje zadanie. Sekret jego pana nigdy nie wydostał się poza mury św. Wawrzyńca. Rano, po zamordowaniu Donata i Rodriga, śmieciarze zebrali do beczek strzępy ich ciał i nikt nie zwrócił uwagi, że zginęli dwaj ludzie. Powolny proces przekształcania się piękna w zgniliznę i zgnilizny w materię trwał nadal, i niczym smocze zęby, które posiał Kadmos, zła krew wsiąkła w rzymską glebę i przyniosła odrodzenie. Minęło pięćset lat, nim ktoś odkrył prawdę. Po pięciu wiekach i śmierć znalazła nową parę posłańców, a ja kończyłem właśnie ostatni rok studiów w Princeton.

Rozdział 1

Czas to dziwna rzecz. Najbardziej przygniata tych, którzy mają go najmniej. Trudno czuć się lżej niż w młodości, gdy dźwiga się na ramionach świat; czas daje tak uwodzicielskie poczucie możliwości, że nie ma się żadnych wątpliwości, iż są do zrobienia rzeczy ważniejsze niż kucie do egzaminów.

Widzę dziś siebie tego wieczoru, kiedy wszystko się zaczęło. Leżę na wznak na starej, czerwonej sofie w naszym pokoju w akademiku, ślęcząc nad rozdziałem o Pawłowie i jego psach w podręczniku podstaw psychologii i zastanawiając się, dlaczego, u licha, nie odważyłem wymaganego wykładu z nauk przyrodniczych na pierwszym roku, tak jak wszyscy. Na małym stoliku przede mną leżą dwa listy. Każdy zawiera pewną wizję tego, co miałbym robić w przyszłym roku. Jest wielkopiątkowy wieczór, zimny kwiecień w Princeton w stanie New Jersey. Przed sobą mam już tylko miesiąc studiów i pod jednym względem nie różnię się od wszystkich kolegów z rocznika tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć: z trudem odrywam się od rozmyślań o przyszłości.

Charlie siedzi na podłodze przy lodówce i bawi się Magnetycznym Szekspirem, którego ktoś zostawił w naszym pokoju tydzień temu. Powieść Fitzgeralda, którą powinien czytać do swojej pracy końcowej z angielskiego, leży otwarta na podłodze.

Ma złamany grzbiet i wygląda jak zdeptyany motyl, a on układa zdania z magnesów z wypisanymi na nich słowami z szekspirowskich

sztuk. Gdyby ktoś go zapytał, dlaczego nie czyta Fitzgeralda, mruknąłby w odpowiedzi, że to bez sensu. Z jego punktu widzenia literatura piękna to tylko zabawa wykształconych ludzi, odpowiednik gry w trzy karty dla tłumu z uniwersytetów: nigdy nie wychodzi to, co widzisz. Dla faceta o nastawieniu naukowym, takiego jak Charlie, jest to szczyt perwersji. Jesienią zamierza zacząć studiować medycynę, ale my wszyscy wciąż musimy wysłuchiwać, jak to w marcu dostał dostateczny z plusem za pracę z angielskiego w połowie semestru.

Gil spogląda na nas z uśmiechem. Udaje, że przygotowuje się do egzaminu z ekonomii, ale w telewizji leci *Śniadanie u Tiffany'ego*, a Gil ma słabość do starych filmów, zwłaszcza z Audrey Hepburn. Dla Charliego miał prostą radę: jeśli nie chcesz przeczytać książki, wypożycz film. Profesor się nie zorientuje. Gil ma zapewne rację, ale Charlie uważa, że to nieuczciwe, a co więcej, takie rozwiązanie nie pozwoliłoby mu wyrzekać na beznadziejną literaturę, dlatego zamiast Daisy Buchanan oglądamy po raz kolejny Holly Golightly.

Wyciągam rękę i przestawiam słowa na lodówce, aż wreszcie zdanie na drzwiach przyjmuje postać: *Zdać czy nie zdać, oto jest pytanie*. Charlie unosi głowę i patrzy na mnie z dezaprobatą. Kiedy siedzi na podłodze, ma głowę prawie na tym samym poziomie co ja, choć pólżę na sofie. Gdy stoimy obok siebie, Charlie wygląda jak Otello na sterydach. Jest czarny, waży dziewięćdziesiąt siedem kilogramów i ma metr dziewięćdziesiąt pięć. Ja natomiast mam metr sześćdziesiąt siedem w butach. Charlie lubi mówić o nas Czerwony Olbrzym i Biały Karzeł, ponieważ czerwone olbrzymy to bardzo duże

i jasne gwiazdy, natomiast białe karły są małe i ciemne. Muszę mu czasem przypominać, że Napoleon miał tylko metr pięćdziesiąt pięć, nawet jeśli Paul ma rację, że po poprawnym przeliczeniu francuskich miar długości na angielskie wypada nieco więcej.

Z naszej czwórki w pokoju brakuje tylko Paula. Zniknął gdzieś przed południem i od tamtej pory nikt go nie widział. W ciągu ostatniego miesiąca między nim a mną często dochodziło do scysji, a ponieważ ma ostatnio bardzo dużo pracy, woli uczyć się w Ivy, studenckim klubie, do którego należą on i Gil. Paul pisze rozprawę końcową – to czeka wszystkich studentów Princeton, jeśli chcą otrzymać dyplom. Charlie, Gil i ja robilibyśmy to samo, gdyby na naszych wydziałach nie obowiązywały wcześniejsze terminy. Charlie zidentyfikował nowe oddziaływanie między białkami w pewnym szlaku neuronowym, Gil wysmarował coś na temat podatku liniowego, a ja złożyłem w całość różne kawałki rozprawy w wolnych chwilach między wysyłaniem podań o pracę a wyjazdami na rozmowy kwalifikacyjne. Jestem pewny, że dysertacja zatytułowana *Frankenstein* nie spowoduje rewolucji w humanistyce.

Rozprawa dyplomowa to rzecz, którą niemal wszyscy gardzą. Absolwenci z rozmarzeniem wspominają jak pisali swoje dysertacje, jakby nie mogli sobie wyobrazić nic przyjemniejszego niż pisanie stustronicowej pracy naukowej, gdy trwają jeszcze wykłady i trzeba podjąć decyzję o wyborze kariery zawodowej. W rzeczywistości praca nad rozprawą to irytująca, ciężka harówka. „To wprowadzenie do dorosłego życia”, powiedział Charliemu i mnie pewien profesor, tym

denerwującym, profesorskim tonem, jakiego nie mogą pozbyć się profesorowie, nawet, gdy nie wykładają. Chodzi o wzięcie na swoje barki czegoś tak wielkiego, że prawie nie można się spod tego wygrzebać. „To się nazywa odpowiedzialność, mówił. Dobierzcie swój rozmiar”. Co z tego, że jedyną rzeczą, której rozmiary sam badał, była ładna studentka Kim Silverman. Liczy się odpowiedzialność. Musiałem się zgodzić z tym, co powiedział wtedy Charlie. Jeśli Kim Silverman to właśnie ciężar, spod jakiego nie mogą się wydostać dorośli, to proszę mnie wpisać na listę. W przeciwnym razie zaryzykuję i pozostanę młody.

Paul, jako ostatni z nas, kończy rozprawę i nie ma wątpliwości, że jego będzie najlepsza. Może okazać się najlepsza na całym roku, na wydziale historii i wszystkich innych. Magia inteligencji Paula polega na tym, że jest najcierpliwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem. On po prostu zamęcza problemy, aż wreszcie łamie ich opór. Kiedyś powiedział mi, że policzenie stu milionów gwiazd w tempie jedna na sekundę wydaje się zadaniem, na którego wykonanie nie starczy życia jednego człowieka, a w rzeczywistości trwałoby to tylko trzy lata. Kluczem jest koncentracja, umiejętność i wola, by nie dać się rozpraszać. To tajemnica talentu Paula: intuicyjne zrozumienie, jak wiele można osiągnąć powoli.

Zapewne dlatego wszyscy tak wiele oczekują po jego rozprawie – wiedzą, ile gwiazd potrafiłby policzyć w trzy lata, a przecież nad swoją dysertacją zaczął pracować już prawie cztery lata temu. Typowy student wybiera temat rozprawy jesienią, na ostatnim roku

studiów, i kończy pisać wiosną, natomiast Paul zaczął już na pierwszym roku. Kilka miesięcy po rozpoczęciu jesienno-zimowego semestru postanowił, że zajmie się mało znanym renesansowym tekstem *Hypnerotomachia Poliphili*. Potrafię wymówić ten skomplikowany tytuł tylko dlatego, że mój ojciec badał tę książkę przez większą część swojej zawodowej kariery historyka renesansu. Trzy lata i sześć miesięcy później, na dwadzieścia cztery godziny przed terminem, Paul miał już dość materiału, by zadowolić nawet najbardziej wybrednego dziekana studium doktorskiego, a nie tylko college'u.

Scysje między nami biorą się stąd, że, zdaniem Paula, ja również powinienem cieszyć się z tych fanfar. Zimą przez kilka miesięcy pracowaliśmy razem nad książką i wspólnie udało nam się osiągnąć wyraźny postęp. Dopiero wtedy zrozumiałem, co miała na myśli moja mama, gdy mówiła, że mężczyźni w naszej rodzinie zakochują się w pewnych książkach równie mocno jak w kobietach. *Hypnerotomachia* zapewne nie mogła pochwalić się szczególnym urokiem zewnętrznym, lecz miała w sobie uwodzicielski spryt brzydkiej kobiety. Ciągłe powroty do kryjącej się w niej tajemnicy stopniowo zmieniały się w nałóg. Gdy zauważyłem, że powoli staję się uzależniony, tak jak mój ojciec, zdołałem wyrwać się ze szponów nałogu i rzucić ręcznik na ring, nim zrujnowałem związek z dziewczyną, która zasługiwała na coś lepszego. Od tej pory stosunki między Paulem a mną wyraźnie się zmieniły. Kiedy ja się wycofałem, Paul poprosił o pomoc Billa Steina, doktoranta, z którym się zaprzyjaźnił. Zbliża się już termin oddania dysertacji, a Paul stał się

dziwnie tajemniczy. Zwykle wiele opowiadał o swojej pracy, natomiast od tygodnia przestał o tym mówić nie tylko ze mną, ale również z Charliem i Gilem. Dysertacja stała się tematem tabu.

– No więc, na co się decydujesz, Tom? – pyta Gil.

– No – wzdycha Charlie, unosząc głowę znad lodówki. –
Wszyscy siedzimy jak na szpilkach.

Gil i ja jęczymy. Charlie użył angielskiego idiomu *on tenter-hooks*. Na kolokwium z angielskiego napisał, że pochodzi on z *Moby Dicka*, nie zaś *Adventures of Roderick Random* Tobiasa Smolletta, ponieważ uznał, że brzmi jak nazwa przynęty rybackiej, nie zaś słowo oznaczające napięcie. Od tej pory używa tego zwrotu przy każdej okazji.

– Skończ już z tym – mówi Gil.

– Wymień jednego lekarza, który wie, co to takiego *tenter-hook*
– odpowiada Charlie.

Nim ktoś odpowiedział, słyszymy jakiś hałas w sypialni, którą dzielę z Paulem. Nagle w drzwiach pojawia się Paul, w slipkach i koszulce.

– Tylko jednego? – pyta, trąc oczy. – Tobias Smollett. Był chirurgiem.

Mogłem zgadnąć – mówi Charlie, odrywając wzrok od swoich magnesów. Gil śmieje się, ale nic nie mówi.

Myśleliśmy, że poszedłeś do Ivy – Charlie po chwili przerywa niezręczne milczenie.

Paul kręci głową i wraca do sypialni po notes. Jego włosy koloru siana są przygniecione z jednej strony, a na policzku widać odcisnięte fałdy poduszki.

– Trudno tam o spokój – wyjaśnia. – Pracowałem w łóżku i zasnąłem.

Paul pewnie nie zmrużył oka przez ostatnie dwa dni, może nawet dłużej. Jego promotor, doktor Vincent Taft, naciskał bez przerwy, by Paul znalazł jeszcze więcej materiałów. W odróżnieniu od większości profesorów, którzy są zadowoleni, gdy studenci nie zwracają im głowy, Taft od początku dokładnie śledził pracę Paula.

– No, co w końcu zrobisz, Tom? – pyta Gil, bo znowu zrobiło się cicho. – Podjąłeś decyzję?

Spoglądam na stolik. Gil ma na myśli dwa listy, na które zerkam po każdym przeczytanym zdaniu. Jeden to list z Uniwersytetu Chicagowskiego z zawiadomieniem, że zostałem przyjęty na studia doktoranckie na filologii angielskiej. Mam książki we krwi, dokładnie tak samo jak Charlie medycynę. Tytuł doktorski z Chicago bardzo by mi pasował. Musiałem powalczyć o przyjęcie trochę bardziej, niż się spodziewałem, częściowo dlatego, że moje stopnie w Princeton zaczęły opadać w kierunku średniej, ale ważniejsza była druga przyczyna. Wciąż nie wiem, co właściwie chciałbym w życiu robić, a dobry dziekan studium doktoranckiego potrafi wywęszyć brak zdecydowania równie dobrze, jak pies wyczuwa lęk.

– Myśl o pieniądzach – mówi Gil, nawet na chwilę nie odrywając oczu od Audrey Hepburn.

Gil jest synem bankiera z Manhattanu. Princeton nigdy nie było dla niego stacją końcową, a tylko przystankiem w drodze na Wall Street, okazją, by się rozejrzeć. Pod tym względem stanowi karykaturę samego siebie, ale potrafi się śmiać, gdy z niego żartujemy. Dobrze wiemy, że będzie się tak uśmiechał, aż zostanie prezesem banku. Nawet Charlie, który z pewnością zbije niezłą fortunę jako lekarz, nie będzie mógł porównać swoich dochodów z pensją Gila.

– Nie słuchaj go – wtrąca Paul z drugiego końca pokoju. – Słuchaj głosu serca.

Spoglądam na niego zdziwiony, że myśli o czymkolwiek poza swoją rozprawą.

– Słuchaj brzęczenia forsy – mówi Gil i wstaje, by wyjąć z lodówki butelkę wody.

– Ile dają? – pyta Charlie, na chwilę zapominając o magnesach.

– Czterdzieści jeden tysięcy – zgaduje Gil. Zatrząskuje lodówkę, a z drzwiczek spada kilka elżbietańskich wyrazów. – Plus pięć tysięcy premii. No i opcje.

Semestr wiosenny to gorący sezon na rynku pracy. W 1999 roku jest to rynek kupującego. Czterdzieści jeden tysięcy rocznie to mniej więcej dwa razy więcej, niż się spodziewałem z moim dyplomem z filologii angielskiej, ale gdy porówna się tę kwotę z ofertami, które dostało paru kolegów z roku, można pomyśleć, że to zaledwie jałmużna.

Sięgam po list z Daedalus, firmy internetowej z Austin, która twierdzi, że opracowała najlepszy na świecie software dla biur

korporacji. Nie wiem prawie nic o tej firmie, a tym bardziej o biurach korporacji, ale koledzy namówili mnie, żebym pojechał na rozmowę. Tak też zrobiłem, zachęcony pogłoskami o pensjach, jakie dostają na początek pracownicy spółek internetowych. Daedalus, zgodnie z panującą modą, nie przejmował się tym, że nie wiem nic o firmie i jej działalności. Jeśli tylko okaże się, że potrafię rozwiązać kilka łamigłówek, mówię poprawną angielszczyzną i jestem sympatyczny, dostanę pracę. I tak, w dobrym stylu Cezara, rozwiązałem, byłem i dostałem.

– Prawie zgadłeś – mówię, czytając list. – Czterdzieści trzy tysiące rocznie. Trzy tysiące premii z okazji podjęcia pracy. Opcje na tysiąc pięćset.

– I gruszki na wierzbie – dodaje Paul. Tylko on zachowuje się tak, jakby mówienie o pieniądzach było jeszcze gorsze od nich samych. – Marność nad marnościami.

– Marność nad marnościami, a wszystko marność – powtarza Charlie, naśladując gniewny baryton pastora z jego kościoła, niskiego Murzyna z Georgii, który niedawno otrzymał dyplom Seminarium Teologicznego w Princeton, po czym wraca do magnesów.

– Bądź ze sobą szczery, Tom – niecierpliwi się Paul, ale nie patrzy mi w oczy. – Żadna firma, która sądzi, że zasługujesz na taką pensję, nie przetrwa długo na rynku. Nie wiesz nawet, co oni robią. – Paul znów skrobie coś w notesie. Jak niemal wszyscy prorocy jest skazany na lekceważenie.

Gil nie odrywa wzroku od telewizora, ale Charlie podnosi głowę, bo usłyszał napięcie w głosie Paula. Pociera ręką brodę pokrytą szczecina zarostu.

– No dobra, wszyscy mają przestać. Pora na trochę pary.

Gil w końcu odwraca się od telewizora. Zapewne, tak jak ja, usłyszał lekki nacisk, z jakim Charlie wymówił słowo „para”.

– Teraz? – pytam.

– Skończymy za pół godziny – mówi Gil, spoglądając na zegarek. Najwyraźniej pomysł Charliego przypadł mu do gustu, bo na znak poparcia wyłącza telewizor. Audrey znika z ekranu.

Charlie zatrzaskuje Fitzgeralda. Perspektywa zakazanego owocu podziałała na niego podniecająco. Złamany grzbiet książki jęknął w proteście i Fitzgerald znów się otworzył, ale Charlie rzucił go na sofę.

– Ja pracuję – protestuje Paul. – Muszę to skończyć. Paul dziwnie mi się przygląda.

– O co ci chodzi? – pytam, ale on nie odpowiada.

– Co z wami, dziewczyny? – niecierpliwi się Charlie.

– Śnieg pada – przypominam im.

Pierwsza śnieżycyca w tym roku nawiedziła miasto właśnie dzisiaj, gdy już się wydawało, że na każdej gałęzi widać przycupniętą wiosnę. Zapowiadają trzydzieści centymetrów śniegu, może więcej. Uniwersytet zmienił plan uroczystości wielkanocnych, które w tym roku miały obejmować wielkopiątkowy wykład Vincenta Tafta, promotora Paula. To nie najlepsza pogoda na pomysł Charliego.

– Spotkanie z Currym masz dopiero o wpół do dziewiątej, prawda? – Gil pyta Paula, próbując go namówić. – Spokojnie zdążymy. Popracować możesz wieczorem.

Richard Curry, ekscentryczny stary przyjaciel mojego ojca i Tafta, był mentorem Paula od początku studiów. To on przedstawił go kilku najwybitniejszym historykom sztuki i finansował jego badania nad *Hypnerotomachią*.

Paul patrzy na notes. To wystarczy, by w jego oczach pojawiło się znużenie.

– Skończymy za piętnaście ósma – zachęca go Charlie, który wyczuł, że Paul jest bliski zgody.

– Jak się dzielimy? – pyta Gil.

– Tom gra ze mną – odpowiada Charlie po chwili namysłu.

Mamy zagrać w nową wersję jednej z ulubionych gier: szybki mecz paintballa w labiryncie tuneli ciepłowniczych pod kampusem. W tunelach jest więcej szczurów niż lamp, nawet zimą temperatura przekracza czterdzieści stopni, a teren jest tak niebezpieczny, że policji nie wolno tam wchodzić. Charlie i Gil wpadli na ten pomysł w trakcie sesji na drugim roku, a źródłem inspiracji była stara mapa, którą Gil i Paul znaleźli w swoim klubie, oraz gra, jaką uprawiał ojciec Gila i jego koledzy, gdy studiowali w Princeton.

Nowa gra stopniowo zyskiwała popularność; po pewnym czasie brało w niej udział kilkunastu członków Ivy i prawie wszyscy kumple Charliego z pogotowia ratunkowego. Większość graczy była

zaskoczona, że to Paul okazał się jednym z najlepszych nawigatorów. Tylko my wiedzieliśmy, że Paul często korzystał z tuneli, by przejść z akademika do Ivy. Stopniowo jednak tracił zainteresowanie grą. Frustrowało go, że inni gracze nie dostrzegają tkwiących w niej możliwości strategicznych i taktycznego baletu. Nie było go pod ziemią, gdy w czasie wielkiego meczu w środku zimy niecelny strzał przebił rurę z parą. Eksplozja spowodowała zerwanie plastikowej izolacji z przewodów wysokiego napięcia na odcinku sześciu metrów. Niewiele brakowało, a dwaj pijani studenci trzeciego roku zostaliby usmażeni, na szczęście Charlie w porę ich wyciągnął. Policja uniwersytecka zorientowała się, co się dzieje, i po kilku dniach dziekan wymierzył liczne kary. Po tym wypadku Charlie zastąpił strzelby na pociski z farbą czymś szybszym i bezpieczniejszym: kupił na wyprzedazy stary zestaw karabinów laserowych. Jednak z uwagi na zbliżający się koniec roku władze uniwersytetu ogłosiły, że nie będą tolerować żadnych wykroczeń dyscyplinarnych. Wpadka mogła oznaczać zawieszenie, a nawet relegację.

Charlie wychodzi z sypialni z dwoma plecakami. Jeden podaje mnie. Wreszcie wkłada czapkę.

– Chryste, Charlie – jęczy Gil. – Idziemy tylko na pół godziny. Miałem mniej rzeczy, gdy wyjeżdżałem na ferie.

– Bądź przygotowany – odpowiada Charlie i zarzuca na ramiona większy plecak. – Zawsze to powtarzam.

– Ty i skauci – mamrocze.

– Prawdziwi skauci – podkreśla Charlie, ponieważ wie, że swoją harcerską karierę skończyłem na zuchach.

– Panie gotowe? – przerywa nam Gil, stając w drzwiach.

Paul bierze głęboki oddech, usiłuje się obudzić, po czym kiwa głową. Przed wyjściem bierze z pokoju pager i przypina do paska.

Charlie i ja rozstajemy się z Gilem i Paulem przed naszym akademikiem Dod Hall. Wejdziemy do tuneli w dwóch różnych miejscach i będziemy dla siebie niewidzialni, dopóki któryś z zespołów nie wykryje przeciwników.

– Nie słyszałem, że jest coś takiego jak czarny skaut – mówię Charliemu, gdy idziemy przez kampus.

Napadało już więcej śniegu, niż się spodziewałem. Jest zimno. Dopinam kurtkę narciarską i wbijam dłonie w rękawiczki.

– Nie przejmuj się – odpowiada Charlie. – Nim cię poznałem, nie wiedziałem, że jest coś takiego jak biała cipa.

Idziemy przez kampus jak we mgle. Od wielu dni, od kiedy skończyłem pisać rozprawę i coraz bliższy był termin skończenia studiów, świat wokół wydawał mi się wirem niepotrzebnego ruchu – młodszy biegają na zajęcia, studenci czwartego roku pilnie piszą dysertacje w dusznej pracowni komputerowej, teraz z nieba sypią się płatki śniegu, zataczając w powietrzu kółka, nim wreszcie opadną na ziemię.

Po paru minutach marszu zaczyna mnie boleć noga. Od wielu lat blizna na udzie regularnie zapowiada złą pogodę sześć godzin po tym, jak pogoda się psuje. Ta blizna to pamiątka po wypadku. Niedługo po

szesnastych urodzinach miałem wypadek samochodowy, po którym na całe lato wylądowałem w szpitalu. Szczegóły tego wydarzenia rozmyły się w mojej pamięci, ale wciąż doskonale pamiętam, jak pęka lewa kość udowa, przebija mięśnie i skórę i widzę jej koniec. Miałem akurat tyle czasu, by zarejestrować ten widok, nim pod wpływem szoku straciłem przytomność. Złamane były jeszcze obie kości lewego przedramienia i trzy żebra z tej samej strony. Według lekarza z pogotowia ratunkowego, krwotok z tętnicy udało się zatamować w ostatniej chwili. Nim jednak wyciągnęli mnie z wraku samochodu, mój ojciec, który prowadził, już nie żył.

Oczywiście, wypadek bardzo mnie zmienił. Po trzech operacjach i dwóch miesiącach rehabilitacji zostały mi bóle fantomowe, występujące z sześciogodzinnym opóźnieniem po zmianie pogody, metalowe gwoździe w kościach, blizna na nodze i dziwna luka w pamięci, która w miarę upływu czasu wydawała mi się coraz większa. Zmiany zaczęły się od ubrań – najpierw inne rozmiary spodni i szortów, nim wreszcie odzyskałem dawną wagę, później nowe fasony, skrywające przeszczep skóry na udzie. Zacząłem dostrzegać też zmiany w rodzinie – największe w matce, która zamknęła się w sobie, ale również w starszych siostrach, Sarah i Kristen, coraz mniej czasu spędzających w domu. Po jakimś czasie zmienili się moi przyjaciele i znajomi, a raczej powinienem chyba powiedzieć, że to ja ich zmieniłem. Nie jestem pewny, czy potrzebowalem przyjaciół, którzy lepiej by mnie rozumieli, inaczej

mnie widzieli, czy o co właściwie mi chodziło, ale starzy, niczym znoszone ubranie, po prostu już nie pasowali.

Ludzie lubią powtarzać ofiarom, że czas leczy rany, tak jakby czas był wielkim lekarzem. Po sześciu latach rozmyślań mam na ten temat inne zdanie. Czas to taki facet w wesołym miasteczku, który maluje ludziom obrazki na koszulach. Z pistoletu do malowania wylatuje rzadka kolorowa mgła. W powietrzu unoszą się pojedyncze krople, czekając, aż trafią na miejsce przeznaczenia. Gdy wreszcie cały proces dobiega końca, na koszuli powstaje jakiś bohomaz. Podejrzewam, że ktokolwiek kupuje takie koszule, jakiś jeden zbiorowy klient wiecznego wesołego miasteczka, budzi się rano i zastanawia, co, u licha, dostrzegł w tych obrazkach. W tej analogii my jesteśmy odpowiednikiem farby, jak wyjaśniłem to kiedyś Charliemu. Czas zaś jest czynnikiem, który nas rozprasza.

Być może najlepiej wyraził to Paul, wkrótce po tym, jak się poznaliśmy. Już wówczas był fanatykiem renesansu. Miał osiemnaście lat i głęboko wierzył, że od śmierci Michała Anioła cywilizacja stacza się coraz niżej. Przeczytał wszystkie książki mojego ojca na temat odrodzenia i już kilka dni po rozpoczęciu pierwszego roku podszedł do mnie, żeby się przedstawić, ponieważ, przeglądając galerię zdjęć studentów, zwrócił uwagę na moje drugie imię. Mam osobliwe drugie imię, które w pewnych okresach dzieciństwa było prawdziwym kamieniem młyńskim u mojej szyi. Ojciec chciał nadać mi imię swojego ulubionego kompozytora, mało znanego Włocha z XVII wieku, bez którego, zdaniem taty, nie byłoby

Haydna, a tym samym również Mozarta. Natomiast matka stanowczo nie zgodziła się wypełnić metryki urodzenia dziecka zgodnie z jego życzeniem, ponieważ jeszcze przed moimi narodzinami twierdziła, że Arcangelo Corelli Sullivan to dla dziecka zbyt wielkie nieszczęście, prawdziwa trójgłowa hydra imion. Sama była za Thomasem, na cześć jej ojca. Choć wybór ten nie świadczył o wielkiej wyobraźni, stosowną rekompensatą była wielka subtelność.

Gdy zatem rozpoczęły się bóle porodowe, mama, jak to określiła, rozpoczęła obstrukcję na sali porodowej i nie pozwalała mi pojawić się na świecie, dopóki ojciec nie przystał na kompromis. W chwili nie tyle inspiracji, co raczej desperacji, zostałem nazwany Thomas Corelli Sullivan i tak już zostało. Mama miała nadzieję, że uda mi się ukrywać drugie imię między pierwszym i nazwiskiem. Ojciec, który przywiązywał duże znaczenie do imion i nazwisk, zawsze twierdził, że Corelli bez Arcangela to jak Stradivarius bez strun. Uległ matce, twierdził, tylko dlatego, że chodziło o większą stawkę, niż ona była gotowa przyznać. Mama rozpoczęła obstrukcję, wyjaśnił z lekkim uśmiechem, w łóżku małżeńskim, a nie na sali porodowej. Tata należał do ludzi, którzy uważają, że umowa zawarta pod wpływem namiętności jest jedynym dobrym usprawiedliwieniem błędnego sądu.

Kilka tygodni po poznaniu Paula opowiedziałem mu tę historię.

– Masz rację – powiedział, gdy przedstawiłem mu moją analogię z pistoletem do malowania. – Czas to żaden da Vinci. – Przez chwilę

zastanawiał się z tym swoim łagodnym uśmiechem. – To nawet nie Rembrandt. To tylko tandetny Jackson Pollock.

Miałem wrażenie, że Paul od początku świetnie mnie rozumiał.

Tak było z całą trójką: Paulem, Charliem i Gilem.

Rozdział 2

Charlie i ja stoimy przy wejściu do kanału w pobliżu Dillon Gym, w południowej części kampusu. Znaczek drużyny Philadelphia 76 na jego wełnianej czapce wisi już tylko na pojedynczej nitce i tańczy na wietrze. Ponad nami, w pomarańczowym świetle sodowych lamp, krążą ogromne roje śnieżnych płatków. Czekamy. Charlie zaczyna tracić cierpliwość, ponieważ marnujemy czas z powodu dwóch studentek drugiego roku, które stoją po przeciwnej stronie ulicy.

– Powiedz mi, co mam robić – mówię.

– Jest siedem po siódmej – odpowiada Charlie, patrząc na pulsujący wyświetlacz zegarka. – Policjanci zmieniają się o siódmej trzydzieści. Mamy dwadzieścia trzy minuty.

– Myślisz, że wystarczy nam dwadzieścia minut, żeby ich złapać?

– Na pewno. – Charlie nie ma wątpliwości. – Jeśli tylko zgadniemy, gdzie są. – Spogląda na drugą stronę ulicy. – No, już stąd, dziewczyny.

Jedna z nich paradytuje, mimo zamieci, w wiosennej sukience, zupełnie jakby śnieg złapał ją, gdy się ubierała i nie zdążyła przebrać. Druga, Peruwianka, którą znam z uniwersyteckich zawodów, ma na sobie wiatrówkę drużyny pływackiej.

– Zapomniałem zadzwonić do Katie. – Nagle doznaję olśnienia.

Charlie spogląda na mnie.

– Dziś ma urodziny. Miałem jej powiedzieć, o której przyjdę.

Katie Marchand z drugiego roku stopniowo staje się dziewczyną, na jaką nie zasłużyłem. Jej rosnące znaczenie w moim życiu jest faktem, który Charlie jakoś akceptuje tylko dlatego, że często powtarza sobie, iż inteligentne kobiety nierzadko wykazują fatalny gust w wyborze mężczyzn.

– Masz jakiś prezent? – pyta.

– Tak – mówię i zakreślam dłońmi prostokąt. – Zdjęcie z tej galerii w...

– To możesz się nie przejmować, że nie zadzwoniłeś – przerywa mi Charlie, po czym wydaje z siebie coś między mruknięciem i śmiechem. – Zresztą, teraz pewnie myśli o czymś zupełnie innym.

– A to co ma znaczyć?

Charlie wyciąga rękę i łapie płatek śniegu.

– Pierwszy śnieg w tym roku. Naga Olimpiada.

– Chryste, zupełnie zapomniałem.

Naga Olimpiada to jedna z najbardziej lubianych tradycji Princeton. Każdego roku, gdy spada pierwszy śnieg, studenci drugiego roku gromadzą się na dziedzińcu Holder Hall. Otoczeni przez tłum widzów z całego kampusu, przybywają setkami, by z heroiczną beztroską lemingów zrzucić ubranie, biegać nago dookoła i tarzać się w śniegu. Rytuał ten narodził się dawno temu, gdy Princeton był uczelnią dla mężczyzn i masowa nagość stanowiła męską prerogatywę, tak jak sikanie na stojąco i udział w wojnie. Gdy do zabawy przyłączyły się kobiety, niewielka impreza zmieniła się

w ważne zdarzenie w kalendarzu, które wszyscy koniecznie chcą zobaczyć. Przybywają nawet media, dziennikarze i telewizyjne wozy transmisyjne z tak odległych miast jak Nowy Jork i Filadelfia. Sama myśl o Nagiej Olimpiadzie zwykle wystarcza, by rozjaśnić zimowe mroki w college'u, ale w tym roku, ponieważ przyszła kolej na Katie, zdarzenie to jest dla mnie szczególnie podniecające.

– Jesteś gotowy? – pyta Charlie, gdy dziewczyny wreszcie sobie poszły.

Zmiotam nogą śnieg z pokrywy wjazdu.

Charlie kuca i wkłada palce wskazujące w dwa otwory w pokrywie. Śnieg tłumi zgrzyt metalu o asfalt, gdy Charlie odciąga klapę. Rozglądam się czujnie.

– Ty pierwszy – mówi, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Co z plecakami?

– Przestań marudzić. Ruszaj się.

Klękam i opieram się dłońmi o ziemię po obu stronach otworu. Z dołu wydobywa się gęsta fala gorąca. Gdy próbuję zejść, wypchane kieszenie kurtki zawadzają o brzeg.

– Do diabła, Tom, ruszasz się jak ślimak. Wymacaj nogą żelazny szczebel. Na ścianie jest drabina.

Wyczuwam pod butem szczebel i zaczynam schodzić.

– Dobra – mówi Charlie. – Weź to.

Charlie przeciska przez otwór najpierw mój plecak, później swój.

W półmroku ledwo widać rury ciągnące się wzdłuż ścian. Z ciemności dobiegają metaliczne odgłosy i syk pary. Jesteśmy w jednym z tuneli ciepłowniczych pod kampusem, w których znajdują się rury dostarczające gorącą parę z odległej kotłowni do akademików i innych budynków uniwersyteckich. Charlie twierdzi, że ciśnienie pary w rurach wynosi dwadzieścia atmosfer. Obok ciągną się mniejsze rury z gazem oraz przewody wysokiego napięcia. Mimo to nigdy nie zauważyłem w tunelach żadnej tabliczki z ostrzeżeniem, żadnego fosforyzującego trójkąta lub komunikatu uniwersyteckiej policji. Uniwersytet wolałby zapomnieć o istnieniu tuneli. Przy tym wejściu jest tylko jeden napis, który ktoś już dawno wymalował czarną farbą: LASCIA TE OGNI E SPERANZA, VOI CH'ENTRATE. Paul, który zachowywał się tak, jakby w ogóle nie czuł lęku, gdy przeczytał to po raz pierwszy, uśmiechnął się, po czym przetłumaczył Dantego na nasz użytek: *Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją*^{*}.

Teraz schodzi Charlie. Przed zejściem na dół wciąga na miejsce pokrywę, by zamknąć otwór. Zeskakuje z ostatniego szczebla i zdejmuje czapkę. Światło odbija się od kropeł potu na jego czole. Charlie od czterech miesięcy nie był u fryzjera i swoim afro prawie dosięga sufitu. „To nie afro, przekonywał nas wielokrotnie. To tylko półafro”.

Charlie wdycha kilka razy stęchłe powietrze, po czym wyciąga z plecaka tubę Vick's VapoRub.

^{*} Dante, *Boska komedia*. Piekło. Pieśń III, przekład Edward Porębowicz - PIW 1975

– Posmaruj się pod nosem. Nie będziesz czuł smrodu – mówi do mnie.

Macham ręką. Charlie nauczył się tej sztuczki podczas letniej praktyki u lokalnego lekarza sądowego, który w ten sposób chronił się przed smrodem trupów podczas sekcji. Od wypadku ojca nigdy nie darzyłem szczególnym szacunkiem przedstawicieli medycyny. Lekarze to dla mnie obłudne tępaki, bez własnego zdania. Co innego Charlie. On jest człowiekiem do zadań specjalnych miejscowej ekipy pogotowia ratunkowego, facetem, który jeździ do wszystkich trudnych przypadków i zawsze znajduje dwudziestą piątą godzinę doby, by dać nieznanym ludziom szansę na pokonanie, jak to określa, Złodzieja.

Charlie wyciąga z plecaka dwa karabiny laserowe, szare w paski, potem taśmy velcro. Gdy on grzebie w plecakach, ja zaczynam zdejmować kurtkę. Już teraz czuję, że kołnierz koszuli przylepił mi się do karku.

– Uważaj – upomina mnie Charlie i powstrzymuje gestem, nim zdążyłem rzucić kurtkę na największą rurę. – Nie pamiętasz, co stało się z wiatrówką Gila?

– Zupełnie zapomniałem. Gil powiesił kiedyś kurtkę na gorącej rurze; po pewnym czasie stopiła się warstwa zewnętrzna i zapaliło wypełnienie. Musieliśmy zdeptać ogień.

– Zostawimy tutaj kurtki i weźmiemy je, gdy będziemy wracali – mówi Charlie, wyjmując mi z rąk kurtkę i wciska do składanej torby podróżnej, którą wiesza pod sufitem na jednym z pasków.

– Dzięki temu szczury nie dobiorą się do naszych rzeczy – wyjaśnia i wyciąga z plecaka kolejne przedmioty.

Podaje mi latarkę i walkie-talkie, po czym wyciąga dwie butelki z wodą i mocuje je na zewnątrz plecaka. Na zimnych butelkach widać krople rosy.

– Pamiętaj – mówi – jeśli się rozdzielimy, nie idź z prądem. Jeśli zobaczysz, że kanałem płynie woda, idź pod prąd. Inaczej, jeśli wzrośnie poziom wody, może cię zalać. To nie twoje Ohio. Tu poziom wody rośnie naprawdę szybko.

To kara za to, że zabłądziłem poprzednim razem, gdy byliśmy w jednej drużynie. Wachluję się połą koszuli.

– Chuck, Ohio wcale nie płynie w pobliżu Columbus.

Charlie czeka, aż umocuję detektor światła do uprząży na piersiach, i ignoruje moją uwagę.

– No, to jaki mamy plan? – pytam. – Dokąd idziemy?

– To zależy od ciebie – uśmiecha się Charlie.

– Dlaczego?

– Bo ty jesteś Szerpą – wyjaśnia, klepiąc mnie po głowie. Charlie mówi to tak, jakby Szerpowie byli magiczną rasą karłowatych przewodników, jakimiś hobbitami.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Paul zna tunele lepiej od nas. Musimy wymyślić odpowiednią strategię.

– Gdzie jest najbliższe wejście do tuneli po ich stronie kampusu?

– pytam po chwili namysłu.

– Jest jedno za Clio.

Cliosopic to stary budynek towarzystwa dyskusyjnego. Usiłuję wyobrazić sobie nasze pozycje, ale gorąco mąci mi myśli.

– Stamtąd jest prosta droga do miejsca, w którym stoimy. – Prosto na południe, prawda?

Teraz Charlie przez chwilę męczy się nad rozkładem tuneli.

– Prawda – potwierdza wreszcie.

A on nigdy nie chodzi prostymi ścieżkami.

– Nigdy.

Wyobrażam sobie Paula, który zawsze usiłuje wyprowadzić wszystkich w pole.

– Zatem dzisiaj to robi. Pójdzie prosto. Przybiegnie prosto z Clio i spróbuje zaatakować, nim będziemy gotowi.

– Racja – zgadza się ze mną Charlie i wbija wzrok w czeluść tunelu. Na jego ustach pojawia się uśmiech.

– Musimy więc go obejść – mówię. – Zająć od tyłu.

W oczach Charliego pojawiają się błyski. Klepie mnie po plecach tak mocno, że pod ciężarem plecaka niemal zwałam się na ziemię.

– Chodźmy – mówi.

Zaczynamy iść tunelem, ale nagle z radia wydobywa się szum. Odczepiam je od paska i naciskam guzik.

– Gil? Cisza.

– Gil?... Nie słyszę cię...

W dalszym ciągu żadnej odpowiedzi.

– To zakłócenia. Są za daleko, żeby przesłać sygnał – mówi Charlie.

Znowu wołam Gila. Nic z tego.

– Mówiłeś, że to radio ma zasięg – mówię do Charliego. – Przecież oni są ponad trzy kilometry od nas.

– Trzy kilometry, gdy fale rozchodzą się w powietrzu – wyjaśnia Charlie. – Przez beton i ziemię zasięg jest znacznie mniejszy.

– Radia są przeznaczone do użycia w sytuacjach alarmowych. Jestem pewny, że słyszałem głos Gila.

Przemierzamy w milczeniu jakieś sto metrów, omijając kałuże mazi i odchody. Nagle Charlie łapie mnie za kołnierz i ciągnie do tyłu.

– Co, do cholery? – pryham, z trudem utrzymując równowagę.

Charlie oświetla latarką drewnianą kładkę przerzuconą nad głębokim rowem w tunelu. Przechodziliśmy nią w czasie poprzedniej gry.

– Co się stało?

Charlie ostrożnie stawia nogę na kładce.

– W porządku. – W jego głosie słychać wyraźną ulgą. – Nie zgniła.

Ocieram pot z czoła.

– Dobra – mówi Charlie. – Chodźmy.

Charlie pokonuje deskę dwoma wielkimi krokami. Robię, co mogę, by zachować równowagę. Wreszcie bezpiecznie lądują po drugiej stronie rowu.

– Masz – Charlie podaje mi butelkę. – Napij się.

Szybko przełykam łyk wody i idę za nim. Jesteśmy w raju grabarza – dookoła widok jak w trumnie, ciemne ściany powoli zbiegają się ku sobie w mroku.

– Czy wszystkie tunele w tej okolicy wyglądają jak katakumby?
– pytam. Moje myśli przerywają trzaski dochodzące z odbiornika.

– Jak co?

– Katakumby. Grobowiec.

– Nie bardzo. Nowsze fragmenty są zrobione z blachy falistej – mówi Charlie, wykonując dłońmi fale. – Masz wrażenie, że chodzisz po żebrach. Można pomyśleć, że połknął cię wieloryb. Jak... – Charlie pstryka palcami, szukając w myślach porównania. – Coś z Biblii. Albo z Melville’a, z wykładu z angielskiego.

– Jak Pinokio – wtrącam.

Charlie spogląda na mnie i próbuje zrozumieć żart.

– Już chyba blisko – mówi, gdy mu się to nie udaje.

Odwraca się do mnie i dotyka radia. – Nie martw się. Skręcimy, trafimy ich kilka razy i do domu.

W tym momencie w odbiorniku znów rozlega się głos. Tym razem nie ma wątpliwości, to Gil.

– Końcówka, Charlie.

– Co to ma znaczyć? – pytam, stając.

Charlie marszczy brwi. Czeka na powtórzenie wiadomości, ale radio milczy.

– Nie dam się na to nabrać – oświadcza wreszcie.

- Nabrać na co?
- Na hasło końcówka. To ma oznaczać koniec gry.
- Nie pieprz, Charlie. Dlaczego?
- Bo coś się stało.
- Co takiego?

Charlie podnosi palec, by mnie uciszyć. W oddali słychać głosy.

- To oni – szepczę.
- Chodźmy – odpowiada Charlie, unosząc karabin laserowy.

Charlie wydłuża krok i nie mam wyboru, też muszę przyspieszyć. Dopiero teraz, usiłując za nim nadążyć, doceniam sprawność, z jaką porusza się w ciemnościach. Robię, co mogę, by nie zniknąć poza zasięgiem mojej latarki.

Gdy zbliżamy się do skrzyżowania, Charlie mnie zatrzymuje.

- Nie wychylaj się za róg. Zgaś latarkę, bo nas zobaczą.

Macham ręką, by do mnie podszedł. Gil znowu nadaje.

– Kończówka, Charlie. Jesteśmy w tunelu północ-południe pod Edwards Hall.

Głos Gila jest teraz znacznie wyraźniejszy, bliższy.

Ruszam w kierunku skrzyżowania, ale Charlie mnie odpycha. Dwa snopy światła z latarek gwałtownie poruszają się w przeciwnych kierunkach. Mrużąc oczy w ciemnościach, dostrzegam dwie sylwetki. Usłyszeli nas i odwrócili się, kierując latarki na nasze twarze.

– Cholera! – warczy Charlie, zasłaniając oczy. Na oślep? kieruje karabin w stronę światła i naciska spust. W tym samym momencie słyszę mechaniczny głos w odbiorniku:

– Przestańcie! – syczy Gil.

– Co się stało? – krzyczy Charlie, gdy jesteśmy już blisko. Paul stoi nieruchomo za Gilem. Z góry pada na nich światło, przedostające się przez kratkę zakrywającą wejście do kanału.

Gil kładzie palec na ustach i wskazuje kratkę. Z trudem dostrzegam dwie osoby stojące nad nami przed Edwards Hall.

– Bill próbuje się do mnie dodzwonić – mówi Paul, unosząc pager do światła. Jest wyraźnie podniecony. – Muszę się stąd wydostać.

Charlie spogląda na niego zdziwiony, po czym wzywa gestem Gila i jego, by odsunęli się od światła.

– On nie chce się ruszyć – szepcze Gil.

Paul stoi bezpośrednio pod metalową kratką i gapi się na wyświetlacz pagera. Z góry kapie stopiony śnieg. Słysząc, jak ktoś się porusza.

– Przez ciebie wpadniemy – syczę do Paula.

– Twierdzi, że nigdzie indziej nie ma zasięgu – wyjaśnia Gil.

– Bill nigdy się tak nie zachowywał – odpowiada cicho Paul.

Ciągnę go za ramię, ale on się wyrywa. Włącza wyświetlacz pagera i pokazuje go nam. Dostrzegam trzy cyfry – 911.

– A to co ma znaczyć? – szepcze Charlie.

– Bill musiał coś znaleźć – niecierpliwi się Paul. – Muszę się z nim skontaktować.

Ktoś przechodzi po kratce i podeszwami przeciska śnieg przez szczeliny. Charlie sztywnieje.

– Słuchaj, to jakiś przypadek. Tu nie ma zasięgu...

Przerywa mu ponowny pisk pagera. Teraz na wyświetlaczu pojawia się numer telefonu 116-7718.

– Co to za numer? – pyta Gil.

Paul odwraca wyświetlacz do góry nogami. Teraz cyfry tworzą wiadomość BILL-911.

– Wychodzę stąd, i to już – oświadcza Paul.

– Nie przez tę dziurę – kręci głową Charlie. – Na górze jest za dużo ludzi.

– Paul chce, żebyśmy wyszli przy Ivy – mówi Gil. – Powiedziałem mu, że to za daleko. Możemy wrócić do Clio. Mamy jeszcze kilka minut do zmiany dyżuru policji.

W pewnej odległości pojawiają się czerwone koraliki. To szczury czekają na to, co będzie dalej.

– Dlaczego tak ci się śpieszy? – pytam Paula.

– Trafiliśmy na coś bardzo ważnego... – zaczyna Paul, ale Charlie nie daje mu skończyć.

– Clio to nasza szansa – mówi, po czym spogląda na zegarek i rusza na północ. – Jest siódma dwadzieścia cztery.

– Lepiej się pośpieszamy.

Rozdział 3

Gdy zmierzamy na północ, korytarz nadal wygląda jak pudło, ale coraz częściej ściany są z kamienia, a nie betonu. Słyszę głos ojca, wyjaśniającego etymologię słowa „sarkofag”:

„Po grecku oznacza to «zjadający ciało»... ponieważ Grecy robili grobowce z wapienia, który w ciągu czterdziestu dni zżerał ciało – zostawały tylko zęby”.

Przewaga Gila wzrosła do siedmiu metrów. Podobnie jak Charlie idzie bardzo szybko, bo dobrze zna tunele. W błędzącym świetle latarki od czasu do czasu pojawia się twarz Paula. Wilgotne od potu włosy przykleiły mu się do czoła. Przypominam sobie, że od paru dni prawie w ogóle nie spał.

Trzydzieści metrów dalej czeka Gil. Rozgląda się, poganiając nas do wyjścia. Zastanawia się nad planem awaryjnym. Tracimy za dużo czasu.

Zamykam oczy i próbuję wyobrazić sobie plan kampusu.

– Jeszcze piętnaście metrów! – woła Charlie do Paula. – Najwyżej trzydzieści.

Wreszcie dochodzimy do wjazdu koło Clio.

– Uniosę pokrywę i rozejrzę się po okolicy – proponuje Gil. – Bądźcie gotowi do ucieczki tą samą drogą, którą przyszliśmy. – Zerka na zegarek. – U mnie jest dwadzieścia dziewięć po siódmej.

Gil chwyta za żelazny szczebel, przyjmuje pozycję i unosi rękę do pokrywy. Przed jej odsunięciem patrzy na nas przez ramię.

– Pamiętajcie, gliniarze nie mogą tu wejść. Mogą tylko krzyczeć, żebyśmy wyszli. Jakby co, siedźcie cicho i nie podawajcie nazwisk. Zrozumiano?

Kiwamy głowami.

Gil bierze głęboki oddech, naciska ręką pokrywę i podpira ją łokciem. Właz uniósł się jakieś piętnaście centymetrów. Gil szybko się rozgląda. Nagle z góry dobiega ostry głos:

– Stój! Nie ruszaj się!

– Cholera – słyszę syk Gila.

Charlie chwyta go za koszulę i ściąga w dół, podtrzymując, żeby się nie przewrócił.

– Biegiem! Tam! Zgaście latarki!

Rzucam się w ciemność, popychając przed sobą Paula. Próbuję przypomnieć sobie drogę, którą szliśmy.

– Trzymaj się prawej strony. Rury są po lewej, trzymaj się prawej ściany.

Zawadzam ramieniem o ścianę i rozdieram koszulę. Paul zatacza się, wyczerpany gorącem. Potykając się jeden o drugiego, pokonujemy dwadzieścia kroków, po czym Charlie zatrzymuje nas, żeby Gil za nami nadążył. Widzimy, jak w otwartym włazie pojawia się najpierw latarka, później ramię i głowa.

– Wychodźcie stamtąd!

Wiązka światła wędruje po ścianach tunelu. Słysząc drugi głos, tym razem kobiety.

– To ostatnie ostrzeżenie!

Spoglądam na Gila. W ciemnościach widzę tylko zarys jego głowy. Kręci nią, nakazując nam milczenie.

Czuję na karku wilgotny oddech Paula. Opiera się o ścianę, wygląda tak, jakby miał zemdleć. Znow słyhać głos kobiety, która celowo mówi głośno do partnera:

– Zamelduj do centrali. Trzeba obstawić wszystkie włazy.

Światło latarki znika. Charlie natychmiast nas popycha. Biegniemy do skrzyżowania w kształcie litery T, po czym skręcamy w prawo na nieznany teren.

– Teraz nie mogą nas zobaczyć – szepcze Gil, z trudem łapiąc oddech. Włącza latarkę. Mamy przed sobą kolejny długi tunel, prowadzący, jak mi się wydaje, na północny zachód.

– Co teraz? – pyta Charlie.

– Wracamy do Dod – proponuje Gil.

– Nie możemy – odpowiada Paul, ocierając pot z czoła. – Zamknęli właz na kłódkę.

– Będą pilnowali ważniejszych wyjść – dodaje Charlie.

Robię dwa kroki tunelem prowadzącym na zachód.

– Czy to najkrótsza droga na północny zachód? – pytam. – Myślę, że możemy wyjść koło Rocky-Mathey. Jak to daleko?

Charlie podaje reszkę wody Paulowi, który pije łapczywie.

– Kilkaset metrów – mówi. – Może trochę więcej.

– Tym tunelem?

Gil zastanawia się przez sekundę, potem kiwa głową.

– Nie mam lepszego pomysłu – wyznaje Charlie.

Cała trójka rusza za mną w ciemności.

Przez jakiś czas idziemy w milczeniu. Gdy światło mojej latarki słabnie, Charlie daje mi swoją, ale poza tym koncentruje uwagę na Paulu, który wydaje się coraz słabszy. Gdy wreszcie zatrzymuje się i opiera o ścianę, Charlie podtrzymuje go i przypomina, by nie dotykał rur. Przy każdym kroku słyszymy, jak w niemal pustych butelkach chlupoczą resztki wody. Zaczynam się obawiać, że zabłądziłem.

– Paul mdleje – mówi nagle Charlie.

– Po prostu muszę na chwilę usiąść – słabo zapewnia nas Paul.

Nagle w świetle latarki Gila ukazuje się metalowa kratka.

– Cholera.

– Krata – stwierdza Charlie, choć wszyscy to widzą.

– Co robimy?

Gil kuca, by spojrzeć Paulowi w oczy.

– Hej. – Łapie go za ramiona i lekko nim potrząsa. – Czy jest stąd jakieś wyjście?

Paul wskazuje rurę z parą przechodzącą przez kratę i macha ręką w dół.

– Przejdźcie pod rurą.

Oświetlam rurę latarką. Pod spodem, zaledwie kilkanaście centymetrów nad ziemią, izolacja termiczna jest wyszarpana. Najwyraźniej ktoś już próbował tędy przejść.

– Nie da rady – orzeka Charlie. – Za mało miejsca.

– Po drugiej stronie jest zasuwa – wtrąca Gil, wskazując ręką ścianę. – Jeśli któryś przejdzie, będzie mógł otworzyć kratę.

Wystarczy, że przejdzie jeden. – Gil znowu pochyła się i jego głowa jest na tym samym poziomie co głowa Paula. – Przechodziłeś już tędy?

Paul przytakuje.

– Jest odwodniony – szepcze Charlie. – Czy ktoś ma jeszcze trochę wody?

Gil podaje mu do połowy opróżnioną butelkę. Paul pije chciwie.

– Dzięki. Już mi lepiej.

– Powinniśmy zawrócić – mówi Charlie.

– Nie – protestuję. – Ja przejdę.

– Weź moją kurtkę – proponuje Gil. – Przyda ci się warstwa ochronna.

Dotykam rury. Nawet przez izolację cieplną czuć pulsowanie gorącej pary.

– Nie przecisniesz się – twierdzi Charlie. – A już na pewno nie w kurtce.

– Przejdę bez. Nic mi się nie stanie – zapewniam, dopiero gdy kładę się na ziemi, zdaję sobie sprawę, jak mały jest otwór. Osłona cieplna parzy. Wczołguję się na brzuchu między rurę i posadzkę.

– Zrób wydech i przecisnij się na drugą stronę – radzi Gil.

Rozpłaszczam się na ziemi i stopniowo przeciskam przez otwór, ale gdy jestem w najciaśniejszym miejscu, nie mam się czego złapać, by posunąć się naprzód. Leżę w kałuży pod rurą.

– Kurwa – klnie Gil, kucając obok mnie.

– Tom – słyszę głos Charliego i czuję, jak dotyka moich stóp. –
Odepchnij się od moich rąk.

Odpycham się stopami od jego dłoni. Szoruję klatką piersiową po betonie, a w pewnej chwili muskam udem rurę w miejscu, gdzie nie ma izolacji. Czuję ostry ból i odruchowo cofam nogę.

– Nic ci nie jest? – pyta Charlie, gdy w końcu ląduję po drugiej stronie.

– Odsuń zasuwę w prawo – mówi Gil, nie czekając na moją odpowiedź.

Zasuwa puszcza. Gil otwiera kratę, po nim przechodzi Charlie, który nadal podtrzymuje Paula.

– Jesteś pewny, że dobrze idziemy? – dopytuje się Charlie, gdy brniemy w ciemnym tunelu.

Kiwam głową. Kilka kroków dalej widzimy na ścianie krzywą literę R. Zbliżamy się do Rockefeller, jednego z akademików. Na pierwszym roku spotykałem się z dziewczyną, która tu mieszkała, nazywała się Lana McKnight. Tej zimy spędziliśmy dużo czasu przy kominku w jej pokoju – wtedy jeszcze administracja nie pozamykała kominków na dobre. Rozmawialiśmy o rzeczach, które teraz wydają się tak odległe: Mary Shelley, gotycka architektura uniwersytetu i Buckeyes. Jej matka wykładała w Ohio State, tak jak mój ojciec. Lana miała piersi podobne do bakłażanów, a gdy zbyt długo siedzieliśmy przy ogniu, jej uszy nabierały koloru płatków róży.

Wkrótce usłyszałem nad głową jakieś głosy. Wiele głosów.

– Co tam się dzieje? – pyta Gil, zbliżając się do źródła hałasu.

Kłapa wjazdu znajduje się tuż nad jego ramieniem.

– Jesteśmy na miejscu – mówię, kaszląc. – To nasza droga wyjścia.

Gil patrzy na mnie i usiłuje zrozumieć, co mam na myśli.

W ciszy słyszę krzyki i głośne śmiechy. To studenci, a nie policjanci. Nad naszymi głowami kłębi się tłum.

Charlie zaczyna się uśmiechać.

– Naga Olimpiada.

– Jesteśmy pod nimi. – Doznaje oświecenia Gil.

– Wjazd jest pośrodku dziedzińca – przypominam im.

Opieram się o ścianę i usiłuję złapać oddech. – Wystarczy, że uchylimy pokrywę, przyłączymy się do tłumu i znikniemy.

– Wystarczy, że się rozbierzemy, przyłączymy się do tłumu i znikniemy – poprawia mnie Paul ochrypłym głosem.

Przez chwilę panuje milczenie. Charlie pierwszy rozpina guziki koszuli.

– Wyłażę stąd – mówi, tłumiąc śmiech, i ściąga koszulę.

Zrzucam dzinsy, Gil i Paul idą w moje ślady. Wpychamy nasze ubrania do jednego z plecaków, aż niemal pęka w szwach.

– Uniesiesz to? – pyta Charlie, po czym proponuje, że weźmie oba plecaki.

– Wiecie, że na zewnątrz jest policja? – zaczynam się wahać.

Gil zapomniał o wątpliwościach i już wspina się po stopniach.

– Tam jest trzysta nagich studentek i studentów, Tom. To powinno odwrócić uwagę policji. Jeśli nie dasz sobie rady nawet

w takiej sytuacji, to zasługujesz na to, żeby cię złapali.

To mówiąc, Gil uchyla klapę, wpuszczając do studni podmuch zimnego powietrza. Paul od razu odzyskuje siły.

– No dobra, panowie – woła Gil i raz jeszcze ogląda się na nas. – Pora na akcję.

Doskonale zapamiętałem, jak jasno zrobiło się wokół nas, gdy wyszliśmy ze studzienki. Lampy na dziedzińcu. Reflektory kamer. Błyski niezliczonych fleszy niczym robaczki świętojańskie.

Potem podmuch zimna. Wycie wiatru, jeszcze głośniejsze niż tupot setek stóp i głośnie krzyki. Płatki śniegu topiące się na mojej nagiej skórze.

Wreszcie to widzę. Ściana z ramion i nóg krążąca wokół nas niczym niekończący się wąż. W polu widzenia pojawiają się i znikają znajome twarze – koledzy i koleżanki, członkowie drużyny piłkarskiej, kobiety z kampusu, które wpadły mi w oko – ale wydają się równie abstrakcyjne jak fragmenty kolażu. Tu i ówdzie dostrzegam dziwne stroje – cylindry, peleryny Supermana, rysunki zawieszane na szyi. Wszystko to tworzy wielkie, przelewające się zwierzę, jakiegoś chińskiego smoka, poruszającego się z wrzaskiem, krzykiem i błyskami świateł.

– Rusz się! – krzyczy Gil.

Paul i ja idziemy za nim jak zahipnotyzowani. Już zapomniałem, jak wygląda Holder w nocy, gdy spadnie pierwszy śnieg.

Obejmuje nas wielki wąż podskakujących ludzi i przez chwilę nie wiem, co się ze mną dzieje. Ze wszystkich stron napierają na mnie ciała; z plecakiem na ramionach, z trudem zachowuję równowagę. Pod bosymi stopami czuję śnieg. Ktoś mnie popycha z tyłu i nagle puszcza zamek błyskawiczny plecaka. Nasze rzeczy sypią się na śnieg. Po sekundzie już ich nie widzę, wszystkie zostały wdeptane w śnieg i błoto. Rozglądam się w nadziei, że za mną stoi Charlie i jakoś je pozbiera, ale nigdzie go nie widać.

– Piersi i pośladki, pierś i pośladki! – wykrzykuje gdzieś blisko jakiś student, udając akcent cockneya, jakby sprzedawał kwiaty na planie My Fair Lady. Niedaleko widzę otyłego studenta trzeciego roku, który chodzi ze mną na seminarium z literatury angielskiej. Jest goły, na szyi zawiesił sobie deskę do krojenia chleba z napisem DARMOWA JAZDA PRÓBNA z jednej strony i PYTAJ W ŚRODKU z drugiej. Wreszcie dostrzegam Charliego. Już przepchał się na drugą stronę dziedzińca, gdzie stoi Will Clay, jego kolega z pogotowia ratunkowego, w kasku z doczepionymi puszkami po piwie. Charlie zrywa mu z głowy kask i obaj zaczynają gonić się po dziedzińcu.

Po chwili tracę ich z oczu.

Śmiech przygasa i znów wybucha. Czuję w tym całym zamieszaniu, jak ktoś chwyta mnie za rękę.

– Chodźmy.

Gil odciąga mnie na bok.

– Co teraz? – pyta Paul. Gil się rozgląda. Przy każdym wyjściu stoją policjanci.

– Tędy – mówię.

Zbliżamy się do wejścia do akademika i wbiegamy do Holder Hall. Pijana studentka otwiera nam drzwi, po czym stoi i nie wie, co zrobić, zupełnie jakby oczekiwała, że to my ją powitamy. Przygląda nam się przez chwilę, po czym unosi butelkę piwa.

– Na zdrowie. – Pije, beka i zamyka drzwi. Zdążyliśmy tylko zobaczyć, że przy kominku grzeje się jej koleżanka, niedbale owinięta ręcznikiem.

– Chodźmy – wołam do Paula i Gila.

Biegna za mną na pierwsze piętro. Walę pięścią w drzwi pokoju.

– Co ty wyprawiasz... – zaczyna Gil.

Nim skończył, drzwi otwierają się i witają mnie wielkie zielone oczy. Usta nieco rozchylają się na mój widok. Katie ma na sobie obcisłą marynarską koszulkę i stare džinsy, a jej brązowe włosy są spięte w krótki koński ogon. Parska śmiechem, po czym wpuszcza nas do środka.

Wiedziałem, że tu przyjdiesz – mówię, rozcierając ręce. Gdy wchodzę i przytulam ją, jej uścisk jest ciepły i serdeczny.

– To twój strój na moje urodziny? – Taksuje mnie od stóp do głów. Jej oczy błyszczą. – Dlatego nie zadzwoniłeś?

Gdy cofa się z korytarza do pokoju, widzę, że Paul nie może oderwać wzroku od aparatu fotograficznego, który Katie trzyma w ręku. To pentax z obiektywem długości ramienia.

– Po co ci to? – pyta Gil, gdy Katie odkłada aparat na półkę.

– Robiłam zdjęcia do „Prince” – wyjaśnia. – Może tym razem jakieś wydrukują.

Na pewno z tego powodu nie przyłączyła się do zabawy. Katie przez cały rok próbowała opublikować zdjęcie na pierwszej stronie „Daily Princetonian”, ale nie mogła pokonać bariery systemu starszeństwa. Teraz sytuacja się odwróciła. W Holder Hall mieszkają tylko studenci pierwszych dwóch lat, a ona na dokładkę ma okno wychodzące na dziedziniec.

– A gdzie Charlie? – interesuje się.

Gil wzrusza ramionami i wygląda przez okno.

– Kołuje się gdzieś tam z Willem Clayem.

– Jak długo planowałeś ten numer? – pyta mnie Katie z uśmiechem.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Parę dni – improwizuje Gil, gdy widzi, że nie potrafię jej wyjaśnić, że to przedstawienie nie było przeznaczone dla niej. – Może tydzień.

– Imponujące – stwierdza Katie. – Meteorolodzy dopiero dziś rano zapowiedzieli śnieg.

– No, to parę godzin – poprawia się Gil. – Może dzień. Katie nie odrywa ode mnie oczu.

– Pozwólcie, że zgadnę. Potrzebujecie jakichś łańców?

– Trzy komplety.

Katie wycofuje się do garderoby.

– Na dworze musi być zimno – mówi. – Wyglądacie, jakby mróz już się do was dobrał.

Paul patrzy na nią tak, jakby w żaden sposób nie mogła zrozumieć, o czym on myśli.

– Czy mógłbym skorzystać z telefonu? – pyta wreszcie, przytomniejąc.

Katie wskazuje mu bezprzewodowy telefon na biurku. Przechodzę przez pokój do garderoby i przytulam się do niej, zmuszając ją do cofnięcia się do środka. Katie próbuje mnie odepchnąć, ale napieram. W końcu oboje lądujemy na podłodze wśród butów. Po paru sekundach wyplątujemy się z tego bałaganu i wstajemy. Oczekuję szyderstw ze strony Paula i Gila, ale oni zajęci są czymś innym. Paul stoi w kącie pokoju i szepcze do słuchawki, natomiast Gil wygląda przez okno. W pierwszej chwili myślę, że szuka Charliego, ale zaraz orientuję się, że Gil wpatruje się w policjanta, który rozmawia przez radio i idzie w stronę budynku.

– Hej, Katie, nie potrzebujemy galowych strojów – odzywa się Gil. – Wystarczy byle jaki łań.

– Spokojnie – mówi Katie, rzucając na sofę stertę ubrań.

Znalazła trzy pary spodni dresowych, dwa podkoszulki i niebieską koszulę, której szukałem od marca. – To wszystko, co mogę zrobić w tak krótkim terminie.

Rzucamy się na ubrania. Nagle dochodzi do nas szum radia i odgłos zatraskiwanych drzwi.

– Muszę iść do biblioteki – oświadcza Paul, odkładając telefon.

– Wyjdźcie tylnymi drzwiami – mówi szybko Katie. – Ja się zajmę tym policjantem.

Ściskam jej rękę, podczas gdy Gil dziękuje za ubrania.

– Zobaczymy się później? – pyta Katie, a jej oczy mają dziwny wyraz. Teraz łączy się to z uśmiechem, ponieważ Katie nie może uwierzyć, że wciąż to na mnie działa.

Gil jęczy i wyciąga mnie z pokoju. Gdy wymykamy się z budynku, słyszę głos Katie.

– Proszę pana! Proszę pana! Czy mógłby mi pan pomóc?

Gil odwraca się i patrzy na okna jej pokoju. Na widok policjanta w pajęczych nitkach witrażu wyraźnie się odpręża. Idziemy do domu, walcząc z zawieją. Po chwili Holder Hall znika za kurtyną śniegu. Kiedy zbliżamy się do Dod, kampus jest wyludniony. Pod wpływem lepiących się do policzków Płatków śniegu i przenikliwego wiatru uciekają ze mnie resztki ciepła z tunelu. Paul nieco nas wyprzedził, wyraźnie mu się śpieszy. Przez całą drogę nie odzywa się ani słowem.

Rozdział 4

Poznałem Paula z powodu książki. Prawdopodobnie i tak spotkalibyśmy się w bibliotece Firestone na ćwiczeniach lub wykładach, na które obaj chodziliśmy na pierwszym roku, a zatem może nie powinienem przypisywać tej książce jakiegoś szczególnego znaczenia. Gdy jednak wziąć pod uwagę, że ma ona pięćset lat, a mój ojciec studiował ją przed śmiercią, to taki zbieg okoliczności wydaje się wyjątkowo istotny.

Hypnerotomachia Poliphili, co znaczy „Polifila walka o miłość we śnie”, została opublikowana około 1499 roku przez Wenecjanina zwanego Aldus Pius Manutius. Jest to encyklopedia przebrana w szaty powieści, traktat na wszystkie możliwe tematy od architektury po zoologię, napisany w stylu, który nawet żółw uznałby za rozwlekły. To najdłuższa książka świata o człowieku mającym sen. W porównaniu z nią Marcel Proust, który napisał najdłuższą książkę świata o człowieku jedzącym ciastko, wydaje się drugim Ernestem Hemingwayem. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że renesansowi czytelnicy mieli podobne zdanie. *Hypnerotomachia* była dinozaurem już w chwili narodzin. Wprawdzie Aldus był najwybitniejszym drukarzem swoich czasów, lecz *Hypnerotomachia* to kłębowisko wątków i postaci, które łączy jedynie osoba bohatera, alegorycznego szarego człowieka o imieniu Polifilo. Treść jest skomplikowana: Polifilo ma dziwny sen, w którym szuka ukochanej. Historia ta została jednak opowiedziana w tak skomplikowany sposób, że większość

badaczy renesansu – ludzi, którzy czytają Plotyna, czekając na autobus – uważa *Hypnerotomachię* za dzieło złożone i trudne.

Większość, owszem, ale nie mój ojciec. On zajmował się historią renesansu na swój własny sposób. Gdy większość kolegów odwróciła się plecami do *Hypnerotomachii*, on nastawił na nią swój celownik. Przekonał go do tego McBee, profesor wykładający w Princeton historię Europy. McBee, który zmarł na rok przed moim urodzeniem, był przypominającym mysz człowieczkiem z uszami słonia i małymi zębami. Swoje sukcesy zawdzięczał ekspansywnej osobowości i niezwykłemu wyczuciu, co decyduje o wartości i znaczeniu historii. Na jego powtarzany co roku wykład o śmierci Michała Anioła przychodziło więcej ludzi, niż mogła pomieścić największa aula w Princeton. Pod wpływem jego słów studenci i profesorowie ocierali oczy i sięgali po chusteczki. McBee był heroldem książki, którą ignorowali wszyscy specjaliści z jego dziedziny. Wierzył głęboko, że w *Hypnerotomachii* kryje się coś szczególnego, i namawiał swoich studentów, by szukali jej prawdziwego znaczenia.

Jeden z nich oddał się tym poszukiwaniom z większym zapalem, niż McBee oczekiwał. Mój ojciec był synem księgarza z Ohio. Przybył do Princeton dzień po swoich osiemnastych urodzinach i niemal pięćdziesiąt lat po tym, jak dzięki F. Scottowi Fitzgeraldowi los chłopca ze Środkowego Zachodu studiującego w Princeton stał się modny. Od tamtych czasów wiele się jednak zmieniło. Uniwersytet starał się odciąć od przeszłości, kiedy to był rezerwatem ludzi z elity

społecznej i finansowej i zgodnie z duchem czasu odrzucał dawne tradycje. Ojciec należał do ostatniego rocznika studentów, którzy musieli obowiązkowo przychodzić na niedzielne nabożeństwo. Rok po tym, jak otrzymał dyplom, w kampusie pojawiły się pierwsze studentki. WPRB, uniwersytecka stacja radiowa, powitała je chorałem *Alleluja* Haendla. Ojciec lubił mówić, że ducha jego młodości najlepiej wyraził Immanuel Kant w eseju *Co to jest Oświecenie?* Kant, według niego, był w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku kimś w rodzaju Boba Dylana.

Tak postępował mój ojciec: nie zważał na linię w dziejach, za którą wszystko wydaje się pompatyczne i tajemnicze. Dla niego przedmiotem historii nie była chronologia i wielcy ludzie, lecz idee i książki. Postępował zgodnie z radą profesora McBee jeszcze przez dwa lata w Princeton, a później na Uniwersytecie Chicagowskim, gdzie obronił doktorat z włoskiego renesansu. Następnie skorzystał z rocznego stypendium, by pracować w Nowym Jorku, a gdy uniwersytet Ohio State zaproponował mu stałą posadę profesora historii Quattrocenta, ojciec skorzystał z okazji, by wrócić do domu. Matka, z wykształcenia księgowa, gustowała w dziełach Shelleya i Blake'a. Gdy dziadek przeszedł na emeryturę, przejęła po nim księgarnię, więc wychowałem się w zakonie bibliofilów, tak jak niektóre dzieci wychowywane są w duchu określonego wyznania.

Kiedy miałem cztery lata, zacząłem jeździć z matką na targi książek. W wieku sześciu lat potrafiłem odróżnić pergamin od welinu. Nim skończyłem dziesięć, miałem już w rękach kilka egzemplarzy

arcydzieła sztuki drukarskiej, *Biblii Gutenberga*. Nie pamiętam jednak okresu życia, w którym nie znałem księgi, stanowiącej biblię naszej niewielkiej sekty – *Hypnerotomachii*.

„To ostatnia wielka tajemnica renesansu, Thomasie – pouczał mnie ojciec tak, jak zapewne McBee pouczał jego. – Nikt nawet nie zbliżył się do jej rozwiązania”.

Miał rację, nikomu się to nie udało. Oczywiście dopiero kilkadziesiąt lat po opublikowaniu książki dostrzeżono, że jest jakaś tajemnica do wyświeślenia. Stało się to wtedy, gdy pewien uczony dokonał dziwnego odkrycia: otóż gdy połączymy pierwsze litery wszystkich rozdziałów, powstaje łaciński akrostych: *Poliam Frater Franciscus Columna Peramavit*, co oznacza „Brat Francesco Colonna ogromnie kochał Polię”. Ponieważ Polia to imię kobiety, której poszukuje Polifilo, uczeni w końcu zaczęli zastanawiać się, kim naprawdę był autor *Hypnerotomachii* – Na stronie tytułowej nie ma nazwiska autora, nie znał go również Aldus, drukarz, który wydał książkę. Jednak od tego odkrycia powszechnie przyjmowano, że był nim włoski zakonnik Francesco Colonna. Kilku zawodowych historyków, w znacznej mierze pod wpływem McBee, przyjęło również, że skoro istnieje akrostych, to z pewnością książka zawiera jeszcze inne tajemnice. Wspólnym celem tych uczonych stało się więc ich poznanie.

Tytułem do sławy, jaką mój ojciec zdobył w tym towarzystwie, był dokument, który znalazł latem, gdy miałem piętnaście lat. Na rok przed fatalnym wypadkiem samochodowym tata wziął mnie ze sobą

w podróż badawczą do pewnego klasztoru na południu Niemiec, a później do bibliotek Watykanu. Wynajęliśmy niewielkie mieszkanie z dwoma rozkładanymi łózkami i prehistoryczną wieżą stereofoniczną. Przez pięć tygodni, każdego ranka, z precyzją średniowiecznej kary, ojciec nastawiał kolejne arcydzieło Corellego i punktualnie o siódmej trzydzieści budził mnie przy dźwięku skrzypiec i harf, po czym przypominał, że badania nie mogą czekać.

Gdy wstawałem, ojciec golił się, prasował koszule albo liczył banknoty w portfelu. Zawsze przy tym nucił pod nosem melodię z płyty. Był niski i pedantycznie dbał o każdy szczegół swojej powierzchowności – starannie wyrywał siwe włosy z gęstej, brązowej czupryny, tak jak kwiaciarz usuwa zwiędłe płatki z kwiatów róży. Odznaczał się witalnością i radością życia, którą jego zdaniem przesłaniały kurze łapki pod oczami i zmarszczki intelektualisty na czole. Ilekroć moją wyobraźnię przygniatały niekończące się półki książek w bibliotekach, gdzie spędzaliśmy całe dni, ojciec szczerze mi współczuł. W porze lunchu zabierał mnie na ciastka i lody, późnymi popołudniami zwiedzaliśmy miasto. Pewnego wieczoru w Rzymie obeszliliśmy wszystkie znane miejskie fontanny. Przy każdej ojciec mówił, żebym wrzucił do wody pieniążek na szczęście.

– Jeden za Sarah i Kristen – powiedział przy Barcaccia. – Może to uleczy ich złamane serca.

Moje siostry przed naszym wyjazdem przeżyły dramatyczne rozstania. Ojciec, który nie przepadał za ich chłopakami, uważał to za zamaskowany uśmiech losu.

– Jeden za mamą – zaproponował przy Fontana del Tritone. – Za to, że ze mną wytrzyma.

Gdy uniwersytet odrzucił podanie ojca o sfinansowanie podróży, mama postanowiła nie zamykać księgarni na niedziele, by w ten sposób zarobić dodatkowe pieniądze na wyjazd.

– I jeden za nas – postanowił przy Quattro Fiumi. – Żebyśmy znaleźli to, czego szukamy.

Nie wiedziałem, czego naprawdę szukamy, dopóki przypadkiem tego nie znaleźliśmy. Wiedziałem tylko, że zdaniem ojca badania *Hypnerotomachii* utknęły w miejscu, głównie dlatego że wszyscy zajmowali się drzewami, natomiast nie dostrzegali lasu. Uderzając pięścią w stół w jadalni, tata grzmiał, że wszyscy, którzy się z nim nie zgadzają, chowają głowy w piasek. *Hypnerotomachia* jest książką zbyt trudną, by zrozumieć ją od środka, twierdził. Zamiast podejmować jałowe próby, należy szukać dokumentów, które wyjaśnią, kim był naprawdę autor i dlaczego ją napisał.

Prawdę mówiąc, swoimi stanowczymi opiniami ojciec naraził się wielu ludziom. Gdyby nie odkrycie, jakiego dokonał tego lata, mogłoby się zdarzyć, że jedynym źródłem utrzymania rodziny stałyby się dochody z księgarni. Jednak Pani Fortuna uśmiechnęła się do ojca niecały rok przed tym, jak odebrała mu życie.

Na drugim piętrze pewnej biblioteki w Watykanie, gdy staliśmy do siebie plecami w bocznej alejce półek, gdzie nie zaglądał nawet klasztorny woźny, ojciec znalazł wskazówkę, której poszukiwał przez całe życie. Był to list umieszczony między stronami grubej historii

pewnej rodziny, napisany dwa lata przed wydaniem *Hypnerotomachii* i skierowany do spowiednika lokalnego kościoła. Autor listu zrelacjonował w nim historię potomka arystokratycznej rzymskiej rodziny, zwanego Francesco Colonna.

Trudno opisać podniecenie ojca, gdy zobaczył to nazwisko. Nosił okulary w drucianej oprawce, które zsuwały mu się na czubek nosa, gdy długo czytał. Soczewki powiększały jego oczy co było dobrą miarą jego zaciekawienia. Większość ludzi zapamiętywała tylko tę jego cechę. Gdy ojciec pojał, co znalazł, w jego oczach skupiło się światło wszystkich lamp z bibliotecznej sali. List był napisany nieporadnym charakterem pisma, łamanym dialektem toskańskim, tak jakby autor nie znał dobrze tego języka lub nie był przyzwyczajony do pisania. W długich wywodach momentami nie zwracał się do nikogo konkretnego, kiedy indziej kierował swoje słowa do Boga. Najpierw przeprosił za to, że nie pisze ani po grecku, ani po łacinie, gdyż nie znał tych języków. Wreszcie poprosił o wybaczenie za to, co zrobił.

Wybacz mi, Ojcze Świąty, bo zabiłem dwóch ludzi. To moja własna ręka zadała śmiertelny cios, ale nie ja to zaplanowałem. Kazał mi to zrobić pan Francesco Colonna. Osądź nas obu zgodnie ze swym miłosierdziem.

Według opisu zawartego w liście, morderstwo było elementem tak złożonego planu, iż z pewnością nie wymyślił go człowiek tak prosty, jak autor listu. Dwaj zabici byli służącymi Colonna, których ten podejrzewał o zdradę. Na jego polecenie mieli wykonać niezwykle zadanie. Otrzymali list i musieli go dostarczyć do pewnego kościoła

za murami Rzymu, gdzie będzie na nich czekał trzeci mężczyzna. Pod karą śmierci dwaj posłańcy nie mogli zaglądać do listu, mieli go nie zgubić i nie dotykać ręką bez rękawiczki. Tak zaczęła się historia prostego rzymskiego murarza, który zabił posłańców w kościele św. Wawrzyńca za Murami.

Dokument, który mój ojciec i ja znaleźliśmy tego lata, stał się znany w kręgach naukowych jako „list o belladonie”, ojciec uważał, że odkrycie listu poprawi jego reputację wśród uczonych, i już po sześciu miesiącach opublikował niewielką książkę – *List o belladonie* – w której twierdził, że list ten ma związek z *Hypnerotomachią*. Zadeedykował ją mnie. Zdaniem ojca Francesco Colonna, autor *Hypnerotomachii*, nie był weneckim mnichem, jak sądziła większość profesorów, lecz rzymskim arystokratą wspomnianym w liście. By wzmocnić swoją tezę, ojciec sporządził dodatek do książki i wyliczył w nim wszystko, co było wiadomo o życiu weneckiego zakonnika, którego nazywał Pretendentem, oraz Colonna z Rzymu, tak, by czytelnicy mogli ich porównać. Ten dodatek wystarczył, by przekonać mnie i Paula.

Szczegóły są niezwykle wymowne. Zgodnie z tym, co pisał ojciec o klasztorze w Wenecji, gdzie żył fałszywy Francesco, trudno sobie wyobrazić, by mógł tam mieszkać pisarz i filozof. Nieustannie odbywały się tam orgie – grała muzyka, lało się wino i wszyscy oddawali się dzikiej rozpuście. Gdy papież Klemens VII spróbował utemperować braci zakonnych, odpowiedzieli mu, że prędzej przejdą na luteranizm, niż zaakceptują dyscyplinę. Nawet jak na takie

środowisko, życiorys Pretendenta brzmi niczym wyciąg z rejestru przestępstw. W roku 1477 został skazany na wygnanie za bliżej nieznane wykroczenia. Cztery lata później powrócił, znowu popełnił jakąś zbrodnię – tym razem niewiele brakowało, a pozbawiono by go habitu. W 1516 roku został oskarżony o gwałt, przyznał się i skazany został na dożywotnie wygnanie. Mimo to wrócił raz jeszcze, by znowu doczekać się wygnania, tym razem z powodu skandalu z jubilerem. Wreszcie Bóg się zmiłował i w roku 1527 Pretendent zmarł. Wenecki Francesco Colonna – złodziej, gwałcieciel i dominikanin – miał wówczas dziewięćdziesiąt trzy lata.

Natomiast rzymski Colonna wydawał się uosobieniem wszelkich cnót, jakie powinny cechować uczonego. Według ojca, wywodził się z wpływowej rodziny arystokratycznej, wychowywał się w najlepszym europejskim towarzystwie i kształcili go najwybitniejsi renesansowi intelektualiści. Wuj Francesca, Prospero Colonna, był nie tylko szanowanym mecenasem sztuki i kardynałem, lecz również znanym humanistą. Niewykluczone, że to on stał się pierwowzorem Prospera z *Burzy* Szekspira. Tego rodzaju związki – dowodził ojciec – umożliwiły pojedynczemu człowiekowi napisanie tak złożonej książki, jaką jest *Hypnerotomachia*, a z pewnością były konieczne, by zechciała ją wydać jedna z najbardziej znanych ówczesnych oficyn drukarskich.

Rozstrzygającym argumentem, przynajmniej dla mnie, była przynależność błękitnokrwistego Francesca do „akademii rzymskiej”, bractwa obrońców pogańskich ideałów rzymskiej republiki, o których

z takim podziwem pisze autor *Hypnerotomachii*. To również wyjaśniałoby, dlaczego w akrostychu Colonna napisał o sobie *fra*, czyli „brat”. Inni uczeni uznali to za dowód, iż Colonna był mnichem, ale tej formy używali również członkowie akademii.

Wywód ojca, który Paulowi i innie wydawał się tak jasny i przekonujący, wywołał poruszenie w światku uczonych. Tata zmarł, nim zdążył stawić czoło burzy w szklance wody, jaką spowodował swoją książką, lecz niewiele brakowało, a sprawa ta zakończyłaby się dla niego fatalnie. Niemal wszyscy koledzy skrytykowali jego pracę. Vincent Taft robił, co mógł, by ją oczernić. W tym czasie argumenty przemawiające za weneckim Colonna były tak powszechnie uznawane, że gdy w krótkim dodatku ojciec pominął jeden czy dwa, cała praca została zdyskredytowana. Zdaniem Tafta pomysł połączenia dwóch wątpliwych morderstw z jedną z najcenniejszych książek świata, był „niczym innym, jak tylko smutnym przykładem sensacyjnej autoreklamy”.

Ojciec, rzecz jasna, był zdruzgotany. Koledzy odrzucili najważniejszą część jego pracy, owoc poszukiwań, które prowadził od spotkania z profesorem McBee. Nigdy nie zdołałem zrozumieć, dlaczego jego odkrycie spowodowało tak gwałtowne reakcje. O ile wiem, jedynym entuzjastą *Listu o belladonnii* był Paul, który przeczytał książkę ojca tyle razy, że zapamiętał nawet dedykację. Gdy przyjechał do Princeton i stwierdził, że na liście studentów jego roku jest niejaki Tom Corelli Sullivan, natychmiast rozpoznał moje drugie imię i postanowił mnie znaleźć.

Jeśli Paul spodziewał się, że zobaczy młodszą kopię mojego ojca, z pewnością spotkało go rozczarowanie. Student pierwszego roku, którego poznał, lekko kulał i wydawał się zakłopotany swoim drugim imieniem, a co ważniejsze, zdobył się na rzecz niewyobrażalną – odrzucił *Hypnerotomachię* i stał się synem marnotrawnym rodziny, uznającej czytanie książek za religię. Wciąż odczuwałem konsekwencje wypadku samochodowego, ale prawdę mówiąc, jeszcze przed śmiercią ojca zacząłem tracić wiarę w książki. Stopniowo coraz lepiej zdawałem sobie sprawę, że odcytani ludzie uznają pewne niewypowiedziane założenie. Otóż łączy ich potajemne przekonanie, że znane nam życie jest jedynie niedoskonałym obrazem rzeczywistości, który tylko sztuka, niczym okulary do czytania, może odpowiednio skorygować. Uczni i intelektualiści, którzy odwiedzali ojca, sprawiali wrażenie, że mają żal do świata. Nie mogli w pełni pogodzić się z faktem, iż nasze życiorysy nie są tak dramatyczne, jak postacie literackie stworzone przez dobrych autorów. Tylko, gdy zdarza się perfekcyjny wypadek, świat staje się sceną. To zaś, najwyraźniej, było dla nich źródłem wielkiego niezadowolenia. Nikt nie ujął tego w ten sposób, ale zrozumiałem to, gdy koledzy i przyjaciele ojca – wszyscy z wyjątkiem Vincenta Tafta – odwiedzali mnie w szpitalu. Wszyscy wydawali się skrępowani z powodu swoich recenzji książki ojca i mamrotali kondolencje oraz eulogie, które ułożyli, siedząc w poczekalni. Pojąłem prawdę w chwili, gdy zwróciłem uwagę, że wszyscy przynosili mi książki.

– To bardzo mi pomogło, gdy zmarł mój ojciec – powiedział dziekan wydziału historii, kładąc *Siedmiopietrową górę* Mertona na tacy z jedzeniem stojącej na nocnym stoliku.

– Znalazłam pociechę w Audenie – zapewniła mnie doktorantka ojca. Przyniosła wydanie w miękkiej okładce z obciętym jednym rogiem, by usunąć cenę.

– Potrzebujesz czegoś, co doda ci energii, a nie tę pozbawioną życia gadaninę – szepnął kolega taty, gdy inni wyszli z pokoju.

Nawet go nie poznałem. Zostawił *Hrabiego Monte Christo*, którego już dawno przeczytałem. Mogłem się tylko zastanawiać, czy on naprawdę sądzi, że była to najlepsza chwila, by podsycać we mnie pragnienie zemsty.

Zdałem sobie wówczas sprawę, iż żaden z tych ludzi nie potrafi radzić sobie z rzeczywistością lepiej ode mnie. Śmierć ojca miała w sobie coś ohydnie ostatecznego, co było szyderstwem z praw rządzących ich życiem, zgodnie z którymi każdy fakt można ponownie zinterpretować, każde zakończenie podlega zmianie. Dickens przerobił *Wielkie nadzieje* tak, by Pip był szczęśliwy. Wypadku nie dawało się przerobić.

Kiedy poznałem Paula, byłem bardzo nieufny. Przez ostatnie dwa lata w szkole średniej narzucałem sobie pewne zmiany: gdy czułem ból w nodze, zmuszałem się do chodzenia, gdy instynkt podpowiadał mi, bym minął jakieś drzwi – do sali gimnastycznej, samochodu nowego znajomego, domu dziewczyny, którą zaczynałem

lubić – nakazywałem sobie zatrzymać się i zapukać, a czasami nawet wejść. Patrząc na Paula, widziałem jednak, kim mogłem się stać.

Paul był niski i blady, miał zawsze potargane włosy, wyglądał raczej jak chłopiec, a nie młody mężczyzna. Zapominał zawiązać sznurowadło, a książkę trzymał tak, jakby to była tarcza. Gdy się przedstawił, zacytował *Hypnerotomachię*. Poczulem wówczas, że już znam go lepiej, niż chciałbym. Paul znalazł mnie w kawiarni w pobliżu kampusu we wrześniu, gdy zbliżał się zachód słońca. Instynkt podpowiadał mi, bym tego wieczoru go zignorował, a później starannie unikał.

Nim jednak zdążyłem powiedzieć „dobranoc”, usłyszałem od Paula coś, co zmieniło moje nastawienie.

– W jakiś sposób – wyznał – czuję się tak, jakby on był również moim ojcem.

Nie powiedziałem mu jeszcze o wypadku, lecz on z pewnością nie powinien tego mówić.

– Nic o nim nie wiesz.

– Wiem. Mam wszystkie jego prace.

– Słuchaj...

– Znalazłem nawet jego dysertację...

– On nie jest książką. Nie możesz go przeczytać. Moje słowa do niego nie docierały.

– *Rzym Rafaela, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty, Ficino i ponowne narodziny Platona, tysiąc dziewięćset siedem*

dziesiąty dziewiąty, Ludzie z Santa Croce, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty.

Paul zaczął liczyć na palcach.

– *Hypnerotomachia Poliphili i Hieroglify* Horapolla, w „Renaissance Quaterly”, czerwiec tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy. *Lekarz Leonarda*, w „Journal of Medical History”, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty.

Paul recytował tytuły prac ojca w bezbłędnym chronologicznym porządku.

– *Producent bryczesów*, „Journal of Interdisciplinary History”, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy.

– Zapomniałeś o artykule w „BARS” – wtrąciłem. Chodziło o „Bulletin of American Renaissance Society”.

– To z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

– Z dziewięćdziesiątego pierwszego.

– Zaczęli przyjmować artykuły od autorów nienależących do towarzystwa dopiero w dziewięćdziesiątym drugim – Paul zmarszczył czoło. – Byliśmy wtedy w drugiej klasie szkoły średniej. Pamiętasz? To było jesienią.

Zapadła cisza. Paul wydawał się zmartwiony, że ja tego nie wiem.

– Może napisał to w dziewięćdziesiątym pierwszym – przyznał – a oni opublikowali rok później. Pewnie o to ci chodziło?

Kiwnąłem głową.

– A więc to tekst z dziewięćdziesiątego pierwszego. Miałeś rację. – Pokazał mi książkę, którą miał przy sobie. – A później to.

Pierwsze wydanie *Listu o belladonie*.

– To, jak dotychczas, najlepsza jego praca – orzekł. Sposób w jaki trzymał książkę, zdradzał wielki szacunek. – Byłeś świadkiem, jak znalazł ten dokument? *List o Colonnii*?

– Tak.

– Chciałbym to zobaczyć. To musiało być wspaniałe.

Wyjrzałem przez okno nad jego ramieniem. Liście na drzewach były już czerwone. Zaczął padać deszcz.

– Było – odrzekłem krótko.

– Miałeś szczęście – dorzucił Paul, kręcąc głową. Delikatnie przekartkował książkę.

– Ojciec zmarł dwa lata temu – poinformowałem go. – Mieliśmy wypadek samochodowy.

– Co takiego?

– Zmarł wkrótce po napisaniu tej książki.

Na szybie pojawiła się para. Jakiś człowiek szedł ulicą, trzymając nad głową gazetę zamiast parasola.

– Ktoś na was wjechał?

– Nie. Ojciec stracił kontrolę nad kierownicą.

Paul pogłaskał palcami obwolutę, ozdobioną emblematem przedstawiającym delfina oplecionego wokół kotwicy. To sygnet wydawnictwa Aldine Press z Wenecji.

– Nie wiedziałem... – wymamrotał.

– W porządku.

Zapadła najdłuższa cisza w historii naszych rozmów.

– Mój ojciec zmarł, gdy miałem cztery lata – odezwał się wreszcie Paul. – Zawał serca.

– Przykro mi.

– Dziękuję.

– A co robi twoja matka? Paul znalazł zmarszczkę na obwolucie i zaczął wygładzać ją palcami.

– Zmarła rok później. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wykrztusić słów, które sam słyszałem tyle razy.

– Jestem jak Oliver. – Paul spróbował się uśmiechnąć.

Złożył dłonie tak, by utworzyły miseczkę. – *Proszę pana, chcę jeszcze trochę.*

Zdobyłem się na śmiech, choć nie miałem pewności, czy oczekiwał takiej reakcji.

– Chciałem tylko, żebyś wiedział, o co mi chodziło – powiedział. – O twoim ojcu...

– Rozumiem.

– Powiedziałem to tylko dlatego że...

Za oknem parasole kiwały się jak skrzyplócze w falach przyływu. W kawiarni zrobiło się głośniejsze. Paul zaczął mówić, najwyraźniej próbując naprawić sytuację. Opowiedział mi, jak po śmierci rodziców wychowywał się w internacie dla sierot i dzieci, które uciekły z domu, przy szkole parafialnej. Lata w szkole średniej spędził w towarzystwie książek, natomiast po przyjeździe na

uniwersytet postanowił, że zmieni swoje życie. Szukał przyjaciół, z którymi mógłby rozmawiać. Wreszcie zamilkł. Wydawał się zakłopotany, jakby wyczuwał, że zabił rozmowę.

– Gdzie mieszkasz? – spytałem, bo dobrze rozumiałem, jak się czuje.

– W Holder. Tak jak ty.

Wyciągnął biuletyn z listą studentów pierwszego roku i otworzył na zaznaczonej stronie.

– Długo mnie szukałeś? – spytałem.

– Przed chwilą zauważyłem twoje nazwisko.

Wyjrzałem przez okno. Za szybą widać było jeden czerwony parasol. Zatrzymał się przed oknem kawiarni i przez chwilę wisiał nieruchomo, po czym ruszył dalej.

– Napijesz się jeszcze kawy? – spytałem Paula.

– Tak, bardzo dziękuję. I tak to się zaczęło.

To dziwna rzecz, budować zamek na lodzie. Nasza przyjaźń powstała z nicości, ponieważ nicość była sednem tego, co nas łączyło. Po tym pierwszym spotkaniu rozmowy z Paulem wydawały mi się coraz bardziej naturalne. Wkrótce zacząłem nawet podobnie jak on myśleć o ojcu: być może on również był czymś, co nas łączyło.

– Wiesz, co on często powtarzał? – spytałem kiedyś Paula, gdy siedzieliśmy u niego w pokoju i rozmawialiśmy o wypadku.

– Co takiego?

– „Silni wygrywają ze słabymi, inteligentni z silnymi”. Paul uśmiechnął się.

– To było powiedzonko trenera koszykówki z Princeton – dodałem. – Kiedy byłem w pierwszej klasie szkoły średniej, chciałem grać w drużynie koszykówki. Ojciec każdego dnia przyjeżdżał, żeby po treningu odwiedzić mnie do domu. Gdy narzekałem, że jestem dużo niższy od pozostałych, mówił: „To nie ma znaczenia, jacy są wysocy, Tom. Pamiętaj, silni wygrywają ze słabymi, inteligentni z silnymi”. Zawsze to samo – pokręciłem głową. – Boże, jak ja miałem tego dość.

– Myślisz, że to prawda?

– Że inteligentni wygrywają z silnymi?

– Tak.

– Nigdy nie widziałeś, jak gram w koszykówkę. – Parsknąłem śmiechem.

– Ja w to wierzę. Nie mam wątpliwości.

– Chyba żartujesz...

Paul był częściej terroryzowany przez szkolnych osiłków niż ktokolwiek, kogo znałem.

– Nie. Wcale nie. – Paul uniósł ręce. – Przecież jesteśmy tu, prawda? Paul lekko, bardzo lekko zaakcentował słowo „jesteśmy”. Spojrzałem w milczeniu na trzy książki na jego biurku. *Strunk i White**, *Biblia* i *List o belladonnie*. Princeton było dla niego areną nieba. Mógł zapomnieć o całym świecie.

* Popularny poradnik poprawnego pisania po angielsku

Rozdział 5

Paul, Gil i ja idziemy z Holder Hall na południe, w głąb kampusu. Po wschodniej stronie widać, jak ostre światło z wysokich, wąskich okien biblioteki Firestone przebija wirujące chmury śniegu. W ciemnościach biblioteka wygląda jak starożytny piec; kamienne ściany izolują zewnętrzny świat od gorącej atmosfery nauki. Kiedyś przyśniło mi się, że przyszedłem do Firestone w środku nocy i zastałem tam pełno owadów, tysiące moli książkowych w maleńkich okularach i szlafmycach, których magicznym źródłem pokarmu było czytanie. Biegały ze strony na stronę, podróżowały przez słowa, a w miarę jak rosło napięcie, kochankowie całowali się, a łajdaków spotykała zasłużona kara, ich ogonki zaczynały promieniować i w końcu cała biblioteka wyglądała jak kościół, wypełniony chwiejącymi się łagodnie płomykami świec.

– Bill czeka na mnie w bibliotece – mówi Paul i zatrzymuje się.

– Chcesz, żebyśmy poszli z tobą? – pyta Gil.

– Nie, to niepotrzebne. – Paul kręci głową, ale słyszę w jego głosie pewne wahanie.

– Ja pójdę – mówię.

– Spotkamy się u nas – decyduje Gil. – Wróćcie tak, żebyśmy zdążyli na wykład Tafta o dziewiątej?

– Tak – zapewnia Paul. – Oczywiście.

Gil macha nam ręką i odchodzi. Paul i ja idziemy do Firestone.

Gdy zostaliśmy sami, zdaję sobie sprawę, że obaj nie wiemy, co powiedzieć. Od naszej ostatniej prawdziwej rozmowy minęło wiele dni. Niczym dwaj bracia, którzy nawzajem nie aprobują swoich żon, nie możemy rozmawiać nawet o drobiazgach, nie potykając się o sporne kwestie. On uważa, że rzuciłem *Hypnerotomachię*, by mieć czas dla Katie, ja sądzę, że on poświęca na rzecz tej książki więcej, niż zdaje sobie sprawę.

– Czego chce Bill? – pytam, gdy zbliżamy się do głównego wejścia.

– Nie wiem. Nie powiedział.

– Gdzie się umówiliście?

– W Sali Rzadkich Ksiąg.

Tam znajduje się uniwersytecki egzemplarz *Hypnerotomachii*.

– Myślę, że znalazł coś ważnego.

– Co by to mogło być?

– Nie wiem. – Paul się waha, jakby szukał właściwych słów. – Ta książka to coś więcej, niż dotychczas sądziliśmy. Jestem tego pewny. Bill i ja uważamy, że jesteśmy blisko ważnego odkrycia.

Od kiedy po raz ostatni widziałem Billa Steina, minęło kilka tygodni. Stein już od sześciu lat korzystał z dobrodziejstw studium doktoranckiego i powoli przygotowywał rozprawę o technice druku w czasach renesansu. Początkowo zamierzał zostać bibliotekarzem, ale później górę wzięła ambicja: postanowił zdobyć stałą posadę uniwersytecką, zrobić karierę – tak właśnie obsesja na punkcie służenia książkom zmienia się w pragnienie, by książki służyły nam.

Ileć spotykam go poza biblioteką, mam wrażenie, że widzę ducha. Stein wygląda jak worek wypełniony kośćmi, ma blade oczy i dziwne, kręjące? rude włosy w połowie Żyda, a w połowie Irlandczyka. Pachnie bibliotecznym kurzem, książkami, o których wszyscy no zapomnieli. Po rozmowie z nim mam czasami koszmar, że Uniwersytet Chicagowski okupuje armia indywiduów podobnych do Steina, doktorantów pracujących z mechanicznym uporem i energią jakiej sam nigdy nie miałem, którzy będą mnie przeszywali metalicznymi oczami.

Paul jest innego zdania. Według niego, choć Bill jest imponujący, ma jeden intelektualny feler: brakuje mu iskry. Pełnie przez bibliotekę jak pajak na strychu, zjada martwe książki i przerabia je na nici. Jego praca jest zawsze mechaniczna i pozbawiona wyobraźni, podporządkowana sztywnym regułom, których nie potrafi zmienić.

– Tędy? – upewniam się.

Paul prowadzi mnie korytarzem. Sala Rzadkich Ksiąg znajduje się w rogu biblioteki, łatwo ją przeoczyć. Wewnątrz, gdzie najnowsze książki liczą wieki, skala lat staje się rzeczą względną. Studenci filologii są tu przyprowadzani jak dzieci na wycieczkę, przed wejściem bibliotekarka konfiskuje im ołówki i długopisy i sprawdza, czy mają czyste ręce. Zdarza się, że bibliotekarki upominają profesorów, by oglądali książki oczami, a nie palcami. Emerytowani profesorowie znów czują się młodo.

– Już powinno być zamknięte – mruczy Paul, spoglądając na zegarek. – Widocznie Bill namówił panią Lockhart, by jeszcze nie zamykała.

Jesteśmy w świecie Steina. Pani Lockhart od niepamiętnych czasów sprawująca tutaj władzę, zapewne bawiła się w piaskownicy z żoną Gutenberga. Ma gładką białą skórę, naciągniętą na lekkim szkielecie, dostosowanym do latania między półkami. Przez większą część dnia można słyszeć, jak mamrocze coś w martwych językach do otaczających ją tomów, niczym człowiek wypychający zwierzęta do swych ulubieńców. Mijamy jej biurko, unikając kontaktu wzrokowego, podpisujemy się w rejestrze długopisem przymocowanym łańcuszkiem do blatu.

– Jest tutaj – informuje pani Lockhart Paula. Mnie zaszczyca jedynie przelotnym spojrzeniem.

Przechodzimy wąskim korytarzem do drzwi, za którymi nigdy nie byłem. Paul puka dwukrotnie i czeka na odpowiedź.

– Pani Lockhart? – słyszymy wysoki, załamujący się głos.

– To ja – odpowiada Paul.

Słychać szczeł zamka i drzwi się otwierają. Przed nami stoi Bill Stein, jest o głowę wyższy od Paula i ode mnie. Od razu zwracam uwagę na jego przekrwione oczy. On od razu zwraca uwagę na mnie.

– Tom przyszedł z tobą – stwierdza, drapiąc się po brodzie. – No dobra, w porządku.

Bill mówi skrótami, jakby brakowało jakiegoś ogniwa łańcucha łączącego jego usta z mózgiem. To wrażenie jest jednak błędne. Już po kilku minutach rozmowy można dostrzec przebłyski inteligencji.

– To był ciężki dzień – mówi, wprowadzając nas do pokoju. – Ciężki tydzień. Nic takiego. Nic mi nie jest.

– Dlaczego nie mogliśmy porozmawiać przez telefon? – pyta Paul.

Stein otwiera usta, ale nie odpowiada. Teraz dłubie między przednimi zębami. Rozpina kurtkę, po czym odwraca się w stronę Paula.

– Czy ktoś wypożyczał twoje książki?

– Co takiego?

– Ktoś wypożyczał moje.

– Bill, to się zdarza.

– Pracę Williama Caxtona? Mikrofilm Aldusa?

– Caxton to ważna postać – zauważa Paul.

Nigdy w życiu nie słyszałem o Williamie Caxtonie.

– Pracę o Caxtonie z tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego roku? Jest przechowywana w Aneksie Forrestala. I *Listy świętej Katarzyny Aldusa*... – Urywa i zwraca się do mnie: – Ale jest to, wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu, pierwszy przypadek użycia kursywy... – Znow spogląda na Paula. – za tobą i mną ten mikrofilm po raz ostami oglądał ktoś w latach siedemdziesiątych. W siedemdziesiątym pierwszym lub drugim. Ktoś zarezerwował go

wczoraj. Czy tobie też się to przydarzyło? Rozmawiałeś z wypożyczalnią?

– Z wypożyczalnią? Rozmawiałem z Rhodą Carter. Nic nie wiedzą. Rhoda Carter to dyrektorka Firestone. To ona tu rządzi.

– No, nie wiem – mruczy Paul, starając się nie podkreślać Billa.
– To prawdopodobnie nie ma znaczenia. Nie przejmowałbym się tym.

– Nie przejmuję się. Ale jest jeszcze jedna sprawa. – Bill idzie w przeciwny kąt, gdzie między ścianą a stołem jest tak mało miejsca, że trudno sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby tamtędy przejść. On przeciska się bezszelestnie i klepie się po kieszeni starej skórzanej kurtki. – Ktoś do mnie wydzwania. Podnoszę... trzask. Podnoszę... trzask. Najpierw w domu, teraz w pracowni. – Kręci głową. – Nieważne. Przejdźmy do rzeczy. Znalazłem coś – mówi i nerwowo zerka na Paula. – Może to to, czego potrzebujesz, może nie. Nie wiem. Myślę jednak, że to pomoże ci skończyć.

Bill wyciąga z kieszeni kurtki przedmiot wielkości cegły, owinięty kilka razy materiałem. Kładzie go na stole i zaczyna ostrożnie rozpakowywać. Już wcześniej zauważyłem dziwną cechę Steina: gdy nie trzyma książki, trzęsą mu się ręce. To samo widać teraz. W miarę jak rozwija materiał, jego ruchy stają się coraz pewniejsze. Wreszcie odsłania zniszczony tom, liczący na oko sto stron. Czuć jakiś słony zapach.

– Z której to kolekcji? – pytam, bo na grzbiecie nie ma tytułu.

– Z żadnej – odpowiada Bill. – Z Nowego Jorku. Z antykwariatu. Sam znalazłem.

Paul milczy. Powoli wyciąga rękę w stronę książki. Skórzana okładka jest prymitywna i popękana, zszyta rzemykiem. Strony ręcznie cięte. Pewnie wydanie z zachodu, z czasów osadnictwa. A może należała do jakiegoś osadnika?

– Musi mieć ze sto lat – mówię, gdy Stein nie podaje żadnych szczegółów. – Nawet sto pięćdziesiąt.

Na twarzy Steina pojawia się grymas irytacji, jakby pies narobił mu na dywan.

– Błąd. Błąd. Pięćset lat.

Uprzytomniam sobie, że to ja jestem tym psem. Skupiam się na książce.

– Z Genui – ciągnie Bill, zwracając się do Paula. – Powąchaj ją.

Paul milczy. Wyciąga z kieszeni tępy ołówek, odwraca go i delikatnie otwiera książkę, posługując się miękką gumką na końcu. Bill zaznaczył którąś stronę jedwabną wstążką.

– Uważaj – denerwuje się Bill i rozkłada ręce nad książką. Ma paznokcie obgryzione do żywego mięsa. – Nie zostaw śladów. Wypożyczyłem ją – mówi z wahaniem. – Kiedy skończę, muszę ją zwrócić.

– Kto ją miał? – pyta Paul.

– Księgarnia Argosy. Nowy Jork – powtarza Bill. – To chyba to, czego potrzebowałeś, prawda? Teraz możemy skończyć.

Paul najwyraźniej nie zwraca uwagi na zmianę zaimków w wypowiedziach Steina.

– Co to za książka? – pytam bardziej stanowczo.

– To dziennik kapitana portu w Genui – wyjaśnia Paul spokojnie, nie odrywając oczu od kolejnych stron.

– Dziennik Richarda Curry’ego? – pytam zdumiony.

Paul przytakuje. Curry badał ten stary rękopis z Genui trzydzieści lat temu, gdy twierdził, że dzięki niemu odkryje tajemnicę *Hypnerotomachii*. Niedługo po tym, jak powiedział o książce Taftowi, została ona wykradziona z jego mieszkania. Curry twierdził, że złodziejem był Taft. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, Paul i ja przyjęliśmy od początku, że książka zaginęła. Podjęliśmy pracę bez niej. Teraz, gdy Paul kończy pisać rozprawę, dziennik kapitana portu może okazać się bezcenną pomocą.

– Richard powiedział mi, że są w nim wzmianki o Francescu Colonne – mówi Paul. – Francesco czekał na statek, który miał zawinąć do portu. Kapitan każdego dnia robił notatki na temat jego i jego ludzi. Pisał, gdzie się zatrzymali, co robili.

– Możesz ją wziąć na jeden dzień – przerywa mu Bill. – Wstaje i rusza do drzwi. – Jeśli musisz, zrób kopię. Odręczną. Jeśli to pomoże ci skończyć. Muszę ją dostać z powrotem.

– Wychodzisz? – Paul odrywa się od woluminu.

– Muszę iść.

– Spotkamy się na wykładzie Vincenta?

– Na wykładzie? – Stein zatrzymuje się w progu. – Nie. Nie mogę przyjść.

Jego chaotyczne ruchy działają mi na nerwy.

– Będę w pracowni – mówi Bill, zrzucając na szyję szalik w szkocką kratę. – Pamiętaj, musisz mi ją oddać.

– Oczywiście – zapewnia go Paul, przysuwając do siebie książkę. – Przeczytam ją w nocy i zrobię notatki.

– Nie mów nic Taftowi – dodaje Stein, zapinając suwak kurtki. – Tylko my o tym wiemy.

– Oddam ci ją jutro – obiecuje Paul. – Mam czas do północy.

– Zatem do jutra – żegna się Stein, przerzuca koniec szalika przez ramię i wyslizguje się przez szparę w drzwiach. Zawsze wychodzi tak nagle, co wydaje się nieco dramatyczne. Po kilku krokach mija posterunek pani Lockhart i znika. Stara bibliotekarka kładzie wychudzoną dłoń na poszarpanym tomie Wiktora Hugo, jakby pieściła kark starego przyjaciela.

– Do widzenia, pani Lockhart. – słychać jeszcze głos Steina.

– To naprawdę dziennik kapitana portu? – pytam po wyjściu Billa.

– Posłuchaj tylko – odpowiada Paul.

Paul znowu skupia się na książce i zaczyna głośno czytać. Początkowo przekład idzie mu kulawo, ma problemy z liguryjskim dialektem, językiem Genui z czasów Kolumba, zmieszany z francuskimi słowami. Stopniowo się rozkręca.

Ostatniej nocy była burza... Jeden statek rozbił się na brzegu. Wyrzuciło kilka rekinów, jednego bardzo dużego. Francuscy

marynarze chodzą do burdeli. Widziano w pobliżu mauretański statek... może to korsarz!

Paul przewraca kilka kartek, wybiera fragmenty na chybił trafił.

Piękny dzień. Maria wraca do zdrowia. Doktor twierdzi, że jej mocz się poprawił. Kosztowny szarlatan! Zielarz... twierdzi, że wyleczyłby ją dwa razy taniej i dwa razy szybciej! Paul na chwilę przerywa i wpatruje się w książkę. Łajno nietoperzy – kontynuuje – leczy wszystkie dolegliwości.

– Co to ma wspólnego z *Hypnerotomachią*! – przerywam mu, lecz Paul nadal kartkuje dziennik kapitana.

Wczoraj wieczorem wenecki kapitan wypił za dużo i zaczął się przechwalać. Nasza słabość pod Fornovo. Porażka pod Portofino. Ludzie zaciągnęli go do stoczni... i powiesili na maszcie. Wisiał tam jeszcze dziś rano.

Nim powtórzyłem pytanie, oczy Paula wyraźnie się rozszerzyły.

Wczoraj wieczorem przyszedł ten sam człowiek z Rzymu – czyta. – Ubrany niczym księżę. Nikt nie wie, co tu robi. Po co przyjechał? Pytałem innych. Ci, którzy coś wiedzą, nie chcą powiedzieć. Według plotek, do portu ma przy płynąć jego statek. Przyjechał dopilnować, żeby nic nie stało się z ładunkiem.

Prostuję się na krześle. Paul przewraca stroną i czyta dalej:

Cóż może być tak ważnego, że taki człowiek przyjechał, by tego przypilnować? Co to za ładunek? Kobiety, twierdzi ten pijak Barbo. Tureckie niewolnice, harem. Widziałem jednak tego człowieka; służący nazywają go „pan Colonna”, przyjaciele „brat Colona”. To

ktoś dobrze urodzony. Widziałem też, co kryje się w jego oczach. To lęk, nie zaś pożądanie. Patrzy jak wilk, który zobaczył tygrysa.

Paul milknie i wpatruje się w ostatnie zdanie. Curry powtarzał mu je wielokrotnie. Nawet ja je zapamiętałem. *Wilk, który zobaczył tygrysa.*

Paul zatrząskuje książkę, która wygląda teraz jak wielkie czarne ziarno w łupinie z materiału. W powietrzu czuć zapach soli.

– Chłopcy, czas na was – nie wiadomo skąd dobiegł kobiecy głos.

– Już idziemy, pani Lockhart – odpowiada Paul i zaczyna starannie owijać dziennik kapitana. Co teraz? – pytam.

– Musimy pokazać ją Richardowi – postanawia Paul, chowając paczkę pod koszulą od Katie.

– Jeszcze dziś?

Gdy wychodzimy, pani Lockhart coś mamrocze, ale nie podnosi głowy.

– Richard musi się dowiedzieć, że Bill znalazł rękopis – mówi Paul i spogląda na zegarek.

– Gdzie on jest?

– W muzeum. Dziś wieczorem jest jakaś impreza dla rady nadzorczej muzeum.

Waham się. Sądziłem, że Richard poszedł do miasta, by świętować z okazji zakończenia przez Paula pracy nad dysertacją.

– Umówiliśmy się na jutro – wyjaśnia Paul, trafnie odczytując moje myśli.

Spod jego koszuli wystaje róg książki, kawałek czarnej skóry w bandażu z materiału. Nad głowami rozlega się jakiś głos, brzmi niemal jak śmiech.

Weh! Steck ich in dem Kerker noch?

Verfluchtes dumpfes Mauerloch,

Wo selbst das Hebe Himmelslicht

*Trüb dur eh gemalte Scheiben bricht!**

– Goethe – wyjaśnia Paul. – Pani Lockhart zawsze kończy cytatem z Fausta.

– Dobranoc, pani Lockhart! – wykrzykuje z ręką na klamce.

– Tak – odpowiada starsza pani. – Dobranoc.

* *Weh! Steck ich in...* (niem.)

Zawsze więc, zawsze to więzienie?

Ten loch zatechły, ścian kamienie:

Tu światło nieba zda się samo

W barwistych szybkach szarą plamą!

Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, przekład Adam Pomorski, Świat Książki 1999

Rozdział 6

Z tego, czego zdołałem dowiedzieć się od ojca i Paula, Vincent Taft i Richard Curry poznali się w Nowym Jorku, gdy mieli dwadzieścia parę lat. Pewnego wieczoru obaj pojawili się na przyjęciu na Górnym Manhattanie. Taft był młodym profesorem uniwersytetu Columbia, szczuplejszą wersją człowieka, jakiego znałem, ale miał taki sam gwałtowny temperament i był tak samo agresywny. W ciągu osiemnastu miesięcy od zrobienia doktoratu napisał dwie książki i stał się pieszczochem krytyków, modnym intelektualistą, obracającym się w wyższych sferach. Natomiast Curry, zwolniony ze służby wojskowej z powodu szmerów w sercu, dopiero zaczynał karierę w świecie sztuki. Według Paula Curry nawiązywał właściwe znajomości i powoli umacniał swoją reputację na modnej scenie Manhattanu.

Do bezpośredniego spotkania doszło pod koniec przyjęcia, gdy Taft, mocno wstawiony, wylał koktajl na stojącego obok atletycznie zbudowanego mężczyznę. Według Paula był to typowy wypadek, ponieważ w tym okresie Taft wykazywał skłonności do picia. Curry zachowywał spokój, dopóki nie zorientował się, że Taft nie zamierza go przeprosić. Ruszył za nim do drzwi i zażądał satysfakcji, ale Taft, z trudem idąc do windy, nie zwrócił na niego uwagi. Kiedy zjeżdżali dziesięć pięter w dół, rozmowę podtrzymywał głównie Taft, zasypując młodego, przystojnego przeciwnika lawiną obelg. Gdy wytoczył się

na ulicę, wykrzyknął jeszcze, że Curry jest biedny, bez słońca, zwierzęcy i krótki.

Łatwo zgadnąć, że Taft bardzo się zdziwił na widok uśmiechu na twarzy oponenta.

– *Lewiatan* – powiedział Curry, który podczas studiów w Princeton napisał rozprawę o Hobbesie. – Zapomniał pan samotny. Życie człowieka jest *samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie**.

– Niczego nie zapomniałem – odparł, krzywiąc się, Taft, oparty o latarnię. – Zarezerwowałem słowo „samotny” dla siebie. Natomiast określenia *biedny, bez słońca, zwierzęcy i krótki* pasują do pana.

Zgodnie z relacją Paula, Curry wezwał taksówkę, wsadził do niej Tafta, po czym zawiózł do swojego mieszkania, gdzie ten spędził następne dwanaście godzin w stanie głębokiego otepienia.

Kiedy się obudził, zdezorientowany i zakłopotany, dwaj panowie z trudem nawiązali rozmowę. Opowiedzieli sobie, czym się zajmują zawodowo, a gdy już się wydawało, że okoliczności uniemożliwią nawiązanie znajomości, Curry w przypiływie natchnienia wspomniał o *Hypnerotomachii*, książce, którą studiował pod kierunkiem popularnego profesora z Princeton, doktora McBee.

Mogę sobie jedynie wyobrazić reakcję Tafta. Nie tylko dowiedział się o tajemnicy otaczającej tę książkę, ale z pewnością dostrzegł również błysk w oczach Curry’ego, gdy o niej wspomniał. Według mojego ojca Taft i Curry zaczęli rozmawiać o swojej sytuacji życiowej i szybko doszli do wniosku, że mają wiele wspólnego. Taft

* Thomas Hobbes *Lewiatan*, przekład C. Znamierowski, Warszawa 1954

gardził innymi uczonymi, których prace uważał za banalne, natomiast Curry sądził, że jego koledzy to ludzie z papieru, nudni i jednowymiarowi. Obaj uważali, że inni nie są pełnokrwistymi postaciami, mającymi wyraźnie określony cel. To być może wyjaśnia wysiłek, jaki podjęli, by pokonać dzielące ich różnice.

Różnice istniały, i to niemałe. Taft był człowiekiem o gwałtownym usposobieniu, którego trudno było poznać i jeszcze trudniej polubić. Dużo pił, zarówno w towarzystwie, jak i do lustra. Odznaczał się bezlitosną inteligencją, przypominającą pożar, nad którym on sam nie panował. Potrafił w czasie jednego posiedzenia przeczytać książkę, znaleźć błędy w argumentacji, luki w dowodach i pomyłki w interpretacji nawet w dziedzinie dalekiej od jego własnych badań. Paul powiedział, że Taft nie miał destruktywnej osobowości, a jedynie destruktywny umysł. Pożar rozszerzał się, im więcej Taft dostarczał mu materiału, aż wreszcie nie zostało nic. Gdy już spalił wszystko na swojej drodze, nieuchronnie zwrócił się przeciw sobie.

Natomiast Curry był twórcą, nie zaś burzycielem, człowiekiem rozważającym możliwości, nie fakty. Cytując myśl Michała Anioła, mógłby powiedzieć, że życie jest podobne do rzeźby: chodzi o dostrzeżenie rzeczy niewidocznych dla innych i usunięcie wszystkiego, co zbędne. Dla niego stara książka była kamiennym blokiem, czekającym na rzeźbiarza. Jeśli przez pięćset lat nikt jej nie zrozumiał, to najwyraźniej przyszła pora, by spojrzeć na nią w inny sposób, wziąć ją w swoje ręce i odesłać w diabły całą przeszłość.

Mimo tych różnic Curry i Taft wkrótce znaleźli wspólny grunt. Oprócz starej książki, łączyło ich przywiązanie do abstrakcji. Wierzyli w pojęcie wielkości – wielkości ducha, przeznaczenia, celu. Niczym dwa zwierciadła ustawione naprzeciwko siebie, w których widać zwielokrotniony obraz każdego z nich, Taft i Curry po raz pierwszy zobaczyli siebie naprawdę, i to w powiększeniu. Przyjaźń ta miała dziwne, lecz przewidywalne konsekwencje: obaj stali się jeszcze bardziej samotni, niż byli przedtem. Bogaty świat społeczny każdego z nich – koledzy, przyjaciele ze studiów, matki, siostry i dawne kochanki – wszyscy odeszli w ciemności za sceną, na której pozostała jedna plama światła z reflektora. Oczywiście obaj zrobili karierę zawodową. Taft wkrótce stał się znanym historykiem, a Curry otworzył galerię sztuki, która przyniosła mu sławę.

Szaleństwo wielkich ludzi wymaga nadzoru. Ci dwaj wiedli niewolnicze życie. Ulgę przynosiły im tylko sobotnie spotkania u jednego lub drugiego albo w jakiejś pustej restauracji, w czasie których wspólny przedmiot zainteresowania stawał się dla nich również źródłem rozrywki – była nim *Hypnerotomachia*.

Zimą tego roku Curry w końcu przedstawił Tafta jednemu ze swych przyjaciół, z którym nigdy nie zerwał kontaktu. Poznał go wiele lat wcześniej na wykładach profesora McBee w Princeton. On również pasjonował się *Hypnerotomachią*.

Trudno mi sobie wyobrazić ojca w tamtych czasach. Człowiek, jakiego mam przed oczami, jest już żonaty, zaznacza na ścianie gabinetu wzrost swoich dzieci i martwi się, kiedy jego jedyny syn

zacznie wreszcie rosnać, oraz zajmuje się starymi książkami w martwych językach, podczas gdy wokół niego świat pędzi naprzód. To jednak jest wersja, jaką mu narzuciliśmy – matka, siostry i ja. Curry znał kogoś innego. Mój ojciec, Patrick Sullivan, był jego najbliższym przyjacielem w Princeton. Ci dwaj uważali się za królów kampusu. Wyobrażam sobie, że łączył ich taki rodzaj przyjaźni, iż opinia ta była uzasadniona. Ojciec przez jeden sezon należał do drużyny koszykówki, ale przez cały czas siedział na ławce rezerwowych. Curry, kapitan drużyny piłkarskiej wagi lekkiej, wciągnął go na boisko, gdzie ojciec radził sobie lepiej, niż się spodziewano. Po wakacjach zamieszkali w jednym pokoju, wspólnie jadali niemal wszystkie posiłki, a na trzecim roku chodzili nawet z dwiema bliźniaczkami z Vassar – Molly i Marthą Roberts. Ten związek, który ojciec określił jako halucynację w sali luster, zakończył się wiosną, gdy dwie siostry przyszły na zabawę w identycznych sukienkach, a Curry i ojciec, którzy za dużo wypili i za mało uważali, pomylili swoje dziewczyny.

Muszę uznać, że Curry mógł się przyjaźnić z ojcem i Vincentem Taftem, ponieważ był człowiekiem o wielostronnej osobowości. Spokojny, katolicki chłopak ze Środkowego Zachodu i agresywny, energiczny nowojorczyk byli całkowicie odmiennymi zwierzętami i z pewnością wyczuli to od pierwszego uścisku dłoni, gdy ręka ojca znikła w mięsistej, rzeźnickiej łapie Tafta.

Z nich trzech to Taft był człowiekiem o najbardziej ponurej umysłowości. Najbardziej fascynowały go krwawe i tajemnicze

fragmenty *Hypnerotomachii*. Opracował nawet system interpretacyjny, który miał umożliwić zrozumienie znaczenia ofiar w tej historii – zabijania zwierząt, śmierci bohaterów. Chodziło mu o przypisanie sensu okrucieństwu. Żmudnie analizował rozmiary budynków wspomnianych w książce, manipulował nimi, szukając numerologicznych regularności, porównywał je z astrologicznymi tabelami i kalendarzami z czasów Colonny, mając nadzieję, że znajdzie zbieżności. Z jego punktu widzenia, należało przypuścić frontalny atak, stoczyć intelektualną walkę z autorem i go pokonać. Według ojca Taft zawsze wierzył, że któregoś dnia przechytry Francesca Colonnę. Ten dzień, o ile nam wiadomo, nigdy nie nadszedł.

Mój ojciec był zwolennikiem całkowicie odmiennego podejścia. W *Hypnerotomachii* szczególnie fascynowała go seksualna szczerłość. W bardziej pruderyjnych wiekach rysunki w dziele Colonny cenzurowano, zacerniano lub całkowicie usuwano, podobnie jak wielu nagim postaciom z renesansowych obrazów dodawano figowe listki, by nie obrażały dobrego smaku i poczucia skromności, które właśnie zapanowało. W przypadku Michała Anioła można krzyczeć z oburzenia, ale niektóre drzeworyty z *Hypnerotomachii* nawet dziś wydają się szokujące.

Parady nagich kobiet i mężczyzn to tylko początek. Polifilo idzie za grupą nimf na zabawę z okazji nadejścia wiosny – nad świętującymi unosi się gigantyczny penis Priapa, będący centralnym punktem rysunku. Na wcześniejszej rycinie mityczna królowa Leda

przedstawiona jest podczas namiętnego zbliżenia z Zeusem, który leży między jej udami pod postacią łabędzia. Tekst książki jest jeszcze śmielszy, gdyż autor opisuje spotkania zbyt dziwaczne, by można je było zilustrować. Polifilo ulega fizycznemu pociągowi do dzieł architektury, przyznaje się do stosunków seksualnych z budynkami. Przynajmniej raz twierdzi, że rozkosz była obopólna.

To wszystko fascynowało ojca, którego sposób rozumienia książki nie miał wiele wspólnego z poglądami Tafta. Tata nie uważał *Hypnerotomachii* za sztywny, matematyczny traktat, lecz hołd złożony miłości mężczyzny do kobiety. To było jedyne znane mu dzieło sztuki, które imitowało wspaniały chaos takich uczuć. Senny charakter opowieści, nieustanne zagubienie wszystkich postaci, desperackie wędrówki głównego bohatera w poszukiwaniu miłości – to wszystko niezwykle go poruszało.

Z tego powodu ojciec – a na początku swoich badań również Paul – sądził, że podejście Tafta było błędne. „W dniu, w którym zrozumiesz miłość, powiedział mi kiedyś, zrozumiesz także, co chciał powiedzieć Colonna”. Jeśli z *Hypnerotomachią* rzeczywiście wiązała się jakaś tajemnica, to zdaniem ojca klucza do niej należało szukać poza tekstem – w pamiętnikach, listach, dokumentach rodzinnych. Nigdy mi tego wyraźnie nie powiedział, ale chyba zawsze podejrzewał, że strony książki rzeczywiście kryją jakąś wielką tajemnicę.



Wbrew przypuszczeniom Tafta, ojciec uważał, że tajemnica ta dotyczy miłości: związek Colonna z kobietą z nizin społecznych, polityczna beczka prochu, dziedzic z nieprawego łoża, czyli romans, o jakim śnią nastolatki, nim brzydka dorosłość zgasi ich dziecinne marzenia.

Podejście ojca było radykalnie odmienne od podejścia Tafta, ale gdy przyjechał do Nowego Jorku, by przez rok prowadzić badania, wyczuł, że Curry i Taft posunęli się zdecydowanie naprzód. Curry nalegał, by jego stary przyjaciel przyłączył się do nich, i tata się zgodził. Jak zwierzęta w ciasnej klatce, ci trzej z trudem dostosowali się do siebie. Długo krążyli i przyglądali się sobie podejrzliwie, nim wreszcie zapanowała równowaga i przyjęto reguły działania. W tym okresie czas był po ich stronie i wszyscy trzej wierzyli w *Hypnerotomachią*. Niczym kosmiczny wysłannik Francesco Colonna strzegł ich i wskazywał im drogę, maskując różnice zdań grubą warstwą nadziei. Przez jakiś czas udało się zachować pozory porozumienia.

Curry, Taft i ojciec pracowali razem przez ponad dziesięć miesięcy, aż wreszcie Curry dokonał odkrycia, które miało zgubne skutki dla ich partnerstwa. W tym czasie Curry stopniowo ewoluował od galerii i domów aukcyjnych, gdzie toczy się gra o znacznie wyższe stawki. Gdy przygotowywał swoją pierwszą licytację dzieł sztuki

i przedmiotów zabytkowych pozostawionych przez niedawno zmarłego kolekcjonera, natrafił na zniszczony notatnik.

Notatnik należał kiedyś do kapitana portu w Genui, starszego człowieka, który miał zwyczaj zapisywania maczkiem uwag na temat pogody i swoich przypadłości zdrowotnych, ale zanotował również, co działo się w porcie wiosną i latem 1497 roku. Kapitan opisał między innymi osobliwe zdarzenia towarzyszące przybyciu do Genui niejakiego Francesca Colonna.

Kapitan – którego Curry nazywał Genueńczykiem, gdyż nie podał swego prawdziwego nazwiska – zebrał plotki na temat Colonna, które krążyły po nabrzeżu. Starał się podsłuchiwać jego rozmowy z miejscowymi ludźmi, dzięki czemu dowiedział się, że ten bogaty Rzymianin przyjechał do Genui, by nadzorować przybycie ważnego statku, którego ładunek znał tylko on. Genueńczyk przynosił mu wiadomości o statkach zbliżających się do portu; pewnego dnia, gdy wszedł do jego pokoju w zajeździe, zauważył, że Colonna coś pisze. Na widok kapitana natychmiast schował swoje notatki.

Gdyby to było wszystko, dziennik kapitana nie mógłby zbyt pomóc w rozwikłaniu zagadki *Hypnerotomachii*. Genueńczyk był jednak człowiekiem wścibskim, a w miarę upływu czasu, z coraz większą niecierpliwością oczekiwał statku Colony. W końcu uznał, że jest tylko jeden sposób, by poznać zamiary rzymskiego arystokraty – należy obejrzeć dokumenty przewozowe, a w szczególności spis ładunku. Kapitan zapytał swojego szwagra Antonia, handlarza, który trudnił się czasem paserstwem, czy mógłby wynająć złodzieja, by ten

włamał się do pokoju Colonna i skopiował dokumenty, które tam znajdzie. Antonio, w zamian za obietnicę współpracy kapitana w pewnej kombinacji handlowej, zgodził się pomóc.

Antonio przekonał się jednak, że nawet złodzieje mocno przyciśnięci biedą odmawiają wykonania zlecenia, gdy dowiadują się, iż chodzi o Colonnę. Jedynym człowiekiem, który się zgodził, był niepiśmienny kieszonkowiec. Okazało się jednak, że dobrze wykonał swoje zadanie i sprawnie skopiował trzy dokumenty, jakie udało mu się znaleźć. Pierwszym był fragment opowieści, którego kapitan nie opisał, gdyż nie wydał mu się interesujący. Drugim był kawałek skóry ze skomplikowanym rysunkiem, trzecim zaś osobliwa mapa, z zaznaczonymi czterema kierunkami kardynalnymi i wypisanymi liczbami. Genuńczyk na próżno usiłował zrozumieć te dwa dokumenty. Kapitan już zaczął żałować, że wynajął złodzieja, gdy nastąpiły zdarzenia, które sprawiły, iż zaczął bać się o swoje życie.

Gdy pewnego wieczoru wrócił do domu, zastał żonę we łzach. Jak się okazało, jej brat Antonio został otruty podczas obiadu we własnym domu; ciało znalazł chłopak roznoszący przesyłki. Podobny los spotkał kieszonkowca – gdy pił w tawernie, jakiś obcy człowiek dźgnął go nożem w udo. Nim oberżysta zauważył, co się stało, złodziej wykrwawił się na śmierć, a obcy zniknął.

Przez kilka następnych dni Genuńczyk pocił się ze strachu i z najwyższym trudem wypełniał swoje obowiązki w porcie.

Nie pojawił się już ani razu w zajęździe, w którym zamieszkał Colonna, ale dokładnie opisał w swoim dzienniku wszystko, co

znalazł złodziej. Czekał nerwowo na przybycie statku Colonna, gdyż miał nadzieję, iż rzymski arystokrata odbierze ładunek i odjedzie. Był tak przerażony, że tylko pobieżnie odnotowywał ruch dużych statków handlowych. Kiedy wreszcie statek Colonna zawinął do portu, kapitan nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Dlaczego jakiś arystokrata miałby zawracać sobie głowę taką małą barką? – pisał. – Taką parszywą łajbą? Cóż mogła ona wieść, że człowiek o takiej pozycji zajmuje się jej przeklętym losem?

Na dokładkę dowiedział się, że barka przepłynęła przez Gibraltar z towarami z północy. Był bliski apopleksji. Wypełnił swój notatnik ordynarnymi przekleństwami, napisał, że Colonna to syfilityczny szaleniec, a tylko dureń lub wariat mógłby uwierzyć, że cokolwiek wartościowego kiedykolwiek przywieziono z takiego miasta jak Paryż.

Według Richarda Curry'ego jeszcze dwa fragmenty dziennika miały związek z Colonna. W pierwszym Genuńczyk zrelacjonował podsłuchaną rozmowę Rzymianina i architekta z Florencji, który regularnie go odwiedzał. W tej rozmowie Colonna wspomniał, że odnotował w pisanej książce burzliwe zdarzenia ostatnich dni. Genuńczyk, który wciąż trząsał się ze strachu, starannie to zapisał.

Druga notatka, uczyniona trzy dni później, była bardziej tajemnicza, lecz budziła silne skojarzenia z listem, który znalazł mój ojciec. Genuńczyk był już przekonany, że Colonna jest wariatem. Rzymianin nie zgodził się, by jego ludzie rozładowali statek za dnia, twierdził, że ładunek można bezpiecznie przenieść tylko po zmroku.

Według kapitana portu niektóre drewniane skrzynie były tak lekkie, że mogłaby je udźwignąć kobieta lub starzec. Genuńczyk usiłował odgadnąć, jakie korzenie lub metal mogą być tak lekkie. W końcu zaczął podejrzewać, że wspólnicy Colonny – architekt i dwaj bracia, również z Florencji – byli najemnikami, biorącymi udział w spisku. Gdy plotki potwierdziły jego obawy, gorączkowo je zanotował.

Podobno Antonio i złodziej nie są pierwszymi ofiarami tego człowieka, który dla kaprysu zabił dwóch innych ludzi. Nie wiem, kim byli, i nie słyszałem, by ktoś wymienił ich nazwiska, ale jestem pewny, że ma to związek z jego ładunkiem. Ci ludzie dowiedzieli się, co zawiera, a on bał się zdrady. Teraz jestem o tym przekonany: tym człowiekiem rządzi strach. Zdradzają go oczy, nawet, gdy jego ludzie zachowują milczenie.

Ojciec mówił, że Curry przywiązywał większe znaczenie do pierwszego fragmentu, który, jego zdaniem, zawierał aluzję do pracy nad *Hypnerotomachią*. Gdyby tak było, to opowieść, jaką złodziej znalazł w papierach Colonny, a kapitan nie pofatygował się, by ją zrelacjonować, mogła być pierwszą wersją rękopisu.

Jednak Taft, który zgłębiał *Hypnerotomachię* własnymi metodami i stworzył konkordancję, pozwalającą prześledzić każde słowo w tekście książki, uznał teraz, iż bazgrały, jakie podobno widział kapitan portu w rzeczach Colonny, z pewnością nie mają żadnego znaczenia. Tak śmieszna historia nie może w żadnym razie rzucić światła na głęboką tajemnicę tej wielkiej księgi. Taft szybko

uznał, że może potraktować to odkrycie tak samo jak każdą pracę napisaną na temat *Hypnerotomachii* – to chrust na podpałkę.

Według mnie jego frustracja miała głębsze korzenie niż tylko różnice zdań na temat dziennika Genuńczyka. Taft dostrzegał, że równowaga sił zmienia się na jego niekorzyść, chemia współpracy z Currym ulega rozkładowi, gdyż mój ojciec nakłamał Curry'ego do rozważenia nowych interpretacji i możliwości.

Rozpoczęła się zatem walka o wpływy. Ojciec i Vincent Taft znienawidzili się serdecznie i to uczucie przetrwało aż do śmierci taty. Taft, który uznał, że nie ma nic do stracenia. Krytykował badania ojca, by przeciągnąć Curry'ego na swoją stronę. Tata, czując, że Curry słabnie pod naciskiem Tafta, odpłacał mu pięknym za nadobne. Wystarczył miesiąc, by osiągnięcia dziesięciu miesięcy poszły na marne. Wyniki uzyskane wspólnie rozpadły się na oddzielne twierdzenia, do których każdy z nich rościł pretensje. Taft nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co zrobił ojciec, i odwrotnie.

Natomiast Curry przez cały czas koncentrował uwagę na dzienniku Genuńczyka. Nie mógł pojąć, dlaczego jego przyjaciele pozwalają, by tak małoduszne pretensje odwracały ich uwagę od pracy. W młodości Curry wyróżniał się tą samą cnotą, którą później dostrzegał i podziwiał u Paula: pragnieniem poznania prawdy i brakiem cierpliwości do wszystkiego, co mu w tym przeszkadza. Sądzę, że to właśnie on najbardziej dał się oczarować książce Colonney i najgoręcej pragnął rozwiązać jej tajemnicę. Ojciec i Taft byli profesorami, dlatego postrzegali *Hypnerotomachię* jako problem

akademicki. Wiedzieli, że uczony może poświęcić życie jednej książce, co przytępiało ich poczucie pilności zadania. Tylko Richard Curry, marszałek, pracował w szaleńczym tempie. Zapewne już wówczas przeczuwał, co go spotka. Książki były tylko krótkim etapem w jego życiu.

Kryzys spowodowało nie jedno, lecz dwa zdarzenia. Pierwsze miało miejsce, gdy ojciec wrócił do Columbus, by odzyskać jasność myślenia. Trzy dni przed ponownym wyjazdem do Nowego Jorku wpadł, całkiem dosłownie, na studentkę z Ohio State, która wraz z „siostrą” z Pi Beta Phi chodziła po lokalnych sklepach i namawiała właścicieli do wsparcia ich akcji charytatywnej. Ścieżki ojca i tej dziewczyny skrzyżowały się na progu księgarni dziadka, nim którekolwiek z nich zdołało się zorientować. Mama i tata upadli na podłogę, zasypani lawiną książek, a wyrok przeznaczenia połączył ich na zawsze.

Nim ojciec wrócił na Manhattan, był już zgubiony, porażony jak piorunem spotkaniem z długowłosą dziewczyną z lazurowymi oczami, która nazywała go Tygrysem, co nie było aluzją do Princeton, lecz do Blake’a. Jeszcze nim ją poznał, wiedział, że ma dość Tafta. Zdawał sobie również sprawę, że Richard Curry ruszył swoją drogą, owładnięty obsesją na punkcie dziennika kapitana portu. Dom wzywał ojca z nieodpartą siłą. Wobec konieczności zajęcia się chorym dziadkiem i mając kobietę w swoim własnym porcie, ojciec powrócił na Manhattan tylko no to, by zabrać swoje rzeczy i powiedzieć „do

widzenia”. Jego lata na Wschodnim Wybrzeżu, które rozpoczęły się tak obiecująco wraz z poznaniem Richarda Curry’ego w Princeton, dobiegły kresu.

Gdy ojciec przybył na miejsce ich cotygodniowych spotkań, gotowy oświadczyć, że się wycofuje, czekała na niego sensacyjna wiadomość. Po jego wyjeździe już pierwszej nocy doszło do scysji między Currym i Taftem, a drugiej nocy przeszli do rękoczynów. Były kapitan drużyny piłkarskiej nie okazał się godnym przeciwnikiem niedźwiedziowatego Vincenta Tafta, który jednym ciosem złamał mu nos. Później, dzień przed przyjazdem ojca, Curry – z podbitym okiem i zabandażowanym nosem – poszedł na kolację z pracownicą swojej galerii. Kiedy wrócił do domu, stwierdził, że ktoś się do niego włamał i ukradł wszystkie dokumenty związane z aukcją oraz notatki na temat *Hypnerotomachii*. Zniknął również najcenniejszy skarb – dziennik kapitana genueńskiego portu.

Curry natychmiast oskarżył Tafta, ale ten nie przyznał się do niczego. Policja uznała, że to kolejne z serii włamań w tej okolicy, i nie zainteresowała się specjalnie zniknięciem jakichś starych książek. Ojciec, który pojawił się na scenie w czasie tych sensacyjnych zdarzeń, natychmiast stanął po stronie Curry’ego. Obaj oświadczyli Taftowi, że nie chcą mieć z nim więcej do czynienia. Następnie ojciec wyjawiał, że ma bilet na samolot do Columbus na następny dzień rano i nie zamierza wracać do Nowego Jorku. Ojciec i Curry pożegnali się, nim jeszcze Taft wyszedł.

Tak zakończył się w życiu ojca czas kształtowania się jego osobowości. Ten jeden rok uruchomił mechanizm, który określił jego tożsamość. Kiedy o tym myślę, zastanawiam się, czy życie każdego z nas nie przebiega podobnie. Dorosłość to lodowiec, który powoli nasuwa się na młodość. Gdy przybywa, pieczęć dzieciństwa odciska się już na stałe, pozostajemy w takiej pozie, w jakiej byliśmy, gdy zamarzył lód. W chwili, gdy ogarnął go lodowiec, Patrick Sullivan był mężem, ojcem i uczonym. Te trzy wymiary określiły całe jego życie.

Po tym, jak został skradziony dziennik kapitana portu, Taft zniknął z życia ojca; powracał tylko niczym gież, kąsający spod maski uczonego. Curry nie kontaktował się z ojcem przez trzy lata. Przerwał milczenie dopiero z okazji ślubu rodziców. List, jaki wówczas napisał, nie był łatwą lekturą, gdyż dotyczył ciemnej przeszłości. Curry w dwóch zdaniach pogratulował panie młodej i ojcu, a w dalszej części listu pisał wyłącznie o *Hypnerotomachii*.

Czas mijał, światy się rozdzielały. Taft, dzięki sukcesom odniesionym na początku kariery, otrzymał stałą profesurę w Instytucie Studiów Zaawansowanych, gdzie kiedyś pracował Albert Einstein, gdy mieszkał w Princeton. Ojciec z pewnością zazdrościł mu tego zaszczytu, zwłaszcza, że dzięki temu Taft był wolny od wszystkich normalnych obowiązków profesora uniwersytetu. W ciągu tych lat stary niedźwiedź miał tylko dwóch studentów, Paula i Billa Steina, i nigdy nie prowadził regularnych wykładów. Curry zajął wysokie stanowisko w Domu Aukcyjnym Skinnera w Bostonie i zrobił piękną karierę zawodową. W księgarni w Columbus, gdzie

kiedyś ojciec nauczył się chodzić, teraz pętało się troje dzieci, dostarczając mu dość zajęć, by zapomniał, przynajmniej na jakiś czas, że przeżycia w Nowym Jorku pozostawiły trwałe ślady w jego osobowości. Trzej mężczyźni, rozdzieleni przez dumę i okoliczności, znaleźli coś, co zastąpiło im *Hypnerotomachie*, jakieś zastępcze miłości, które zajęły miejsce niedokończonych badań. Zegar pokoleniowy zatoczył kolejny krąg, a czas zmienił przyjaciół w obcych sobie ludzi. Francesco Colonna, który miał w ręku klucz do nakręcania zegara, z pewnością sądził, że jego tajemnica jest bezpieczna.

Rozdział 7

– Dokąd idziemy? – pytam Paula, gdy biblioteka znika za naszymi plecami.

– Do Muzeum Sztuki – odpowiada, kuląc się, by osłonić przed śniegiem paczkę owiniętą materiałem.

Po drodze mijamy Murray-Dodge, kamienną kopułę w północnej części kampusu, gdzie studencki zespół teatralny wystawia *Arkadię* Toma Stopparda. To ostatnia sztuka, jaką Charlie musiał przeczytać na zajęcia z angielskiego i pierwsza, jaką zobaczymy razem. Mamy bilety na niedzielny wieczór. Zza przypominających kocioł ścian sceny dochodzi głos Thomasiny, trzynastoletniego cudownego dziecka ze sztuki, która kiedyś przypominała mi Paula.

Gdybyś mógł zatrzymać w przestrzeni wszystkie atomy – mówi – i gdyby twój umysł mógł pojąć wszystkie zawieszane działania, a ty byłbyś naprawdę bardzo dobry z matematyki, Mógłbyś ująć w jednym wzorze całą przyszłość.

Tak – jąka się jej nauczyciel, wyczerpany machiną młodego umysłu. – Tak, a o ile wiem, jesteś pierwszą osobą, która o tym pomyślała.

Patrząc z daleka, mam wrażenie, że główne wejście do muzeum jest otwarte, co zakrawa na cud, jest przecież Wielki Piątek. Kuratorzy muzeum są dziwnym towarzystwem; połowa z nich to mole książkowe, połowa wielkoświatowi artyści Często wydaje mi się, że

większość z nich chętniej pozwoliłaby by przedszkolaki malowały palcami na obrazach Moneta, niż wpuściła do muzeum studentów, gdy nie jest to absolutnie konieczne.

Szklana ściana frontowa McCormick Hall, siedziby wydziału historii sztuki, jest nieco wysunięta przed fasadę właściwego muzeum. Gdy się zbliżamy, wartownicy przyglądają nam się jak przez szybę akwarium. Podobnie jak zupełnie dla mnie niezrozumiałe eksponaty na wystawach sztuki nowoczesnej, na które zaciągnęła mnie Katie, mają oni wszystkie cechy obiektów rzeczywistych, lecz są idealnie nieruchomi. Na drzwiach wisi ogłoszenie: „Zebranie Rady Nadzorczej Muzeum Sztuki Uniwersytetu Princeton”, a poniżej, mniejszymi literami „Muzeum zamknięte dla publiczności”. Waham się, ale Paul zdecydowanym ruchem otwiera drzwi.

– Richard! – krzyczy, wchodząc do głównej sali.

Parę osób odwraca się w naszą stronę, ale nie dostrzegamy znajomych twarzy. Na ścianach wiszą płótna, plamy koloru w ascetycznym, białym wnętrzu. W sąsiedniej sali na podestach stoją greckie amfory.

– Richard! – powtarza Paul jeszcze głośniej.

Łysa głowa Curry’ego obraca się na długiej, mocnej szyi. Jest wysoki i dobrze zbudowany, ma na sobie garnitur w paski i czerwony krawat. Gdy dostrzega zbliżającego się Paula, jego oczy promieniają serdecznością. Żona Curry’ego zmarła dziesięć lat temu. Nie mieli dzieci i teraz Curry traktuje Paula jak syna.

– Chłopcy! – Wita nas ciepło i rozkłada ramiona, jakbyśmy byli dwa razy młodsi. – Nie spodziewałem się ciebie tak szybko – zwraca się do Paula. – Myślałem, że skończysz później. Co za miła niespodzianka. – Curry muska palcami spinki od mankietów i jest wyraźnie uradowany. Ściska rękę Paula. – Jak się macie?

Obaj się uśmiechamy. Energiczny głos Curry'ego nie zdradza jego wieku, ale poza tym czas go nie oszczędza. Od kiedy widziałem go po raz ostatni, zaledwie sześć miesięcy temu, jego ruchy zeszywniały, a policzki nieco się zapadły. Richard Curry jest teraz właścicielem dużego domu aukcyjnego w Nowym Jorku i członkiem rad nadzorczych kilku większych muzeów, ale według Paula, od kiedy *Hypnerotomachia* znikła z jego życia, kariera stała się dla niego sprawą drugorzędną, próbą zapomnienia o przeszłości. Nikt nie był bardziej zdziwiony jego sukcesem niż on sam i na nikim innym nie zrobił on mniejszego wrażenia.

– Ach – mówi i obraca się tak, jakby chciał nas komuś przedstawić. – Czy obejrzelście już obrazy?

Na ścianie za nim wisi płótno, którego wcześniej nie widziałem. Rozglądając się, stwierdzam, że wszędzie wiszą obrazy, jakich tu dotąd nie było.

– To nie są obrazy z uniwersyteckiej kolekcji – zauważa Paul.

– Nie, skądże – uśmiecha się Curry. – Każdy z członków rady nadzorczej przyniósł coś na dzisiejszy wieczór. Założyliśmy się, kto z nas zdoła wypożyczyć dla muzeum najwięcej obrazów.

Curry, były piłkarz, w dalszym ciągu lubi mówić o zakładach i obstawianiu.

– Kto wygrał? – pytam.

– Muzeum – mówi, unikając odpowiedzi. – To Princeton zyskuje na naszej rywalizacji.

Zapada milczenie. Curry rozgląda się po twarzach gości, którzy nie uciekli z sali po naszym wtargnięciu.

– Zamierzałem pokazać wam obrazy po posiedzeniu rady nadzorczej – mówi do Paula – ale równie dobrze mogę zrobić to teraz.

Wzywa nas gestem, byśmy udali się za nim, i idzie w kierunku sali po lewej stronie. Zerkam na Paula, zastanawiając się, co ma oznaczać, ale Paul chyba również tego nie wie.

– George Carter senior przyniósł te dwa... – mówi Curry, wskazując wiszące obrazy. Dwie niewielkie grafiki Dürera są oprawione w stare ramy, które sprawiają wrażenie, jakby były zrobione z drewna wyrzuconego przez morze. – I tego Wolgemuta po przeciwnej stronie. Philip Murray przyniósł tych dwóch ładnych manierystów.

Curry prowadzi nas do drugiej sali, gdzie zamiast obrazów z końca XX wieku wiszą teraz prace impresjonistów.

– Wilsonowie przynieśli cztery: Bonnata, małego Maneta i dwa Toulouse-Lautreca – wyjaśnia i daje nam chwilę, byśmy mogli im się przyjrzeć. – Marąandowic dorzucili tego Gauguina.

Przechodzimy przez główną salę, wypełnioną antycznymi rzeźbami.

– Mary Knight przywiozła tylko jedną pracę, ale to duże rzymskie popiersie. Powiedziała, że pewnie ofiaruje je muzeum na zawsze. Bardzo szczodry gest.

– A co ty przywiozłeś? – pyta Paul, gdy już zatoczyliśmy koło po pierwszym piętrze i wróciliśmy do sali, od której zaczęliśmy zwiedzanie.

– To moje – odpowiada Curry, machając ręką.

– Który? – dopytuje się Paul.

– Wszystkie.

Wymieniają znaczące spojrzenia. W pokoju wisi kilkanaście obrazów.

– Chodźcie tutaj. – Curry podchodzi do obrazu, przy którym go zastaliśmy. – Te dzieła chciałbym wam pokazać.

Curry prowadzi nas od płótna od płótna, ale nic nie mówi.

– Co łączy te prace? – pyta, gdy już obejrzeliliśmy wszystkie. Kręcę głową, ale Paul wie od razu.

– Temat. Wszystkie ilustrują biblijną opowieść o Józefie. Curry kiwa głową.

– *Józef sprzedaje ludziom zboże* – zaczyna, wskazując na pierwszy obraz. – Bartholomeus Breenbergh, około tysiąc sześćset pięćdziesiątego piątego roku. Namówiłem Barber Institute, by go wypożyczyli.

Stoimy chwilę przed obrazem, po czym przesuwamy się do następnego.

– *Józef i jego bracia*, Franz Maulbertsch, tysiąc siedemset pięćdziesiąty rok. Przyjrzyjcie się obeliskowi na drugim planie.

Przypomina mi drzeworyt z *Hypnerotomachii* – mówię.

– Od razu to samo pomyślałem – uśmiecha się Curry. – Niestety, chyba nie ma żadnych związków.

Curry prowadzi nas do trzeciego obrazu.

– Pontormo – mówi Paul, nim Curry zdążył zacząć.

– Tak. *Józef w Egipcie*.

– Jak go zdobyłeś?

– Londyn nie zgodził się wypożyczyć go bezpośrednio do Princeton. Musiałem to załatwić przez Met.

Curry chce coś dodać, ale Paul dostrzega dwa ostatnie obrazy z tej serii, tworzące jeden panel o bardzo żywych kolorach. W jego głosie słyszeć podniecenie.

– Andrea del Sarto. *Historia Józefa*. Widziałem je we Florencji.

Curry milczy. To on sfinansował letnią podróż Paula do Europy po pierwszym roku, by mógł zbierać materiał do badań nad *Hypnerotomachią*. To była jedyna zagraniczna podróż Paula.

– Mam przyjaciela w Palazzo Pitti – wyjaśnia wreszcie, krzyżując ręce na piersiach. – Był dla mnie bardzo uprzejmy. Dostałem je na miesiąc.

Paul stoi nieruchomo przez dobrą minutę, nie mówiąc ani słowa. Mokre włosy kleją mu się do skóry, ale na ustach igra uśmiech. Znów odwraca się w stronę obrazów. Obserwując jego reakcję, uświadamiam sobie wreszcie, że obrazy zostały powieszony w takim

porządku nie bez przyczyny. Tworzą znaczące crescendo, które tylko Paul może zrozumieć. Curry z pewnością nalegał, by tak je wystawiono, a kuratorzy oczywiście ulegli członkowi rady nadzorczej, który załatwił wypożyczenie większej liczby obrazów niż wszyscy pozostali razem wzięci. Obrazy na ścianie przed nami to jego prezent dla Paula ciche gratulacje z okazji ukończenia rozprawy.

– Czytaliście wiersz Browninga o Andrei del Sarto? – pyta Curry.

Ja czytałem, przygotowując się do seminarium z literatury, ale Paul kręci głową.

– *Robisz to, o czym wielu marzy przez całe życie* – cytuje Curry.
– *Marzenia? Walcz, męcz się i padnij, ale próbuj.*

Paul wreszcie się odwraca i kładzie rękę na ramieniu Curry’ego. Po sekundzie robi krok do tyłu i wyciąga spod koszuli paczkę owiniętą materiałem.

– Co to takiego? – pyta Curry.

– Bill dał mi to parę minut temu... – zaczyna wyjaśniać Paul i urywa. Wyczuwam, że nie jest pewny reakcji Curry’ego. Ostrożnie odpakowuje książkę. – Myślę, że powinieneś to zobaczyć.

– Mój dziennik – szepcze zdumiony Curry, obracając go w rękach. – Nie mogę uwierzyć...

– Zamierzam go wykorzystać – mówi Paul. – Żeby skończyć.

Curry nie zwraca na niego uwagi. Patrzy na książkę, a z jego twarzy znika uśmiech.

– Skąd go masz?

– Od Billa.

– Już to mówiłeś. Gdzie on go znalazł?

Paul się waha. W głosie Curry'ego pojawił się ostry ton.

– W księgarni w Nowym Jorku – wtrącam. – W antykwariacie.

– To niemożliwe – mamrocze Curry. – Szukałem go wszędzie.

We wszystkich bibliotekach, księgarniach, antykwariatach i lombardach w całym Nowym Jorku. We wszystkich domach aukcyjnych. Znikł. Przepadł na trzydzieści lat.

Curry przewraca strony i starannie się im przygląda, jednocześnie wodząc po nich palcami.

Zobacz, tu jest ten fragment, o którym ci opowiadałem.

– Jest w nim mowa o Colombie... – mówi i przewraca kolejne strony. – Jeszcze tutaj... i tutaj. – Nagle podnosi głowę. – Bill nie znalazł go przypadkowo akurat dzisiaj. Dziś wieczorem musisz skończyć rozprawę, a on właśnie dzisiaj znajduje dziennik. Nie...

– Co masz na myśli?

– A co z planem? – pyta Curry. – Czy Bill dał ci również plan?

– Jaki plan?

– Kawalek skóry – wyjaśnia Curry i zakreśla palcami prostokąt mniej więcej trzydzieści na trzydzieści centymetrów. – Włożony między strony dziennika. Był na niej rysunek, a właściwie plan.

– Nie dostałem żadnego planu – odpowiada Paul.

Curry znów obraca książkę w dłoniach. Jego oczy zrobiły się chłodne i odległe.

– Richardzie, muszę jutro oddać dziennik Billowi – mówi Paul.
– Przeczytam go dziś w nocy. Być może dzięki niemu przebrnę przez ostatnią część *Hypnerotomachii*.

– Jeszcze nie skończyłeś rozprawy? – Curry wraca do rzeczywistości.

– Ostatnia część jest inna od pozostałych – wyjaśnia Paul, a w jego głosie słychać niepokój.

– Ale co z jutrzejszym terminem?

Paul nie odpowiada. Curry przeciąga ręką po okładce dziennika, po czym oddaje go Paulowi.

– Skończ rozprawę. Nie marnuj tego, na co zasłużyłeś. Stawka jest zbyt wysoka.

– Nie zmarnuję. Myślę, że już mam odpowiedź. Jestem bardzo blisko.

– Jeśli czegoś potrzebujesz, po prostu powiedz. Zezwolenie na wykopaliska. Ekipę do kopania. Jeśli gdzieś jest, to ją znajdziemy.

Zerkam na Paula, zastanawiając się, co Curry ma na myśli.

– Niczego więcej nie potrzebuję – odpowiada Paul z nerwowym uśmiechem. – Gdy już mam dziennik, znajdę ją sam.

– Po prostu nie zapominaj, o co chodzi. Dotychczas nikt jeszcze nie zrobił czegoś takiego. Pamiętaj, co pisał Browning. Robisz to, o czym wielu marzy przez całe życie.

– Proszę pana – słyszymy głos za naszymi plecami.

Gdy się odwracamy, widzimy nadchodzącego kuratora.

– Panie Curry, zaraz zacznie się zebranie rady nadzorczej. Czy możemy prosić pana na górę?

– Porozmawiamy później – rzuca Curry. – Nie wiem, jak długo potrwa posiedzenie.

Na pożegnanie klepie Paula po ramieniu, podaje mi rękę i rusza w kierunku schodów. Gdy wchodzi na górę, okazuje się, że na dole zostaliśmy tylko my i strażnicy. Idziemy do wyjścia.

– Nie powinienem mu go pokazywać – mamrocze Paul jakby do siebie.

Zatrzymuje się na chwilę i jeszcze raz spogląda na serię obrazów. Chce ją zapamiętać, by móc do niej wracać w wyobraźni, gdy muzeum będzie zamknięte. W końcu wychodzimy.

– Dlaczego Bill miałby kłamać na temat tego, kiedy i gdzie znalazł dziennik? – pytam, gdy znów przebijamy się przez śnieg.

– Nie myślę, że skłamałby – odpowiada Paul.

– O czym więc mówił Curry?

– Gdyby wiedział więcej, powiedziałby nam.

– Może nie chciał mówić w mojej obecności.

Paul ignoruje tę uwagę. Lubi udawać, że w oczach Curry’ego jesteśmy sobie równi.

– Co miał na myśli, gdy powiedział, że załatwi ci pozwolenie na wykopaliska?

Paul rozgląda się nerwowo. Za nami idzie jakiś student.

– Nie tutaj, Tom.

Wiem, że nie ma sensu go przyciskać.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego wszystkie obrazy miały związek z Józefem? – pytam, by przerwać długie milczenie.

– Księga Rodzaju rozdział trzydziesty siódmy, ustęp trzeci – uśmiecha się Paul. – *Jakub miłował Józefa najbardziej ze wszystkich swych synów, gdyż urodził się on mu w podeszłych jego latach. Sprawił mu też wzorzystą szatę z rękawami**.

Potrzebałem sekundy, by zrozumieć jego słowa. Wzorzysty dar. Miłość starzejącego się ojca do ulubionego syna.

– Jest z ciebie dumny – mówię.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem – odpowiada Paul. – Praca nie została zakończona.

– Nie o to chodzi – zapewniam go.

– Oczywiście, że o to – mówi Paul z lekkim uśmiechem.

Gdy idziemy do akademika, zwracam uwagę na ponure niebo; jest ciemne, ale nie idealnie czarne. Całe, od jednej strony horyzontu do drugiej, zaciągnięte jest ciężkimi, szarymi chmurami, z których sypie śnieg. Nie widać nawet jednej gwiazdy.

Gdy dochodzimy do tylnych drzwi Dod, zdaję sobie sprawę, że nie mamy jak wejść. Paul wywołuje jakiegoś studenta, który obrzuca nas dziwnym spojrzeniem, ale pożycza nam swoją magnetyczną kartę identyfikacyjną. Przykładam ją do czujnika, rozlega się pisk, po czym otwierają się drzwi, czemu towarzyszy taki odgłos, jakby ktoś łamał dubeltówkę. W pralni w piwnicy dwie studentki składają ubrania na

* wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia. Pallotinum, Warszawa.

szerokim stole. Jest tam parno i gorąco; dziewczyny mają na sobie tylko koszulki i szorty. To nigdy nie zawodzi – przejście przez pralnię zimą, to jak pustynny miraż, powietrze drży od gorących, cielesnych fantazji. Gdy na zewnątrz pada śnieg, widok nagich ramion i nóg pobudza krązenie lepiej niż szklanka whisky. Jesteśmy daleko od Holder, ale mamy wrażenie, że znaleźliśmy się w Przebieralni uczestników Nagiej Olimpiady.

Wchodzę na parter i idę do północnego skrzydła, gdzie przy ostatnim dziedzińcu znajduje się nasz pokój. Paul idzie za mną w milczeniu. Im jesteśmy bliżej, tym więcej myślę o dwóch listach zostawionych na stoliku. Nawet odkrycie Billa nie wystarczy, bym o nich zapomniał. Od paru tygodni zasypiam, myśląc, co może robić ktoś, kto zarabia czterdzieści trzy tysiące rocznie. Fitzgerald napisał nowelę o diamencie wielkości Ritza. Tuż przed zaśnięciem, gdy proporcje stają się płynne, myślę o kupieniu pierścionka z takim diamentem, dla kobiety z drugiej strony snu. Czasami, jak dzieci w swoich zabawach, marzę o kupowaniu magicznych przedmiotów, takich jak samochód, który nigdy nie ulega wypadkom, noga, która zawsze się goi. Gdy daję się ponieść, Charlie zawsze mnie hamuje. Radzi mi, bym kupił kolekcję drogich butów na koturnach lub dał zadatek na dom z bardzo niskimi sufitami.

– Co oni robią? – Paul przerywa moje rozmyślenia, wskazując koniec korytarza.

Stoją tam Charlie i Gil. Zaglądają przez otwarte drzwi do naszego pokoju, w którym ktoś się kręci. Po chwili wszystko

rozumiem: przyjechała uniwersytecka policja. Ktoś musiał nas poznać, gdy wychodziliśmy z tuneli.

– Co się dzieje? – mruczy Paul i przyśpiesza.

Idę szybko za nim.

W naszym pokoju stoi policjantka i przygląda się czemuś na podłodze. Słyszę, jak Gil i Charlie coś mówią, ale nie mogę jeszcze rozróżnić słów. Pośpiesznie przygotowuję w myślach jakieś wyjaśnienia, ale w tym momencie dostrzega nas Gil.

– Nie martwcie się, nic nie zginęło.

– Co się stało?

Gil wskazuje na drzwi. W pokoju panuje potworny bałagan. Poduszki leżą na podłodze, wszędzie poniewierają się książki zrzucone z półek. W sypialni Paula i mojej ktoś wyciągnął szuflady z komody.

– Boże... – szepcze Paul, wciskając się między Charliego i mnie.

– Ktoś się włamał – wyjaśnia Gil.

– Ktoś wszedł – poprawia go Charlie. – Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Patrzę na Gila. To on wychodził ostatni. Od miesiąca Paul orosił nas, żebyśmy zamykali drzwi, dopóki nie skończy rozprawy. Tylko Gil o tym zapominał.

– Popatrz – broni się Gil i wskazuje ręką okno. – Weszli tamtędy. Nie przez drzwi.

Pod północnym oknem w salonie widać kałużę wody. Okno jest szeroko otwarte, a wiatr nawiewa śnieg, który osiada na parapecie. Na

metalowej siatce moskitiery widać trzy długie cięcia.

Paul i ja wchodzimy do naszej sypialni. Paul szybko spogląda na wyciągnięte szuflady biurka, potem na zawieszoną na ścianie półkę na książki, którą zrobił mu Charlie. Książki znikły. Paul rozgląda się po pokoju i ciężko oddycha. Przez chwilę znowu jesteśmy w tunelu, wszystko wydaje się obce z wyjątkiem głosów.

To nie ma znaczenia, Charlie. Nie weszli drzwiami.

To nie ma znaczenia dla ciebie, bo tobie nic nie zginęło.

Policjantka wciąż krąży po salonie.

– Ktoś musiał wiedzieć... – mamrocze pod nosem Paul.

– Spójrz tutaj – mówię, wskazując na łóżko.

Paul się odwraca. Na materacu leżą książki. Podnosi je drżącymi rękami i zaczyna sprawdzać tytuły.

Przeglądam swoje rzeczy. Niemal wszystko leży na miejscu. Nawet ziarnko kurzu nie zostało poruszone. Ktoś przeglądał moje papiery. Złodziej zdjął ze ściany oprawioną stronę tytułową *Hypnerotomachii* – prezent od ojca – i wyjął ją z ramki. Jeden róg jest zgięty, ale poza tym strona jest cała. Trzymam ją rozglądam się. Dostrzegam, że jedna książka nie stoi na swoim miejscu: odbitka szczotkowa *Dokumentu w sprawie belladony*; później ojciec uznał, że *List o belladonnie* brzmi lepiej.

W przedpokoju pojawia się Gil.

– W naszym pokoju niczego nie dotykali. A co u was? W jego głosie słyszę poczucie winy i nadzieję, że mimo bałaganu nic nie zginęło.

Zaglądam do ich sypialni. Niewątpliwie nikt tu niczego nie ruszał.

– Mnie nic nie zginęło.

– Niczego nie znaleźli – mówi do mnie Paul.

Nim zdążyłem zapytać, co ma na myśli, przerywa nam policjantka.

– Czy mogłabym zadać wam kilka pytań?

Ma smagłą twarz i kręcone włosy. Gdy wylaniamy się z pokoju, uważnie nam się przygląda. Jesteśmy mokrzy od śniegu. Niewątpliwie zwraca uwagę na to, że Paul ma na sobie dres Katie, a ja jej koszulę. Do kieszeni munduru ma przypiętą wizytówkę: porucznik Williams. Wyciąga notatnik.

– Wasze nazwiska...

– Tom Sullivan – odpowiadam. – I Paul Harris.

– Czy coś zginęło?

Paul nadal rozgląda się po pokoju, nie zwracając na nią uwagi.

– Jeszcze nie jesteśmy pewni – mówię.

– Rozejrzeliście się? – Ona też rozgląda się po pokoju.

– Jak dotychczas nie zauważyliśmy, by coś zabrali.

– Kto wychodził ostatni?

– Dlaczego pani pyta?

Williams odkasłuje.

– Wiemy już, kto zostawił otwarte drzwi, ale nie jest jasne, kto nie zamknął okna – tłumaczy, podkreślając słowa „drzwi” i „okna”,

by dać do zrozumienia, że sami sprowadziliśmy na siebie to nieszczęście.

Paul dopiero teraz dostrzega otwarte okno i blednie.

– To pewnie ja – mówi. – W salonie było gorąco, a Tom nie chciał otworzyć okna. Przyszedłem tutaj, żeby pracować, i gdy wychodziłem, widocznie zapomniałem zamknąć.

– Czy to już wszystko? – pyta policjantkę Gil, który wyczuwa, że porucznik Williams nie ma ochoty się tym zająć. – Myślę, że niczego więcej nie znajdziemy.

Nie czekając na odpowiedź, Gil zamyka okno, prowadzi Paula do sofy i sam siada obok.

– Okno otwarte, drzwi nie były zamknięte na klucz. Nic nie zginęło – notuje policjantka. – Czy coś jeszcze?

Nikt się nie odzywa.

Znalezienie sprawców włamań jest bardzo trudne – mówi Williams, kręcąc głową, jakby musiała przeciwstawić się naszym wysokim oczekiwaniom. – Zameldujemy o tym miejskiej policji. W przyszłości zamykajcie okna i drzwi. To może zaoszczędzić wam kłopotów. Damy znać, jeśli czegoś się dowiemy.

Williams wychodzi. Słysząc, jak jej buty skrzypią przy każdym kroku. Drzwi same się zatrzasują.

Podchodzę do okna, by jeszcze raz mu się przyjrzeć. Topniejący śnieg na podłodze jest czysty.

– Palcem nie kiwną – mruży Charlie, kręcąc głową.

– Nie ma sprawy – uspokaja go Gil. – Nic nie zginęło. Paul milczy, wciąż się rozglądając.

Podnoszę żaluzje, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza. Gil patrzy na mnie z irytacją, ale ja przyglądam się przeciętej siatce. Trzy cięcia przebiegają równoległe do ramy. Siatka łopocze na wietrze jak chorągiewka. Jeszcze raz spoglądam na podłogę. Błoto pochodzi wyłącznie z moich butów.

– Tom! – woła Gil. – Zamknij to cholerne okno.

Teraz Paul również patrzy, co robię.

Siatka jest wypchnięta na zewnątrz, jakby ktoś wyszedł przez okno. Coś tu jednak się nie zgadza. Policjantka nie pofatygowała się by lepiej się przyjrzeć.

– Spójrzcie tutaj – mówię, przesuwając palcami wzdłuż rany po sterzących drutach siatki. Podobnie jak siatka druty są odgięte na zewnątrz. Gdyby ktoś przeciął siatkę, żeby dostać się do środka, druty byłyby wygięte do wewnątrz.

Charlie już rozgląda się po pokoju.

– Nie ma również błota – stwierdza, wskazując na kałużę na podłodze.

Charlie i Gil wymieniają spojrzenia. Gil sądzi, że to oskarżenie. Jeśli siatka została przecięta od środka, to widocznie ktoś wszedł drzwiami.

– To nie ma sensu – mówi. – Jeśli już wiedzieli, że drzwi są otwarte, to dlaczego wyszli przez okno?

– To nie ma sensu niezależnie od tego, czy drzwi były zamknięte – wtrącam. – Jeśli ktoś jest w środku, zawsze może wyjść drzwiami.

– Powinniśmy powiedzieć o tym policji – mówi Charlie, gotowy do działania. – Nie mogę uwierzyć, że tej babie nie chciało się nawet przyjrzeć oknu.

Paul nic nie mówi, tylko przesuwa palcami po dzienniku.

– Nadal wybierasz się na wykład Tafta? – pytam go.

– Chyba tak. Mamy jeszcze godzinę.

Charlie ustawia książki na górnej półce, gdzie tylko on może ich dosięgnąć.

– Po drodze wstąpię do Stanhope – mówi. – Powiem policji, czego nie zauważyli.

– To pewnie tylko głupi kawał – stwierdza Gil. – Nadzy olimpijczycy chcieli się zabawić.

Komentujemy włamanie jeszcze przez parę minut, aż w końcu mamy tego dość. Gil pierwszy przebiera się w wełniane spodnie i rzuca koszulę Katie na stos rzeczy do prania.

– Po drodze możemy wstąpić do Ivy coś zjeść – proponuje.

– Muszę też sprawdzić moje rzeczy w klubie – zgadza się Paul. Kiwa głową i kartkuje Morze śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa U Braudela, jakby ktoś mógł ukraść pojedyncze strony.

– Może byście się przebrali – sugeruje Gil, obrzucając nas surowym spojrzeniem.

Paul jest zbyt zajęty, by zwrócić uwagę na jego słowa, ale ja rozumiem, co Gil ma na myśli. Ivy nie jest miejscem, w którym

można występować w takim stroju. Tylko Paul, cień we własnym klubie, cieszy się tam szczególnymi względami.

Idę do sypialni i przeglądam szuflady komody. Niemal wszystkie moje ubrania są brudne. W końcu znajduję w głębi szafy spodnie khaki i koszulę, która tak długo leżała złożona na półce, że zgięcia zmieniły się w zmarszczki, a zmarszczki w plisy – Szukam zimowej kurtki – dopiero po chwili przypominam sobie, że wciąż wisi w plecaku Charliego w tunelu. Wkładam płaszcz, który dostałem od matki na Boże Narodzenie, i wracam do salonu. Paul siedzi przy oknie, patrzy na półki z książkami i nad czymś się zastanawia.

– Bierzesz ze sobą dziennik? – pytam.

Paul poklepuje paczkę na kolanach i kiwa głową.

– Gdzie Charlie?

– Już poszedł – mówi Gil, popychając nas do przedpokoju. – Zamierza wstąpić na policję.

Gil bierze kluczyki od swojego saaba. Przed wyjściem starannie sprawdza zawartość kieszeni.

– Klucze do pokoju... do samochodu... dokumenty...

Gil jest tak skrupulatny, że zaczynam się denerwować. Taka pedanteria nie jest w jego stylu. Raz jeszcze rzucam okiem na salon. Na stoliku nadal leżą moje listy. Wychodzimy. Gil zamyka drzwi z taką samą zaskakującą dokładnością; dwukrotnie naciska kłamekę, by sprawdzić, czy są zamknięte. Idziemy w milczeniu do jego samochodu. Gdy rozgrzewa silnik, widzimy odległe sylwetki

policjantów. Przyglądamy im się przez sekundę, po czym Gil wrzuca
bieg i gładko ruszamy w ciemność.

Rozdział 8

Mijamy budkę ochrony przy północnym wjeździe do kampusu i skręcamy w prawo, w Nassau Street, główny deptak Princeton. O tej porze nie ma tu żywego ducha, widać tylko dwa pługi i solarę, które ktoś obudził z zimowego snu. W ciemnościach migocą światła sklepów; pod witrynami gromadzą się zaspasniegi. Księgarnie Talbot i Micawber są zamknięte, natomiast w Pequod Copy i w kawiarniach kręci się sporo studentów czwartego roku, którzy pośpiesznie kończą rozprawy pięć minut przed terminem.

– Cieszysz się, że skończyłeś? – Gil pyta Paula, który znów zamknął się w sobie.

– Rozprawę?

Gil spogląda w lusterko wsteczne i kiwa głową.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Daj spokój. Skończyłeś. Co masz jeszcze do zrobienia?

– Wystarczająco dużo – odpowiada Paul, a para z jego ust osiada na lusterku.

Skręcamy na światłach w Washington Road i jedziemy w kierunku Prospect Avenue i klubów studenckich. Gil wie, że nie ma sensu wypytywać Paula. Gdy zbliżamy się do Prospect Avenue, wyczuwam, że myśli już o czymś innym. W sobotę wieczorem ma się odbyć doroczny bal Ivy Club, a on, jako prezydent klubu, jest odpowiedzialny za organizację. Kiedy kończył rozprawę, pojawiły się pewne opóźnienia i ostatnio Gil ma zwyczaj wpadać do Ivy na chwilę,

by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Według Katie, gdy jutro pójdziemy razem na bal, z trudem rozpoznam wnętrze klubu.

Parkujemy przed klubem na miejscu zarezerwowanym dla Gila. Po zgaszeniu silnika zapada mroźna cisza. Piątek to cisza przed sobotnią burzą, okazja, by wytrzeźwieć między tradycyjnymi zabawami w czwartki i soboty. Śnieg stłumił nawet szum głosów, który zwykle unosi się w powietrzu, gdy studenci po obiedzie wracają do kampusu.

Według administracji kluby w Princeton „to jeden ze sposobów na rozwiązanie problemu jedzenia dla starszych studentów”. W rzeczywistości to jedyny sposób, jaki mamy. W pierwszych latach istnienia uniwersytetu, gdy częste pożary w refektarzu i niechętni oberżyci zmusili studentów do zatroszczenia się o siebie, część z nich połączyła się w niewielkie grupy, by jeść pod jednym dachem. Jak to wówczas w Princeton bywało, te dachy oraz mury klubowych budynków, które je podtrzymywały, nie były szczególnie skromne – niektóre z nich można określić mianem dworków lub rezydencji. Do dziś kluby pozostały osobliwością Princeton; studenci i studentki różnych lat jadają w nich posiłki i organizują zabawy, ale mieszkają gdzie indziej. Od powstania pierwszych klubów sto pięćdziesiąt lat temu do dziś stanowią one centrum życia towarzyskiego w Princeton.

O tej porze Ivy jest nieco ponure. Spowity ciemnością budynek, z kanciastymi, ciemnymi kamiennymi ozdobami, nie wygląda zachęcająco. Sąsiedni Cottage Club, z białymi narożnikami i okrągłymi akcentami, jest znacznie bardziej efektowny. Te dwa

siostrzane kluby, najstarsze z dwunastu na Prospect Avenue, są najbardziej ekskluzywne. Ich rywalizacja o najlepszych studentów z każdego rocznika ciągnie się już od 1886 roku.

– O tej porze już nie podają kolacji – mówi Gil, spoglądając na zegarek. – Przyniosę coś do jedzenia. – Otwiera frontowe drzwi i prowadzi nas głównymi schodami.

Minęło sporo czasu od mojej ostatniej wizyty w klubie. Ciemna dębowa boazeria i portrety na ścianach robią na mnie wrażenie. Po lewej znajduje się klubowa jadalnia, z długimi drewnianymi stołami i stuletnimi angielskimi krzesłami. W pokoju bilardowym po prawej stronie Parker Hassett gra sam ze sobą. Parker odgrywa w Ivy rolę wioskowego głupka. To potomek bogatej rodziny, który jest na tyle bystry, by zorientować się, że wszyscy uważają go za idiotę, i na tyle głupi, że wini za to wszystkich dookoła. Gra, poruszając kij obiema rękami, jak aktor z wodewilu tańczący z laseczką. Spogląda na nas, gdy przechodzimy, ale ignorujemy jego spojrzenie. Wchodzimy po schodach do biura zarządu klubu.

Gil puka dwa razy do drzwi i wchodzi, nie czekając na zaproszenie. Wkraczamy za nim do jasno oświetlonego pokoju. Brooks Franklin, solidnie zbudowany zastępca Gila, siedzi przy długim mahoniowym stole ciągnącym się od drzwi. Na stole stoi lampa od Tiffany'ego i telefon.

– Zawsze się cieszę, gdy was widzę – wita nas Brookes i uprzejmie nie zwraca uwagi, że Paul ma na sobie damskie ubranie. –

Parker właśnie opowiedział mi, jak zamierza się przebrać na jutrzejszą zabawę. Pomyślałem, że przydałoby mi się wsparcie.

Nie znam zbyt dobrze Brooksa, ale od kiedy chodziliśmy razem na wykłady z ekonomii na drugim roku, odnosi się do mnie jak do starego przyjaciela. Przypuszczam, że plany Parkera mają związek z sobotnim balem. Zgodnie z tradycją, kostiumy powinny nawiązywać do historii Princeton.

– Zesrasz się z śmiechu, Gil – odzywa się Parker, który pojawił się bez zapowiedzi. Teraz w jednej ręce trzyma papierosa, w drugiej kieliszek wina. – Przynajmniej ty masz poczucie humoru.

Parker mówi wyłącznie do Gila, zupełnie jakby Paula i mnie nie było. Widzę, jak Brooks kręci głową.

– Postanowiłem przebrać się za JFK – ciągnie Parker. – Moja dziewczyna nie będzie Jackie, tylko Marilyn Monroe.

– Tak, Tom – mówi do mnie. Widocznie dostrzegł na mojej twarzy wyraz zdziwienia. Gasi papierosa w popielniczce stojącej na stole. – Wiem, że Kennedy skończył Harvard, ale przez rok był tutaj.

Parker jest najnowszym produktem kalifornijskiej rodziny hodowców winogron i winiarzy, która od pokoleń wysyłała synów do Princeton i Ivy. Udało mu się pokonać bariery utrudniające dostanie się do tych dwóch instytucji tylko dzięki, jak to określa łagodnie Gil, energii rodziny Hassettów.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, Gil pochylił się do przodu.

– Słuchaj, Parker, nie mam czasu na takie rzeczy. Jeśli chcesz przyjść przebrany za Kennedy’ego, twoja sprawa. Postaraj się tylko

wykazać choć odrobiną dobrego smaku.

Parker, który najwyraźniej spodziewał się czegoś lepszego, obrzuca wszystkich spojrzeniem pełnym urazy i wychodzi, nadal trzymając kieliszek wina.

– Brooks – odzywa się Gil. – Możesz zejść na dół i spytać

– Alberta, czy zostało coś na kolację? Jeszcze nie jedliśmy, a bardzo nam się śpieszy.

Brooks od razu się zgadza. Jest idealnym wiceprezydentem – usłużnym, nieznużonym i lojalnym. Nawet gdy prośby Gila brzmią raczej jak polecenia, Brooks nigdy nie wydaje się zirytowany. Dziś po raz pierwszy mam wrażenie, że jest zmęczony; pewnie niedawno skończył pisać swoją rozprawę.

– Zresztą – dodaje Gil – lepiej będzie, jeśli oni zjedzą tutaj. Ja zejdę do jadalni. Możemy przy okazji zdecydować, jakie wina zamówić na jutro.

Miło było was spotkać, chłopaki. – Brooks żegna się z Paulem i ze mną, – Przepraszam za Parkera. Nie wiem, co go czasami napada.

– Czasami? – mruczę pod nosem. Brooks widocznie to słyszał, bo uśmiechnął się, zanim wyszedł.

– Kolacja będzie gotowa za parę minut – oznajmia Gil. – Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, jestem na dole. Możemy iść na wykład, gdy tylko będziesz gotowy – dodaje, zwracając się do Paula.

Przez sekundę po jego wyjściu nie mogę pozbyć się wrażenia, że Paul i ja popełniamy jakieś oszustwo. Siedzimy przy antycznym stole z mahoni w dziewiętnastowiecznej rezydencji, czekając, aż ktoś

przyniesie nam kolację. Gdybym dostał ćwierćdolarówkę za każdy raz, kiedy coś takiego zdarzyło mi się w Princeton, potrzebowałbym następnej, by zadzwonić jedną o drugą. Cloister Inn, klub, do którego należę, podobnie jak Charlie, to niewielki, prosty i przytulny budynek z kamienia. Gdy podłoga jest wypastowana i trawniki skoszone, jest to przyzwoite miejsce, by napić się piwa lub zagrać w bilard, ale nie może się równać z Ivy. Nasz kucharz myśli przede wszystkim o ilości, a nie o jakości, a w przeciwieństwie do naszych kolegów z Ivy jadamy jak popadnie, nie czekając, aż ktoś posadzi nas przy stole zgodnie z kolejnością przybycia. Co drugie krzesło jest z plastiku, wszystkie sztuczce można bez szkody zastąpić nowymi, a gdy czasami pozwolimy sobie na zbyt kosztowne zabawy lub opróżnimy za dużo beczek piwa, w piątek dostajemy na lunch hot dogi. Jesteśmy podobni do większości klubów. To Ivy jest wyjątkiem.

– Chodź ze mną na dół – mówi nagle Paul.

Nie jestem pewny, o co mu chodzi, ale idę. Mijamy witraż przy południowym podejściu, po czym schodzimy do sutereny. Paul prowadzi mnie korytarzem do pokoju prezydenta. Gil powinien być jedyną osobą mającą tam wstęp, ale gdy Paul narzekał, że nie może pracować nad rozprawą, bo nie ma spokoju w bibliotece, Gil dał mu kopię klucza, mając nadzieję, że w ten sposób skłoni go do powrotu do klubu. Paul, mający obsesję na punkcie pracy, uznał jednak, że Ivy nie jest dla niego atrakcyjna. Co innego duży i cichy pokój prezydenta, do którego mógł łatwo się dostać tunelami. Tej pokusie nie mógł się oprzeć. Kilku członków klubu protestowało, że Gil

zmienił najbardziej ekskluzywne pomieszczenie klubowe w schronisko, ale protesty szybko ucichły, bo Paul niemal zawsze przychodził i wychodził przez tunel. Gdy protestujący nie musieli go oglądać, najwyraźniej im nie przeszkadzał.

Zatrzymujemy się przed drzwiami. Paul przekręca klucz i wchodzi. Wślizguję się za nim. W środku czeka na mnie niespodzianka. Minęło wiele tygodni, od kiedy po raz ostatni byłem w tym pokoju. Jak tu zimno – to pierwsze, co sobie przypominam. Jesteśmy właściwie w piwnicy i temperatura nieprzyjemnie zbliża się do punktu zamarzania wody. Jeśli nawet jest to ekskluzywny pokój, teraz wygląda, jakby przeszła tędy lawina papieru. Na każdej poziomej powierzchni stoją sterty książek, niczym sterty rumoszu. Półki zastawione klubowymi książkami, pleśniejącą europejską i amerykańską klasyką, są niemal całkowicie zasłonięte encyklopediami, słownikami, monografiami, pismami historycznymi, mapami morskimi i planami architektonicznymi Paula.

Paul zamyka za nami drzwi. Za biurkiem znajduje się piękny kominek; bałagan w pokoju jest tak wielki, że niektóre pisma i książki leżą niebezpiecznie blisko paleniska. Mimo to Paul wydaje się zadowolony z wyniku szybkich oględzin pokoju: wszystko jest tam, gdzie było, gdy stąd wychodził. Podnosi z podłogi *Poezje* Michała Anioła, strzepuje okruchy farby z okładki i kładzie książkę na biurku. Sięga po zapalki leżące na gzymsie nad kominkiem, pochyla się nad paleniskiem i podpala stare gazety, obciążone drewnianymi szczapami.

– Dużo zrobiłeś – stwierdzam, przyglądając się rozłożonemu na biurku szczegółowemu planowi.

– To nic takiego. – Paul marszczy czoło. – Narysowałem kilkanaście takich jak ten i prawdopodobnie wszystkie są błędne. Robię to, gdy mam ochotę zrezygnować.

Plan przedstawia budynek wymyślony przez Paula na podstawie ruin budowli opisanych w *Hypnerotomachii*; złamane łuki znów szybują w górę, strzaskane fundamenty ponownie dźwigają mury, kolumny i kapitele odzyskały dawną świetność. Na biurku leży cała sterta takich planów – wszystkie budynki zostały złożone z kawałków pochodzących z wyobraźni Colonna, każdy jest inny od pozostałych. Paul stworzył otoczenie, w którym żyje, swoje własne Włochy. Na ścianach wiszą rysunki i szkice; niektóre są zasłonięte przyczepionymi do nich notatkami. To prawdziwe plany architektoniczne, wymiary podane są w nieznanym mi jednostkach, proporcje zaś tak ścisłe, a pismo tak staranne, że można by pomyśleć, iż są to rysunki komputerowe. Paul twierdzi, że nie ufa komputerom, ale tak naprawdę nigdy nie było go stać nawet na peceta. Curry chciał mu go kupić, ale Paul uprzejmie odrzucił tę propozycję. Wszystkie plany narysował sam.

– Co to za budowle? – pytam.

– To budynek, który projektuje Francesco.

Niemal zapomniałem, że Paul ma zwyczaj mówić o Colonnii w czasie teraźniejszym, zawsze używając imienia.

– Jaki budynek?

– Krypta. Z pierwszej połowy *Hypnerotomachii* wynika, że projektuje grobowiec. Pamiętasz?

– Oczywiście. Myślisz, że miał wyglądać tak jak ten? – pytam, wskazując na plan.

– Nie wiem. Zamierzam się jednak dowiedzieć.

– Jak? – W tym momencie przypominam sobie, co powiedział Curry w muzeum. – Czy do tego potrzebujesz geodetów? Zamierzasz go ekshumować?

– Być może...

– Odkryłeś zatem, dlaczego Colonna go zbudował?

To było kluczowe pytanie, do jakiego doszliśmy tuż przed przerwaniem wspólnej pracy. Tekst *Hypnerotomachii* zawiera tajemnicze aluzje do krypty, jaką budował Colonna, ale nie mogliśmy uzgodnić poglądów na temat jej natury. Paul wyobrażał sobie renesansowy grobowiec rodziny Colonna, który być może miał rywalizować z papieskimi grobowcami, jakie w tym czasie projektował Michał Anioł. Ja usiłowałem powiązać kryptę z *Listem o belladonie*, dlatego wyobrażałem sobie, że miała być miejscem spoczynku ofiar Colonne. Ta teoria wyjaśniała, dlaczego projekt był tak wielką tajemnicą. Colonna nigdzie nie opisał dokładnie budynku i nie podał jego lokalizacji, co było istotną luką w badaniach Paula w chwili, gdy ja się wycofałem.

Paul nie ma czasu odpowiedzieć na moje pytanie, bo ktoś puka do drzwi.

– Przenieśliście się – stwierdza Gil. Za nim do pokoju wchodzi kelner.

Gil zatrzymuje się tuż za progiem. Rozgląda się po pokoju Paula jak mężczyzna w łazience kobiety, nieśmiało, lecz z zaciekawieniem. Kelner podchodzi do stołu i rozkłada dwa nakrycia na serwetkach, z trudem wyszukując miejsce między książkami. Gil i kelner przynieśli dwa porcelanowe talerze zjedzeniem, dzbanek wody, koszyk chleba, szklanki i sztucce.

– Ciepły, wiejski chleb – oznajmia kelner, stawiając koszyk na stole.

– Steki z papryką – naśladuje go Gil. – Czy podać coś jeszcze?

Kręcimy głowami. Gil znów rozgląda się po pokoju, po czym wraca na górę. Kelner nalewa wodę do szklanek.

– Czy podać jeszcze coś do picia? – pyta.

Gdy odmawiamy, on również znika.

Paul błyskawicznie zjada kolację. Gdy patrzę, jak je, przypominam sobie, jak naśladował Olivera Twista podczas naszego pierwszego spotkania. Zrobił wtedy miseczkę z dłoni. Czasami zastanawiam się, czy z całego dzieciństwa Paul najlepiej nie zapamiętał głodu. W szkole parafialnej, w której się wychowywał, dzielił stół z sześciorgiem innych dzieci. Kto przychodził pierwszy, pierwszy dostawał posiłek. Jeśli nie starczyło dla wszystkich, to trudno. Nie jestem pewny, czy kiedykolwiek pozbył się tego nawyku. Podczas pierwszego roku, gdy jadalśmy wszyscy razem

w akademiku, Charlie żartował kiedyś, że Paul je tak szybko, jakby jedzenie było rzeczą niemodną.

Później Paul wyjaśnił nam, dlaczego tak się zachowuje, i już nigdy z tego nie żartowaliśmy.

Paul sięga po kromkę chleba, oddając się rozkoszy jedzenia. Zapach pieczywa i steków miesza się z wilgotną stęchlizną książek i dymem z kominka. W innych okolicznościach byłoby to zapewne przyjemne, ale teraz czuję się nieswojo, budzi to zbyt wiele różnych skojarzeń. Paul, jakby czytał w moich myślach, uświadamia sobie, co robi, i wydaje się zawstydzony.

– Proszę – mówię, podając mu koszyk.

Ogień w kominku dogasa. W rogu pokoju widać otwór w ścianie wielkości windy kuchennej – to wejście do tunelu, ulubionej drogi Paula.

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż się tędy przeciskasz.

– To lepsze niż spotkania ze wszystkimi na górze – odpowiada, odkładając widelec.

– Czuję się tu jak w lochu.

– Wcześniej ci to nie przeszkadzało.

Słyszę, jak odżywa stara kłótnia. Paul szybko wyciera usta serwetką.

– Nic nie powiedziałem – mówi i kładzie na stole między nami dziennik. Stuka dwoma palcami w okładkę i popycha w moim kierunku. – Teraz liczy się tylko to. Mamy szansę skończyć to, co

zaczęliśmy. Richard uważa, że dziennik może być kluczem do rozwiązania zagadki.

– Może powinieneś pokazać go Taftowi – odpowiadam, pocierając palcem płamę na stole. Paul patrzy na mnie przez chwilę szeroko otwartymi oczami.

– Vincent uważa, że wszystko, do czego doszliśmy razem, nie ma żadnej wartości. Zmusza mnie do przedstawiania postępów w pracy dwa razy w tygodniu, po prostu żeby sprawdzić, czy nie zrezygnowałem. Mam dość jeżdżenia do instytutu za każdym razem, gdy potrzebuję jego pomocy, by wysłuchiwać, że to, co robię, nie jest oryginalne.

– Nie jest oryginalne?

– Na dokładkę groził, że poinformuje wydział, że nic nie robię.

– Po wszystkim, co odkryliśmy?

– To nie ma znaczenia. Nic mnie nie obchodzi, co on o tym sądzi – stwierdza Paul i znowu puka palcami w dziennik. – Chcę skończyć.

– Jutro mija termin.

– Razem zrobiliśmy przez trzy miesiące więcej niż ja sam przez trzy lata. Jakie znaczenie ma jeszcze jedna noc? Poza tym, termin nie jest ważny – dodał już do siebie.

Jestem zdziwiony jego słowami, ale z pewnością trudno mu zapomnieć o krytyce Tafta. Musiał wiedzieć, że tak będzie. Czuję większą dumę z pracy nad *Hypnerotomachią* niż ze wszystkiego, co zrobiłem, gdy pisałem swoją rozprawę.

– Taft zwariował – zapewniam Paula. – Nikomu jeszcze nie udało się rozwikłać tak wielu problemów w tej książce.

– Dlaczego nie zażadasz zmiany promotora?

Paul kruszy chleb i lepi z niego małe kulki.

– Sam zadaję sobie to pytanie – odpowiada, patrząc gdzieś w bok. – Czy wiesz, ile razy przechwalał się, że zrujnował karierę uniwersytecką jakiegoś durnia, pisząc negatywne recenzje lub rekomendacje? Nigdy nie mówił o twoim ojcu, ale o innych jak najbardziej. Pamiętasz profesora Macintyre’a z filologii klasycznej? Pamiętasz jego książkę o *Odzie na urnę grecką* Keatsa?

Kiwam głową. Taft napisał artykuł o spadku poziomu naukowego na znanych uniwersytetach, używając jako głównego przykładu książki Macintyre’a. W trzech akapitach Taft wskazał więcej błędów faktograficznych, pomyłek i przeoczeń niż kilkunastu innych recenzentów. Pozornie obiektem jego krytyki byli właśnie recenzenci, lecz książka Macintyre’a stała się przedmiotem tyłu szyderstw, iż autor nie otrzymał stałej posady i musiał odejść z Princeton. Taft przyznał później, że chciał zemścić się na jego ojcu, historyku włoskiego renesansu, który napisał kiedyś niezbyt entuzjastyczną recenzję jego książki.

– Vincent opowiedział mi taką anegdotę – ciągnie Paul spokojniejszym tonem. – O chłopcu, którego znał w dzieciństwie. Nazywał się Rodge Lang. W szkole przezywali go Epp. Pewnego dnia bezpański pies poszedł za nim, gdy Epp wracał ze szkoły do domu. Epp pobiegł, ale pies go dogonił. Epp rzucił mu resztki lunchu, ale

pies nadal się go trzymał. Wreszcie spróbował przegonić go kijem, lecz pies nie rezygnował. Epp zaczął wymyślać różne rzeczy. Poprowadził psa przez jałowce. Pies szedł za nim. Rzucił w niego kamieniem, ale pies nie dał się odpędzić. W końcu Epp go kopnął. Pies nie uciekł. Epp kopnął go jeszcze raz, i jeszcze raz. Pies się nie ruszał. Epp kopał go tak długo, aż wreszcie pies zdechł. Wtedy go podniósł i pochował pod swoim ulubionym drzewem.

– Cholera, i jaki z tego morał? – pytam po chwili. Jestem tak zaszokowany, że z trudem mówię.

– Według Vincenta, chodzi o to, że Epp w końcu zrozumiał, co to znaczy lojalność.

Przez chwilę milczymy.

– Według Tafta to było śmieszne?

– Vincent opowiedział mi wiele historyjek o Eppie. – Paul kręci głową. – Wszystkie są w tym stylu.

– Jezu, dlaczego?

– Sądzę, że według niego to coś w rodzaju przypowieści.

– Przypowieści, jakie sam wymyśla?

– Nie jestem pewny – zawahał się Paul. – Rodge Epp Lang to anagram „doppelganger”, czyli sobowtór.

Mam ochotę zwymiotować.

– Myślisz, że on sam to zrobił?

– Zabił psa? Kto wie? Mógł. Chodzi jednak o to, że nas łączy taka sama relacja. To ja jestem psem.

– Do diabła, więc dlaczego wciąż z nim pracujesz?

Paul znowu nerwowo ugniata chleb.

– Podjąłem decyzję. Muszę trzymać się Vincenta, bo tylko w ten sposób mogę skończyć rozprawę. Mówię ci, Tom, moim zdaniem to będzie jeszcze większa sensacja, niż sądziliśmy. Krypta Francesca jest tak blisko. Od wielu lat nikt nie dokonał podobnego odkrycia. Oprócz twojego ojca nikt nie zna *Hypnerotomachii* tak dobrze jak Vincent. Potrzebowałem go, a on o tym wiedział – zakończył i rzucił okruchy na talerz. W drzwiach pojawia się Gil.

– Skończyłem – mówi, jakbyśmy na niego czekali. – Możemy iść.

Paul wydaje się zadowolony z okazji do zakończenia rozmowy. Czuje się winny, że nie zareagował na zachowanie Tafta. Wstaje i zaczynam zbierać talerze.

– Zostaw to – macha ręką Gil. – Przyślą kogoś z kuchni.

Paul szybko otrzepuje dłonie. Okruszki sypią się z jego palców, jakby zmieniał skórę. Wychodzimy z klubu.

Śnieg wyraźnie zgęstniał, mam wrażenie, że zamiast świata widzę biały szum zakłóceń na ekranie telewizora. Gil jedzie na zachód, w kierunku audytorium. Spoglądam na odbicie twarzy Paula w bocznym lusterku i zastanawiam się, jak długo dusił to wszystko w sobie. Jedziemy od jednej latarni ulicznej do drugiej i przez większą część czasu jego twarz ginie w cieniu.

W rzeczywistości Paul zawsze miał swoje sekrety, z których nam się nie zwierzał. Przez lata ukrywał prawdę o swoim

dzieciństwie, wszystkie szczegóły koszmaru w szkole parafialnej. Teraz nic nie mówi o swoich stosunkach z Taftem. Choć jesteśmy sobie bliscy, istnieje między nami pewien dystans, mamy wiele wspólnego, pamiętamy jednak, że lepiej nie przekraczać pewnych granic. Leonardo napisał, że malarz powinien zaczynać pracę od pomalowania płótna na czarno, ponieważ wszystkie rzeczy na świecie są ciemne, chyba, że padnie na nie światło. Większość malarzy postępuje dokładnie odwrotnie – zaczynają od białego płótna, a cienie dodają na końcu. Paul, który zna Leonarda tak dobrze, jakby przyjaźnił się z nim przez całe życie, dobrze rozumie, dlaczego warto zaczynać od cieni. Jedyne, czego inni mogą się o tobie dowiedzieć, to to, co Pozwolisz im zobaczyć.

Zapewne nie zrozumiałbym tego do końca, gdyby nie pewna interesująca historia, która zdarzyła się w kampusie kilka lat przed naszym przybyciem. Obaj zwróciliśmy na nią uwagę. Pewien dwudziestodziewięcioletni złodziej rowerów, nazwiskiem James Hogue, dostał się do Princeton, udając osiemnastoletniego kowboja z Utah. Twierdził, że przeczytał Platona, leżąc pod gwiazdami, i potrafi przebiec milę w cztery minuty i kilka sekund. Trener uniwersyteckiej drużyny lekkoatletycznej zaprosił go na próbę. Po przyjeździe Hogue powiedział, że po raz pierwszy od dziesięciu lat spał pod dachem. Biuro Przyjęć dało się oczarować i Hogue został przyjęty. Gdy odłożył rozpoczęcie studiów o rok, nikt się nad tym specjalnie nie zastanawiał. Hogue powiedział, że musi pojechać do

Szwajcarii, by zająć się chorą matką. W rzeczywistości odsiadywał wyrok.

To oszustwo było tak intrygujące, ponieważ z tego, co Hogue mówił, połowa to były kłamstwa, natomiast połowa była mniej więcej zgodna z prawdą. Rzeczywiście biegał tak dobrze, jak twierdził, i przez dwa lata był gwiazdą drużyny lekkoatletycznej. Bryłował również w klasie – za żadne pieniądze nie zapisałbym się na tyle wykładów, co on, a na dokładkę miał znakomite stopnie. Był tak czarujący, że już na drugim roku Ivy Club zaproponował mu członkostwo. Wielu ludzi bardzo żałowało, że jego kariera została gwałtownie przerwana. Zupełnie przypadkowo pewien kibic rozpoznał go podczas zawodów lekkoatletycznych. Tajemnica się wydała, uniwersytet zarządził dochodzenie i policja zatrzymała Hogue'a w trakcie zajęć w laboratorium. Został oskarżony o oszustwo i przyznał się do winy. Znowu trafił do więzienia i nie wiadomo, co się z nim później działo.

Historia Hogue'a była dla mnie największą sensacją prasową tamtego lata; mogło z nią rywalizować tylko odkrycie, że wiosną „Playboy” poświęcił cały numer studentkom z Ivy League. Dla Paula miała ona jednak głębsze znaczenie. On również lubił ozdabiać swoje życie politurą fikcji: udawał, że jest najedzony, gdy chodził głodny, i że nie ma komputera, bo nie lubi go używać. Łatwo mógł utożsamić się z człowiekiem, który uważał, że prawda go terroryzuje. Jedną z niewielu zalet pochodzenia ze społecznej pustki, jest swoboda wymyślania samego siebie. W rzeczywistości, im lepiej poznawałem

Paula, tym lepiej rozumiałem, że nie jest to wolność, lecz raczej konieczność.

Los Hogue'a skłonił jednak Paula do zastanowienia się, gdzie przebiega granica między wymyślaniem siebie i oszukiwaniem innych. Od kiedy przyjechał do Princeton, bardzo uważał, by jej nie przekroczyć; miał swoje sekrety, ale nie kłamał. Gdy się nad tym zastanawiam, znów czuję dawny lęk. Ojciec, który zrozumiał, dlaczego *Hypnerotomachia* miała na niego tak uwodzicielski wpływ, porównał kiedyś tę książkę do związku z kobietą. „Pod jej wpływem zaczynasz kłamać, powiedział, okłamujesz nawet siebie”. Rozprawa Paula mogła być takim właśnie samooszustwem. Przez cztery lata pracy pod kierunkiem Tafta Paul podskakiwał na każde życzenie książki, cierpiał przez nią na bezsenność i ciężko harował, ale nie mogłem wykluczyć, że jego trudy nie zostały nagrodzone.

Znów spoglądam w lustro. Paul patrzy, jak wirują płatki śniegu. Jego oczy wydają się puste, jest blady. Przed nami miga żółte uliczne światło. Mój ojciec nauczył mnie jeszcze czegoś, choć nigdy o tym nie mówił: nigdy nie angażuj się w nic tak głęboko, żeby porażka pozbawiła cię szczęścia. Paul gotów był sprzedać ostatnią koszulę za garść magicznych nasion fasoli. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, czy pojawią się młode pędy.

Rozdział 9

To chyba mama powiedziała kiedyś, że dobry przyjaciel pomaga, gdy tylko go poprosisz, natomiast naprawdę wielki przyjaciel rusza na pomoc, nim się do niego zwrócisz. W życiu człowieka wielki przyjaciel jest tak rzadkim zjawiskiem, że gdy się pojawia, wydaje się to sprzeczne z naturą.

Nasza czwórka spotkała się pewnej chłodnej, jesiennej nocy niedługo po rozpoczęciu pierwszego roku studiów. Paul i ja już spędzaliśmy dużo czasu razem, a Charlie – który przedstawił się zaraz pierwszego dnia, wkraczając do pokoju Paula, by zaproponować, że pomoże mu się rozpakować – mieszkał w jednoosobowym pokoju w końcu korytarza. Charlie uważał, że nie ma nic gorszego niż samotność, dlatego zawsze szukał nowych przyjaciół.

Paul od razu się najeżył na widok tego dzikiego, narzucającego się osobnika, który wciąż walił pięścią w drzwi jego pokoju, by zaproponować jakąś przygodę. Atletyczna budowa Charliego budziła w nim lęk, zupełnie jakby w dzieciństwie terroryzował go ktoś podobny. Sam byłem zdziwiony, że Charlie nie miał nas dość, gdyż wydawaliśmy się zbyt stateczni jak na jego potrzeby. Przez niemal cały pierwszy semestr byłem przekonany, że wkrótce znajdzie sobie kolegów bardziej podobnych do siebie i zerwie z nami kontakty. Uznałem go za bogatego przedstawiciela mniejszości. Wyobrażałem sobie, że mógłby mieć matkę neurochirurga, ojca menedżera, w prywatnej szkole miał więcej korepetytorów niż kłopotów, a do

Princeton przyjechał bez żadnego pomysłu na życie – zamierza się tylko zabawić i skończyć studia z przeciętnymi ocenami.

Dziś mnie to śmieszy. W rzeczywistości Charlie wychował się w centrum Filadelfii, był ochotnikiem w pogotowiu ratunkowym i jeździł na wezwania do najbardziej zagrożonych przestępczością dzielnic miasta. Chodził do szkoły publicznej, jego ojciec był przedstawicielem handlowym firmy chemicznej ze Wschodniego Wybrzeża, a matka nauczycielką przyrody w szkole średniej. Gdy starał się o przyjęcie na studia, rodzice powiedzieli mu otwarcie, że z ich strony może liczyć tylko na chesne w stanowym uniwersytecie. Jeśli chce studiować gdzieś indziej, musi sam dorobić. Nim jeszcze Charlie pojawił się w kampusie, zdążył zaciągnąć więcej pożyczek studenckich niż my wszyscy do końca studiów. Nawet Paul, który pochodził z jeszcze biedniejszego środowiska, był w lepszej sytuacji – jego nędza była tak oczywista, że otrzymał pełne stypendium.

Może właśnie dlatego żaden z nas – zapewne z wyjątkiem Paula podczas jego miesiąca bezsenności, gdy zbliżał się termin ukończenia rozprawy – nie spał mniej niż Charlie i nie pracował więcej od niego. Charlie oczekiwał, że jego inwestycje przyniosą zysk, i by uzasadnić poniesione ofiary, godził się na następne. Nie było mu łatwo zachować poczucie tożsamości na uczelni, gdzie tylko co piętnasty student jest czarny, a jedynie połowa z nich to mężczyźni. Jednak gdy chodzi o poczucie tożsamości, Charlie był bardzo daleki od wszelkich konwencji. Miał przebojową osobowość i niezłomne poczucie celu.

Od Początku odniosłem wrażenie, że żyjemy w jego świecie, a nie naszym.

Oczywiście nie wiedzieliśmy tego wszystkiego w ten październikowy wieczór, zaledwie sześć tygodni od pierwszego spotkania, gdy Charlie zapukał do Gila, by przedstawić swój śmiały plan. Mniej więcej od czasów wojny domowej studenci Princeton mają zwyczaj wykradania serca dzwonu wiszącego w Nassau Hall, najstarszym budynku uniwersytetu. Pierwotnie chodziło o to, że jeśli dzwon nie ogłosi początku nowego roku akademickiego, to nowy rok nie będzie mógł się zacząć. Nie wiem, czy ktokolwiek wierzył w to wyjaśnienie, ale wykradanie serca dzwonu stało się miejscową tradycją. Studenci próbowali różnych metod, od wytrychów do wspinaczki po wieży. Po ponad stu latach walki administracja uznała, że ma już dość, a poza tym bała się procesu, gdyby komuś coś się stało, dlatego ogłosiła, że serce dzwonu zostało usunięte. Charlie twierdził jednak, że to nieprawda. Według niego komunikat władz uniwersyteckich był tylko wybiegiem, a serce pozostało na miejscu. Tej nocy, z naszą pomocą, Charlie zamierzał je wykraść.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że propozycja, bym wziął udział we włamaniu do historycznego budynku, posługując się wykradzionymi kluczami, a następnie uciekał na niesprawnej nodze – a wszystko to w imię zdobycia bezwartościowego serca dzwonu i pięciu minut sławy w kampusie – nie wydawała mi się rewelacyjnym pomysłem. Jednak im dłużej Charlie mnie przekonywał, tym bliższy byłem przejścia na jego stronę. Skoro studenci dwóch najwyższych lat zajęci

są pracami badawczymi i rozprawami, a drugorocznicy myślą tylko o wyborze kierunku studiów i klubu, to jedynie pierwszorocznicy mogą odważyć się na podjęcie akcji i zaryzykować wpadkę. Dziekani nigdy nie potraktują nas łagodniej niż teraz, dowodził Charlie. Gdy stwierdził, że potrzeba do tego trzech osób, nie mniej, zgodnie uznaliśmy, że jedyny uczciwy sposób rozstrzygnięcia dylematu to głosowanie. W tym budującym teście demokracji osiągnęliśmy minimalną większość nad Paulem, on zaś nigdy nie był skłonny do prowokowania kontrowersji, dlatego się poddał. My dwaj mieliśmy stać na czatach, podczas gdy Charlie będzie realizował swój plan. Opracowaliśmy scenariusz ataku, postaraliśmy się o czarne łachy i o północy ruszyliśmy do Nassau Hall.

Jak już powiedziałem, nowy Tom – ten, który przeżył wypadek samochodowy – był odważniejszy i bardziej skłonny do przygód niż przypominający mimożąd stary Tom. Chciałbym jednak jasno powiedzieć: stary czy nowy, nie jestem komandosem. Przez godzinę od dotarcia do Nassau Hall stałem na swoim posterunku, pocąc się z napięcia, bojąc się każdego cienia i dygocząc ze strachu na każdy dźwięk. Kłopoty zaczęły się wkrótce po pierwszej. Gdy pierwsze kluby zakręciły na noc beczki z piwem, studenci i policja zaczęli stopniowo wracać do kampusu. Charlie zapewniał, że o tej porze już dawno nie będzie nas w Nassau Hall, ale teraz nigdzie go nie widziałem.

– Co on tam robi tak długo? – syknąłem do Paula.

Żadnej odpowiedzi.

Zrobiłem krok w ciemnościach i zawołałem Paula ponownie, wypatrując go wśród cieni.

– Co on tam robi?

Zajrzałem za róg. Nigdzie go nie widziałem. Frontowe drzwi do budynku były otwarte na oścież.

Podbiegłem do wejścia. Gdy wsadziłem głowę do środka, usłyszałem głosy Charliego i Paula.

– Nie ma go tam – powiedział Charlie.

– Pośpieszcie się! – przynagliłem ich. – Już wracają. Nagle w ciemnościach za plecami rozległ się ostry głos:

– Policja! Stać!

Odwróciłem się przerażony. Charlie nagle zamilkł. Pewnie się przesłyszałem, bo wydawało mi się, że Paul zaklął.

– Połóżcie ręce na karku! – usłyszeliśmy polecenie.

Myśli zmaciły mi się w głowie. Wyobrażałem sobie czasowe zawieszenie, naganę dziekana, relegację.

– Połóżcie ręce na karku! – powtórzył policjant ostrzejszym tonem.

Wykonałem rozkaz.

Przez chwilę panowała cisza. Na próżno wyteżałem wzrok, by dostrzec w ciemnościach policjanta. Nagle usłyszałem głośny śmiech.

– Rozluźnij się, mały. Zatańcz.

Z cienia wyłonił się jakiś student. Znowu się zaśmiał. Zbliżał się, dość niepewnie tańcząc rumbę. Wyższy ode mnie, a niższy od Charliego, miał opadające na twarz, ciemne włosy. Był ubrany

w elegancki czarny blezer i wykrochmaloną koszulę ze zbyt wieloma rozpiętymi guzikami.

Charlie i Paul ostrożnie wyszli z budynku, z pustymi rękami.

– A więc to prawda? – powiedział tamten z uśmiechem i podszedł do nich.

– O co ci chodzi? – warknął Charlie, jednocześnie obrzucając mnie wściekłym spojrzeniem.

– O dzwon! – Nieznajomy wskazał ręką w górę. – Naprawdę usunęli serce?

Charlie nie odpowiedział, ale Paul kiwnął głową. Jeszcze nie ochłonął po tej przygodzie.

Nasz nowy znajomy namyślał się przez chwilę.

– Ale byliście na wieży? – upewnił się. Zaczynałem rozumieć, do czego zmierza.

– No, to nie możecie po prostu stąd odejść.

W jego oczach pojawiły się psotne błyski. Charlie z każdą sekundą lubił go coraz bardziej. Chwilę później znów stałem na posterunku przy wschodnim wejściu, a tamci trzej znikli w środku.

Gdy wrócili po kwadransie, byli w samych majtkach.

– Co wy wyprawiacie?! – wykrzyknąłem.

Podeszli do mnie, trzymając się pod ręce i podskakując. Gdy spojrzałem na wieżę, dostrzegłem trzy pary spodni powiewających na wiatromierzu.

Wyjąkałem, że musimy wracać do domu, ale oni wymienili spojrzenia i szybko mnie zakrzyczeli. Obcy nalegał, że musimy pójść

do klubu i uczcić sukces. „Pora na kilka toastów w Ivy”, powiedział, zdając sobie sprawę, że o tej porze na Prospect Avenue spodnie nie są obowiązkowym elementem stroju. Charlie chętnie się zgodził.

Po drodze do Ivy nasz nowy znajomy opowiadał nam o kawałach, jakie robił w szkole średniej: zabarwienie wody w basenie na czerwono z okazji walentynek, wypuszczenie w klasie karaluchów podczas lekcji na temat Kafki, zawieszenie nad teatrem gigantycznego, nadmuchiwanego penisa w dniu premiery *Tytusa Andronicusa*, co wywołało wielki skandal. Musiałem przyznać, że była to imponująca lista. On również studiował na pierwszym roku. Nazywał się Preston Gilmor Rankin, skończył Exeter.

– Ale – dodał, co pamiętam do dziś – mówcie do mnie Gil.

Oczywiście Gil bardzo się od nas różnił. Teraz myślę, że przyjechał do Princeton do tego stopnia przyzwyczajony do bogactwa w Exeter, że pieniądze i związany z nimi wysoki status społeczny nie robiły już na nim wrażenia. W jego oczach znaczenie miał tylko charakter i zapewne z tego powodu Gil natychmiast polubił Charliego, a za jego pośrednictwem również nas. Dzięki swojemu urokowi zawsze potrafił łagodzić konflikty. Muszę przyznać, że w jego towarzystwie czułem się tak, jakbym był w centrum zdarzeń.

Podczas posiłków i przyjęć zawsze rezerwował dla nas miejsca, lecz Paul i Charlie szybko uznali, że jego idea życia towarzyskiego niezbyt im odpowiada. Ja najbardziej lubiłem siedzieć z nim przy stole w sali jadalnej lub barze w Ivy Club, sam na sam lub w towarzystwie. Paul czuł się najlepiej w sali wykładowej lub gdy czytał, Charlie

w karetce pogotowia, natomiast żywiołem Gila była konwersacja, a cała reszta guzik go obchodziła. Wśród najbardziej pamiętnych nocy w Princeton wiele jest takich, które spędziłem w jego towarzystwie.

Wiosną, na drugim roku studiów, przyszła pora, byśmy wybrali kluby, a kluby wybrały nas. W tym czasie większość klubów wybierała nowych członków drogą loterii: kandydaci wpisywali się na otwartą listę i przeprowadzano losowanie. Kilka klubów zachowało jednak stary system, znany jako selekcja. Takie kluby wybierają nowych członków, kierując się oceną ich zasług, nie zaś czysto przypadkowo. Kryteria oceny bywają różne i na ogół nie przypominają słownikowej definicji „zasługi”. Charlie i ja zapisaliśmy się na loterię w Cloister Inn, gdzie należało wielu naszych znajomych. Gil, oczywiście, przystąpił do selekcji. Paul, pod wpływem Richarda Curry’ego, dawnego członka Ivy, postanowił zapomnieć o ostrożności i również wziął udział w rywalizacji.

Od początku wydawało się oczywiste, że Gil jest pewniakiem. Spełniał wszelkie możliwe kryteria: był synem byłego członka klubu, w kampusie obracał się we właściwym towarzystwie. Przystojny, efektowny, daleki jednak od efekciarstwa, śmiały, ale zawsze dżentelmen, inteligentny, lecz z pewnością niepasujący do stereotypu mola książkowego. Jego ojciec był bogatym maklerem giełdowym i wyznaczył jedynemu synowi skandalicznie wysoką pensję, co oczywiście nie zaszkodziło szansom Gila na wybór do klubu. Nikt nie był zdziwiony, gdy Gil wiosną został przyjęty do Ivy, a rok później wybrano go na prezydenta klubu.

O wyborze Paula zdecydowała zupełnie odmienna logika. Niewątpliwie miało znacznie, że w jego narożniku byli Gil i – nieco dalej – Richard Curry, namawiający do głosowania na Paula ludzi, z którymi ten nigdy nie nawiązałby kontaktu. Jednak nie tylko te znajomości zdecydowały o jego sukcesie. Paul cieszył się już wówczas opinią intelektualnego luminarza naszego rocznika. W odróżnieniu od kujonów, którzy nie wychylali nosa z biblioteki Firestone, Paul wykazywał ciekawość świata, dzięki czemu rozmowa z nim była przyjemnością. Studenci z wyższych sfer w Ivy najwyraźniej dostrzegli coś uroczego w kandydacie, który nie potrafił prowadzić standardowych dialogów rodem z kampanii wyborczej, natomiast mówił o klasycznych autorach, używając ich imion, i znał ich tak dobrze, że ten zwyczaj wydawał się uzasadniony. Paul nie był nawet szczególnie zdziwiony, gdy został przyjęty. Kiedy tego wiosennego wieczoru wrócił nasiąknięty szampanem, pomyślałem, że znalazł nowy dom.

Przez pewien czas Charlie i ja obawialiśmy się, że magnetyzm życia klubowego odciągnie tych dwóch od nas. Na dokładkę w tym czasie na życie Paula silny wpływ zaczął wywierać Richard Curry. Paul poznał go podczas pierwszego roku studiów, gdy przyjąłem zaproszenie Curry'ego na kolację w Nowym Jorku. Zainteresowanie, jakie okazywał mi po śmierci ojca, zawsze wydawało mi się dziwne i egoistyczne. Nigdy nie wiedziałem, który z nas pełni rolę zastępczą – ojciec bez dziecka czy dziecko bez ojca. Zaproponowałem zatem Paulowi, żeby się do nas przyłączył, chciałem go wykorzystać

w charakterze bufora. Wypadło to lepiej, niż zamierzałem. Ci dwaj natychmiast nawiązali kontakt. Curry zawsze sprawiał wrażenie, że ma wysokie mniemanie o moich możliwościach, które, jak twierdził, podzielał mój ojciec. Teraz jego wizja doczekała się natychmiastowej realizacji w osobie Paula. Na dodatek Paul interesował się *Hypnerotomachią*, co przypomniało Curry'emu o wspaniałych dniach, kiedy pracował nad tą książką razem z Taftem i moim ojcem. Semestr później zaproponował, że sfinansuje letni wyjazd Paula do Włoch, by tam mógł prowadzić swoje badania. W tym okresie zacząłem się już niepokoić intensywnością jego poparcia dla Paula.

Obawy Charliego i moje, że stracimy dwóch przyjaciół, szybko zostały rozwiane. Pod koniec trzeciego roku to Gil zaproponował, byśmy od początku nowego roku akademickiego zamieszkali razem. To oznaczało, że był gotowy zrezygnować z pokoju prezydenta Ivy i mieszkać z nami w kampusie. Paul natychmiast się zgodził. W loterii mieszkaniowej szczęście niezbyt nam dopisało i tak wylądowaliśmy w północnym skrzydle Dod. Mieliśmy do wyboru dwa mieszkania. Charlie twierdził, że mieszkanie na trzecim piętrze zmusi nas do ćwiczeń fizycznych, ale górę wziął zdrowy rozsądek i wygoda. W ten sposób naszym domem podczas ostatniego roku studiów w Princeton stał się apartament na parterze, o którego należyte wyposażenie zadbał Gil.

Gdy Gil, Paul i ja wchodzimy na dziedziniec między uniwersytecką kaplicą i salą wykładową, widzimy dziwną scenę.

Wokół dziedzińca, na śniegu, stoi kilkanaście otwartych namiotów, a pod każdym długi stół z jedzeniem. Od razu rozumiem, co to oznacza, ale nie mogę w to uwierzyć. Organizatorzy wykładu najwyraźniej zamierzają podawać jedzenie i napoje na zewnątrz.

Zupełnie jak podczas wiejskiego festynu tuż przed huraganem, przy stolikach nie ma żywego ducha. Ziemia w namiotach to błoto z kępkami trawy. Białe obrusy trzepoczą na wietrze, utrzymują je na miejscu ciężkie termosy z czekoladą i kawą oraz tace z ciastkami i herbatnikami, zawinięte w ochronny plastik. Cichy dziedziniec wygląda tak, jakby nagła katastrofa spowodowała śmierć mieszkańców miasta, takie prowizoryczne Pompeje.

– To chyba jakiś kawał – mówi Gil, parkując samochód.

Wysiadamy i idziemy w kierunku sali wykładowej. Po drodze Gil potrząsa masztem najbliższego namiotu. Cała struktura dygocze. – Ciekawe, co Charlie na to powie.

Jak na zawołanie w drzwiach sali wykładowej pojawia się Charlie. Z jakiegoś powodu zbiera się do wyjścia.

– Hej, Chuck! – wołam, gdy się zbliżamy. Wskazuję ręką dziedziniec. – Jak ci się to podoba?

Charlie ma jednak inne sprawy na głowie.

– Niby jak mam się dostać do audytorium? – pyta gniewnie Gila.
– Jacyś idioci posadzili przy wejściu dziewczynę, która nie chce mnie wpuścić.

Gil przytrzymuje drzwi, żebyśmy mogli wejść do środka. Dobrze wie, że ci „idioci”, o których myśli Charlie, to Ivy Club. Trzy

studentki z Ivy, jako współprzewodniczące największej organizacji chrześcijańskiej w kampusie, są odpowiedzialne za organizację uroczystości wielkanocnych.

– Uspokój się – mówi do Charliego. – Pewnie myślały, że Cottage próbuje zrobić jakiś kawał. Po prostu chciały od razu zająć się problemem.

Charlie robi wymowny gest.

– Niewiele brakowało, a powiedziałbym, by zajęły się tym problemem.

– Wspaniale – mówię, myśląc o ciepłym audytorium. Moje buty zdążyły już przemoknąć. – Może lepiej wejdźmy do środka.

Przy długim stole na podeście schodów siedzi utapirowana blondynka z zimową opalenizną narciarza i już kręci głową. Gdy za nami pojawia się Gil, wszystko natychmiast się zmienia. Dziewczyna patrzy z zakłopotaniem na Charliego.

– Nie wiedziałam, że przyszedłeś z Gilem... – zaczyna.

Słyszę, jak na sali profesor Henderson w wydziale literatury przedstawia słuchaczom Tafta.

– Nic nie szkodzi – odpowiada Charlie i mija stół. Idziemy za nim.

Audytorium jest nabite. Wszystkie miejsca są zajęte, ludzie stoją pod ścianami i z tyłu sali. W tylnym rzędzie dostrzegam Katie z dwoma koleżankami, ale nim zdążyłem ją zawołać, Gil popchnął mnie do przodu. Szukamy miejsca, gdzie moglibyśmy stanąć. Gil

kładzie palec na ustach i wskazuje scenę. Taft już wchodzi na mównicę.

Wykład w Wielki Piątek to w Princeton stara tradycja. Jest to jedna z trzech wielkanocnych uroczystości, będących dla wielu studentów ważnymi wydarzeniami towarzyskimi, niezależnie od wyznania. Zgodnie z legendą, tradycję zapoczątkował wiosną 1758 roku Jonathan Edwards, płomienny pastor z Nowej Anglii, który był również trzecim rektorem Princeton. Edwards wygłosił kazanie dla studentów wieczorem w Wielki Piątek, w sobotę zarządził wielkanocną kolację, po której o północy odprawił nabożeństwo. Te rytuały przetrwały w nienaruszonej formie do dziś, dzięki ochronie przed upływającym czasem i wyrokami losu, jaką zapewnia uniwersytet, podobnie jak torfowisko konserwuje na tysiące lat wszystkie istoty, które niechcący weszły na grząski teren i zginęły.

Jedną z nich był sam Jonathan Edwards, który wkrótce po przyjeździe do Princeton poddał się szczepieniu przeciw ospie i trzy miesiące później zmarł. Edwards był prawdopodobnie zbyt chory, by wymyślić wszystkie przypisywane mu uroczystości, ale mimo to władze uniwersyteckie rok po roku organizują je ponownie, choć, jak to eufemistycznie określają, dostosowują je do „współczesnego kontekstu”.

Podaję, że sam Edwards nie był zwolennikiem eufemizmów i współczesnego kontekstu. Biorąc pod uwagę fakt, że w jego ulubionej metaforze ludzkiego żywota występuje pajak, wiszący nad piekielną czeluścią, umieszczony w tym miejscu przez

Boga, każdej wiosny stary pastor z pewnością przewraca się w grobie. Wielkopiątkowe kazanie to obecnie wykład wygłaszany przez profesora nauk humanistycznych, a jedyne słowo, które pojawia się w nim rzadziej niż „Bóg”, to „piekło” Wielkanocna kolacja, kiedyś z pewnością ascetyczna i kalwińska w stylu, to dziś wielki bankiet w największej sali jadalnej w Princeton. Dawniej, podczas nocnego nabożeństwa, z pewnością drżały mury kościoła, natomiast obecnie jest to ekumeniczne święto na cześć religii, w którym bez większych skrępowań mogą uczestniczyć nawet ateści i agnostycy. Być może dzięki temu w wielkanocnych uroczystościach biorą udział studenci wszelkich możliwych wyznań, każdy z innego powodu, i wszyscy są zadowoleni, że ich poglądy zostały uszanowane.

Vincent Taft stoi na mównicy, jak zwykle gruby i zarośnięty. Gdy go widzę, myślę o Prokrustesie, mitycznym bandycie greckim, który rozciągał swoje ofiary, jeśli łoże było dla nich za długie, lub obcinał im nogi, jeśli łoże było za krótkie. Taft ma za wielką głowę i wydatny brzuch, który zwisa, jakby ktoś oderwał ciało od kości. Na scenie wydaje się postacią operową. W pogniecionej białej koszuli i znoszonej tweedowej marynarce sprawia wrażenie, że wyrasta ponad ograniczenia fizycznej powłoki, jakby umysł rozsadzał jej szwy. Profesor Henderson podchodzi do niego i poprawia mikrofon przymocowany do klapy marynarki. Taft stoi nieruchomo, przypomina krokodyla, któremu ptak czyści zęby. Przypominam sobie opowieść o Eppie Langu i psie, i znowu czuję mdłości.

Taft zaczął, nim jeszcze znaleźliśmy miejsce stojące z tyłu sali – Od razu widać, że nie jest to typowy wielkanocny wykład. Profesor pokazuje przezroczą. Na wielkim białym ekranie pojawiają się kolejne obrazy, coraz bardziej okrutne. Torturowani święci. Mordowani męczennicy. Taft mówi, że łatwiej dać komuś wiarę niż życie, ale trudniej ją odebrać. Te przykłady mają potwierdzić tę tezę.

– Święty Dionizy – mówi, a jego głos wibruje w głośnikach zamontowanych wysoko na ścianach – został ścięty. Według legendy, po śmierci wstał i pomaszerował z głową pod pachą.

Na ekranie pojawia się obraz mężczyzny z zawiązanymi oczami, z głową na pieńku. Kat zamierza się ogromną siekierą.

– *Święty Quentin* – ciągnie Taft. – Obraz Jacoba Jordaensa z tysiąc sześćset pięćdziesiątego roku. Łamany na kole i biczowany. Modlił się do Boga o siłę i przeżył, ale później został oskarżony o czary. Ponownie torturowany, jego ciało przebito żelaznymi prętami od ramion do ud. Wbijano mu gwoździe w ręce, czaszkę i całe ciało. W końcu został ścięty.

Charlie albo nie rozumie, do czego Taft zmierza, albo nie robi to na nim wrażenia po tym, co zobaczył, pracując w pogotowiu.

– Czego chciał Stein? – pyta, pochylając się w moją stronę.

Na ekranie widać mężczyznę ubranego tylko w przepaskę biodrową. Leży na metalowej kracie, pod którą płonie ogień.

– Święty Wawrzyniec – wyjaśnia Taft. Mówi, nie posługując się notatkami. – Umęczony w dwieście pięćdziesiątym ósmym roku. Upieczony żywcem na ruszcie.

– Znalazł książkę, której Paul potrzebuje do swojej rozprawy – odpowiadam. Charlie wskazuje palcem paczkę trzymaną przez Paula.

– Musi być bardzo ważna.

Szukam w jego głosie ostrego tonu, złości z powodu przegania gry, lecz Charlie mówi to z szacunkiem. On i Gil dalszym ciągu co drugi raz błędnie wymawiają tytuł *Hypnerotomachia*, ale Charlie przynajmniej docenia ciężką pracę Paula i rozumie, jak wielkie ma to dla niego znaczenie.

Taft znowu naciska guzik i na ekranie pojawia się jeszcze dziwniejszy obraz. Na drewnianym stole leży mężczyzna z dziurą w brzuchu. Dwaj inni, siedzący po jego bokach, powoli nawijają na szpikulec różną jakiś sznur wychodzący z jego ciała.

– Święty Erazm – komentuje Taft. – Znany także jako Elmo. Torturował go cesarz Dioklecjan. Bity batem i pałką, przeżył. Wytarzany w smole i podpalony, przetrwał. Wtrącony do więzienia, uciekł. Ponownie złapany i przywiązany do gorącego żelaznego krzesła. W końcu umarł, gdy rozcięli mu brzuch i nawinęli wnętrzności na kołowrót.

– To niewątpliwie coś nowego – szepcze do mnie Gil.

Ktoś odwraca się, by nas uciszyć, ale na widok Charliego rezygnuje.

– Policja nie chciała nawet słyszeć o siatce – zwraca się Charlie do Gila, zamierzając kontynuować rozmowę.

Gil odwraca się w stronę sceny, by nie wracać do tematu.

– *Święty Piotr* – ciągnie Taft. – Praca Michała Anioła, około tysiąc pięćset pięćdziesiątego roku. Piotr zginął za panowania Nerona, na własną prośbę ukrzyżowany do góry nogami. Był zbyt pokorny, by umierać jak Chrystus.

Siedząca za stołem na scenie profesor Henderson wydaje się poruszona. Nerwowo poprawia mankiety. Bez żadnego wywodu łączącego kolejne przezrocza, wystąpienie Tafta przypomina bardziej pokaz sadysty niż normalny wykład. Zwykle podczas wielkanocnego wykładu w sali słyhać szum komentarzy, teraz panuje głucha cisza.

– Hej. – Gil puka Paula w ramię. – Czy Taft zawsze mówi o takich rzeczach?

Paul kiwa głową.

– On jest trochę nienormalny, nie?

Gil i Charlie od dawna nie śledzili pracy Paula, dlatego dostrzegają to dopiero teraz.

Paul kiwa głową, ale nic nie odpowiada.

– I tak dochodzimy do renesansu – oznajmia Taft. – W tych czasach żył człowiek, który przyjął język przemocy, jaki starałem się tu przedstawić. To, o czym chciałbym dziś opowiedzieć, to nie legenda, jaką stworzył, umierając, lecz tajemnicza historia, jaką stworzył za życia. Był to Francesco Colonna, rzymski arystokrata i autor jednej z najrzadszych książek, jakie ukazały się drukiem: *Hypnerotomachia Poliphili*.

Paul nie odrywa oczu od Tafta, a mimo ciemności jego źrenice są wyraźnie rozszerzone.

– Rzymski arystokrata? – szepczę.

Paul patrzy na mnie, jakby nie wierzył własnym uszom. Nim odpowiedział, przy wejściu za nami rozlegają się krzyki. Wybuch awantura między dziewczyną przy drzwiach i jakimś wysokim mężczyzną. Ich głosy słychać w całym audytorium.

Ku mojemu zdziwieniu, gdy mężczyzna wchodzi do oświetlonej sali, od razu go rozpoznaję.

Rozdział 10

Richard Curry wchodzi do sali, nie zważając na głośne protesty blondynki pilnującej drzwi. Kilkanaście osób z tylnych rzędów odwraca się, by spojrzeć, co się dzieje. Curry rozgląda się po sali, po czym podchodzi do sceny.

– Ta książka – kontynuuje Taft, nie zważając na zamieszanie – stanowi zapewne największą nierozwiązaną tajemnicę w historii zachodniego drukarstwa.

Teraz niemal wszyscy patrzą na intruza. Curry ma rozluźniony krawat, jest bez marynarki, w jego oczach widać wzburzenie. Paul zaczyna przepychać się w jego kierunku.

– Została opublikowana przez najsłynniejszą oficynę wydawniczą renesansowych Włoch, ale mimo to nawet tożsamość autora stanowi przedmiot gorących polemik.

– Co ten facet wyprawia? – szepcze Charlie.

– Czy to nie Richard Curry? – Gil kręci głową.

Paul dopchał się do tylnego rzędu i próbuje zwrócić uwagę Curry'ego.

– Wiele osób uważa *Hypnerotomachię* nie tylko za najgorzej zrozumianą książkę świata, ale również za najcenniejszą; być może zajmuje drugie miejsce po *Biblii Gutenberga*.

Paul stoi już tuż za Currym. Ostrożnie kładzie rękę na jego plecach i szepcze coś, ale ten tylko kręci głową.

– Przyszedłem tutaj – mówi tak głośno, że osoby w pierwszych rzędach odwracają się w jego stronę – by coś powiedzieć.

Taft przerywa wykład. Wszyscy patrzą na sprawcę zamieszania. Curry unosi rękę i gładzi się po głowie. Patrzy gniewnie na Tafta.

– Język przemocy? – mówi ostrym, nienaturalnym głosem. – Słyszałem ten wykład trzydzieści lat temu, Vincencie, gdy sądziłeś, że to ja jestem słuchaczem. – Curry zwraca się teraz do zebranych: – Czy opowiadał wam o świętym Wawrzyńcu? Świętym Quentinie? Świętym Elmo i kołowrotku? Czy nic się nie zmieniło, Vincencie?

W sali ponosi się szmer. Ludzie słyszą szyderstwa Curry'ego. Ktoś się roześmiał.

– To, przyjaciele – ciągnie Curry, wskazując na scenę – jest oszust. Głupiec i hochsztapler. – Znow wbił wzrok w Tafta. – Szarlatan może oszukać tego samego człowieka dwa razy. Ale ty? Ty polujesz na naiwniaków. – Curry dotyka palcami ust i przesyła Taftowi pocałunek. – *Bravissimo, il fraudolento!* * – Unosi ręce

* *bravissimo, il fraudolento* (wł.) - brawo, oszuście!

i zachęca salę do powstania. – Oklaski, przyjaciele. Trzykrotne „hurra” na cześć świętego Vincenta, patrona złodziei.

– Po co tu przyszedłeś, Richardzie? – rzuca gniewnie Taft.

– Oni się znają! – szepcze zaskoczony Charlie.

Paul usiłuje powstrzymać Curry’ego, lecz on na niego nie zważa.

– Po co ty tu przyszedłeś, stary przyjacielu? Czy to teatr, czy uniwersytet? Co teraz ukradniesz, gdy dziennik kapitana portu jest poza twoim zasięgiem?

– Skończ z tym – warknął Taft. – Co ty sobie myślisz?!

– Gdzie schowałeś ten kawałek skóry z dziennika, Vincencie. Powiedz mi, a sobie pójdę. Będziesz mógł dalej odgrywać tę swoją farsę.

Na twarzy Curry’ego pojawiają się nieprzyjemne cienie. Profesor Henderson w końcu podrywa się z krzesła.

– Proszę wezwać ochronę! – krzyczy.

Policjant już ma złapać Curry’ego za ramię, gdy Taft go powstrzymuje.

– Nie! – ryczy olbrzym. – Zostawcie go! Sam wyjdzie. Prawda, Richardzie? Sam wyjdiesz, czy będą musieli cię aresztować?

– Zastanów się, Vincencie – Curry nie rusza się z miejsca. – Minęło dwadzieścia pięć lat i wciąż prowadzimy wojnę. Powiedz mi, gdzie jest plan, a więcej mnie nie zobaczysz. To jedyna sprawa, jaka została jeszcze do załatwienia między nami. Cała reszta – Curry macha ręką, jakby chciał objąć gestem całą salę – nie ma znaczenia.

– Wynoś się, Richardzie – odpowiada Taft.

– Spróbowałeś i ci się nie udało – ciągnie Curry. – Jak to mówią Włosi? Nie ma gorszego złodzieja niż kiepska książka. Bądź mężczyzną i ustąp. Gdzie jest plan?

Słychać liczne szepty. Policjant wciska się między Paula i Curry’ego, ale, ku mojemu zaskoczeniu, Curry nagle opuszcza głowę i rusza w kierunku przejścia między krzesłami. Z jego twarzy znika ożywienie.

– Ty stary głupcze – mówi, choć jest odwrócony plecami do sceny. – Graj dalej.

Studenci pod ścianą ustępują mu z drogi. Paul stoi niczym wrośnięty i patrzy, jak jego przyjaciel wychodzi.

– Wynoś się, Richardzie – rzuca Taft z mównicy. – Idź i nie wracaj.

Patrzemy, jak Curry powoli zbliża się do wyjścia. Studentka przy drzwiach patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Po chwili Curry przekracza próg i znika w foyer.

Po wyjściu Curry’ego w sali robi się głośno od komentarzy.

– Do diabła, co to miało być? – mówię, patrząc w kierunku wyjścia.

Gil podchodzi do Paula.

– Nic ci nie jest?

– Nie rozumiem... – mamrocze Paul.

– Co mu powiedziałaś? – pyta Gil, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Nic – odpowiada Paul. Trzęsą mu się ręce, pod pachą wciąż trzyma dziennik. – Muszę iść za nim. Muszę z nim porozmawiać.

Charlie zaczyna protestować, ale Paul nie podejmuje dyskusji. Odwraca się i idzie do wyjścia, nie czekając, co mamy do powiedzenia.

– Pójdę z nim – mówię do Charliego.

Charlie kiwa głową. Znów słyszę głos Tafta. Gdy spoglądam na scenę, mam wrażenie, że olbrzym patrzy prosto na mnie. Rzucam jeszcze okiem na Katie. Siedząc na swoim miejscu, zadaje jakieś pytanie, ale nie potrafię niczego odczytać z ruchu jej ust. Zapinam kurtkę i wychodzę z sali.

Namioty na dziedzińcu tańczą w ciemnościach jak szkielety na cienkich nogach. Wiatr osłabł, ale nadal sypie gęsty śnieg. Słyszę za rogiem głos Paula:

– Nic ci nie jest?

Okrażam róg. Niecałe trzy metry przede mną stoi Richard Curry, a jego marynarka powiewa na wietrze.

– Co się stało? – pyta Paul.

– Wracajcie do środka – mówi Curry.

Robię krok do przodu, żeby lepiej słyszeć, ale pod moimi butami skrzypi śnieg. Curry ogląda się przez ramię. Przerywają rozmowę. Oczekuję jakiegoś sygnału, że mnie poznaje. Na próżno. Curry klepie Paula po ramieniu i powoli się cofa.

– Richardzie! Czy nie możemy gdzieś porozmawiać? – krzyczy za nim Paul.

Curry szybko się oddala, trzymając ręce w kieszeniach marynarki. Nie odpowiada.

Po chwili przytomnieję i podchodzę do Paula. Razem przyglądamy się, jak Curry znika w cieniu kaplicy.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie Bill znalazł dziennik – mówi Paul.

– Teraz?

Paul kiwa głową.

– Gdzie on jest?

– U Tafta, w instytucie.

Spoglądam na dziedziniec. Jedynym środkiem transportu Paula jest stary datsun, kupiony za stypendium Curry'ego. Do instytutu jest daleko.

– Dlaczego wyszedłeś z wykładu? – pyta.

– Pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy. Drży mi dolna warga. Na włosach Paula osiada śnieg.

– Nic mi nie będzie – odpowiada. Paul nie ma nawet kurtki.

– Możemy pojechać tam razem.

– Muszę z nim pogadać w cztery oczy – mamrocze, wbijając wzrok w ziemię.

– Jesteś pewny?

– Tak.

– Weź przynajmniej kurtkę – proponuję i rozpinam suwak.

– Dziękuję – uśmiecha się Paul.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Paul wkłada kurtkę i chowa dziennik za pazuchą. Sekundę później zaczyna się oddalać.

– Jesteś pewny, że nie chcesz pomocy?! – krzyczę, gdy jeszcze może mnie usłyszeć.

Paul odwraca się, ale tylko kręci głową.

– Powodzenia – mówię właściwie do siebie.

Zimny podmuch przewiewa mi koszulę. Wiem, że nie mam już nic do zrobienia. Gdy Paul znika w obłokach śniegu, szybko wracam do audytorium.

Bez słowa mijam blondynkę przy drzwiach. Charlie i Gil wciąż stoją w tym samym miejscu z tyłu sali. Nie zwracają na mnie uwagi; pilnie słuchają, co mówi Taft tym swoim hipnotyzującym głosem.

– Wszystko w porządku? – szepcze Gil.

Kiwam głową, nie chcę wchodzić w szczegóły.

– Niektórzy współcześni interpretatorzy – opowiada Taft – zadowolili się stwierdzeniem, że książka pasuje do wielu konwencji starego renesansowego gatunku literackiego, mianowicie bukolicznego romansu. Jeśli jednak *Hypnerotomachia* jest konwencjonalną historią miłosną, to dlaczego autor poświęcił tylko trzydzieści stron romansowi Polifila i Polii? Dlaczego pozostałe trzysta czterdzieści stron tworzą labirynt wątków, dziwnych spotkań z mitologicznymi postaciami i rozważań na różne ezoteryczne tematy? Jeśli tylko jedno słowo na dziesięć ma związek z romanssem, to jak mamy wyjaśnić dziewięćdziesiąt procent tekstu książki?

– Wiesz to wszystko? – pyta mnie Charlie.

– Tak. – Słyszałem ten wykład kilkanaście razy przy kuchennym stole w domu.

– Krótko mówiąc, nie jest to tylko historia miłosna. Walka o miłość we śnie, jak tłumaczy łaciński tytuł, jest czymś znacznie bardziej skomplikowanym niż opowieść o tym, jak chłopak poznaje dziewczynę. Przez pięćset lat uczeni poddawali tę książkę najskuteczniejszym instrumentom interpretacyjnym swoich czasów i nikomu nie udało się znaleźć wyjścia z labiryntu.

Jak trudna jest *Hypnerotomachia*? Rozważmy, jak powiodło się tłumaczom. Pierwszy tłumacz na francuski skrócił pierwsze zdanie, liczące w oryginalne ponad siedemdziesiąt słów, do zaledwie dziesięciu. Robert Dallington, żyjący w czasach Szekspira, który usiłował zachować większą wierność, po prostu popadł w desperację i zrezygnował, nim przetłumaczył choćby połowę. Od tej pory nikt nie próbował przełożyć książki na angielski. Niemal od dnia, w którym *Hypnerotomachia* się ukazała, zachodni intelektualiści uważali ją za wzorzec niejasności. Rabelais naśmiewał się z niej, Castiglione radził czytelnikom, by, uwodząc kobiety, nie mówili jak Polifilo.

Dlaczego tak trudno jest zrozumieć *Hypnerotomachię*? Ponieważ autor pisze nie tylko po łacinie i po włosku, używa również greki, hebrajskiego, arabskiego, chaldejskiego, korzysta także z egipskich hieroglifów. Pisze w kilku językach równocześnie, niekiedy je mieszając. Jakby tego było mało, wymyśla nowe słowa.

Na dodatek książkę tę otacza wiele tajemnic. Przede wszystkim, jeszcze do niedawna nie było wiadomo, kto ją napisał. Tajemnica tożsamości autora była tak pilnie strzeżona, że nawet wydawca, wielki Aldus, nie wiedział, kto stworzył to słynne dzieło. Jeden z redaktorów napisał przedmowę, w której prosi muzy, by ujawniły mu nazwisko autora. Muzy odmówiły, twierdząc, że „lepiej być ostrożnym i strzec, aby te boskie rzeczy nie zostały pożarte przez mściwą zawiść”.

Pytam zatem, dlaczego autor zadałby sobie tyle trudu, gdyby pisał tylko jakiś bukoliczny romans? Dlaczego posługuje się tyloma językami? Po co te dwieście stron o architekturze? Po co osiemnaście stron o świątyni Wenus, dwanaście na temat podwodnego labiryntu? Pięćdziesiąt o piramidach? Sto czterdzieści o klejnotach, metalach, balecie i muzyce, jedzeniu i nakrywaniu do stołu, florze i faunie?

Jeszcze ważniejsze jest pytanie, kto w Rzymie mógł posiadać tak wiele wiadomości z tak wielu dziedzin, znać tyle języków i przekonać największego włoskiego wydawcę, by opublikował jego książkę, nie podając swego nazwiska?

Przede wszystkim zaś, co to za „boskie rzeczy”, o których mowa w przedmowie, których muzy nie chcą zdradzić? Czyjej „mściwej zawiści” nie chciały rozbudzić?

Na wszystkie te pytania jest tylko jedna odpowiedź: *Hypnerotomachia* nie jest romanssem. Autor musiał mieć na myśli coś zupełnie innego, coś, czego uczeni jeszcze nie zrozumieli. Od czego jednak mamy rozpocząć poszukiwania prawdy?

Nie zamierzam udzielić odpowiedzi na to pytanie. Zamiast tego przedstawię państwu zagadkę. Jeśli ją państwo rozwiążą, zbliżymy się o krok do zrozumienia znaczenia *Hypnerotomachii*.

Mówiąc to, Taft jednocześnie naciska guzik pilota i na ekranie pojawiają się trzy czarno-białe obrazy.



– Oto trzy drzeworyty z *Hypnerotomachii*, przedstawiające koszmar, jaki przeżywa Polia w końcowej części opowieści. Według jej relacji, pierwszy ukazuje dziecko, jadące płonącym rydwanem przez las. Rydwan ciągną dwie nagie kobiety, a dziecko okłada je bitem jak zwierzęta. Polia przygląda się temu ukryta w lesie.

Na drugim drzeworycie dziecko uwalnia kobiety, przecinając rozgrzane do czerwoności łańcuchy stalowym mieczem. Następnie zabija je i ćwiartuje zwłoki.

Na ostatnim rysunku dziecko wrywa z ciał zabitych kobiet jeszcze bijące serca i rzuca je na pożarcie drapieżnym ptakom. Wnętrznosciami karmi orły. Resztki poćwiartowanych ciał rzuca psom, wilkom i lwom, które zgromadziły się dookoła.

Gdy Polia budzi się ze snu, niania wyjaśnia jej, że dzieckiem tym był Kupidyn, a niewiasty to młode dziewczyny, które go uraziły, odrzucając uczucia swych wielbicieli. Polia dochodzi do wniosku, że popełniła błąd, lekceważąc Polifila.

Taft przerywa na chwilę i odwraca się plecami do słuchaczy, by przyjrzeć się ogromnym obrazom, które wydają się zawieszane w powietrzu.

– Może jednak ta dosłowna interpretacja nie jest zgodna z prawdziwym znaczeniem rysunków? – mówi, wciąż stojąc plecami do zebranych. Jego głos, wzmocniony przez mikrofon i głośniki, odbija się echem od ścian. – Może interpretacja podana przez niańkę nie jest poprawna? Czy nie możemy spróbować odgadnąć, na

podstawie kary, jaka spotkała te kobiety, na czym polegała ich zbrodnia?

Rozważmy karę za zdradę stanu, jaką stosowano w niektórych państwach europejskich przed i po powstaniu *Hypnerotomachii*. Zbrodniarz winny zdrady stanu najpierw wleczony był końmi – przywiązywano go do końskiego ogona i ciągnięto po ulicach miasta. Po dotarciu do szubienicy wieszano go na chwilę, po czym odcinano, nim zmarł. Rozcinano mu brzuch i wyrywano wnętrzności, które kat spalał na jego oczach. Następnie kat wyrywał mu serce i demonstrował zgromadzonym tłumom. Na koniec odcinał głowę, ćwiartował ciało i wywieszał kawałki na pikach w publicznym miejscu, by służyły za przestrożę potencjalnym zdrajcom.

Opowiadając o karaniu zdrajców, Taft odwrócił się do słuchaczy, by śledzić ich reakcję. Teraz znowu patrzy na slajdy.

– Pamiętając o tym, raz jeszcze przyjrzyjmy się rysunkom. Jak widać, wiele szczegółów pasuje do opisaney przeze mnie kary. Ofiary są wleczone na miejsce kaźni lub raczej, jak na ironię, same ciągną rydwan kata. Są ćwiartowane, a kat demonstruje ich kończyny tłumowi. W tym przypadku tłumem są dzikie zwierzęta.

Jednak kobiety nie zostały powieszane, lecz zabite mieczem. Jak mamy to zrozumieć? Oto jedyne możliwe wyjaśnienie: ścięcie mieczem lub siekierą to kara zarezerwowana dla ludzi wysokiego stanu, dla których powieszenie było śmiercią zbyt podłą. Być może powinniśmy zatem przyjąć, iż chodzi o damy wysokiego rodu.

Zwierzęta z pewnością przypominają niektórym z państwa trzy bestie z pierwszej pieśni Piekła Dantego lub szóstego wersetu Jeremiasza – mówi Taft, patrząc na słuchaczy.

– Właśnie miałem to powiedzieć – szepcze Gil z uśmiechem.

Ku mojemu zdumieniu Charlie go ucisza.

– Lew symbolizuje grzech pychy – ciągnie Taft. – Wilczyca chciwość. To dwa grzechy zdrajcy – szatana lub Judasza – jakie sugeruje wymierzona kara. Teraz jednak *Hypnerotomachia* odchodzi od Dantego, ponieważ trzecim zwierzęciem jest pantera, symbolizująca pożądanie. Zamiast niej Francesco Colonna włączył do tłumu zwierząt psa, co sugeruje, że karane kobiety nie zgrzeszyły rozwiązłością.

Taft na chwilę przerywa, by słuchacze mogli przetrwać Jego słowa.

– W ten sposób zaczynamy odczytywać słownik okrucieństwa. Choć zapewne wielu sądzi inaczej, nie jest to język czysto barbarzyński. Podobnie jak wszystkie nasze rytuały, jest pełen znaczenia. Po prostu należy nauczyć się go odczytywać. Dlatego dam państwu jeszcze jedną wskazówkę, istotną dla interpretacji obrazu, a następnie sformułuję pytanie i resztę zostawię państwu.

Zapewne większość państwa zna fakt, który pozwala stwierdzić, że Polia błędnie zidentyfikowała dziecko na rydwanie. Być może państwo to po prostu przeoczyli, ale wystarczy spojrzeć na broń, jaką posługuje się dziecko. Gdyby mały chłopiec z koszmaru był

Kupidynem, jak twierdzi Polia, nie używałby miecza. Zamiast tego miałby łuk i strzały.

W sali rozległ się szum przytakiwań. Studenci nagle zobaczyli walentynki w innym świetle.

– Pytam zatem: kim jest to dziecko, które wymachuje mieczem, zmusza kobiety do ciągnięcia rydwanu przez las, a następnie zabija je tak, jakby dopuściły się zdrady stanu?

Taft robi pauzę, jakby miał zamiar udzielić odpowiedzi.

– Jeśli rozwiążą państwo ten problem – mówi jednak – zbliżą się państwo do poznania ukrytej prawdy *Hypnerotomachii*. Być może zrozumieją państwo nie tylko znaczenie śmierci, ale formy, jaką przyjmuje, gdy nadchodzi. Wszyscy, wierzący i niewierzący, jesteśmy zbyt przyzwyczajeni do znaku krzyża, by zrozumieć znaczenie krucyfiksu. Religia, a zwłaszcza chrześcijaństwo, to zawsze historia śmierci ofiar i męczenników. Zwłaszcza dziś wieczorem, gdy czcimy pamięć najśłynniejszego z tych męczenników, nie wolno nam o tym zapominać.

Taft zdejmuje okulary i chowa je do kieszeni marynarki.

– Powierzam to państwu i w państwu pokładam moją wiarę – mówi, pochylając głowę, po czym robi ciężki krok do tyłu. – Dziękuję i dobranoc.

Ze wszystkich stron rozlegają się oklaski – początkowo nieśmiało, później coraz głośniejsze. Mimo przerw, audytorium dało

się oczarować temu dziwnemu człowiekowi, zahipnotyzować mieszaniną intelektu i pasji.

Taft skłania głowę i przesuwa się ku stołowi na scenie. Zamierza usiąść, lecz oklaski nie milkną. Kilka osób wstaje i nadal klaszcze.

– Dziękuję – powtarza Taft. Wciąż stoi z rękami na oparciu krzesła. Gdy mówi, na jego twarzy pojawia się uśmiech. Sprawia wrażenie, jakby to on przez cały czas obserwował słuchaczy, nie zaś na odwrót.

Profesor Henderson wstaje, podchodzi do mównicy i ucisza zebranych.

– Zgodnie z tradycją – mówi – po wykładzie zapraszamy na poczęstunek na dziedzińcu między audytorium i kaplicą. O ile wiem, pracownicy techniczni rozstawili przy stołach grzejniki. Zapraszamy. Chciałabym podziękować profesorowi Taftowi za wykład, którego długo nie zapomnimy – dodaje, zwracając się do Tafta. – Z pewnością wywarł pan wielkie wrażenie na słuchaczach. – Henderson uśmiecha się, ale zachowuje wyraźną rezerwę.

Słuchacze znowu klaszczą, po czym zaczynają wychodzić.

Taft obserwuje wychodzących, a ja jego. To jedna z nielicznych okazji, jaką mam, by mu się przyjrzeć, gdyż Taft bardzo rzadko pokazuje się publicznie. Teraz rozumiem, dlaczego Paul uważa go za człowieka o magnetycznym uroku. Chociaż wiem, że jestem dla niego tylko pionkiem, trudno mi oderwać od niego wzrok.

Taft powoli schodzi ze sceny. Biały ekran automatycznie chowa się w szczelinie w suficie. Trzy przezrocza to teraz tylko niewyraźne,

szare plamy na czarnych tablicach na ścianie. Z trudem dostrzegam dzikie zwierzęta, pożerające szczątki kobiet i dziecko zawieszony w powietrzu.

– Idziesz? – pyta Charlie, zatrzymując się w drzwiach. Gil już wyszedł.

Pośpiesznie idę za nimi.

Rozdział 11

– Nie znalazłeś Paula? – pyta Charlie, gdy ich doganiam.

– Nie chciał mojej pomocy.

Gdy jednak wspominam, co usłyszałem na dworze, Charlie patrzy na mnie tak, jakby miał mi za złe, że puściłem Paula samego.

– Pojechał szukać Curry’ego? – pyta.

– Billa Steina – odpowiadam, kręcąc głową.

– Idziecie coś zjeść? – woła Gil, wyczuwając, że chcemy się wymknąć.

– Oczywiście – zapewniam go. Gil się uspokaja. Myśli o czymś innym, teraz wracamy do jego żywiołu.

– Musimy unikać Jacka Parlowa i Kelly. Chcą rozmawiać wyłącznie o balu – mówi Gil, podchodząc do nas. – To nie powinno być trudne.

Prowadzi nas po schodach na dziedziniec, gdzie ślady Curry’ego i Paula są już całkowicie zdeptane. Namioty wypełnia tłum studentów. Niemal natychmiast przypominam sobie, jak trudno jest uniknąć kogokolwiek w towarzystwie Gila. Gdy idziemy do namiotu stojącego przy kaplicy, wszyscy się za nim oglądają.

Pierwsza podchodzi blondynka, która miała dyżur przy wejściu.

– Taro, jak się masz? – łaskawie wita ją Gil, gdy wchodzi pod brezentowy dach. – Miałaś więcej przygód, niż się spodziewałaś?

Charlie nie ma ochoty na jej towarzystwo. By uniknąć sceny, koncentruje uwagę na stole, gdzie w srebrnych termosach czeka gorąca czekolada.

– Taro, znasz Toma, prawda? – przedstawia mnie Gil.

Tara znajduje uprzejmy sposób, by powiedzieć, że się nie spotkaliśmy.

– No cóż. Różnica klas – rzuca lekko Gil.

Dopiero po chwili zgaduję, że ma na myśli różnicę roczników, nie zaś pochodzenie.

– Tom, to Tara Pierson, przyjęta do klubu w dwa tysiące pierwszym – ciągnie Gil, widząc, że Charlie nas unika.

– Taro, to mój bliski przyjaciel, Tom Sullivan.

To tylko pogarsza kłopotliwą sytuację. Sekundę po tym, jak Gil skończył nas przedstawiać i odwrócił się do kogoś innego, Tara wykorzystuje okazję, by zacząć rozmowę.

– Tak mi przykro z powodu tego, co powiedziałam waszemu koledze przy wejściu – tłumaczy się. – Nie miałam pojęcia, że jesteście...

I tak dalej, i tak dalej. Najwyraźniej chce mi wyjaśnić, że zasłużyliśmy na lepsze traktowanie niż inne zera, których nie zna, ponieważ myjemy zęby nad tą samą umywalką co Gil. Im dłużej gada, tym bardziej mnie dziwi, że jej kandydatura nie została w Ivy wyśmiana. Krąży legenda – nie wiem, czy prawdziwa, czy nie – że takie studentki jak Tara, których jedyną zaletą jest uroda, trafiają

niekiedy do klubu dzięki specjalnej procedurze określanej „selekcja na drugim piętrze”.

Są zapraszane do tajnego pokoju, gdzie dowiadują się, że nie zostaną przyjęte bez specjalnego dowodu gorliwości. Mogę tylko zgadywać, na czym ten dowód polega, a Gil oczywiście twierdzi, że to wszystko nieprawda. Przypuszczam jednak, że takie mity mają magiczną siłę: im więcej pozostaje niedopowiedziane, tym mniej nadaje się do opowiadania.

Tara widocznie zgadła, o czym myślę, a może po prostu zauważyła, że nie zwracam na nią uwagi, bo wreszcie znajduje jakąś wymówkę i znika w kłębach śniegu. Jak miło z twojej strony, myślę, patrząc, jak brnie do sąsiedniego namiotu, a jej włosy rozwiewa wiatr.

Dostrzegam Katie. Stoi u wejścia do namiotu, po przeciwnej stronie, wyraźnie zmęczona rozmowami. W dłoni trzyma kubek parującej czekolady, a na szyi niczym talizman ma zawieszony aparat. Po chwili zgaduję, że czemuś się przygląda. Jeszcze kilka miesięcy temu podejrzewałbym najgorsze, szukając nieznanego mi mężczyzny w jej życiu, który miał dla niej czas, gdy ja spędzałem noce z *Hypnerotomachią*. Teraz już się nie boję. Katie patrzy z uwagą na kaplicę, która wygląda jak skaliste urwisko na brzegu białego morza – to widok, o jakim marzy każdy fotograf.

W namiętności do kogoś jest coś dziwnego, co dopiero zaczynam rozumieć. Gdy poznałem Katie, myślałem, że na jej widok musi zamierać ruch na ulicy. Nie wszyscy jednak się ze mną zgadzali (Charlie, który woli kobiety solidniej zbudowane, polubił Katie

z powodu jej determinacji, a nie wyglądu), ale ja się zakochałem. Oboje wychodziliśmy z siebie – najlepsze ubrania, najlepsze maniery, najlepsze dowcipy i historyjki – aż wreszcie doszedłem do wniosku, że zawdzięczam ten sukces tylko temu, że jestem dwa lata starszy i przyjaźnię się z prezydentem prestiżowego klubu. W tym czasie myśl, że mógłbym dotknąć jej ręki lub powąchać jej włosy, wystarczała, bym, oblany potem, pędził wziąć zimny prysznic. Każde z nas było dla drugiego trofeum i spędzaliśmy czas na piedestałach.

Po pewnym czasie wyjąłem ją z gablotki. Katie odwzajemniła się tym samym. Kłócimy się, bo ja przegrzewam pokój, a ona śpi przy otwartym oknie. Katie dogryza mi, że zwykle biorę dokładkę deseru – według niej, pewnego dnia nawet mężczyźni płacą za takie drobne wykroczenia. Gil żartuje, że dałem się udomowić, co sprawia mi przyjemność, bo kryje się w tym sugestia, że kiedyś byłem dziki i swobodny. W rzeczywistości jestem stworzony do hodowli. Podkręcam termostat, gdy jest mi ciepło, i jem deser, gdy nie jestem głodny, ponieważ w każdym upomnieniu Katie, że nie będzie w przyszłości tolerowała takiego zachowania, tkwi sugestia, iż mamy przed sobą jakąś przyszłość. Kiedyś fantazjowałem na jej temat, ulegając elektryzującemu napięciu między nami. Dziś ma to mniejsze znaczenie. Najbardziej lubię ją taką, jaka jest teraz na dziedzińcu.

Katie ma zmęczone oczy, co oznacza, że długi dzień zbliża się do końca. Wiatr bawi się puklami jej rozpuszczonych włosów. Nie miałbym nic przeciwko, by po prostu przyglądać jej się z daleka

i napawać jej widokiem, ale gdy robię krok naprzód, by zmniejszyć odległość, Katie dostrzega mnie i macha ręką, bym podszedł.

– O co była ta awantura? – pyta. – Kim był ten facet?

– To Richard Curry.

– Curry? – Katie bierze mnie za rękę. Przygryza dolną wargę. –

Co z Paulem?

– Wszystko w porządku.

Przez chwilę w milczeniu obserwujemy tłum. Studenci proponują kurtki swym zbyt lekko ubranym dziewczynom. Tara, ta blondynka, naciągnęła jakiegoś obcego chłopaka, by dał jej anorak.

Katie wskazuje brodą audytorium.

– Co o tym myślisz?

– O wykładzie?

Katie kiwa głową i zaczyna upinać włosy w kok.

– Trochę drastyczny – odpowiadam. Ten potwór nie doczeka się ode mnie komplementów.

– Ale bardziej interesujący niż zwykle – stwierdza Katie i podaje mi kubek. – Potrzyмай.

Wiąże włosy i przebija węzeł dwiema długimi szpilkami, które wyjęła z kieszeni. Zręczność, z jaką to robi, choć nic nie widzi, przypomina mi matkę, która zwykła poprawiać ojcu krawat, stojąc za nim.

– Co się stało? – Katie trafnie odczytuje wyraz mojej twarzy.

– Nic. Myślę o Paulu.

– Skończy na czas?

Termin składania rozpraw. Nawet teraz Katie nie zapomina o *Hypnerotomachii*. Jutro wieczorem będzie już mogła wyprzeć z pamięci moją dawną kochankę.

– Mam nadzieję.

Znowu zapada cisza, tym razem mniej przyjemna. Gdy próbuję wymyślić, jak zmienić temat – powiedzieć coś o jej urodzinach i prezencie, jaki czeka na nią w pokoju – zdarza się kolejne nieszczęście. Tym razem nadchodzi w osobie Charliego, który po dwudziestu okrążeniach stołu z jedzeniem postanowił w końcu do nas dołączyć.

– Jestem spóźniony – obwieszcza. – Mogę prosić o raport?

Ze wszystkich dziwnych cech Charliego najdziwniejsza jest ta, że choć wśród mężczyzn jest nieustraszonym gladiatorem, w towarzystwie kobiet zachowuje się jak skończony dureń.

– Raport? – powtarza rozbawiona Katie.

Charlie wsuwa do ust herbatnika, potem następnego. Rozgląda się.

– No wiesz. Jak idą zajęcia. Kto z kim chodzi. Co zamierzasz robić w przyszłym roku. Standardy.

– Zajęcia idą doskonale, Charlie – uśmiecha się Katie. – Tom i ja nadal się spotykamy. – Rzuca mu krytyczne spojrzenie. – A ja zdaję dopiero na trzeci rok, a więc wciąż tutaj będę.

– Aha – mruczy Charlie, który nie potrafi zapamiętać jej wieku. Sięga wielką łapą po kolejne ciastko i pośpiesznie zastanawia się nad wyborem właściwego stylu rozmowy między studentem czwartego

roku i młodszą koleżanką. – Trzeci rok jest najcięższy – mówi, wybierając najgorszą możliwość: udziela rad. – Dwie prace semestralne. Obowiązkowe przedmioty dla danego kierunku. No i duży dystans do tego faceta – dodaje, wskazując na mnie. Drugą ręką wkłada ciastko do ust. – To niełatwe. – Charlie rozkoszuje się smakiem ciastka i snuje w głowie rozważania o naszej przyszłości. – Nie mogę powiedzieć, że wam zazdroszczę.

Urywa, by dać nam czas na przetrwanie ponurych perspektyw. To prawdziwy cud ekonomii działania: za pomocą mniej niż dwudziestu słów Charlie zdołał przedstawić przyszłość w jak najciemniejszych barwach.

– Żałujesz, że dziś nie mogłaś biegać? – pyta.

Katie, która wciąż spodziewa się jakiegoś słowa pociechy, nie rozumie, o co mu chodzi. Ja lepiej znam jego sposób myślenia.

– Naga Olimpiada – wyjaśnia, ignorując moje sygnały, by zmienić temat. – Czy nie żałujesz, że nie wzięłaś w niej udziału?

To pytanie jest mistrzowskim posunięciem. Spodziewałem się go, ale byłem bezradny. Charlie postanowił wykazać, że wie, iż Katie jest studentką drugiego roku i mieszka w Holder. Dlatego pyta moją dziewczynę, czy żałuje, że nie mogła publicznie paradować nago. W tym ma się kryć również komplement, oparty na założeniu, że kobieta o takich walorach fizycznych jak Katie z pewnością umiera z ochoty, by się nimi pochwalić. Charlie najwyraźniej nie potrafi przewidzieć niezliczonych klęsk, do jakich może doprowadzić podobna rozmowa.

Twarz Katie wyraźnie tężeje. Bez trudu odczytała tok jego rozumowania.

– A dlaczego miałabym żałować? Czy powinnam? – Nie znam wielu studentek drugiego roku, które zrezygnowałyby z tej okazji – odpowiada Charlie dyplomatycznie. Najwyraźniej zaczął wyczuwać, że popełnił błąd.

– A cóż to za okazja? – naciska Katie.

Staram się mu pomóc, szukam jakiegoś eufemistycznego określenia na orgię, ale mam w głowie sieczkę. Nie mogę niczego wymyślić.

– Okazja, by raz na cztery lata zrzucić łachy? – nieporadnie próbuje wybrnąć Charlie.

Katie powoli ocenia wygląd Charliego, który nie przebrał się po powrocie z tunelu, oraz moje ubranie wyciągnięte z dna szafy.

– No, to chyba jest remis. Nie znam wielu studentów czwartego roku, którzy zrezygnowaliby z okazji, żeby raz na cztery lata zmienić łachy – odcina się błyskawicznie.

Z trudem powstrzymuję się, by nie wygładzić pogniecionej koszuli.

Charlie ucieka, by jeszcze raz obejść stół. Wykonał swoje zadanie.

– Uroczą z was para – mówi Katie. – Chyba wiesz?

Udaje rozbawienie, ale nie potrafi ukryć irytacji. Podnosi rękę i przeczesuje palcami moje włosy, by w ten sposób naprawić sytuację. W tym momencie przed nami pojawia się jakaś kobieta z Ivy pod rękę

z Gilem. Skruszona mina Gila wyraźnie wskazuje, że jest to Kelly, której radził nam unikać.

– Tom, znasz chyba Kelly Danner, prawda?

Nie mam czasu wyjaśnić, że wcale jej nie znam, bo na twarzy Kelly pojawia się grymas wściekłości. Wbija wzrok w przeciwległy róg dziedzińca.

– Ci głupi zasrańcy – przeklina i rzuca na ziemię papierowy kubek. – Wiedziałam, że spróbują wyciąć dzisiaj jakiś numer.

Wszyscy odwracamy się w tamtą stronę. Od strony klubów maszeruje grupa studentów przebranych w tuniki i togi. Charlie pohukuje i podchodzi do nas, żeby lepiej widzieć.

– Powiedzcie im, żeby się wynosili – mówi Kelly nie wiadomo do kogo.

Po chwili, mimo śniegu, widać ich wyraźniej. Niewątpliwie to właśnie to, czego Kelly się obawiała: choreograficzny kawał. Każdy z uczestników ma wypisane na piersi dwa rzędy liter. Nie mogę odczytać dolnego, natomiast górny składa się z dwóch liter: „TI”.

TI to powszechnie używany skrót oznaczający Tiger Inn, trzeci najstarszy klub w Princeton i jedyny, którym rządzą wariaci. Ivy Club rzadko kiedy wydaje się tak bezbronny jak wtedy, gdy TI postanawia wyciąć tej szanownej instytucji kolejny numer. Dzisiejszy wieczór to znakomita okazja.

Tu i ówdzie na dziedzińcu słychać wybuchy śmiechu, ale jeszcze nie widzę, co jest powodem. Wszyscy aktorzy mają przyklejone

długie, siwe brody, a na głowach peruki. W kilku najbliższych namiotach tłoczą się studenci, chcący jak najlepiej widzieć.

Po krótkim zamieszaniu członkowie TI ustawiają się w szereg. Teraz wreszcie mogę odczytać napisy na ich togach. Każdy ma na piersi wypisane imię. Najwyższy, stojący pośrodku, to Jezus. Po obu jego stronach stoją apostołowie, cała dwunastka.

Śmiechy i okrzyki stają się coraz głośniejsze.

Kelly zaciska gniewnie szczęki. Nie jestem pewny, czy Gil stara się ukryć wyraz rozbawienia, by jej nie urazić, czy też udaje, że się bawi, choć wcale tak nie jest.

Jezus występuje przed szereg i unosi ręce, by uciszyć widownię. Gdy zapada cisza, cofa się i rzuca polecenie. Apostołowie ustawiają się w trzy rzędy niczym chór. Jezus dyryguje z boku. Wyciąga z kieszeni piszczałkę i gra jedną nutę. Pierwszy rząd ją powtarza, drugi przyłącza się z tercją. Gdy już dwa pierwsze rzędy niemal tracą oddech, trzeci śpiewa kwintę.

Doskonale przygotowanie występu robi stosowne wrażenie. Tłum klaszcze i krzyczy.

– Niezła toga! – wykrzykuje ktoś w pobliżu. Jezus odwraca głowę w stronę, z której dobiegł okrzyk, unosi brwi, po czym wraca do dyrygowania. Szybkim ruchem nadgarstka trzy razy wyrzuca w powietrze batutę, po czym rozrzuca ręce teatralnym gestem, macha nimi i chór zaczyna śpiewać. Na dziedzińcu słychać melodię *Hymnu bojowego republiki*.

*Przyszlismy opowiedziec o uczelni Pana,
Ale grona gniewu trafily do dzbana.
Wybaczcie, jezeli jesteśmy troche pijani,
My, swięci, nie ustajemy w marszu.*

*Chwała Panu na wysokościach,
Jesteśmy skamielinami apostołów.
Gdyby nie Chrystus, nadal byśmy byli,
Prostymi rybakami z Galilei.
Posłuchajcie zatem naszej opowieści.*

*Jezus był zwyczajnym mężczyzną z Bliskiego Wschodu.
Chodził do publicznej szkoły, lecz wątpliwości nie miał wcale.
Wolałby smażyć się w piekle, niż pójść na Harvard lub Yale.
Wybór zatem był jasny.*

*Chwała Panu na wysokościach.
Bóg przekonał go: tylko Princeton.
Chrystus nie wahał się ani chwili;
Wybrał lekcje religii.
Reszta jest historią.*

*Jezus przybył do kampusu jesienią roku osiemnastego,
Był największym człowiekiem, jakiego świat widział od początku
swego.*

*Wszystkie kluby zzieleniały z zazdrości niczym bluszcz,
Gdy Jezus wybrał Tiger Inn.*

Dwaj apostołowie z pierwszego rzędu wstają, robią krok do przodu i rozwijają napisy: „Ivy” i „Cottage”. Zadzierają nosy do góry i godnie kroczą wokół Jezusa.

Chór:

*Chwała Panu na wysokościach,
Gdy Jezus się zgłosił,
Zarozumiali poganie zadzierali nosy.*

Ivy:

Nie przyjmujemy Żyda.

Cottage:

Cieśla nam się nie przyda.

Chór:

I tak Pan Tiger Inn wybrał.

Kelly zaciska pięści tak mocno, że niemal wbija sobie paznokcie w ciało.

Teraz apostołowie ustawiają się w szereg. Jezus znów jest pośrodku. Wszyscy tańczą kankana.

*Jezus facet wesoły niezmiernie
Dzięki niemu ukończymy uczelnię.*

*Nic bardziej boskiego nie ma,
Gdy woda w wino się zmienia.
A prawda Jezusa wędruje przez świat.*

W tym momencie wszyscy się odwracają i z choreograficzną precyzją unoszą togi, odsłaniając napis wypisany na tyłkach, po jednej literze na każdym pośladku:

WESOŁYCH ŚWIĄT ŻYCZY TIGER INN

Słysząc głośnie oklaski, radosne krzyki i pojedyncze gwizdy. Gdy apostołowie wraz z nauczycielem już mają odejść, nad dziedzińcem rozlega się głośny trzask i brzęk tłuczonego szkła.

Wszyscy patrzą w tamtą stronę. Na najwyższym piętrze Dickinson Hall, budynku wydziału historii, widać migoczące światło. Jedna szyba jest strzaskana. Widzę za nią jakiś ruch.

Apostoł z TI krzyczy zachęcająco.

– Co się dzieje? – pytam go. Mrużąc oczy, widzę, że koło wybitego okna ktoś stoi.

– To nie jest zabawne – warczy Kelly na Judasza, który pojawił się obok.

Ten nie zwraca na nią uwagi.

– Co on tam robi? – pyta Kelly, wskazując okno.

– Będzie sikał – odpowiada Judasz po chwili namysłu. Wybuchają pijackim śmiechem i powtarza: – Będzie sikał z okna.

Kelly podbiega do Jezusa.

– Do cholery, Derek, co tu się dzieje?! – krzyczy.

Mężczyzna w oknie pojawia się i znika. Nieskoordynowane ruchy sugerują, że jest pijany. Przez chwilę mam wrażenie, że zbiera szkło, ale znika ponownie.

– Wydaje mi się, że tam jest jeszcze ktoś – mówi Charlie. Nagle widać całą postać mężczyzny. Stoi plecami do okna.

– Będzie sikał – powtarza Judasz.

– Skacz! Skacz! – bełkotliwie krzyczy któryś z apostołów.

– Zamknijcie się, do cholery! – karci ich Kelly. – Idźcie i sprowadźcie go na dół!

Mężczyzna znowu znika.

– To chyba nikt z TI – stwierdza zaniepokojony Charlie. – Myślę, że to jakiś pijak z Nagiej Olimpiady.

Mężczyzna jest jednak ubrany. Wbijam oczy w ciemności, usiłując go dojrzeć. Nic nie widzę.

Obok mnie gwizdże wstawiony apostoł.

– Skacz! – znów ktoś krzyczy, lecz teraz Derek gwałtownie się odwraca i każe mu się zamknąć.

– Zjeżdżaj stąd! – wścieka się Kelly.

– Spokojnie, dziewczyno – rzuca Derek i zaczyna zaganiać swoich zbłąkanych uczniów.

Gil przygląda się temu wszystkiemu z takim samym nieodgadnionym wyrazem twarzy, jak wtedy, gdy pojawili się apostołowie. Zerka na zegarek.

– No, chyba to już wszystkie atrakcje dzisiejszego wieczoru...

– Kurwa! – krzyczy Charlie.

Jego okrzyk niemal zagłusza drugi huk. Tym razem nie mam wątpliwości. To strzał.

Gil i ja obracamy się akurat, by to zobaczyć. Mężczyzna wylatuje przez szybę i przez chwilę wydaje się zamrożony w swobodnym locie. Śnieg tłumi odgłos uderzenia. Na dziedzińcu zapada cisza.

To wszystko.

Pierwsza rzecz, jaką pamiętam z dalszych wydarzeń, to odgłos kroków Charliego, który biegnie do ciała na śniegu. Za nim ruszają następni i tłum zasłania mi widok.

– Jezu – szepcze Gil.

– Co mu się stało? – krzyczy ktoś, ale nie widać żadnego ruchu.

– Niech ktoś wezwie pogotowie! – słyszę wreszcie głos Charliego. – Powiedzcie im, że mamy nieprzytomnego człowieka na dziedzińcu kaplicy!

Gil wyciąga z kieszeni telefon, ale w tym momencie na scenie pojawiają się dwaj policjanci uniwersyteccy. Jeden przeciska się przez tłum, drugi odsuwa gapiów. Przez chwilę widzę, jak Charlie klęczy pochylony nad ciałem i robi masaż serca. Jego ruchy są tak precyzyjne, jak ruchy tłoków silnika. Nieoczekiwanie mam okazję zobaczyć, jak wyglądają jego nocne dyżury.

– Pogotowie już jedzie!

Wreszcie słyszę zbliżające się wycie syren.

Nie mogę opanować drżenia nóg. Mam wrażenie, że nadciąga coś ciemnego.

Przyjeżdża karetka. Otwierają się tylne drzwi i wyskakują z niej dwaj sanitariusze z noszami. Widzę pośpieszne ruchy, inni co chwila zasłaniają mi widok. Gdy sanitariusze zatrząskują już drzwiczki karetki, widzę ślad na śniegu – miejsce, w którym wylądowało ciało. Plama na bruku wydaje się czymś nieprzyzwoitym, jak wrzód na ciele księżniczki z bajki. Teraz dokładniej dostrzegam ciemne plamy, które przedtem uznałem za ślady błota. Nie są czarne, tylko czerwone. To krew. W pokoju nad nami jest ciemno.

Światła i syrena stopniowo nikną, w miarę jak karetka oddala się Nassau Street. Wciąż wpatruję się w odcisk ciała na śniegu. Jest zniekształcone, przypomina połamanego śnieżnego anioła. Ostry podmuch wiatru sprawia, że kulę się i krzyżuję ramiona. Dopiero, gdy tłum na dziedzińcu zaczyna się przerzedzać, zdaję sobie sprawę, że nie ma Charliego. Pojechał karetką do szpitala. Zamiast jego głosu słyszę nieprzyjemną ciszę.

Studenci się rozchodzą. Nikt nie krzyczy, słychać tylko ciche szepty.

– Mam nadzieję, że nic mu nie będzie – mówi Gil, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Przez chwilę wydaje mi się, że ma na myśli Charliego.

– Chodźmy do domu – dodaje. – Podwiozę cię.

Dotyk jego ciepłej dłoni sprawia mi przyjemność, ale mimo to stoję i wpatruję się w śnieg. Oczami wyobraźni znów widzę, jak ten człowiek leci i uderza o ziemię. Sekwencja zdarzeń rozpada się na kawałki; słyszę trzask szkła, później strzał. Coś przewraca mi się w brzuchu.

– Chodź – powtarza Gil. – Chodźmy stąd.

Wiatr znów przybiera na sile. Wreszcie się ruszam. Katie znikła gdzieś w zamieszaniu; stojąca w pobliżu jej koleżanka mówi mi, że pojechała do Holder. Postanawiam zadzwonić do niej z domu.

Gil kładzie mi ręce na ramionach i delikatnie popycha w kierunku saaba, stojącego w śniegu przy wejściu do audytorium. Niezawodny instynkt podpowiada mu, co robić: podkręca mocno ogrzewanie i puszcza stare ballady Sinatry tak głośno, że wiatr jest tylko wspomnieniem. Gwałtowne przyśpieszenie uświadamia mi, że wzięliśmy górę nad żywiołami. Pędzimy do kampusu, a wszystko za nami stopniowo znika w śniegu.

– Widziałeś tego człowieka, który spadł? – pyta Gil spokojnie.

– Nic nie widziałem.

– Nie sądzisz... – Gil przerywa i pochyla się do przodu.

– Co takiego?

– Może powinniśmy zadzwonić do Paula i sprawdzić, co się z nim dzieje?

Gil podaje mi komórkę, ale nie ma zasięgu.

– Jestem pewny, że nic mu nie jest – mówię, manipulując telefonem.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu, usiłując wyprzeć złe myśli. Wreszcie Gil wymusza zmianę tematu.

– Jak ci się udał wyjazd? – pyta. Na początku tygodnia poleciałem do Columbus, by uczcić zakończenie pracy nad dysertacją.
– Jak tam w domu?

Rozmowa kuleje. Przeskakujemy z tematu na temat, starając się nie myśleć o tym, co się stało. Opowiadam mu nowiny o moich siostrach; jedna jest weterynarzem, druga studiuje zarządzanie. Gil pyta o mamę – zapamiętał datę jej urodzin. Opowiada, że choć organizacja balu zajęła mu sporo czasu, gdy mnie nie było, zdążył skończyć rozprawę przed terminem wyznaczonym przez wydział ekonomii. Zastanawiamy się głośno, gdzie został przyjęty Charlie, i usiłujemy zgadnąć, dokąd on chciałby pojechać – na ten temat Charlie zachowuje skromne milczenie, nie zwierza się nawet nam.

Jedziemy na południe. W ciemnościach po obu stronach drogi widać budynki akademików. Z pewnością już rozeszła się wiadomość, co stało się na dziedzińcu kaplicy, bo w ogóle nie widać pieszych. Samochody stoją nieruchomo w zatoczkach. Jazda na parking, kilometr za Dod, wydaje się równie długa, jak powrót piechotą. Paula nigdzie nie widać.

Rozdział 12

Zgodnie ze starym powiedzonkiem krytyków, zajmujących się *Frankensteinem*, potwór jest metaforą powieści. Mary Shelley, która miała dziewiętnaście lat, gdy zaczęła ją pisać, sama to prowokowała, określając ją jako swoje ohydne potomstwo, trupa, żyjącego własnym życiem. Gdy miała siedemnaście lat, straciła dziecko, a jej matka zmarła, gdy rodziła córkę, a zatem Mary z pewnością wiedziała, co mówi.

Przez jakiś czas sądziłem, że osoba Mary Shelley to jedyne, co temat mojej rozprawy miał wspólnego z tematem wybranym przez Paula: Shelley i Rzymianin Francesco Colonna (który w chwili ukazania się *Hypnerotomachii*, zdaniem pewnych uczonych, miał zaledwie czternaście lat) stanowili ładną parę przedwcześnie rozwiniętych nastolatków. Nim poznałem Katie, Mary i Francesco wydawali mi się ponadczasowymi kochankami, równie młodymi w różnych epokach. Dla Paula, który stał twarzą w twarz z uczonymi z pokolenia mojego ojca, byli oni symbolami potęgi młodości w starciu z uporem starego wieku.

Choć może się to wydać dziwne, pierwsze osiągnięcie Paula w starciu z *Hypnerotomachią* polegało na wysunięciu tezy, że Francesco Colonna nie był człowiekiem młodym, lecz starym. Paul przyszedł do Tafta już na pierwszym roku, jako nowicjusz, a potwór wywęszył wpływy mojego ojca. Taftowi zależało na wykazaniu Paulowi, jak głupie były teorie ojca. Wciąż opowiadał się za

koncepcją Colonna z Wenecji, dlatego przedstawił mu najsilniejsze argumenty na rzecz Pretendenta.

Hypnerotomachia ukazała się w 1499 roku – argumentował Taft – rzymski Colonna miał czterdzieści pięć lat; co do tego zgadzali się wszyscy. Jednak na ostatniej stronie książki Colonna stwierdza, że napisał ją w roku 1467, a Francesco mojego ojca miałby wówczas dopiero czternaście lat. Niezależnie od tego, jak mało było prawdopodobne, by mnich i wielokrotny przestępca napisał *Hypnerotomachia*, z pewnością było całkowicie niemożliwe, by zrobił to czternastoletni chłopiec.

Tak więc, niczym zrzedliwy król, wymyślający nowe zadania dla młodego Herkulesa, Taft przerzucił na Paula ciężar dowodu. Potwór odmówił pomocy w badaniach opartych na założeniu, że *Hypnerotomachię* napisał rzymski Colonna, dopóki Paul nie rozwiąże problemu wieku.

Trudno wyjaśnić, dlaczego Paul nie ugiął się pod presją logiki tego wywodu. Źródłem inspiracji było nie tylko wyzwanie Tafta, lecz także on sam: Paul odrzucił jego sztywną interpretację *Hypnerotomachii*, przyjął jednak za wzór jego rygorystyczny stosunek do źródeł. Ojciec pozwalał, by kierowała nim intuicja, prowadził poszukiwania głównie w tak egzotycznych miejscach jak stare klasztory i papieskie biblioteki, natomiast Paul przyjął bardziej systematyczne podejście Tafta. Żadna książka nie była dla niego zbyt skromna, żadne miejsce zbyt banalne. Paul przeszukał cały system biblioteczny Princeton, od piwnicy po strych. Jego młodzieńcze

wyobrażenie o książkach, podobne do wyobrażeń o wodzie, jakie ma dziecko, które wychowywało się nad stawem, rozmyło się wskutek kontaktu z tym oceanem. Gdy Paul wyjeżdżał na studia, jego kolekcja książek liczyła niecałe sześćset tomów. Zbiory w Princeton, w tym ponad osiemdziesiąt kilometrów półek w bibliotece Firestone, zawierały grubo ponad sześć milionów woluminów.

To doświadczenie początkowo przygniotło Paula. Dziwny obraz odkrywania kluczowych dokumentów wskutek czystego przypadku, jaki malował mój ojciec, nagle został zniszczony. Jeszcze bardziej bolesne było związane z tym zwątpienie we własne siły, wewnętrzne podejrzenia, że jest tylko prowincjonalnym talentem, słabą gwiazdką w ciemnym zakamarku nieba. Studenci wyższych lat, z którymi chodził na zajęcia, szczerze przyznawali, że Paul ich wyprzedza, a profesorowie widzieli w nim niemal Mesjasza. Dla niego to wszystko nie miało jednak znaczenia, jeśli nie potrafił posunąć się naprzód w pracy nad *Hypnerotomachią*.

Wszystko zmieniło się tamtego lata we Włoszech. Paul odkrył prace włoskich uczonych, które mógł czytać dzięki zaliczonym czterem latom łaciny. Czytając autorytatywną włoską biografię weneckiego Pretendenta, Paul dowiedział się, że pewne elementy *Hypnerotomachii* zostały zapożyczone z książki zatytułowanej *Cornucopiae*, opublikowanej w 1489 roku. Jako szczegół biografii Pretendenta nie miało to znaczenia, natomiast Paul, który przez cały czas rozmyślał o rzymskim Francescu, dostrzegł wielkie znaczenie tego stwierdzenia. Niezależnie od tego, co mówił Colonna na temat

daty napisania książki, Paul miał teraz w ręku dowód, że *Hypnerotomachia* powstała po 1489 roku. W tym czasie rzymski Colonna miał lat trzydzieści sześć, nie zaś czternaście. Wprawdzie Paul nie mógł wyjaśnić, dlaczego Colonna skłamał w kwestii daty napisania *Hypnerotomachii*, ale miał już odpowiedź na wyzwanie Tafta. W ten sposób, na dobre lub złe, Paul znalazł się w świecie mojego ojca.

Teraz rozpoczął się okres szybko rosnącej pewności siebie. Uzbrojony w cztery języki (piąty, angielski, przydawał się tylko w przypadku wtórnych źródeł) oraz szeroką wiedzę o czasach i życiu Colonna, Paul rzucił się na tekst. Z każdym dniem poświęcał mu coraz więcej czasu, przyjmując postawę, która była dla mnie niepokojąco znajoma: strony książki stanowiły szranki, w których toczył intelektualną walkę z autorem, przy czym zwycięzca zgarniał wszystko. Wpływ Vincenta Tafta, osłabiony w okresie przed podróżą, teraz znów stał się istotny. Praca nad rozwikłaniem zagadki zamieniła się w prawdziwą obsesję, a Taft i Stein odgrywali w życiu Paula coraz większą rolę. Gdyby nie interwencja pewnego człowieka, obawiam się, że moglibyśmy stracić go na dobre.

Tym człowiekiem był sam Francesco Colonna, a jego książka okazała się znacznie twardszym orzechem do zgryzienia, niż Paul się spodziewał. Choć wyęczał swe umysłowe mięśnie, góra nawet nie drgnęła. Kiedy postępy były coraz wolniejsze, a jesień trzeciego roku studiów zmieniła się w zimę, Paul stał się nerwowy, pozwalał sobie na ostre uwagi i chamskie manieryzmy, których z pewnością nauczył się

od Tafta. Jak powiedział mi Gil, członkowie Ivy żartowali z niego, kiedy Paul siedział samotnie przy kolacji, otoczony stertami książek i do nikogo się nie odzywał. Gdy obserwowałem, jak kurczy się jego pewność siebie, coraz lepiej rozumiałem, co kiedyś powiedział mój ojciec: *Hypnerotomachia* to syrena przyzywająca żeglarzy na odległe wybrzeże, która zatapia w ofierze zęby i szpony. Każdy, kto się z nią zadaje, winien zdawać sobie sprawę, jakie podejmuje ryzyko.

Mijały tygodnie. Nadeszła wiosna. Skąpo ubrane studentki grały we frisbee pod jego oknem, wiewiórki biegały po gałęziach uginających się pod ciężarem kwiatów, słychać było odbicia piłek tenisowych, a Paul siedział w swoim pokoju, samotnie, za zaciągniętymi firankami, ukryty za zawieszoną na drzwiach tabliczką NIE PRZESZKADZAĆ. Wszystko, co ja uwielbiałem, on uważał za przeszkody utrudniające skupienie myśli – zapachy i dźwięki, zniecierpliwienie długą zimą spędzoną nad książkami. To, co miał mi do powiedzenia, coraz częściej wydawało mi się prognozą meteorologiczną z obcego kraju. Widywałem go rzadko.

Latem nastąpiła zmiana. We wrześniu, na początku czwartego roku, po trzech miesiącach w pustym kampusie, Paul powitał nas serdecznie i pomógł się wprowadzić. Nagle przestało mu wszystko przeszkadzać, gotów był spędzać czas z przyjaciółmi, nie myślał wyłącznie o przeszłości. Początek semestru był okresem renesansu naszej przyjaźni, jakiego się nie spodziewałem. Paul nie zwracał uwagi na członków Ivy, którzy tylko czekali, aż powie coś skandalicznego, rzadziej kontaktował się z Taftem i Steinem, podczas

posiłków długo siedział przy stole i lubił spacerować między zajęciami. Dostrzegał nawet coś śmiesznego w tym, jak śmieciarze w każdy wtorek o siódmej rano opróżniają pojemnik pod naszym oknem. Sądziłem, że zmienił się na lepsze. Więcej nawet: to były ponowne narodziny.

Dopiero, gdy Paul przyszedł do mnie pewnego wieczoru, w październiku, po kolokwiach, zrozumiałem, że nasze rozprawy mają jeszcze jedną wspólną cechę: obaj piszemy o martwych rzeczach, które nie dają się pogrzebać.

– Czy cokolwiek może zmienić twoją decyzję w sprawie *Hypnerotomachii*? – spytał mnie wtedy Paul. Napięty wyraz jego twarzy świadczył o tym, że znalazł coś ważnego.

– Nie – odpowiedziałem, częściowo dlatego, iż naprawdę tak myślałem, częściowo po to, by sprowokować go do mówienia.

– Sądzę, że latem dokonałem przełomowego odkrycia. Potrzebuję twojej pomocy, by je zrozumieć.

– Opowiedz mi o tym.

I niezależnie od tego, jak to się zaczęło w przypadku mojego ojca i co podsycało ciekawość Paula, to właśnie od tego momentu *Hypnerotomachia* naprawdę mnie zafascynowała. To, co Paul powiedział mi tej nocy, sprawiło, że martwa książka Colonna zaczęła żyć nowym życiem.

– W zeszłym roku, gdy powoli ulegałem frustracji, Vincent poznał mnie ze Stevenem Gelbmanem – zaczął Paul. – Gelbman

zajmuje się równocześnie badaniami z zakresu matematyki, kryptografii i religii. Jest ekspertem w dziedzinie matematycznej analizy Tory. Słyszałeś o tym?

– Brzmi jak kabała.

– Właśnie. Badasz nie to, co mówią słowa, lecz co mówią liczby. Każdej literze w hebrajskim alfabecie przypisuje się liczbę, a zatem tekst zmienia się w ciąg liczb. Następnie szukasz w tym ciągu regularności matematycznych.

Początkowo byłem nastawiony sceptycznie. Zaliczyłem dziesięć godzin wykładów o sefirotach, lecz nie dałem się przekonać. Po prostu nie dostrzegałem żadnego związku z Colonną. Latem skończyłem z wtórnym materiałem na temat *Hypnerotomachii* i zająłem się samą książką. To był koszmar. Próbowałem wszelkich możliwych interpretacji, ale nic nie pasowało. Ilekroć myślałem, że tekst zmierza w jakimś kierunku, ma określoną strukturę i wyraża pewną tezę, po kilku stronach następowała nagła zmiana.

Przez pięć tygodni próbowałem zrozumieć pierwszy labirynt, jaki opisuje Francesco. Czytałem Witruwiusza, żeby poznać terminologię architektoniczną. Przyjrzałem się wszystkim starożytnym labiryntom, o jakich słyszałem – egipskiemu w Mieście Krokodyli, na Lemnos, w Clusium, na Krecie i jeszcze kilku innym. Wtedy zdałem sobie sprawę, że w *Hypnerotomachii* są cztery labirynty – w świątyni, w wodzie, w ogrodzie i pod ziemią. Gdy tylko zacząłem rozumieć pierwszy poziom komplikacji, natychmiast pojawiły się cztery następne. Polifilo gubi się na początku książki

i mówi: Moim jedynym ratunkiem było błaganie o pomoc kreteńską Ariadnę, która dała Tezeuszowi nić, by mógł wydostać się z trudnego labiryntu. To tak, jakby książka rozumiała, jakie mam z nią problemy.

W końcu pomyślałem, że na pewno wiemy tylko jedno: pierwsze słowa każdego rozdziału tworzą akrostych. Wobec tego zacząłem błagać o łaskę kreteńską Ariadnę, jedyną osobę, która mogłaby mi pomóc znaleźć drogę w labiryncie.

– Wróciłeś do Gelbmana.

– Poszedłem do Canossy – potwierdził Paul. – Byłem zdesperowany. Vincent przekonał go, że robię postępy, dlatego w lipcu Gelbman zaprosił mnie na weekend do Providence i pokazał bardziej wyrafinowane metody deszyfracji. Od tej chwili sytuacja zaczęła się poprawiać.

Pamiętam, że gdy Paul mi to mówił, wyglądałem przez okno. Czułem, że pejzaż się zmienia. Siedzieliśmy sami w naszym mieszkaniu w Dod, był piątek wieczór. Gdzieś pod nami Charlie i Gil grali w tunelach w paintball z kolegami z Ivy i z pogotowia. Następnego dnia musiałem napisać esej i przygotować się do testu. Za tydzień miałem poznać Katie. W tym jednak momencie całą uwagę skupiłem na tym, co mówił Paul.

– Najbardziej złożona koncepcja, jakiej mnie nauczył – ciągnął Paul – to metoda szyfrowania książki oparta na algorytmie w tekście. W takim przypadku klucz znajduje się w zakodowanym tekście. Najpierw musisz znaleźć klucz, podobnie jak rozwiązanie równania,

a następnie odczytać za jego pomocą całą resztę. Książka zawiera interpretację siebie samej.

– Wygląda na to, że taki pomysł mógłby spowodować bankructwo wydziału filologii – zauważyłem z uśmiechem.

– Ja również byłem sceptyczny. Okazuje się jednak, że ta metoda ma długą tradycję. W okresie oświecenia intelektualiści tworzyli traktaty, które były takimi właśnie zagadkami. Tekst wyglądał zupełnie normalnie, jak opowiadanie, wymiana listów lub coś takiego. Jeśli jednak ktoś znał odpowiednią metodę – na przykład wyszukiwał literówki, które były celowe, lub rozwiązywał zagadki w ilustracjach – mógł znaleźć klucz. Na przykład: „Używaj tylko liczb pierwszych i kwadratowych oraz liter występujących w co dziesiątym słowie; pominię słowa lorda Kinkaida i pytania służącej”. Korzystając z takich wskazówek, można było odczytać zaszyfrowaną wiadomość. Na ogół był to limeryk lub sprośny dowcip, ale jeden z tych facetów spisał w ten sposób swój testament. Postanowił, że kto go odczyta, dostanie spadek.

Paul wyjął z książki kartkę z zapisanym fragmentem książki i zawartą w nim zaszyfrowaną wiadomością. Nie mogłem się zorientować, na czym polega schemat szyfrowania.

– Po pewnym czasie zacząłem myśleć, że ta metoda może okazać się skuteczna. Być może wskazówką był akrostych z pierwszych liter rozdziałów *Hypnerotomachii*. Może miał dać do zrozumienia, że tego typu interpretacja pozwoli zrozumieć całą książkę. Wielu humanistów interesowało się kabałą, a w czasach

renesansu ludzie lubili bawić się językiem i symbolami. Niewykluczone zatem, że Francesco zawarł w swej książce jakiś szyfr.

Oczywiście problem polegał na tym, że nie miałem pojęcia, gdzie mam szukać algorytmu. Zacząłem wymyślać różne szyfry, żeby sprawdzić, czy przypadkiem któryś z nich nie zadziała. Walczyłem z tym dzień po dniu. Kilka razy wydawało mi się, że na coś trafiłem, siedziałem przez tydzień w Sali Rzadkich Ksiąg, szukając odpowiedzi, po czym okazywało się, że to bez sensu lub raczej, że jest to ślepy zaułek, pułapka.

Pod koniec sierpnia pracowałem przez trzy tygodnie nad jednym fragmentem, tym, w którym Polifilo bada ruiny świątyni i znajduje hieroglify wyryte na obelisku. *Do boskiego i zawsze wspaniałego Juliusza Cezara, władcy świata* – tak się zaczyna. Nigdy go nie zapomnę, niemal doprowadził mnie do szaleństwa. Te same strony, dzień po dniu. Wtedy jednak to znalazłem.

Paul otworzył gruby kołnotatnik, zawierający kserokopię *Hypnerotomachii* z dołączonymi notatkami. Wyciągnął kartkę z pierwszymi literami każdego rozdziału, tworzącymi słynne zdanie o bracie Francescu Colombie: *Poliam Frater Franciscus Columna Peramavit*.

– Zacząłem od prostego założenia. Ten akrostych z pewnością nie jest jakąś sztuczką lub żartem, łatwym sposobem identyfikacji autora. Musiał powstać w jakimś ważniejszym celu. Pierwsze litery

zapewne nie miały służyć tylko do odczytania wstępnej wiadomości, lecz również całej książki.

Zacząłem próbować. Urywek, który analizowałem, zaczyna się od hieroglify na jednym z rysunków. To oko. – Paul przerzucił kilka stron i pokazał mi rysunek.



– Ponieważ był to pierwszy symbol na drzeworycie, przyjąłem, że musi być ważny. Niestety, nie mogłem go rozgryźć. Wyjaśnienie podane przez Polifila – że oko oznacza Boga lub opatrzność – nie doprowadziło mnie do niczego.

W tym momencie dopisało mi szczęście. Pewnego dnia pracowałem w centrum studenckim, byłem niewyspany i postanowiłem kupić wodę sodową. Automat wciąż wypluwał mojego dolara. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem zrozumieć dlaczego. Wreszcie zauważyłem, że wkładam banknot złą stroną. Zamierzałem go obrócić, gdy coś dostrzegłem. Miałem to przed oczami, na rewersie banknotu.

– Oko – powiedziałem. – Nad piramidą.

– Właśnie. Część wielkiej pieczęci. W tym momencie doznałem olśnienia. W czasach renesansu pewien wielki humanista używał oka jako swojego symbolu. Bił go nawet na medalach i monetach.

Paul zrobił pauzę, jakbym mógł wiedzieć, o kogo chodzi.

– To Alberti – wyjaśnił, wskazując na niewielki tom na półce z napisem *De Re aedificatoria* na grzbiecie. – To o tym myślał Colonna? Miał zamiar pożyczyć pomysł z książki Albertiego i chciał to zasygnalizować? Jeśli tylko uda ci się odgadnąć, o co mu chodzi, reszta stanie się jasna.

W swoim traktacie Alberti tworzy łacińskie odpowiedniki terminów architektonicznych wywodzących się z greki. Francesco dokonuje takiej samej zamiany w całej *Hypnerotomachii* z wyjątkiem jednego miejsca. Zauważyłem to już, gdy po raz pierwszy tłumaczyłem ten fragment, ponieważ natknąłem się na terminy z Witruwiusza, których dawno nie widziałem. Nie sądziłem jednak, że ma to znaczenie.

Teraz stwierdziłem, że należy znaleźć wszystkie greckie terminy architektoniczne i zastąpić je łacińskimi odpowiednikami, używanymi w całym tekście. Powstaje wtedy akrostych. Jeśli weźmiesz pierwsze litery tych słów, tak samo jak pierwsze litery rozdziałów, dostajesz rozwiązanie zagadki. Jest nim pewna wiadomość po łacinie. Oczywiście, jeśli zrobisz jeden błąd w przekładzie terminów greckich, nic z tego nie wychodzi. Na przykład, jeśli przetłumaczysz *entasi* jako

ventris diametrum zamiast po prostu *venter*, dodatkowe *d* na początku *diametrum* zmienia wszystko.

– Oczywiście popełniłem błędy – przyznał Paul. Przewrócił stronę i mówił coraz szybciej. – Na szczęście nie były na tyle poważne, by uniemożliwić odczytanie łacińskiej wiadomości. Zajęło mi to trzy tygodnie, skończyłem tuż przed waszym powrotem. Wreszcie znalazłem odpowiedź. Wiesz, co to za wiadomość? – Podrapał się po twarzy. – To pytanie: *Kto zrobił z Mojżesza rogacza?*

Paul nerwowo się zaśmiał.

– Przysięgam, że słyszałem, jak Francesco naśmiewał się ze mnie. Czuję się tak, jakby ta cała książka była jednym wielkim kawałem, który on mi zrobił. Mówię poważnie. *Kto zrobił z Mojżesza rogacza?*

– Nie rozumiem.

– Inaczej mówiąc, kto uwiódł...

– Wiem, co to zrobić z kogoś rogacza.

– Ściśle mówiąc, Colonna nie użył słowa „rogacz”. Wiadomość brzmi: *Kto przyprawił Mojżeszowi rogi?* Rogi, już w czasach Artemidora, oznaczały ofiarę zdrady. To wywodzi się...

– Ale co to ma wspólnego z *Hypnerotomachią*?

Czekałem, aż wyjaśni lub przyzna, że błędnie odczytał wiadomość. Paul jednak wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju.

Najwyraźniej było to jeszcze bardziej skomplikowane.

– Nie wiem. Nie potrafię zrozumieć, jak pasuje to do całej książki. To jednak dziwne. Myślę, że rozwiązałem zagadkę.

– Ktoś zrobił z Mojżesza rogakza?

– No, coś w tym rodzaju. Początkowo sądziłem, że to błąd. Mojżesz jest zbyt ważną postacią w Starym Testamencie, by mógł kojarzyć się z niewiernością. O ile mi wiadomo, miał żonę Seforę z Madianitów, ale Księga Wyjścia ledwo o niej wspomina i nie znalazłem żadnej wzmianki, jakoby miała go zdradzać. Jednak rozdział dwunasty, ustęp pierwszy Księgi Liczb nadmienia o czymś niezwykłym. Brat i siostra Mojżesza krytykowali go, ponieważ wziął za żonę Kuszytkę. Szczegóły nie są nigdzie wyjaśnione, ale niektórzy uczeni dowodzą, że ponieważ Kusz i Madian to całkowicie różne regiony geograficzne, Mojżesz musiał mieć dwie żony. Biblia nie wymienia imienia tej Kuszytki, lecz Józef Flawiusz, historyk z pierwszego wieku, który napisał biografię Mojżesza, twierdzi, że ta kobieta – Kuszytka, czyli inaczej pochodząca z Etiopii – miała na imię Tarbis.

– Zatem to ona go zdradzała? – Czułem się coraz bardziej przygnieciony detalami.

– Nie – pokręcił głową Paul. – Biorąc drugą żonę, Mojżesz zdradził pierwszą, albo Seforę, albo Kuszytkę, zależnie od tego, która była pierwsza. Trudno ustalić chronologię, ale w niektórych tradycjach językowych rogi pojawiają się na głowie niewiernego małżonka lub małżonki, a nie ofiary zdrady.

W zagadce chodzi o to, komu Mojżesz przyprawił rogi. Odpowiedź brzmi Seforze lub Tarbis.

– I co z tego wynika?

– W tym miejscu natknąłem się na mur nie do pokonania – przyznał Paul. Jego podniecenie nagle przygasło. – Próbowałem wykorzystać imiona Sefora i Tarbis na wszelkie możliwe sposoby, zakładając, że stanowią klucz do szyfru. Nic z tego.

Przerwał, jakby oczekiwał, że coś wymyślę.

– A co sądzi o tym wszystkim Taft? – To było jedyne pytanie, jakie przyszło mi do głowy.

– Vincent nic nie wie. Sądzi, że marnuję czas. Gdy uznał, że metody Gelbmana nie prowadzą do natychmiastowego przełomu, powiedział mi, że powinienem iść jego śladem i skoncentrować się na pierwotnych źródłach weneckich.

– Nie zamierzasz mu o tym powiedzieć?

Paul spojrzał na mnie tak, jakbym go nie rozumiał.

– Mówię o tym tobie – powiedział.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Tom, to nie może być przypadek. To zbyt ważne. Czegoś takiego szukał twój ojciec. Teraz musimy jeszcze zrozumieć rozwiązanie. Chcę, żebyś mi pomógł.

– Dlaczego?

W jego głosie pojawiła się nutka pewności, jakby dostrzegł w *Hypnerotomachii* coś, co wcześniej zostało przeoczone.

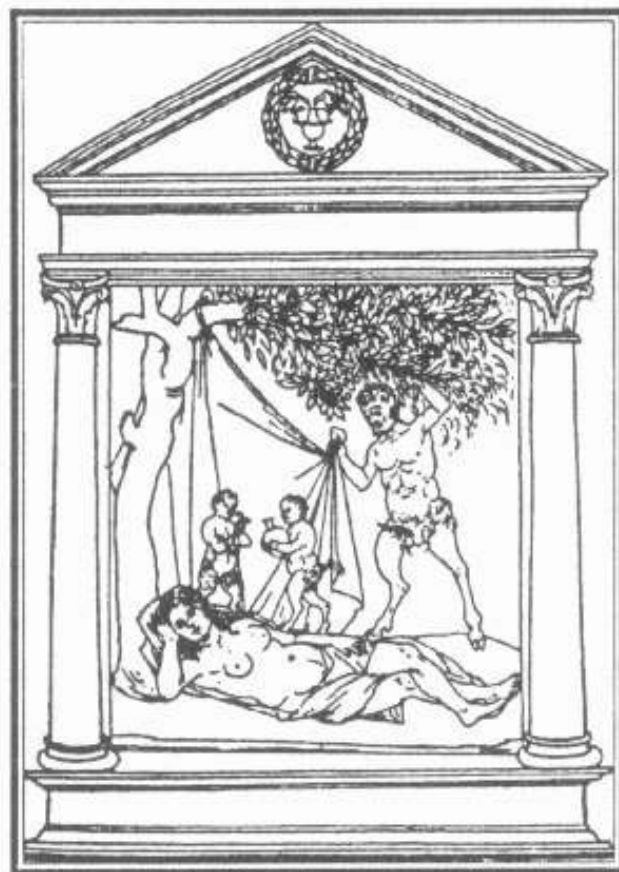
– Książka wynagradza różne style myślenia. Niekiedy potrzebna jest cierpliwość, uważne badanie szczegółów. Kiedy indziej wymaga instynktu i pomysłowości. Przeczytałem twoją rozprawę o *Frankensteinie*. Doszedłeś do słusznych i oryginalnych wniosków.

Nawet się przy tym nie napracowałeś. Zastanów się nad tym. Pomyśl o zagadce. Może coś przyjdzie ci do głowy. To wszystko, o co proszę.

Tego wieczoru odrzuciłem propozycję Paula z prostego powodu. W krajobrazie mojego dzieciństwa książka *Colonny* była opuszczonym dworem na wzgórzu, rzucającym ostrzegawcze cienie na wszelkie nadciągające myśli. Wszystkie nieprzyjemne tajemnice mojej młodości wywodziły się z tych nieczytelnych stron: niezrozumiała nieobecność ojca przy jadalnym stole podczas tak wielu kolacji, gdy pracował w gabinecie, stare kłótnie, do których wciąż wracali rodzice, niczym święci popadający w te same grzechy, nawet osobliwość Richarda Curry'ego, który zakochał się w *Hypnerotomachii* mocniej niż ktokolwiek inny i nigdy nie oprzytomniał. Nie mogłem pojąć, dlaczego ta książka wywiera taki wpływ na wszystkich, którzy ją przeczytali, ale z mojego doświadczenia wynikało, że zawsze ma to opłakane skutki. Obserwowanie męczarni Paula, choć zakończyły się one przełomowym odkryciem, tylko umacniało mnie w decyzji, by zachować dystans.

Jeśli wyda się komuś zaskakujące, że następnego dnia rano zmieniłem zdanie i przyłączyłem się do Paula, proszę to przypisać wpływowi snu, jaki miałem tej nocy. W moich wspomnieniach z dzieciństwa na zawsze pozostanie pewien drzeworyt z *Hypnerotomachii*, który oglądałem wiele razy, gdy wkradałem się do gabinetu ojca, by sprawdzić, nad czym ślęczy. Nie każdego dnia

młody chłopak ma okazję zobaczyć nagą kobietę leżącą pod drzewem, która patrzy na niego. Wyobrażam sobie również, że nikt, poza kręgiem badaczy *Hypnerotomachii*, nie może powiedzieć, że widział nagiego satyra stojącego obok kobiety, z rogiem penisa wyciągniętym w jej kierunku jak igła kompasu. Gdy zobaczyłem ten rysunek po raz pierwszy, miałem dwanaście lat. Byłem sam w gabinecie ojca i nagle zrozumiałem, dlaczego czasami spóźnia się na kolację. Cokolwiek to było, dziwne i cudowne, z pewnością nie działo się przypadkiem.



Tej nocy przypomniałem sobie drzeworyt z dzieciństwa – leżąca kobieta, skradający się satyr, wyprężony członek. Z pewnością długo

przewracałem się na łóżku, bo w końcu Paul spytał, czy nic mi nie jest.

Obudziłem się, wstałem i przerzuciłem książki na jego biurku. Penis, róg w niewłaściwym miejscu, coś mi przypomniał. Należało połączyć pewne rzeczy. Colonna wiedział, o czym mówi. Ktoś przyprawił Mojżeszowi rogi.

Znalazłem odpowiedź w *Historii sztuki renesansu* Hartta. Widziałem to zdjęcie wcześniej, ale nie zwróciłem na nie większej uwagi.

– Co to takiego? – spytałem Paula, podając mu otwartą książkę.

– *Mojżesz* Michała Anioła – odpowiedział od razu, patrząc na mnie, jakbym zwariował. – O co ci chodzi, Tom?

Nim zdążyłem wyjaśnić, Paul urwał i zapalił lampkę na nocnym stoliku.

– Oczywiście... – szepnął. – Boże, przecież to oczywiste.

Na zdjęciu, które mu pokazałem, widać było wyraźnie dwa wyrostki na czole Mojżesza, podobne do koźlich rogów satyra. Paul zerwał się z łóżka, robiąc taki hałas, że tylko czekałem na pojawienie się Charliego i Gila.

– Rozwiązałeś zagadkę – stwierdził, szeroko otwierając oczy. – To na pewno to.

Gadał tak jeszcze przez chwilę, podczas gdy ja zacząłem mieć wątpliwości: jak Colonna mógł zawrzeć rozwiązanie zagadki w rzeźbie Michała Anioła?

– Skąd te rogi? – pytam wreszcie.

Paul już mnie wyprzedził. Chwycił książkę i pokazał mi wyjaśnienie w tekście.

Rogi nie mają nic wspólnego z małżeńską niewiernością. Pytanie należy rozumieć dosłownie: kto dorobił Mojżeszowi rogi? To błąd w tłumaczeniu *Biblii*. Kiedy Mojżesz wraca z góry Synaj, według Księgi Rodzaju skóra na jego twarzy promieniała. Po hebrajsku promienie to *qaran*, co można również odczytać jako *qeren*, czyli rogi. Gdy święty Hieronim tłumaczył *Biblię* na łacinę, uznał, że tylko twarz Chrystusa może promieniować, dlatego wybrał drugą możliwość. Tak właśnie Michał Anioł wyrzeźbił swojego Mojżesza. Z rogami. Podniecony, nie zauważyłem nawet, co się dzieje. *Hypnerotomachia* wślizgnęła się w moje życie, przenosząc mnie przez rzekę, której wcale nie zamierzałem przekraczać. To święty Hieronim zastosował łacińskie słowo *cornuta* w opisie Mojżesza, tym samym dorabiając mu rogi. Teraz pozostało tylko wyjaśnić, jakie znaczenie ma słowo „Hieronim” dla odczytania *Hypnerotomachii*. Przez najbliższy tydzień Paul sam z zadowoleniem zajmował się tym problemem. Ja byłem tylko wynajętym rewolwerowcem, jego ostatnią bronią w walce z tą książką. Myślałem, że mogę utrzymać tę pozycję, zachować dystans i pozwolić, by Paul był pośrednikiem. Tak więc on wrócił do Firestone, płonąć od rozważań różnych konsekwencji naszego odkrycia, ja zaś wkrótce potem odkryłem Katie. Byłem wciąż bardzo napięty po spotkaniu z Franceskiem Colonną, dlatego mogę tylko wyobrazić sobie, jakie zrobiłem na niej wrażenie.

Spotkaliśmy się w instytucji, do której żadne z nas nie należało, a mimo to oboje czuliśmy się tam jak w domu: w Ivy Club. Ja spędzałem w Ivy weekendy równie często co we własnym klubie. Katie już wówczas, wiele miesięcy przed rozpoczęciem wyborów do klubów, była faworytką Gila, który od razu pomyślał, żeby nas ze sobą poznać.

– Katie – powiedział, gdy już ściągnął nas oboje do klubu w sobotę wieczorem. – To mój współlokator, Tom Sullivan.

Uśmiechnąłem się leniwie, uznając, że nie muszę się wysilać, by oczarować studentkę drugiego roku.

Potem ona się odezwała, a wtedy, niczym mucha w kwiecie dzbanecznika, która oczekuje nektaru, a spotyka ją śmierć, ja również zrozumiałem, kto na kogo poluje.

– Zatem to ty jesteś Tom – mruknęła, jakbym pasował do wizerunku z listu gończego, wywieszonego na poczcie. – Charlie opowiadał mi o tobie.

To miało jedną oczywistą zaletę: wiedziałem, że gorzej już być nie może. Najwyraźniej Charlie poznał Katie kilka dni wcześniej, a gdy zorientował się, że Gil zamierza nas wyswatać, postanowił się przyłączyć.

– Co on ci naopowiadał? – spytałem, starając się ukryć niepokój.

Katie przez chwilę zastanawiała się nad doborem odpowiednich słów.

– Coś z astronomii. O gwiazdach.

– Białe karły – wyjaśniłem. – To taki żart.

Katie zmarszczyła czoło.

– Ja też tego nie rozumiem – przyznałem, usiłując zatrzeć pierwsze wrażenie. – Niezbyt interesuję się takimi rzeczami.

– Pewnie studiujesz angielski? – spytała takim tonem, jakby potrafiła zgadnąć.

Kiwnąłem głową. Gil powiedział mi, że ona wybrała filozofię.

– Kto jest twoim ulubionym autorem? – spytała podejrzliwie.

– Co za pytanie. A kto jest twoim ulubionym filozofem?

– Camus – odpowiedziała, choć było to pytanie retoryczne. – A moim ulubionym pisarzem jest H. A. Ray.

To był sprawdzian. Nigdy nie słyszałem o Rayu. Wyglądał mi na modernistę, mniej znanego T. S. Elliota lub e. e. cummingsa wielkimi literami.

– Jakiś poeta? – ryzykuję, ponieważ mogę sobie wyobrazić, jak czyta przy ognisku literaturę francuską.

Katie zamrugała i uśmiechnęła się po raz pierwszy, od kiedy ją zobaczyłem.

– Autor *Ciekawskiego George'a* – wyjaśniła i głośno się zaśmiała, gdy na darmo usiłowałem się nie zaczerwienić.

To chyba nas połączyło. Każde z nas dawało drugiemu to, czego nie spodziewaliśmy się znaleźć. Zaraz po przybyciu do Princeton nauczyłem się, że nigdy nie należy rozmawiać z dziewczynami o studiach. „Nawet poezja zabije romans, pouczał mnie Gil, jeśli uznasz, że może zastąpić rozmowę”. Katie i ja zaliczyliśmy tę lekcję, lecz żadne z nas nie chciało jej zaakceptować. Podczas pierwszego

roku Katie chodziła z członkiem drużyny lacrosse, którego poznałem na seminarium z literatury. Był bardzo inteligentny, potrafił spojrzeć na Pynchona i DeLillo w sposób, jaki nigdy nie przyszedł mi do głowy, ale poza zajęciami nie chciał o nich w ogóle rozmawiać. Dokładnie podzielił swoje życie, wznosił mur między pracą i zabawą, co doprowadzało Katie do szaleństwa. W czasie naszej pierwszej dwudziestominutowej rozmowy w Ivy oboje dostrzegliśmy coś, co bardzo nam się spodobało – niechęć do murów, a może raczej niechęć do utrzymywania murów. Gil był zadowolony, że swaty się udały. Niedługo potem niecierpliwie wyczekiwałem na weekendy, myślałem, czy uda mi się ją spotkać przypadkowo między zajęciami, myślałem o niej w łóżku, pod prysznicem i w trakcie egzaminów. Miesiąc później zaczęliśmy spotykać się regularnie.

Jako starszy partner przez jakiś czas uważałem, że moim obowiązkiem jest korzystać w naszym związku z mądrości, jaką daje doświadczenie. Starłem się, żebyśmy chodzili do dobrze znanych miejsc i utrzymywali kontakty z licznymi przyjaciółmi, ponieważ w przeszłości przekonałem się, że prawdziwe poznanie przychodzi dopiero po fazie zakochania. Zakochani, gdy są sami, mogą przekonać się, jak mało o sobie wiedzą. Dlatego nalegałem, byśmy spotykali się w miejscach publicznych, zwykle w klubach. Zgadałem się umawiać na spotkanie w sypialni lub zaułku biblioteki tylko wtedy, gdy w jej głosie słyszałem ton „chodź tutaj” – a w każdym razie, gdy pochlebiałem sobie, że go słyszę.

Jak zwykle, to Katie wybiła mi to z głowy.

– Idziemy wieczorem na kolację – oznajmiła pewnego dnia.

– Czyj klub? – spytałem.

– Restauracja. Ty wybierasz.

Chodziliśmy ze sobą dopiero od dwóch tygodni, nadal słabo ją znałem. Długi wieczór we dwoje wydawał mi się rzeczą ryzykowną.

– Chcesz zaprosić Karen lub Trish, żeby poszły z nami? – spytałem. Jej współlokatorki z Holder stanowiły dobre zabezpieczenie. Zwłaszcza Trish, która prawie nie jadła i niezawodnie podtrzymywała rozmowę przy stole.

– Możemy również spytać Gila – odpowiedziała, stojąc do mnie plecami.

– Oczywiście. – Ta kombinacja wydawała mi się dziwna, ale im więcej osób, tym bezpieczniej.

– A może także Charliego? On zawsze jest głodny.

Dopiero teraz zorientowałem się, że Katie mówi z sarkazmem.

– O co ci chodzi, Tom? – spytała, znów odwracając się twarzą do mnie. – Boisz się, że ktoś zobaczy nas samych?

– Nie.

– Nudzę cię?

– Oczywiście, że nie.

– A więc o co chodzi? Boisz się, że odkryjemy, jak mało się znamy?

– Tak – przyznałem z wahaniem.

Katie wydawała się zdumiona moimi obawami.

– Jak ma na imię moja siostra? – zapytała wreszcie.

– Nie wiem.

– Czy jestem religijna?

– Nie jestem pewny.

– Czy kradnę drobne ze słoika na napiwki w kawiarni, gdy brakuje mi na kawę?

– Pewnie tak.

– No widzisz – uśmiechnęła się. – Jakoś przetrwałeś.

Nigdy nie poznałem nikogo, kto do tego stopnia nie miał wątpliwości, że chce mnie poznać. Katie była pewna, że wszystkie kawałki będą do siebie pasować.

– Chodźmy teraz na kolację – powiedziała, biorąc mnie za rękę.

Nigdy tego nie żałowaliśmy.

Osiem dni po moim śnie o satyrze Paul przyszedł do mnie z najnowszą wiadomością.

– Miałem rację – oznajmił z dumą. – Część książki jest napisana szyfrem.

– Jak to odgadłeś?

– *Cornuta* – słowo, którego użył Hieronim, by przyprawić Mojżeszowi rogi – to rzeczywiście odpowiedź na zagadkę Colonney. Jednak w przypadku *Hypnerotomachii* typowe sposoby użycia go jako klucza do niczego nie prowadzą. Spójrz...

Paul wyciągnął kartkę z dwiema linijkami liter.

a b c d e f g h i j k l m n o p q r s t u v w x y z
C O R N U T A B D E F G H I J K L M P Q S V W X Y Z

– To bardzo prosty alfabet szyfrowy – wyjaśnił. – Górny rząd to tak zwany tekst jawny, dolny to tekst zaszyfrowany. Zwróć uwagę, że tekst zaszyfrowany rozpoczyna się od klucza, którym jest słowo *cornuta*. Po nim następują kolejne litery alfabetu, z pominięciem liter z klucza, by uniknąć powtórzeń.

– Jak to działa?

Paul wziął ołówek i zaczął zakreślać litery.

– Powiedzmy, że chcesz zaszyfrować słowo „hello”. Wyszukujesz w jawnym alfabecie literę „h” i sprawdzasz, jaka litera alfabetu szyfrowego jej odpowiada. To „B”. I tak dalej. W ten sposób „hello” zmienia się w „BUGGJ”.

– Czy Colonna użył tego szyfru?

– Nie. W wiekach piętnastym i szesnastym na włoskich dworach używano już szyfrów znacznie bardziej wyrafinowanych. Alberti, autor traktatu o architekturze, który pokazałem ci tydzień temu, wymyślił również szyfry polialfabetyczne. Przy szyfrowaniu każdej kolejnej litery zmienia się alfabet szyfrowy zgodnie z kolejnością określoną przez klucz. Ich złamanie jest znacznie trudniejsze.

– Colonna nie mógł jednak używać takich szyfrów – zauważyłem, wskazując kartkę. – W ten sposób wychodzi bełkot. W całej książce byłoby pełno takich słów jak „BUGGJ”.

– Oczywiście. – Oczy Paula błysnęły. – Skomplikowane metody szyfrowania nie dają czytelnego tekstu. *Hypnerotomachia* jest jednak inna. Tekst zaszyfrowany wygląda jak normalny.

– Zatem Colonna używał zagadek, nie szyfrów.

– To się nazywa steganografia, nie kryptografia – przytaknął Paul. – To tak, jakby coś napisać atramentem sympatycznym: nikt nie wie, że na kartce jest ukryta wiadomość. Francesco połączył kryptografię ze steganografią. Ukrył zagadki w normalnym tekście, tak by nie rzucały się w oczy. Wiadomość jest zaszyfrowana, utrudniając jej odkrycie, a odpowiedź na zagadkę pozwala na deszyfrację. W tym przypadku trzeba policzyć litery w słowie *cornuta* – jest ich siedem – a następnie wybrać z tekstu co siódmą literę. Wystarczy znać odstęp między literami.

– Naprawdę? Wystarczy wybrać co siódmą literę z książki?

– Nie z całej książki, tylko z części – pokręcił głową Paul. – Początkowo nic z tego nie wychodziło. Same bzdury. Problem bierze się stąd, że nie wiadomo, gdzie zacząć. Jeśli zaczniesz od pierwszej litery, dostaniesz zupełnie inny tekst, niż gdybyś zaczął od drugiej. Okazuje się, że tu znowu ma znaczenie odpowiedź na zagadkę.

Paul wyciągnął następną kartkę, tym razem kserokopię strony z *Hypnerotomachii*.

– Tutaj, w środku rozdziału, znajduje się słowo *cornuta*.

Jeśli zaczniesz od „c” i wybierzesz co siódmą literę z trzech rozdziałów, znajdziesz jawny tekst listu od Colony. Oryginał był po łacinie, ale przetłumaczyłem – dodał, podając mi kartkę. – Masz.

Łaskawy czytelniku, ostatni rok był dla mnie najtrudniejszy, jaki przeżyłem. Odseparowany od rodziny, mogłem liczyć tylko na ludzką dobroć jako źródło pociechy, a długie morskie podróże nauczyły mnie,

jak zawodna jest owa dobroć. Jeśli to prawda, co powiedział Pico, że człowiek jest brzemienny w możliwości, że, jak twierdził Hermes Trismegistos, jest on wielkim cudem, to gdzie są tego dowody? Jestem otoczony z jednej strony przez chciwców i ignorantów, którzy liczą na zysk, jeśli będą się mnie trzymali, z drugiej zaś przez zawistnych i fałszywych pobożnisiów, którzy pokładają nadzieję w mej kłęsce.

Ty jednak, czytelniku, jesteś wierny temu, w co wierzę, gdyż inaczej nie znalazłbyś tego, co tu ukryłem. Nie jesteś jednym z tych, którzy niszczą w imię Boga, gdyż tekst ten jest ich wrogiem, a oni są moimi nieprzyjaciółmi. Długo szukałem właściwego naczynia na mój sekret, sposobu uchronienia go przed wyrokiem czasu. Jako Rzymianin z urodzenia, wychowałem się w mieście zbudowanym tak, by przetrwało wieki. Mury i mosty cesarzy nadal stoją, mimo upływu tysiąca lat, a słowa mych dawnych rodaków zostały zwielokrotnione, przedrukowane przez Aldusa i jego kolegów od prasy. Zainspirowany przez twórców świata antycznego, wybrałem to samo naczynie: księgę i wielkie dzieła z kamienia. Jest w nich zawarte to, co chcę ci ofiarować, czytelniku, jeśli tylko zrozumiesz me myśli.

Nie rezygnuj zatem, czytelniku. Wyteż umysł w poszukiwaniu znaczenia. Droga Polifila staje się coraz trudniejsza, tak jak moja, lecz mam jeszcze wiele do powiedzenia.

Przewróciłem kartkę, szukając dalszego ciągu.

– Gdzie reszta?

– To wszystko. Jeśli chcemy poznać resztę, musimy szukać dalej.

Spojrzałem jeszcze raz na kartkę, potem na niego. Miałem wrażenie, że słyszę stukanie palców o blat – tak zachowywał się ojciec, gdy był podniecony. Wystukiwał palcami rytm z Koncertu bożonarodzeniowego Corellego, dwa razy szybciej niż w allegro.

– Co zamierzasz? – spytałem, usiłując trzymać się teraźniejszości.

W tym momencie przyszło mi do głowy coś, co pozwalało spojrzeć na to odkrycie z perspektywy: Arcangelo Corelli napisał swój koncert na początku okresu klasycyzmu w muzyce, ponad sto lat przed IX Symfonią Beethovena. A jednak już w czasach Corellego wiadomość Colony czekała na odczytanie od ponad dwustu lat.

– To samo co ty – odpowiedział Paul. – Będziemy szukali następnej zagadki Francesca.

Rozdział 13

Gil i ja idziemy do pokoju przez puste korytarze Dod. Po drodze z parkingu zdążyliśmy zmarznąć. W budynku panuje niesamowita cisza. Wszyscy poszli na Nagą Olimpiadę lub uroczystości wielkanocne.

Włączam telewizor, mam nadzieję, że w lokalnych wiadomościach będzie coś o wypadku. Miejscowe stacje relacjonują głównie Nagą Olimpiadę, bo miały już czas ocenzurować i zmontować materiał. Uczestnicy zabawy na dziedzińcu Holder przelatują przez ekran jak muchy zamknięte w słoju.

W końcu pojawia się dziennikarka prowadząca program.

– Oto najnowsze informacje dotyczące naszej głównej wiadomości.

Gil wychodzi z sypialni, żeby posłuchać.

– Jak już donosiliśmy, dziś wieczorem w kampusie uniwersytetu Princeton doszło do wypadku, który może mieć związek z Nagą Olimpiadą. Obecnie wiadomo, że wypadek w Dickinson Hall, opisywany przez świadków jako nieudany kawał, w rzeczywistości zakończył się tragicznie. Rzecznik Centrum Medycznego Princeton poinformował oficjalnie, że ofiara wypadku zmarła. Był to student uniwersytetu. Szef komendy policji Daniel Stout powtórzył, że detektywi nadal badają możliwość, iż, cytując: „istotną rolę odegrały nieprzypadkowe czynniki”.

Władze uniwersytetu zwracają się do studentów z prośbą, by w miarę możliwości pozostali w domu lub poruszali się grupami.

Spikerka zwraca się do drugiej osoby prowadzącej program:

– To niewątpliwie trudna sytuacja, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, co widzieliśmy w Holder Hall – mówi, po czym znów odwraca się do kamery. – Wrócimy do tej sprawy za godzinę.

– Zmarł? – powtarza z niedowierzaniem Gil. – Myślałem, że Charlie... – zaczyna, ale nie kończy zdania.

– To student – mówię.

– Nie myśl tak, Tom – mówi Gil po dłuższej chwili. – Charlie zadzwoniłby do nas.

Pod przeciwległą ścianą stoi oprawiona fotografia, którą kupiłem dla Katie. Wykręcam numer gabinetu Tafta w instytucie. Gil wraca z sypialni i podaje mi butelkę wina.

– Co to? – pytam.

Telefon w instytucie dzwoni kilka razy, ale nikt nie podnosi słuchawki.

Gil podchodzi do prowizorycznego barku w kącie pokoju, bierze dwa kieliszki do wina i korkociąg.

– Muszę się rozluźnić – mówi.

W gabinecie Tafta nadal nikt nie odbiera, więc wreszcie odkładam słuchawkę. Już mam powiedzieć Gilowi, jak parszywie się czuję, ale spoglądam na niego uważniej i widzę, że on wygląda jeszcze gorzej.

– Co ci jest? – pytam.

Gil napełnia kieliszki po brzegi. Bierze jeden, pozdrawia mnie gestem i pije.

– Napij się. Dobrze ci to zrobi.

– Dobra – zgadzam się. Zastanawiam się przez chwilę, czy Gilowi nie chodzi wyłącznie o towarzystwo do picia. Na myśli o winie przewraca mi się w brzuchu.

Gil czeka, więc wypijam łyk. Czuję palenie w gardle, ale wino działa na mnie inaczej niż na Gila, który z każdym łykiem wygląda coraz lepiej.

Odstawiam kieliszek. W światłach latarni widać wirujące płatki śniegu. Gil wypija drugi kieliszek.

– Zwolnij, wodzu – mówię, starając się, by zabrzmiało to sympatycznie. – Chyba nie chcesz mieć kaca na balu.

– Racja – zgadza się Gil. – Jutro o dziewiątej muszę być u dostawcy jedzenia. Powinienem był mu powiedzieć, że tak wcześnie nie chodzę nawet na wykłady.

To zabrzmiało ostro, ale Gil najwyraźniej się zreflektował. Sięga po pilota.

– Sprawdźmy, czy podadzą jeszcze jakieś szczegóły.

Trzy stacje nadają gdzieś z kampusu, ale nie mają żadnych nowych informacji. Gil wstaje i włącza film.

– *Rzymskie wakacje* – zapowiada, siadając na fotelu.

Rozluźnia się i odstawia kieliszek. Na ekranie znowu widać twarz Audrey Hepburn.

Im dłużej oglądamy film, tym bardziej przekonuję się, że Gil ma rację. Choć męczą mnie ponure myśli, wciąż wracam do Audrey. Nie mogę oderwać od niej oczu.

Po pewnym czasie mam wrażenie, że Gil się dekoncentruje. To przez wino, myślę. Gdy jednak przeciera czoło i zbyt długo przygląda się własnym dłoniom, zaczynam wyczuwać, że chodzi o coś więcej. Może myśli o Annie, która zerwała z nim, gdy byłem w domu? Według Charliego, przyczyną był nawał pracy związany z terminem ukończenia dysertacji i organizacją balu, ale Gil nigdy o tym nie mówił. Anna od początku była dla nas tajemnicą. Gil nigdy nie przyprowadzał jej do pokoju, choć podobno w Ivy prawie się nie rozstawali. Była jego pierwszą dziewczyną niepotrafiącą poznać po głosie, który z nas odebrał telefon, zapominała, jak Paul ma na imię, i nigdy nie zaglądała, gdy wiedziała, że Gila nie ma w domu.

– Wiesz, kto jest podobny do Audrey Hepburn? – pyta nagle Gil, zupełnie mnie zaskakując.

– Kto? – odpowiadam, jednocześnie wykręcając numer Tafta.

– Katie.

Kolejna niespodzianka.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie wiem. Obserwowałem was dziś wieczorem. Doskonale do siebie pasujecie.

Gil mówi tak, jakby chciał sobie przypomnieć, że są rzeczy, na których można polegać. Mam ochotę powiedzieć mu, że między Katie

i mną też bywa różnie, nie tylko on ma kłopoty w związkach z ludźmi, ale to byłby błąd.

– Ona jest w twoim typie, Tom – ciągnie Gil. – Naprawdę jest bardzo inteligentna. Nie rozumiem połowy z tego, co mówi.

Odkładam słuchawkę. Nikt nie odebrał.

– Gdzie on jest?

– Zadzwoń. – Gil bierze głęboki oddech. Stara się nie wgłębiać w rozważania o różnych możliwościach. – Jak długo ty i Katie jesteście razem?

– W najbliższą środę będzie cztery miesiące.

Gil kręci głową. W tym czasie on zaliczył trzy rozstania.

– Czy nie myślisz, że Katie jest ci przeznaczona?

Jeszcze nikt nie zadał mi tego pytania.

– Czasami. Żałuję, że nie mamy dla siebie więcej czasu. Martwię się, co będzie w przyszłym roku.

– Powinieneś słyszeć, jak o tobie mówi. Jakbyście znali się jeszcze z piaskownicy.

– Co masz na myśli?

– Kiedyś spotkałem ją w Ivy, jak nagrywała dla ciebie sprawozdanie z meczu koszykówki. Powiedziała mi, że to dlatego, że chodziłeś z ojcem na mecze Michigan-Ohio State.

– Nie prosiłem jej o to. Nim się poznaliśmy, Katie nigdy nie oglądała koszykówki.

– Jesteś szczęściarzem – mówi Gil. Kiwam głową.

Rozmawiamy jeszcze chwilę o Katie, po czym Gil wraca do Audrey. Jego twarz się rozpogadza, ale po paru minutach widzę, że znów oddał się ponurym rozmyśleniom. Paul. Anna. Bal.

Sięga po butelkę. Już mam mu powiedzieć, żeby więcej nie pił, gdy z korytarza dochodzą do nas odgłosy kroków. Drzwi się otwierają i w półmroku przedpokoju pojawia się Charlie. Wygląda kiepsko. Na rękawach ma plamy krwi.

– Wszystko w porządku? – pyta Gil, wstając z fotela.

– Musimy pogadać – odpowiada Charlie ostro. Gil ścisza telewizor.

Charlie wyciąga z lodówki butelkę wody. Wypija połowę, potem skrapia ręce i twarz. Rozgląda się nerwowo. Wreszcie siada.

– Ten człowiek, który wypadł z Dickinson Hall, to był Bill Stein – mówi.

– Jezu – jęczy Gil.

– Nie rozumiem. – Czuję, że robi mi się zimno.

Wyraz twarzy Charliego jest potwierdzeniem jego słów.

– Był w swoim pokoju na wydziale historii. Ktoś przyszedł i go zastrzelił.

– Kto?

– Nie wiadomo.

– Jak to, nie wiadomo?

Mija kilka sekund. Charlie spogląda na mnie.

– O co chodziło w tych wiadomościach przesyłanych pagerem? Czego Stein chciał od Paula?

– Powiedziałem ci już. Chciał dać mu książkę, którą znalazł. Nie mogę w to uwierzyć, Charlie.

– Nie powiedział nic poza tym? Dokąd poszedł? Z kim chciał się spotkać?

Kręcę głową. Dopiero po chwili przypominam sobie to, co wzięłem za oznakę paranoi: telefony, książki, które zamawiał ktoś inny. Gdy opowiadam o tym Charliemu, ogarnia mnie lęk.

– Cholera – mruczy Charlie i sięga po telefon.

– Co robisz? – pyta Gil.

– Policja będzie chciała z tobą rozmawiać – mówi do mnie Charlie. – Gdzie jest Paul?

– Chryste. Nie wiem, musimy go znaleźć. Próbowałem dzwonić do gabinetu Tafta w instytucie. Nikt nie odbiera.

Charlie patrzy na nas zniecierpliwiony.

– Nic mu nie będzie – uspokaja Gil. Po jego głosie można poznać, że sporo wypił. – Bez paniki. – Nie mówiłem do ciebie – prychna Charlie.

– Może jest u Tafta w domu – sugeruję. – Albo w kampusie.

– Gliniarze go znajdą, gdy będą go potrzebowali – wtrąca Gil. Rysy jego twarzy twardnieją. – Powinniśmy trzymać się od tego z daleka.

– Dwóch z nas już jest w to wciągniętych – odpowiada Charlie.

– Nie zawracaj głowy, Charlie – krzywi się Gil. – Od kiedy ty jesteś w to wciągnięty?

– Nie ja, ty kutasie. Tom i Paul. My to nie tylko ty.

– Przestań prawić mi kazania. Mam dość twojego nieustannego wpięprzania się w cudze sprawy.

Charlie pochyła się nad stołem, podnosi butelkę i wrzucają do śmieci.

– Masz już dość – mówi.

Przez chwilę obawiam się, że pod wpływem wina Gil zrobi coś, czego wszyscy będziemy później żałowali. On jednak tylko mierzy Charliego gniewnym spojrzeniem i wstaje.

– Chryste, idę spać.

Patrzę, jak bez słowa idzie do sypialni. Po chwili w szczelinie pod drzwiami gaśnie światło.

Minuty ciągną się jak godziny. Znow próbuję dodzwonić się do instytutu, ale nic z tego. Charlie i ja siedzimy w milczeniu w salonie. Myśli bezładnie krążą mi po głowie. Wyglądam przez okno, a w głowie słyszę głos Steina:

„Ktoś do mnie wydzwania. Podnoszę... trzask. Podnoszę... trzask”.

Wreszcie Charlie wstaje. Wyjmuje z szafy ręcznik i porządkuje swój wózek z przyborami toaletowymi. Wreszcie bez słowa rusza w kierunku drzwi w samych majtkach. Łazienka znajduje się w końcu korytarza, a na naszym piętrze mieszkają też studentki, ale Charlie się tym nie przejmuje. Maszeruje przez korytarz z ręcznikiem zarzuconym na kark, jak jarzmo, popychając przed sobą wózek.

Wyciągam się na sofie i sięgam po „Daily Princetonian”. Chcę się oderwać od rozmyślań o Paulu. Przerzucam strony, szukając

zdjęcia Katie, upchniętego gdzieś w kącie, jak zwykle materiały studentów niższych lat. Gdy znasz kogoś długo, zaczynasz sobie wyobrażać, że widzi świat tak samo jak ty. Fotografie Katie to dobry środek korygujący ten błąd – to obrazy świata widzianego jej oczami.

Po chwili słyszę trzask przy drzwiach. Charlie wraca z łazienki, myślę. Słyszę jednak zgrzyt klucza w zamku, a więc musi to być ktoś inny. Do pokoju wchodzi Paul. Jest blady, ma usta sine z zimna.

– Nic ci nie jest? – pytam. Charlie wraca w samą porę.

– Gdzie byłeś?

Paul jest w takim stanie, że mija piętnaście minut, nim wreszcie udaje się nam wydobyć z niego wszystkie szczegóły. Po wyjściu z wykładu pojechał do instytutu, by sprawdzić, czy Stein jest w sali komputerowej. Czekał na niego ponad godzinę, a gdy Stein się nie pojawił, postanowił wracać do akademika. Jechał samochodem, ale musiał go zostawić półtora kilometra od kampusu i dalej brnąć przez śnieg.

Pozostałe zdarzenia tej nocy, mówi Paul, rozmywają mu się w pamięci. Gdy dotarł do północnej części kampusu, zobaczył wozy policyjne przy Dickinson Hall, tam gdzie Stein miał pokój. Zaczął wypytywać policjantów, co się stało; skończyło się tym, że zawieźli go do szpitala, by zidentyfikował zwłoki. Wkrótce po nim w szpitalu pojawił się Taft, ale nim Paul zdążył zamienić z nim choćby słowo, policja rozdzieliła ich i zaczęła przesłuchiwać. Zadawali mu pytania o związki ze Steinem i Taftem, kiedy widział Billa po raz ostatni, gdzie był w chwili morderstwa. Paul starał się odpowiadać na pytania,

ale był oszołomiony. Gdy wreszcie go zwolnili, nakazali mu nie opuszczać kampusu i zapowiedzieli, że jeszcze się z nim skontaktują. W końcu Paul dotarł piechotą do Dod, ale przez jakiś czas siedział na schodach, bo chciał być sam.

Teraz wreszcie omawiamy rozmowę ze Steinem w Sali Rzadkich Ksiąg. Paul mówi, że policja dokładnie zapisała przebieg rozmowy. Gdy mówi o Billu, o tym jak bardzo Stein był zdenerwowany podczas spotkania w bibliotece, Paul nie okazuje szczególnych emocji. Wciąż jest pod wpływem przeżytego szoku.

– Tom – mówi, gdy wreszcie zostajemy sami. – Mam do ciebie prośbę.

– Słucham, o co chodzi?

– Musisz ze mną dokądś pójść.

– Dokąd? – Waham się przez chwilę.

– Do Muzeum Sztuki.

Paul przebiera się w suche ubranie.

– Teraz? Po co?

– Wyjaśnię ci po drodze – obiecuje, rozcierając czoło. Boli go głowa.

Gdy wracamy do salonu, Charlie patrzy na nas, jakbyśmy zwariowali.

– O tej porze? – dziwi się. – Muzeum jest zamknięte.

– Wiem, co robię – odpowiada Paul, zmierzając do drzwi.

Charlie patrzy na mnie krytycznie, ale nic nie mówi. Idę za Paulem.

Muzeum Sztuki stoi po drugiej stronie dziedzińca, naprzeciwko Dod. Od frontu wygląda jak typowy kanciasty nowoczesny budynek, z rzeźbą Picassa na trawniku, przypominającą wymyślną sadzawkę dla ptaków. Gdy jednak podchodzi się z boku, widać stare elementy budynku, takie jak ładne niewielkie okna z romańskimi łukami i dach kryty czerwoną dachówką, którą dziś niemal całkowicie przykrył całun śniegu. W innych okolicznościach byłby to czarujący widok. W innych okolicznościach Katie zapewne by to sfotografowała. Co robimy? – pytam.

Paul przeciera drogę. Ma na nogach stare buty robocze.

– Znalazłem to, o czym Richard myślał, że powinno być w dzienniku – mówi.

To brzmi jak środek myśli, której początek Paul zachował dla siebie.

– Plan?

– Pokażę ci, gdy wejdziemy do środka – mówi i kręci głową.

Idę po jego śladach, by nie zmoczyć nogawek. Wciąż spoglądam na jego buty. Latem po pierwszym roku Paul pracował w muzeum jako tragarz – ładował wysyłane eksponaty na ciężarówki i rozładowywał te wypożyczone z innych muzeów. Wtedy potrzebował ciężkich butów roboczych, ale dziś tylko zostawiają wielkie ślady na śnieżnobiałym dziedzińcu. Paul wygląda jak chłopak w butach ojca.

Dochodzimy do zachodniego wejścia. Przy drzwiach wisi tabliczka z przyciskami. Paul wprowadza swój kod przewodnika i czeka, czy zadziała. Przez pewien czas oprowadzał wycieczki po muzeum, ale zrezygnował i zaczął pracować w bibliotece przezroczy, ponieważ przewodnicy są wolontariuszami.

Ku mojemu zdziwieniu, rozlega się pisk, potem słychać cichy szmer zamka i drzwi się otwierają. Jestem tak przyzwyczajony do niemal średniowiecznych rygli w akademiku, że prawie tego nie słyszę. Paul wprowadza mnie do małego przedpokoju. Za szybą z hartowanego szkła stoi wartownik. Nagle czuję się jak w potrzasku, ale po podpisaniu listy gości i okazaniu legitymacji uniwersyteckiej strażnik wpuszcza nas do biblioteki przewodników.

– To wszystko? – pytam zdziwiony. O tak późnej porze spodziewałem się dokładniejszej kontroli.

Paul wskazuje kamerę na ścianie, ale się nie odzywa.

Biblioteka nie robi imponującego wrażenia – to tylko kilka półek z książkami z zakresu historii sztuki, ofiarowanych przez przewodników, by pomóc innym w przygotowaniu się do oprowadzania wycieczek. Paul idzie do windy za rogiem. Na metalowych drzwiach wisi duża tablica: WSTĘP TYLKO DLA PROFESORÓW, PERSONELU I OCHRONY. STUDENTOM I PRZEWODNIKOM BEZ ESKORTY WSTĘP WZBRONIONY. Ktoś podkreślił czerwonym flamastrem słowa „studenci” i „przewodnicy”.

Paul nie patrzy na tablicę. Wyciąga z kieszeni pęk kluczy i wkłada jeden w otwór w ścianie. Obraca go w prawo i drzwi się otwierają.

– Skąd masz klucz?

– Jestem pracownikiem – odpowiada, wprowadzając mnie do windy i naciskając guzik. Jako etatowy pracownik biblioteki przezroczy Paul ma prawo dostępu do archiwum muzeum. Jest tak pedantyczny i uważny, że cieszy się powszechnym zaufaniem.

– Dokąd idziemy?

– Do pokoju audiowizualnego. Tam Vincent trzyma magazynki ze slajdami.

Winda zatrzymuje się na głównym poziomie muzeum. Paul prowadzi mnie przez salę, nie zwracając uwagi na obrazy, które pokazywał mi już dziesiątki razy – ogromny Rubens z Jowiszem o czarnych brwiach, niedokończona Śmierć Sokratesa, ze starym filozofem sięgającym po puchar cykuty. Paul spogląda na boki dopiero wtedy, gdy przechodzimy obok obrazów, które Curry sprowadził na wystawę członków rady nadzorczej.

Dochodzimy do wejścia do biblioteki przezroczy i Paul znowu wyciąga pęk kluczy. Otwiera drzwi i wkraczamy w ciemności.

– Tędy – mówi i wskazuje szereg półek z zakurzonymi pudłami. W każdym znajduje się obrotowy magazynek projektora. Za kolejnymi zamkniętymi drzwiami, w dużym pokoju, gdzie byłem tylko raz, mieści się niemal cała uniwersytecka kolekcja slajdów z obrazami dzieł sztuki.

Paul znajduje zbiór pudeł, którego szukał, po czym bierze Jedno z nich i kładzie na wolnym miejscu na półce. Z boku Pudła ktoś przykleił karteczkę z nabazgranym napisem: „Mapy. Rzym”. Paul wyjmuje jeden obrotowy magazynek i idzie w kierunku wolnej przestrzeni przy drzwiach. Bierze z półki projektor i włącza do kontaktu. Po chwili na przeciwległej ścianie pojawia się rozmazany obraz. Paul ustawia ostrość.

– No dobra – mówię. – Teraz wyjaśnij mi, co tu robimy.

– A może Richard miał rację? – zaczyna Paul. – Może rzeczywiście Vincent ukradł mu dziennik trzydzieści lat temu?

– Prawdopodobnie to zrobił. Jakie to ma dzisiaj znaczenie?

– Wyobraź sobie, że jesteś w jego sytuacji – szybko wyjaśnia Paul. – Richard wciąż ci powtarza, że dziennik to klucz do *Hypnerotomachii*. Ty jesteś przekonany, że gada bez sensu, przecież ma tylko dyplom z historii sztuki z college’u. Później na scenie pojawia się jeszcze ktoś. Drugi uczony.

Paul mówi to z szacunkiem. Zgaduję, że ma na myśli mojego ojca.

– Nagle to ty stajesz się zbyteczny. Obaj twierdzą, że odpowiedź zawarta jest w dzienniku. Ty jednak zapędziłeś się do narożnika. Powiedziałeś Richardowi, że dziennik jest bezużyteczny, a kapitan portu to szarlatan. A co najważniejsze, nie możesz ścierpieć, że nie miałeś racji. Co robisz?

Paul najwyraźniej stara się mnie przekonać o czymś, co zawsze wydawało mi się dość prawdopodobne: Vincent Taft jest złodziejem.

– Wiem, o co ci chodzi – odpowiadam. – Mów dalej.

– Kradniesz dziennik. Nie możesz go jednak wykorzystać, ponieważ przez cały czas źle interpretujesz *Hypnerotomachię*. Bez zaszyfrowanych wiadomości od Francesca nie wiesz, co począć z dziennikiem. Co więc robisz?

– Nie wiem.

– Na pewno go nie wyrzucasz – odpowiada sam sobie Paul, nie zwracając na mnie uwagi. – Nie wyrzucisz dziennika tylko dlatego, że go nie rozumiesz.

Kiwam głową.

– Zatrzymujesz go więc. Chowasz w bezpiecznym miejscu. Może w kasie pancерnej w gabinecie.

– Albo w domu.

– Tak. Wiele lat później pojawia się jakiś młody chłopak i razem ze swoim kolegą zaczyna czynić postępy w pracy nad *Hypnerotomachią*. Posuwa się dalej, niż się spodziewałeś. Już zrobił więcej niż ty w swoim najlepszym okresie. Zaczyna znajdować ukryte informacje od Francesca.

– Zaczynasz sądzić, że dziennik może się jednak przydać.

– Właśnie.

– Nie możesz jednak powiedzieć o tym chłopakowi, ponieważ wówczas wiedziałby, że to ty ukradłeś dziennik.

– Ale – Paul dochodzi do głównego punktu swojego wyводу – pewnego dnia ktoś znajduje dziennik.

– Bill.

Paul kiwa głową.

– Bill często bywał w gabinecie Vincenta i u niego w domu, pomagał mu w różnych drobnych projektach. Wiedział również, jakie znaczenie ma dziennik. Gdyby go znalazł, z pewnością nie odstawiłby z powrotem na miejsce.

– Przyniósłby dziennik tobie.

– Tak też uczynił. My natomiast pokazaliśmy dziennik Richardowi, który zdecydował się na konfrontację z Vincentem podczas jego wykładu.

– Ale czy Taft nie zauważyłby wcześniej zniknięcia dziennika?

– pytam sceptycznie.

– Oczywiście, że tak. Musiał wiedzieć, że Bill zabrał dziennik. Jak sądzisz, jak zareagował, gdy uświadomił sobie, że Richard również wie o dzienniku? Na pewno od razu chciał znaleźć Billa.

– Myślisz, że po wykładzie poszedł do pokoju Steina na wydziale historii? – Zaczynam rozumieć, do czego Paul zmierza.

– Czy Vincent był na przyjęciu po wykładzie?

W pierwszej chwili sędzę, że to pytanie retoryczne, dopiero po kilku sekundach przypominam sobie, że Paul wyszedł wcześniej, żeby poszukać Steina.

– Ja go nie widziałem.

– Z audytorium do Dickinson Hall można przejść łącznikiem – mówi Paul. – Taft nie musiał nawet wychodzić na dwór, żeby się tam dostać.

Paul pozwala mi zastanowić się nad jego słowami. Wiem, o czym myśli, ale przed przyjęciem tej hipotezy wstrzymuję mnie liczne detale.

– Naprawdę myślisz, że to Taft go zabił? – pytam. Cienie na ścianie tworzą dziwne sylwetki. Mam wrażenie, że to Epp Lang grzebie psa pod drzewem.

– Myślę, że jest do tego zdolny – mówi Paul, wpatrując się w obraz na ścianie.

– Z gniewu?

– Nie wiem – odpowiada, ale mam wrażenie, że przemyślał już wiele scenariuszy. – Słuchaj, gdy czekałem na Billa w instytucie, zacząłem uważniej czytać dziennik, szukając wszelkich wzmianek o Francescu.

Paul otwiera dziennik i wyciąga z niego firmową kartkę instytutu, na której coś zanotował.

– Znalazłem miejsce, gdzie kapitan portu zapisał wskazówki, które złodziej skopiował z papierów Francesca. Genuńczyk twierdzi, że były zapisane na oddzielnej kartce i na pewno opisywały jakąś drogę morską, dotyczyły rejsu statku Francesca. Kapitan starał się odgadnąć pochodzenie ładunku na podstawie notatek z rejsu do Genui.

Paul rozkłada kartkę ze swoimi notatkami. Widzę układ strzałek wokół kompasu.

– To wskazówki. Są po łacinie. Cztery na południe, dziesięć na wschód, dwa na północ, sześć na zachód. Następnie mamy słowo *de stadio*.

– Co to jest *de stadio*?

– Myślę, że to klucz – uśmiecha się Paul. – Kapitan pokazał je swojemu kuzynowi, który powiedział, że *de stadio* to jednostka długości. Można to przetłumaczyć „stadionów”, czyli odległości są mierzone w stadionach.

– Nie rozumiem.

Stadion to antyczna jednostka długości. Taką długość miała bieżnia podczas greckich olimpiad. Od niej wywodzi się współczesne słowo „stadion”. Stadion liczył mniej więcej sześćset stóp, czyli sto osiemdziesiąt metrów. Jedna mila rzymska to od ośmiu do dziesięciu stadionów.

– Zatem „cztery na południe” oznacza cztery stadiony na południe.

– Potem dziesięć na wschód, dwa na północ i sześć na zachód. W czterech kierunkach. Czy to ci coś przypomina?

Owszem. W swojej ostatniej zagadce Colonna wspomniał o czymś, co nazywał Regułą czterech. Reguła ta miała doprowadzić czytelników do jego potajemnej krypty. Zrezygnowaliśmy z poszukiwań, gdy okazało się, że z tekstu nie wynikają żadne geograficzne wskazówki.

– Myślisz, że to o to chodzi? O cztery kierunki?

Paul kiwa głową.

– Kapitan szukał jednak czegoś w znacznie większej skali, myślał o podróżach na odległość setek mil. Jeśli wskazówki podane przez Francesca były w stadionach, to statek nie mógł wyruszyć z Francji lub Holandii. Musiałby zacząć rejs mniej więcej pół mili na południowy wschód od Genui. Kapitan wiedział, że to na pewno nieprawda.

Podniecenie Paula wyraźnie sugeruje, iż przebił kapitana.

– Twierdzisz zatem, że wskazówki mają inne znaczenie.

– *De stadio* nie musi oznaczać „stadionów” – odpowiada natychmiast. – *De* może również znaczyć „od”.

Paul patrzy na mnie, czekając na reakcję, ale jakoś nie doceniam piękna nowego przekładu.

Być może nie chodzi o to, że odległości podane są w stadionach – ciągnie więc Paul. – To może również znaczyć, że są mierzone od stadionu. Stadion może być punktem wyjścia. *De stadio* może mieć również podwójne znaczenie – należy zacząć od stadionu i iść w podanych kierunkach, mierząc odległość w stadionach.

Zaczynam rozumieć, dlaczego Paul wybrał slajd z mapą Rzymu, gdzie pełno jest starożytnych aren. Colonna z pewnością znał Rzym lepiej niż jakiegokolwiek inne miasto na świecie.

– To rozwiązuje problem skali, z którym nie poradził sobie kapitan. Odległość między państwami nie może wynosić kilku stadionów. Natomiast można z powodzeniem mierzyć tak odległości w mieście. Pliniusz podaje, że obwód murów miejskich Rzymu w siedemdziesiątym piątym roku wynosił trzynaście rzymskich mil.

Całe miasto miało zatem średnicę od dwudziestu pięciu do trzydziestu paru stadionów.

– Sądziś, że to doprowadzi nas do krypty? – pytam.

– Francesco mówi o budynku, w którym nic nie widać. Nie chce, by ktokolwiek wiedział, co jest w środku. To zapewne jedyna wskazówka, określająca jego położenie.

Przypominam sobie długie miesiące spekulacji. Przez wiele wieczorów zastanawialiśmy się, dlaczego Colonna miałby budować swoją kryptę w rzymskim lesie, ukrywając ją przed rodziną i przyjaciółmi, ale nigdy nie doszliśmy do jednoznacznych wniosków.

– A może krypta ma większe znaczenie, niż sądziliśmy? – zastanawia się Paul. – Może to jej położenie jest tajemnicą?

– Co więc jest w środku? – Wracam do starego pytania.

– Nie wiem, Tom – podniecenie Paula ustępuje miejsca frustracji. – Jeszcze tego nie odgadłem.

– Chcę tylko powiedzieć, czy nie sądzisz, że Colonna...

– Opisałby zawartość krypty? Oczywiście. Jednak cała druga połowa książki zależy od ostatniego szyfru, którego nie mogę złamać. Potrzebuję pomocy. Dziennik jest konieczny. Zgoda?

Nie protestuję.

– Oto, co musimy zrobić. Musimy przyjrzeć się tym mapom. Zaczniemy od największych – Koloseum, Circus Maximus i tak dalej – za każdym razem przesuając się cztery stadiony na południe, dziesięć na wschód, dwa na północ i sześć na zachód. Jeśli trafimy

w ten sposób na miejsce, gdzie w czasach Colony rósł las, zaznaczymy go na naszej liście.

– Spróbujmy.

Paul naciska na guzik pilota. Na ekranie pokazują się kolejne mapy z XV i XVI wieku. Sprawiają wrażenie architektonicznych karykatur – budynki, nieproporcjonalnie duże w porównaniu z otoczeniem, są tak ściśnięte, że nie można w żaden sposób ocenić odległości.

– Jak chcesz wyznaczyć odległość na takiej mapie? – pytam.

Paul w odpowiedzi naciska guzik jeszcze kilka razy. Po paru mapach renesansowych dochodzi do współczesnego planu miasta. Teraz Rzym bardziej przypomina zdjęcia z przewodnika, który ojciec dał mi przed podróżą do Włoch. Mur Aureliana na północy, wschodzie i południu oraz Tyber na zachodzie tworzą profil głowy starej kobiety zwróconej twarzą do reszty kraju. Kościół św. Wawrzyńca, gdzie Colonna kazał zabić dwóch gońców, wisi niczym mucha nad jej nosem.

– Na tej mapie zaznaczona jest właściwa skala – mówi Paul, wskazując górny lewy róg, gdzie narysowany jest prosty odcinek podpisany STAROŻYTNA MILA RZYMSKA i podzielony na osiem stadionów.

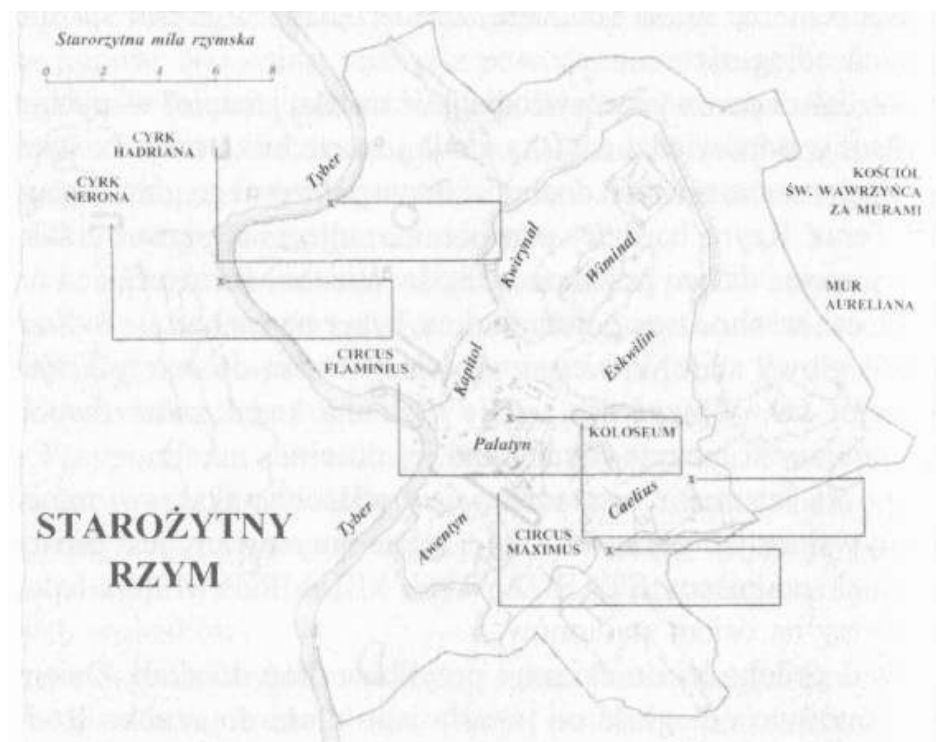
Paul podchodzi do ekranu i przykładą dłoń do skali. Osiem stadionów to odległość od nasady jego dłoni do czubka środkowego palca.

– Zaczniemy od Koloseum – mówi. Klęka na podłodze i kładzie dłoń na ekranie, obok ciemnego owalu w środku mapy, blisko policzka starej kobiety. – Cztery na południe. – Przesuwa dłoń. – Dziesięć na wschód. – Przesuwa dłoń o całą długość i jeszcze pół wskazującego palca. – Dwa na północ i sześć na zachód.

Gdy kończy, wskazuje na punkt oznaczony na mapie M. CELIUS.

– Myślisz, że to tam?

Nie – odpowiada, tracąc nagle zapał. – Tuż obok jest kościół San Stefano Rotondo. – Wskazuje na ciemną kropkę na południowy zachód od wyznaczonego miejsca. – Tu jeszcze jeden. – Przesuwa palec na północny wschód. – Santissimi Quattro Coronati. A tu Lateran, gdzie do czternastego wieku mieszkali papieże. Gdyby Francesco tutaj zbudował swoją kryptę, leżałaby w odległości czterystu metrów od trzech kościołów. Wykluczone.



– Circus Flaminius – zaczyna od nowa. – To stara mapa. Wydaje mi się, że według Gattiego jest tu bliżej. – Paul przesuwa palec w stronę rzeki, po czym zaczyna wymierzać odległości.

– Dobrze czy źle? – pytam, wpatrując się w punkt gdzieś nad Palatynem.

– Źle – marszczy czoło Paul. – Niemal w samym środku San Teodoro.

– To jeszcze jeden kościół?

Paul kiwa głową.

– Jesteś pewny, że Colonna nie zdecydowałby się na budowę krypty w pobliżu kościoła?

Paul patrzy na mnie, jakbym zapomniał najważniejszej reguły.

– Każda wiadomość mówi, że lęka się, iż złapią go zeloci. „Ludzie Boga”. Jak chcesz to zinterpretować?

Paul traci do mnie cierpliwość i sprawdza dwie kolejne możliwości – Cyrk Hadriana i stary Cyrk Nerona, gdzie obecnie wznosi się Watykan – ale w obu przypadkach po zastosowaniu się do instrukcji ląduje niemal w środku Tybru.

Na tej mapie jest wiele stadionów – mówię. – Może lepiej zastanówmy się, gdzie mogłaby być krypta, a potem cofniemy się od wybranego miejsca, żeby sprawdzić, czy w pobliżu jest stadion.

– Muszę sprawdzić jeszcze inne atlasy w Ivy – odpowiada Paul po namyśle.

– Możemy tu wrócić jutro – proponuję.

Optymizm Paula wyczerpał się. Jeszcze przez chwilę spogląda na mapę, po czym kiwa głową. Colonna wygrał raz jeszcze. Przechytrzył nawet wścibskiego kapitana portu.

– Co teraz? – pytam.

Paul zapina płaszcz i wyłącza rzutnik.

– Chcę przeszukać biurko Billa w bibliotece na dole – mówi, odstawiając rzutnik na półkę. Stara się, by wszystko wyglądało dokładnie tak, jak przed naszym przyjściem.

– Po co?

– Żeby sprawdzić, czy nie ma tam jeszcze czegoś z dziennika. Richard twierdzi, że w środek był włożony jakiś plan.

Paul otwiera drzwi i puszcza mnie przodem. Raz jeszcze sprawdza, czy wszystko jest w porządku.

– Masz klucz do biblioteki?

– Bill dał mi kod do wejścia na klatkę schodową – odpowiada, kiwając głową.

Wracamy do ciemnego holu. Paul prowadzi mnie korytarzem. W ciemnościach widać pomarańczowe światła wskazujące wyjście awaryjne. Dochodzimy do drzwi prowadzących na Watkę schodową. Obok klamki widać pudełko z pięcioma guzikami. Paul zastanawia się przez chwilę, po czym wystukuje krótką serię cyfr. Gdy naciska klamkę, obaj nagle przestajemy się poruszać. W ciszy słyszymy jakieś szelesty.

Rozdział 14

„Idź”, mówię bezdźwięcznie, i popycham Paula ku drzwiom biblioteki.

Staramy się zajrzeć do środka przez niewielkie okno w drzwiach z szybą ze zbrojonego szkła. Nad jednym z biurek widać jakiś cień. Na blat pada wiązka światła z latarki. Widzę, jak ktoś sięga ręką do szuflady.

– To biurko Billa – szepcze Paul.

Jego głos niesie się po całej klatce schodowej. Snop światła nieruchomieje, po czym zaczyna przesuwać się w naszą stronę. Ciągnę Paula, by kucnął pod oknem.

– Kto to? – pytam.

– Nie widziałem.

Czekamy i nadśluchujemy odgłosów kroków. Po chwili słyszymy, jak się oddalają. Znowu zaglądam do pokoju. Nikogo nie ma.

Paul otwiera drzwi. Pokój tonie w cieniu wysokich półek. Przez okna wpada do środka światło księżyca. Szuflady biurka Steina są otwarte.

– Czy jest tu jeszcze inne wyjście? – pytam szeptem.

Paul kiwa głową i wskazuje miejsce gdzieś za półkami sięgającymi do sufitu.

Nagle znowu słysząc kroki, Ktoś idzie w kierunku wyjścia. Po chwili słyszę cichy trzask rygła. Ruszam w tamtą stronę.

– Co robisz? – syczy Paul i wzywa mnie gestem, bym wrócił do biurka.

Wyglądam przez okienko w drzwiach na drugą klatkę schodową, ale niczego nie widzę.

Paul już przerzuca papiery Steina, świecąc małą latarką. Wskazuje na zamkniętą na klucz szufladę, którą ktoś wyłamał, po czym wyciągnął dokumenty i rozrzucił je na biurku. Brzegi kartek zawijają się jak zaniedbana trawa. Mam wrażenie, że na biurku leżą teczki wszystkich profesorów wydziału historii.

REKOMENDACJE: DZIEKAN WORTHINGTON

REK. (A-M): BAUM, CARTER, GODFREY, LI

REK. (N-Z): NEWMAN, ROSSINI, SACKLER,
WORTHINGTON

(NIM ZOSTAŁ DZIEKANEM) REK. (INNE

WYDZIAŁY): CONNER, DELFOSSE, LUTKE,

MASON, QUINN STARA KORESPONDENCJA:
HARGRAVE/WILLIAMS,

OKSFORD STARA KORESPONDENCJA: APPLETON,
HARVARD

Nic mi to nie mówi, natomiast Paul nie może oderwać wzroku od tych teczek.

– O co chodzi? – pytam.

– Po co mu były te wszystkie listy rekomendacyjne? – Światło latarki Paula przesuwają się po biurku.

Na blacie leżą jeszcze dwie teczki, obie otwarte. Jedna jest zatytułowana: „Rek./Korespondencja: Taft”, druga „Naciski/Sugestie”.

List rekomendacyjny Tafta jest odsunięty na bok i zgnieciony, Paul nasuwa mankiet koszuli na rękę i chwyta list przez materiał.

William Stein to kompetentny młody człowiek. Pracował pod moim kierownictwem przez pięć lat i był bardzo użyteczny w sprawach administracyjnych i urzędowych. Jestem przekonany, że poradzi sobie z podobnymi problemami na każdym stanowisku.

– Boże – szepcze Paul. – Vincent go zajebał. – Czyta list ponownie. – Bill wyszedł tu na sekretarkę.

Paul wygląda róg listu. Data wskazuje, że Taft napisał ten list miesiąc temu. Na dole kartki jest odręczny dopisek:

Bill, mimo wszystko, napisałem ci ten list. Nie zasługujesz nawet na to. Vincent.

– Ty sukinsynu... – szepcze Paul. – Bill próbował się od ciebie uwolnić.

Paul kieruje światło na teczkę „Naciski/Sugestie”. Na wierzchu widać brudnopisy listów Steina, z tyłoma skreśleniami i dopiskami, że trudno je odczytać. Gdy Paul czyta, widzę, że latarka zaczyna drżeć w jego rękach.

Panie profesorze Hargrave – zaczyna się pierwszy list. – Z przyjemnością informuję pana, że moje badania dotyczące

Hypnerotomachii Poliphili zbliżają się do końca. Wyniki będą gotowe do publikacji pod koniec kwietnia, może wcześniej. Zapewniam pana, że warto czekać. Ponieważ nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na mój list z 17 stycznia, ani od pana, ani od profesora Williamsa, proszę o potwierdzenie, że profesura stanowisko, o jakim rozmawialiśmy, nie zostało jeszcze obsadzone. Serce skłania mnie do wyboru Oksfordu, jednak zapewne nie będę w stanie odrzucić ofert innych uniwersytetów, gdy moja praca zostanie już opublikowana.

Paul chwyta następną kartkę. Teraz słyszę jego oddech.

Panie dziekanie Appleton, piszę, by podzielić się dobrą wiadomością. Moja praca dotycząca Hypnerotomachii Poliphili zbliża się do szczęśliwego zakończenia. Jak obiecałem Wyniki będą miały znaczenie dla wszystkich badań dotyczących renesansu, a właściwie wszystkich badań historycznych w najbliższych latach. Nim opublikuję rezultaty, chcę się upewnić, że stanowisko profesora nadzwyczajnego nie zostało jeszcze obsadzone. Serce skłania mnie do wyboru Harvardu, jednak zapewne nie będę w stanie odrzucić innych pokus, gdy moja praca zostanie już opublikowana i otrzymam nowe oferty.

Paul czyta to po raz drugi i trzeci.

– Chciał ukraść wyniki mojej pracy – szepcze słabo.

Odsuwa się od biurka i opiera o ścianę.

– Jak to możliwe?

– Może myślał, że nikt nie uwierzy, że to praca studenta?

– Kiedy zaproponował, że przepisze twoją rozprawę? – pytam, skupiając wzrok na liście.

- W zeszłym miesiącu.
- Planował to tak długo?
- Oczywiście. – Paul patrzy na mnie pałającymi oczami.

Wskazuje list do Hargrave'a. – Pisał do tych ludzi już od stycznia.

Spod listów do Hargrave'a i Appletona wystaje jeszcze arkusz papieru firmowego. Paul go dostrzega i natychmiast wyciąga.

Richardzie – zaczyna się list Steina – mam nadzieję, że już się dobrze czujesz. Być może we Włoszech szczęście sprzyjało ci bardziej niż mnie w Nowym Jorku. Jeśli nie, to obaj wiemy, w jakiej jesteś sytuacji. Dobrze znamy Vincenta. Moim zdaniem ma on własne plany w odniesieniu do wszystkiego, co może z tego wyniknąć. Wobec tego mam dla ciebie propozycję. Jest tyle materiału, że starczy dla ciebie i dla mnie. Wymyśliłem podział pracy, który może nam obu odpowiadać. Proszę, skontaktuj się ze mną jak najszybciej, by to omówić. Podaj mi również swój telefon w Rzymie i we Florencji – na poczcie nie można polegać, a ja chciałbym wyjaśnić tę sprawę najszybciej, jak to możliwe. – B.

Odpowiedź, napisana odmiennym charakterem pisma i innym piórem, umieszczona była poniżej listu. Richard najwyraźniej odpisał na oryginale. Najpierw dwa numery telefonów, jeden oznaczony literą F, drugi R. Później krótki dopisek:

Jak sobie życzyłeś. Dzwoń po godzinach pracy, według mojego czasu. Co z Paulem? Richard.

Paul nie może wykrztusić słowa. Przerzuca papiery, ale to już wszystko. Gdy próbuję go pocieszyć, przerywa mi gestem.

– Powinniśmy powiedzieć dziekanowi – mówię wreszcie.

– Co mamy mu powiedzieć? Że grzebaliśmy w rzeczach Billa?

Nagle na przeciwległej ścianie pojawia się jasna plama światła, a po chwili widzimy kolorowe błyski. Przed muzeum stoi samochód policyjny z wyłączoną syreną. Wsiadają z niego dwaj policjanci. W tym momencie podjeżdża drugi wóz patrolowy z jeszcze dwoma funkcjonariuszami. Gaszą światła.

– Ktoś musiał im powiedzieć, że tu jesteśmy – mówię.

Paul trzyma list z dopiskiem Curry’ego. Ręce mu drżą. Stoi nieruchomo i tylko patrzy, jak ciemne postacie zbliżają się do głównego wejścia.

– Chodź. – Ciągnę go w kierunku tylnego wyjścia za półkami.

W tym momencie otwierają się drzwi i ciemności przecina silny snop światła. Chowamy się w rogu. Dwaj policjanci wchodzi do środka.

– Tam – mówi pierwszy, wskazując ręką w naszym kierunku.

Naciskam na klamkę i otwieram tylne drzwi. Paul wyskakuje na korytarz. Nisko pochylony biegnę za nim i prostuję się dopiero na zewnątrz. Paul prowadzi nas w stronę schodów. Idziemy szybko, starając się trzymać tuż przy ścianie. Gdy jesteśmy już w głównym holu na dole, widzę na ścianie plamę światła latarki.

– Na dół – rzuca Paul. – Tam jest winda towarowa.

Wchodzimy do azjatyckiego skrzydła muzeum. W szklanych gablotach stoją rzeźby i naczynia. Obok rzeźb nagrobnych wiszą rozwinięte zwoje z napisami. Ciemności wydają się nieco zielonkawe.

– Tędy – poganiam mnie Paul. Kroki policjantów słycać coraz bliżej.

Wchodzimy do zaułka, gdzie nie ma żadnego wyjścia poza windą towarową.

Głosy policjantów słycać coraz wyraźniej. Widzę dwie postacie stojące u stóp schodów. Policjanci szukają drogi w ciemnościach. Nagle na całym piętrze robi się jasno.

– Znalazłem kontakt – odzywa się trzeci policjant.

Paul wciska klucz do otworu w ścianie. Drzwi się otwierają. Paul wciąga mnie do środka.

– Szybko, szybko...

Drzwi wciąż są otwarte. Przez chwilę myślę, że wyłączyli prąd. Gdy z za rogu korytarza wybiega pierwszy policjant, metalowe drzwi wreszcie się zatraskują. Słyszymy jeszcze, jak policjant wali w nie ręką, ale winda rusza na dół.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Na rampę rozładunkową – odpowiada Paul, z trudem opanowując oddech.

Wchodzimy do jakiegoś magazynu. Paul otwiera drzwi do wielkiego, zimnego pomieszczenia. Czekam, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Przed sobą mamy metalową bramę garażu. Dygoczę pod naporem podmuchów wiatru. Wydaje mi się, że słyszę jakieś kroki na klatce schodowej, ale w rzeczywistości grube drzwi nie przepuszczają żadnych dźwięków.

Paul podbiega do przełącznika na ścianie. Po chwili słychać warkot silnika i brama powoli się unosi.

– Starczy – mówię, gdy szczelina jest już na tyle duża, że możemy się przecisnąć. Paul jednak kręci głową i wrota podnoszą się nadal.

– Co robisz?

Szczelina między podłogą i krawędzią bramy jest już tak duża, że widzimy południową część kampusu. Przez chwilę myślę, jaki to piękny widok.

Nagle Paul zmienia położenie przełącznika i brama zaczyna opadać.

– Szybko! – krzyczy. Paul podbiega do bramy, kładzie się na betonie i przeciska na zewnątrz. Robię to samo. W ostatniej chwili Paul wyciąga mnie spod bramy, która niemal przygniotła mnie do ziemi. Wstaję i próbuję złapać oddech. Gdy ruszam w kierunku Dod, Paul łapie mnie za rękaw.

– Zobaczą nas z góry – mówi, wskazując okna w zachodnim skrzydle budynku. Patrzy na ścieżkę prowadzącą na wschód. – Tędy.

– Nic ci nie jest? – pytam, idąc za nim.

Paul kręci głową. Brniemy przez noc i śnieg, coraz dalej od naszego akademika, uciekając z pola widzenia policjantów. Czuję, jak wiatr przenika pod mój kołnierz i chłodzi pot na karku. Oglądam się za siebie. Dod i Brown Hall są niemal zupełnie ciemne, jak wszystkie akademiki. Nad kampusem zapadła noc. Tylko w oknach Muzeum Sztuki palą się światła.

Idziemy na wschód przez Prospect Gardens, botaniczny ogród cudów w samym środku kampusu. Niewielkie wiosenne rośliny niemal całkowicie zginęły pod białym całunem, ale amerykańskie brzozy i libańskie cedry stoją nad nimi niczym anioły stróże, rozkładając ramiona, by ochronić je przed śniegiem. Jedną z bocznych uliczek przejeżdża policyjny wóz patrolowy. Przyśpieszamy kroku.

Po głowie krążą mi różne myśli. Usiłuję zrozumieć, co widzieliśmy. Może to Taft grzebał w biurku Steina, przeglądał jego papiery, by zatrzeć ślady związków między nimi? Może to on zawiadomił policję? Spoglądam na Paula. Zastanawiam się, czy jemu również przyszło to do głowy, ale wyraz jego twarzy nie zdradza, o czym myśli.

W nowym budynku wydziału muzyki widać oznaki życia.

– Możemy tam wejść na chwilę – proponuję.

– Gdzie?

– Do pokoi dla ćwiczących w piwnicy. Dopóki policja nie zniknie.

Gdy zbliżamy się do budynku, słyszymy bezładne dźwięki. Nocne marki z wydziału muzyki przychodzą tu ćwiczyć w spokoju. Przez Prospect Avenue przejeżdża jeszcze jeden wóz policyjny. Wpada w poślizg i uderza o krawężnik, rozpryskując błoto i sól. Zmuszam się do przyśpieszenia kroku.

Budowa Woolwortha została ukończona zaledwie kilka miesięcy temu. Budynek, jaki wyłonił się po usunięciu rusztowań, jest bardzo

osobliwy. Z zewnątrz przypomina fortecę, natomiast od środka wydaje się kruchy i delikatny. Atrium ciągnie się jak meandrująca rzeka przez bibliotekę i sale wykładowe na parterze, po czym wznosi się trzy piętra w górę, do świetlików w dachu. Wokół budynku wyje wiatr. Paul otwiera drzwi swoją kartą identyfikacyjną i przytrzymuje je, puszczając mnie przodem.

– Które? – pyta.

Prowadzę go do najbliższych schodów. Gil i ja byliśmy tutaj dwa razy, po kilku drinkach w sobotnie wieczory. Druga żona jego ojca nalega, by Gil nauczył się grać coś Duke’a Ellingtona, podobnie jak mój ojciec chciał, bym grał utwory Arcangela Corellego. W sumie on i ja mamy za sobą osiem lat lekcji muzyki i właściwie niczego nie umiemy. Stawialiśmy butelki na wieku pianina, po czym Gil rzępolił *A’Train*, a ja *La Follia*. Obaj udawaliśmy, że pamiętamy nuty.

Schodzimy do sutereny. Tylko jeden fortepian jest wciąż w użyciu. Ktoś w końcu korytarza ćwiczy *Błękitną rapsodię*. Wślizgujemy się do niewielkiego, izolowanego akustycznie studia. Paul siada na taborecie przy pianinie. Patrzy na klawiaturę, która jest dla niego urządzeniem równie tajemniczym, jak klawiatura komputera, ale nie dotyka klawiszy. Świetlówka na suficie przez chwilę migocze, po czym gaśnie. Nie ma to znaczenia.

– Nie mogę w to uwierzyć – odzywa się w końcu Paul i bierze głęboki oddech.

– Dlaczego to zrobili? – pytam.

Paul przesuwa palcem wskazującym po czarnym klawiszu. Zachowuje się tak, jakby nie słyszał pytania. Pytam ponownie.

– Co chcesz, żebym ci powiedział, Tom?

– Może to dlatego Stein chciał ci pomagać. Kiedy? Dzisiaj, z dziennikiem?

– Nie, już kilka miesięcy temu.

– To znaczy, kiedy ty przestałeś zajmować się *Hypnerotomachią*.

Ta uwaga chronologiczna jest atakiem, przypomnieniem, że to przeze mnie Paul zaczął pracować ze Steinem.

– Uważasz, że to przeze mnie?

– Nie – odpowiada spokojnie. – Oczywiście, że nie.

Jednak to oskarżenie wisi w powietrzu. Mapa Rzymu, podobnie jak dziennik, przypomniała mi o tym, co porzuciłem. Zrobiliśmy wielkie postępy i sprawiało mi to radość. Spoglądam na swoje ręce. Ojciec mówił, że mam leniwe łapy. Po pięciu latach nauki nie opanowałem przyzwoicie nawet jednej sonaty Corellego. Tata wreszcie się poddał i zaczął zachęcać mnie do koszykówki.

„Silni wygrywają ze słabymi, Thomasie, inteligentni z silnymi”.

– A co z tym listem do Curry’ego? – mówię, wbijając wzrok w tył pianina. Drewno jest surowe, niepociągnięte lakierem, ponieważ zwykle pianino stoi przy ścianie. Przychodzi mi do głowy, że to dziwna oszczędność. To tak, jakby profesor nie cesał się z tyłu, bo w lustrze nie widzi potylicy. Tak często robił ojciec. Zawsze myślałem, że to defekt perspektywy, błąd, polegający na oglądaniu

świata z tylko jednego punktu widzenia. Jego studenci z pewnością zauważali to równie często jak ja. Za każdym razem, gdy odwracał się do tablicy.

– Richard nigdy nie próbowałby czegoś mi ukraść – mówi Paul ostro. – Musieliśmy coś przeoczyć.

Zapada cisza. W pokoju do ćwiczeń jest ciepło, a gdy obaj milczymy, słyszymy tylko przytłumione dźwięki sonaty Beethovena, która zastąpiła Gershwina. Przypomina mi to, jak w dzieciństwie czekałem latem na przejście burzy. Prąd wyłączony, w domu panuje cisza, słychać tylko odległe grzmoty. Matka czyta mi przy świecy – *Bartholomew Cubbins* lub ilustrowane wydanie *Sherlocka Holmesa* – a ja myślę, że najlepsze opowiadania są zawsze o ludziach w dziwnych kapeluszach.

– Sądzę, że ten człowiek w bibliotece to był Vincent.

Okłamał policję w sprawie swoich kontaktów z Billem. Powiedział im, że Bill był najlepszym doktorantem, jakiego miał od wielu lat.

– Obaj dobrze znamy Vincenta – napisał Stein. – Moim zdaniem ma własne plany w odniesieniu do wszystkiego, co może z tego wyniknąć.

– Myślisz, że Taft sam chce przejąć twoją pracę? – pytam. – Od wielu lat nie opublikował niczego o *Hypnerotomachii*.

– To nie chodzi o publikację, Tom.

– A o co?

– Słyszałeś, co Vincent powiedział dziś wieczorem – mówi Paul po chwili milczenia. – Nigdy przedtem nie przyznał, że Francesco pochodził z Rzymu. – Paul spogląda na pedały pianina, wystające z drewnianego pudła niczym złote buty. – On próbuje mi to ukraść.

– Co chce ci ukraść?

– Nieważne – Paul się zawahał. – Zapomnij o tym.

– A może to Curry był w muzeum? – sugeruję, nim Paul się odwrócił. List Steina do Curry’ego sprawił, że zmieniło się moje wyobrażenie o Currym. To przypomniało mi, że z nich trzech to on był najbardziej zaangażowany emocjonalnie w badanie tajemnicy *Hypnerotomachii*.

– On nie jest w to wciągnięty, Tom.

– Widziałeś, jak się zachowywał, gdy pokazałeś mu dziennik. Nadal sądził, że to jego własność.

– Nie. Ja go znam. Zgoda? Ty go nie znasz.

– Co masz na myśli?

– Nigdy nie miałeś do niego zaufania. Nawet gdy próbował ci pomóc.

– Nie potrzebowałem jego pomocy. Nienawidzisz Vincenta tylko z powodu twojego ojca. Patrzą na niego zaskoczony.

– Doprowadził mojego ojca do...

– Do czego? Do tego, że zjechał z drogi?

– Doprowadził go do rozstroju nerwowego. Do cholery, co się z tobą dzieje?

– Vincent tylko napisał recenzję książki, Tom.

– Zrujnował jego życie.

– Zrujnował jego karierę. To coś innego.

– Dlaczego go bronisz?

– Wcale go nie bronię. Bronię Richarda. Ale Vincent nigdy nie zrobił ci nic złego.

Już mam zacząć odgrzebywać przeszłość Paula, ale widzę, jak przeżywa tę rozmowę. Trzyma rękę przy policzku i zasłania dłonią oczy. Przez chwilę widzę tylko światła reflektorów na drodze. Słyszę wycie klaksonu.

– Richard zawsze był dla mnie dobry.

Nie pamiętam, by ojciec coś mówił. Przez całą drogę się nie odzywał, nawet, gdy wpadliśmy w poślizg.

– Nie znasz ich – dodaje Paul. – Ani jednego, ani drugiego.

Nie pamiętam, kiedy zaczęło padać – czy wtedy, gdy jechaliśmy spotkać się z mamą na wystawie książek, czy w drodze do szpitala, gdy jechałem w karetce.

– Kiedyś znalazłem tę recenzję z pierwszej większej pracy Vincenta – ciągnie Paul. – Wycinek z gazety z lat siedem dziesiątych, gdy jeszcze był gwiazdą na Columbii, nim przeniósł się do instytutu i jego kariera się skończyła. O takiej recenzji marzy każdy profesor. Kończyła się tak: *Vincent Taft już rozpoczął swój następny projekt: pracuje nad monografią o włoskim renesansie. Sądząc po jego dotychczasowych publikacjach, będzie to prawdziwe opus magnum; niezmiernie rzadki przypadek, gdy autor, pisząc o historii, jednocześnie ją tworzy.* Pamiętam to co do słowa. Znalazłem to, gdy

byłem na drugim roku, wiosną, nim go dobrze poznałem. Wtedy zacząłem rozumieć, kim był.

Recenzja książki. Jak ta, którą przesłał ojcu, by mieć pewność, że ją przeczytał. *Szwindel z belladonną*, napisał Vincent Taft.

– On był gwiazdą, Tom. Sam wiesz. Miał więcej szans na wielką karierę niż wszyscy profesorowie wydziału razem wzięci. Ale przegrał. Nie wypalił się, po prostu przegrał.

Jego słowa nabierają impetu, wypełniają powietrze, jakby możliwe było ustalenie równowagi między ciszą na zewnątrz a narastającym w nim ciśnieniem. Mam wrażenie, że płynę, desperacko walcząc z odpływem. Paul znów zaczyna mówić o Tafcie i Currym. Powtarzam sobie, że to tylko postacie z książki, ludzie w dziwnych kapeluszach, wytwory wyobraźni, ale im dłużej mówi, tym bardziej widzę ich tak jak on.

Po starciu w sprawie dziennika kapitana portu Taft przeprowadził się do białego drewnianego domu niedaleko instytutu, półtora kilometra na południowy zachód od kampusu uniwersyteckiego. Być może był to efekt samotności, być może braku kolegów, z którymi mógłby się ścierać, ale już po kilku miesiącach w Princeton rozeszły się plotki o jego skłonności do nadużywania alkoholu. Z planowanej definitywnej historii włoskiego renesansu nic nie wyszło. Jego pasja historyka, jego talent nagle wyparowały.

Trzy lata później, gdy Taft opublikował następną książkę – niewielką pracę o roli hieroglifów w sztuce renesansu – było już

oczywiste, że jego kariera zawodowa stanęła w miejscu. Po siedmiu kolejnych latach, gdy jego następna praca ukazała się w drugorzędnym czasopiśmie, recenzent uznał ten upadek za tragedię. Według Paula Taft wciąż przeżywał utratę tego, czego doświadczył wspólnie z Currym i moim ojcem. W ciągu dwudziestu pięciu lat, jakie minęły od przyjazdu do instytutu do spotkania z Paulem, Taft opublikował tylko cztery oryginalne Prace. Krytykował za to innych, zwłaszcza mojego ojca. Ani na chwilę nie odzyskał porywającego geniuszu z czasów młodości.

To z pewnością pojawienie się Paula sprawiło, że w jego życiu znów zaczęła grać rolę *Hypnerotomachia*. Paul nawiązał z nim kontakt wiosną, podczas naszego pierwszego roku studiów. Później opowiadał mi, jak Taft pokazuje czasami dawną klasę. Przez wiele nocy stary niedźwiedź harował u jego boku, recytując z pamięci długie fragmenty mało znanych pierwotnych źródeł, gdy Paul nie mógł ich znaleźć w bibliotece.

– To było tego lata, kiedy Richard sfinansował moją podróż do Włoch – mówi Paul, pocierając dłonią kant taboretu. – Byliśmy tacy podnieceni. Nawet Vincent. On i Richard w dalszym ciągu nie rozmawiali ze sobą, ale obaj wiedzieli, że jestem bliski dużego odkrycia. Zaczynałem powoli rozgryzać tajemnicę.

Mieszkałem w apartamencie Richarda. Zajmował całe górne piętro renesansowego pałacu. Oszalamiające, po prostu cudowne. Wszędzie były obrazy, na ścianach, na suficie, wszędzie. Tintoretto, Carracci, Perugino. To był raj, Tom. Takie piękne, że zapierało dech

w piersiach. Richard budził się rano i mówił poważnie: „Paul, mam dziś coś ważnego do zrobienia”. Zaczynaliśmy rozmawiać, a pół godziny później on zdejmował krawat i mówił: „Do diabła z tym wszystkim. Weźmy wolny dzień”. W rezultacie chodziliśmy po mieście i rozmawialiśmy. Tylko my dwaj. Spacerowaliśmy i gadaliśmy.

Wtedy zaczął opowiadać mi o Princeton. O Ivy, o wszystkich swoich przygodach, o wariactwach, jakie wymyślał, o ludziach, których poznał. Najwięcej o twoim ojcu. To było tak pełne życia, takie prawdziwe. Jego opowieści to było coś zupełnie innego niż to, czym Princeton było dla mnie. Byłem zahipnotyzowany. To było jak sen, idealny sen. Richard tak to nazwał. Przez cały czas naszego pobytu we Włoszech sprawiał wrażenie, że buja w obłokach. Zaczął widywać się z rzeźbiarką z Wenecji i opowiadał mi, że pewnego dnia się jej oświadczy. Myślałem nawet, że po powrocie spróbuje pogodzić się z Vincentem.

– Ale nigdy się nie pogodzili...

– Nie. Gdy przyjechalismy do Stanów, wszystko wróciło do normy. On i Vincent nigdy się do siebie nie odezwali. Kobieta, z którą się widywał, zerwała z nim. Richard zaczął przychodzić do kampusu, usiłował podsycić ogień, jaki przeżywał, gdy razem z twoim ojcem chodził na wykłady profesora McBee. Od tej pory coraz bardziej żył przeszłością. Vincent starał się mnie namówić, bym trzymał się od niego z daleka, ale wtedy unikałem raczej Vincenta, nie przychodziłem do instytutu i w miarę możliwości pracowałem w Ivy.

Nie chciałem mu powiedzieć o naszym odkryciu, dopóki nie stanie się to konieczne.

Wtedy Vincent zaczął zmuszać mnie do przedstawienia wniosków, zażądał, bym co tydzień meldował o postępach. Być może uznał, że to jego jedyna szansa, by znów zająć się *Hypnerotomachią*. – Paul przeczesał włosy palcami. – Powinienem być być rozsądniejszy. Należało napisać byle jaką rozprawę i się stąd wynieść. Bogowie rażą piorunami i błyskawicami najwyższe drzewa i domy. *Bogowie depczą wszystko, co wyrasta ponad przeciętność. Nie tolerują dumy u nikogo, z wyjątkiem siebie.* To Herodot. Na pewno czytałem to z pięćdziesiąt razy i nigdy się nad tym nie zastanowiłem. To Vincent wskazał mi ten ustęp. On rozumiał jego znaczenie.

– Chyba w to nie wierzysz.

– Sam nie wiem, w co wierzę. Powinienem być baczniej obserwować Vincenta i Billa. Gdybym nie myślał tak dużo o sobie, dostrzegłbym, co się kroi.

Wbiłem wzrok w oświetloną szparę pod drzwiami. Fortepian w końcu korytarza ucichł.

– Chodźmy stąd – mówi Paul, wstaje i rusza do drzwi.

Rozdział 15

Po wyjściu z budynku Woolwortha prawie się nie odzywamy. Paul idzie nieco przede mną, utrzymując taki dystans, by każdy z nas mógł zająć się własnymi myślami. W oddali widzę kaplicę. Samochody policyjne stoją u jej stóp jak ropuchy pod dębem, gdy czekają, aż skończy się burza. Taśmy policyjne wokół miejsca wypadku trzepoczą w słabnącym wietrze. Śnieżny anioł Billa Steina z pewnością już znikł, nie pozostał nawet ślad na śniegu.

Gdy docieramy do Dod, Charlie jeszcze nie śpi, ale przygotowuje się do pójścia do łóżka. Posprzątał w salonie, pozbierał walające się papiery i posortował pocztę. Najwyraźniej próbował zapomnieć o tym, co widział w karetce. Na nasz widok zerka najpierw na zegarek, potem patrzy na nas z dezaprobatą, ale jest zbyt zmęczony, by to komentować. Stoję i słucham, jak Paul opowiada, co widzieliśmy w muzeum. Dobrze wiem, że Charlie będzie nalegał, byśmy zawiadomili o wszystkim policję. Gdy wyjaśniam mu, że znaleźliśmy listy, szperając w rzeczach Billa, nawet on dochodzi do wniosku, że może lepiej nie mówić o tym policji.

Paul i ja wycofujemy się do sypialni. Bez słowa przebieramy się w piżamy i kładziemy do łóżek. Gdy tak leżę, przypominam sobie napięcie emocjonalne, z jakim Paul opisywał Curry'ego.

Przychodzi mi teraz do głowy coś, czego nigdy wcześniej nie rozumiałem. W ich związku, przynajmniej przez pewien czas, było coś doskonałego. Curry'emu nigdy nie udało się zrozumieć

Hypnerotomachii, dopóki w jego życiu nie pojawił się Paul, który zrobił to, co Richardowi się nie powiodło, dzięki czemu mogli się tym cieszyć razem. Paul zawsze cierpiał biedę, dopóki w jego życiu nie pojawił się Richard Curry, który pokazał mu rzeczy, jakich Paul nigdy nie poznał, by mogli się nimi cieszyć razem. Byli jak Della i James ze starego opowiadania Henry'ego – James sprzedał swój złoty zegarek, by kupić Delli grzebień, Della sprzedała włosy, by kupić Jamesowi łańcuszek do zegarka. Ich dary i ofiary były idealnie dopasowane. Tym razem jednak wszystko skończyło się pomyślnie. Jedyna rzecz, którą jeden miał do zaofiarowania, była właśnie tym, czego drugi potrzebował.

Nie mogę mieć pretensji do Paula, że dopisało mu tak wielkie szczęście. Jeśli ktoś na to zasłużył, to właśnie on. Nigdy nie miał rodziny, twarzy na zdjęciu w ramce, bliskiego głosu w słuchawce. Nawet po śmierci ojca wciąż to wszystko miałem, choć może nie było to doskonałe. Tu jednak chodzi o coś więcej. Dziennik kapitana portu może udowodnić, że ojciec miał rację w sprawie *Hypnerotomachii* – przeniknął przez kurz wieków, przez gęstwinę obcych języków i drzeworytów, by dostrzec prawdę. Nie wierzyłem mu, myślałem, że jest rzeczą śmieszną, próżną i krótkowzroczną sądzić, iż w jakiejś starej książce tkwi coś szczególnego. Przez cały czas, gdy zarzucałem mu przyjęcie niewłaściwej perspektywy, to ja przyjmowałem błędny punkt widzenia.

– Nie rób tego, Tom – nieoczekiwanie odzywa się Paul z górnego łóżka, tak cicho, że ledwo go słyszę.

- Czego mam nie robić?
- Nie użalaj się nad sobą.
- Myślałem o ojcu.
- Wiem. Postaraj się myśleć o czymś innym.
- Na przykład?
- Nie wiem. Na przykład o nas.
- Nie rozumiem.
- O nas czterech. Postaraj się być wdzięczny za to, co masz. –

Paul zawahał się na chwilę. – Co robisz w przyszłym roku? Podjąłeś decyzję?

- Jeszcze nie.
- Teksas?
- Być może. Katie będzie tutaj.

Słyszę szelest pościeli. Paul przewrócił się na bok.

- A jeśli ci powiem, że być może ja będę w Chicago?
- Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zostałem przyjęty na studia doktoranckie. Dostałem list następnego dnia po tobie.

Jestem zaskoczony.

– A co myślałeś, że będę robił? – pyta Paul.

– Myślałem, że pojedziesz studiować u Pinto w Yale. Dlaczego do Chicago?

– Pinto w tym roku przechodzi na emeryturę. Zresztą Chicago i tak jest lepsze. Melotti jeszcze tam pracuje.

Melotti. Jeden z nielicznych specjalistów od *Hypnerotomachii*, o jakich wspominał ojciec.

– Poza tym – dodaje Paul – jeśli Chicago było dobre dla twojego ojca, to jest chyba dostatecznie dobre dla mnie, nie sądzisz?

O tym samym pomyślałem, gdy składałem podanie, ale miałem na myśli co innego: jeśli mój ojciec się tam dostał, to ja też się dostanę.

– Chyba tak.

– Co o tym myślisz?

– O twoim wyjeździe do Chicago?

Paul znowu się waha. Nie zrozumiałem, o co mu chodzi.

– O naszym wyjeździe do Chicago.

Nad nami skrzypi podłoga. W innym świecie coś się poruszyło.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pytam.

– Nie wiedziałem, jak to przyjmiesz.

– Będiesz realizował ten sam program co on?

– Tak dokładnie, jak tylko będzie to możliwe.

Nie jestem pewny, czy mam ochotę przez pięć lat znosić stałą obecność ojca. Będę go widział w cieniu Paula jeszcze wyraźniej niż teraz.

– Czy Chicago jest na pierwszym miejscu twojej listy?

Mija dobrych kilka minut, nim Paul decyduje się odpowiedzieć.

– Taft i Melotti to jedyni, jacy jeszcze zostali. Jedyni specjaliści od *Hypnerotomachii*.

– Mógłbym oczywiście pracować tutaj z kimś, kto nie jest specjalistą – dodaje Paul. – Batalim lub Todesco.

Pisanie rozprawy doktorskiej o *Hypnerotomachii* pod kierunkiem kogoś, kto się na tym nie zna, byłoby jak komponowanie muzyki dla głuchych.

– Powinieneś jechać do Chicago – mówię, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. Może rzeczywiście tak myślę.

– Czy to oznacza, że ty jedziesz do Teksasu?

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Wiesz, twoja decyzja nie może być uzależniona od niego.

– Nie jest.

– No, dobra – Paul rezygnuje z dalszej presji. – Obaj mamy ten sam termin.

Dwie koperty leżą tam, gdzie je zostawiłem, na jego biurku. Myślę o tym, że właśnie tutaj Paul zaczął odsłaniać tajemnicę *Hypnerotomachii*. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak ojciec unosi się nad biurkiem niczym anioł stróż, każdej nocy wskazując Paulowi drogę do prawdy. Dziwne, że byłem przy tym, w odległości zaledwie dwóch metrów, ale prawie przez cały czas spałem.

– Lepiej się prześpij – mówi Paul, przewraca się na łóżku ciężko wzdycha. Znowu myśli o wydarzeniach minionego dnia. Co zamierzasz zrobić rano? – pytam, zastanawiając się, czy chce o tym mówić.

– Muszę porozmawiać z Richardem o tych listach.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Nie, muszę iść sam.

Tej nocy już więcej nie rozmawialiśmy.

Sądząc po oddechu, Paul szybko zasypia. Też chciałbym już spać, ale kłębiące się myśli nie pozwalają mi zasnąć. Zastanawiam się, co powiedziałby ojciec, gdyby wiedział, że po tylu latach znaleźliśmy dziennik kapitana portu. To mogłoby zmniejszyć samotność, jaka wciąż mu doskwierała – tak mi się przynajmniej zawsze wydawało – gdy tyle czasu pracował nad czymś, co dla innych miało tak małe znaczenie. Myślę, że byłoby dla niego ważne, gdyby dowiedział się, że jego syn w końcu dał się przekonać.

– Dlaczego się spóźniłeś? – spytałem go pewnego wieczoru, gdy pojawił się dopiero w czasie przerwy ostatniego meczu koszykówki w moim życiu.

– Przepraszam – powiedział. – Nie spodziewałem się, że to tak długo potrwa.

Tata szedł przede mną do samochodu. Mieliśmy jechać do domu. Wbiłem wzrok we włosy na jego potylicy, których zawsze zapominał uczesać, bo nie widział ich w lustrze. Była już połowa listopada, ale on przyszedł w wiosennej kurtce. Pewnie był tak pochłonięty rozmyślaniami, że wziął z wieszaka niewłaściwe okrycie.

– Co takiego? – przycisnąłem go. – Praca?

Praca to był eufemizm, którego używałem, by nie wymieniać tytułu, często będącego dla mnie przyczyną zakłopotania.

– Nie – odpowiedział spokojnie ojciec. – Dojazd. Straszne korki.

W drodze do domu tata jak zwykle jechał jakieś trzy lub cztery kilometry na godzinę szybciej, niż to było dozwolone. To skromne nieposłuszeństwo, odmowa podporządkowania się regułom, połączona z niezdolnością, by całkowicie je odrzucić, denerwowała mnie coraz bardziej, od kiedy zrobiłem prawo jazdy.

– Wydaje mi się, że dobrze ci poszło – powiedział, zerkając na mnie. – Trafiłeś, wykonując oba rzuty osobiste, jakie widziałem.

– W pierwszej połowie to było „och, jak na takiego niskiego, to całkiem dobrze”. Poinformowałem trenera, że kończę z koszykówką.

Tata się nie zdziwił, widocznie tego oczekiwał.

– Zrezygnowałeś? Dlaczego?

– Inteligentni wygrywają z silnymi – powiedziałem, dobrze wiedząc, że inaczej on to zaraz powie. – Ale wysocy wygrywają z niskimi.

Tata wyglądał tak, jakby czuł się winny, a koszykówka była naszym największym problemem. Dwa tygodnie później, gdy wróciłem ze szkoły, nad bramą garażu nie było już tablicy i kosza – tata oddał ją miejscowemu domowi dziecka. Mama nie była pewna, dlaczego to zrobił. Myślał, że tak będzie lepiej. Tyle tylko mogła powiedzieć.

Pamiętając o tym, próbuję sobie wyobrazić, jaki prezent ode mnie sprawiłby mu największą radość. Choć już zasypiam, odpowiedź wydaje mi się zupełnie oczywista: ojciec najbardziej ucieszyłby się, gdybym uwierzył w jego idole. Tego zawsze pragnął – poczucia, że łączy nas coś trwałego. Gdybyśmy obaj wierzyli w te same rzeczy, nic

nie mogłoby nas rozdzielić. *Hypnerotomachia* nie różniła się niczym od lekcji gry na pianinie, koszykówki i sposobu, w jaki się cesał, była jego błędem. Ojciec z pewnością rozumiał, że gdy utracę wiarę w *Hypnerotomachie*, zaczniemy się od siebie oddalać, nawet jeśli będziemy nadal zasiadali razem do kolacji. Tata zrobił co mógł, by jak najmocniej zacisnąć węzeł, ale mnie udało się go rozwiązać.

– Nadzieja – powiedział mi kiedyś Paul – która wynurzyła się z puszki Pandory już po tym, jak uciekły z niej wszystkie smutki i nieszczęścia, jest rzeczą najlepszą i najważniejszą.

Bez niej jest tylko czas. Czas naciska na nasze plecy jak wirówka, zmuszając do przesuwania się na zewnątrz, aż wreszcie wyrzuca nas w nicość. Myślę, że to jedyne wytłumaczenie tego, co stało się z moim ojcem i ze mną, a także tego, co przydarzyło się Curry'emu i Taftowi. Tak samo będzie z naszą czwórką tu, w Dod, choć dziś wydajemy się nierozłączni. To prawo ruchu, twierdzenie fizyczne, które Charlie potrafiłby wyrecytować, jakościowo nieróżniące się od przemiany gwiazd w czerwone olbrzymy i białe karły. Jak wszystko we wszechświecie, od narodzin podążamy rozbieżnymi szlakami. Czas to tylko miara oddalenia. Jeśli jesteśmy cząsteczkami w morzu odległości, wyrzuconymi z pierwotnej całości, to nasza samotność podlega prawu naukowemu. Nasza samotność jest wprost proporcjonalna do przeżytych lat.

Rozdział 16

Gdy skończyłem szóstą klasę, ojciec wysłał mnie na dwutygodniowy letni obóz dla ekskskautów, którzy zeszli na manowce. Jak to dziś rozumiem, celem tego przedsięwzięcia było ponowne włączenie mnie do grona rówieśników, wykazujących się kolejnymi sprawnościami. Rok wcześniej zostałem pozbawiony chusty za odpalenie rakiety w namiocie Willy'ego Carlsona, a dokładniej za stwierdzenie, że nadal wydaje mi się to zabawne, gdy już uświadomiono mi słabą konstytucję psychiczną Willy'ego i wrażliwość jego pęcherza na wszelkie stresy. Rodzice mieli nadzieję, że minęło już dość czasu, by takie błędne sądy zostały zapomniane. We wrzawie, wywołanej przez dwunastoletniego Jake'a Fergusona, którego pornograficzne komiksy zmieniły moralnie paralizującą atmosferę obozu skautów w poszerzające horyzonty doświadczenie, moje przestępstwo straciło znaczenie. Czternaście dni nad jeziorem Erie powinno wystarczyć – myśleli rodzice – bym został włączony do zastępu.

Już po niecałych dziewięćdziesięciu sześciu godzinach okazało się, że nie mieli racji. W połowie pierwszego tygodnia czynowy odwiózł mnie do domu i odjechał bez słowa wyjaśnienia. Zostałem wyrzucony, tym razem za uczenie kolegów z zastępu niemoralnej piosenki. Komendant obozu, w trzystronicowym liście naładowanym przymiotnikami pasującymi do poprawczaka, stwierdził, że jestem jednym z najgorszych recydywistów wśród skautów w całym

centralnym Ohio. Nie byłem pewny, co znaczy słowo „recydywista”, dlatego powiedziałem rodzicom, na czym polegało moje przestępstwo.

Tego dnia spotkaliśmy się z drużyną skautek, by razem pływać kanoe. Dziewczyny śpiewały piosenkę, którą znałem z ciemnej, obozowej przeszłości moich sióstr: *Zawieraj nowe przyjaźnie i podtrzymuj stare, pierwsze to srebro, drugie to złoto**. Odziedziczyłem po siostrach kilka wariantów tekstu, którymi podzieliłem się z kolegami:

*Nie dbaj o przyjaciół i kop staruszków,
Ważne jest tylko srebro i złoto**.*

Nie byłyby to jeszcze powód do wyrzucenia mnie z obozu, ale Willy Carlson wpadł na wspaniały pomysł, jak się zemścić. Gdy najstarszy wychowawca pochylił się nad ogniskiem, wymierzył mu kopniaka w zadek, a następnie stwierdził, że uczynił to pod moim wpływem. Nowe słowa, niczym zaklęcie, zmusiły jego stopę, by powędrowała ku tyłkowi wychowawcy. Natychmiast uruchomiono maszynę skautowskiej sprawiedliwości i już po paru godzinach obaj się pakowaliśmy.

To doświadczenie miało dwa trwałe skutki, poza ostatecznym zakończeniem mojej harcerskiej kariery. Po pierwsze, zaprzyjaźniłem się z Willym Carlsonem. Jak się okazało, niezwykła wrażliwość jego

* w oryginale: *Make new friends, but keep the old; one in silver, the other is gold*

** w oryginale: *Make no friends, and kick the old./All I want is silver and gold*

pęcherza była kłamstwem, które wymyślił, by skłonić drużynowego do wyrzucenia mnie z drużyny. Trudno było go nie lubić, skoro był zdolny do takich rzeczy. Po drugie, matka wygłosiła surowe kazanie. Dopiero pod koniec studiów w Princeton zrozumiałem, o co jej chodziło. Nie miała nic przeciwko pierwszej linijce zmodyfikowanej wersji, choć to właśnie z powodu kopnięcia starszej osoby zostałem wyrzucony z obozu. Jej gniew wzbudziła dziwna mania, której doszukała się w drugiej linijce.

– Dlaczego srebro i złoto? – spytała. Siedzieliśmy w małym pokoju na zapleczu księgarni, gdzie trzymała zapasy książek i różne graty.

– O co ci chodzi? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Na ścianie wisiał stary kalendarz Muzeum Sztuki w Columbus z reprodukcją obrazu Edwarda Hoppera, przedstawiającego kobietę siedzącą w łóżku. Nie mogłem oderwać od niej oczu.

– Czemu nie rakiety? – spytała. – Albo ogniska?

– Bo nie pasują. – Pamiętam, że byłem zirytowany, ponieważ odpowiedź wydawała mi się oczywista. – Ostatnie słowo musi rymować się z *old*.

– Posłuchaj, Tom. – Mama wzięła mnie pod brodę i zmusiła, bym na nią spojrział. W świetle lampy jej włosy wydawały się złote, takie same, jak kobiety na obrazie Hoppera. – To nie jest naturalne. Chłopiec w twoim wieku nie powinien myśleć o srebrze i złocie.

– Wcale nie myślę. Jakie to ma znaczenie?

– Każde pragnienie powinno mieć właściwy przedmiot. To zabrzmiało jak przykazanie z lekcji religii.

– O co ci chodzi?

– Ludzie przez całe życie pragną tego, czego pragnąć nie powinni. Pod wpływem presji otoczenia kierują swoją miłość na niewłaściwe rzeczy. – Mama poprawiła kołnierz sukienki i usiadła obok mnie. – Żeby być szczęśliwym, wystarczy kochać właściwe rzeczy we właściwej proporcji. Nie pieniądze. Nie książki. Ludzi. Dorośli, którzy tego nie rozumieją, nigdy nie czują się spełnieni. Nie chcę, by tak było w twoim przypadku.

Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego tak jej zależało, żebym właściwie wybrał cele moich namiętności. Skinąłem tylko uroczyście głową i obiecałem, że nie będę więcej śpiewał o srebrze i złocie. Poczulem, że udało mi się ją spacyfikować.

Szlachetne metale nigdy nie były szczególnym problemem. Teraz rozumiem, że mama walczyła o coś znacznie ważniejszego: usiłowała sprawić, bym nie stał się podobny do ojca. Obsesja ojca na punkcie *Hypnerotomachii* była dla niej wzorcowym przykładem błędnie skierowanej namiętności i walczyła z nią aż do jego śmierci. Wierzyła, jak sądzę, że miłość ojca do tej książki była perwersją, wypaczeniem uczucia, jakie żywił do niej i dzieci. Nic nie mogło zmienić tej sytuacji. Gdy mama zrozumiała, że przegrała bitwę o zmianę priorytetów mojego ojca, skupiła uwagę na mnie.

Wolę nie mówić, czy dotrzymałem obietnicy. Upór, z jakim chłopcy popełniają różne dziecinne wybryki, z pewnością zadziwia

kobiety, które błyskawicznie zmieniają się w aniołki. Przez całe moje dzieciństwo w naszym domu panował monopol na złe zachowanie, a ja byłem Rockefellerem. Nie zrozumiałem powagi błędu, przed jakim ostrzegała mnie mama, dopóki go nie popełniłem. Niestety, wtedy konsekwencje mojego zachowania musiała znieść Katie, a nie rodzina.

Nadszedł styczeń. Po pierwszej zagadce Colonny trafiliśmy na drugą, później na trzecią. Paul wiedział, gdzie ich szukać, ponieważ odkrył pewną regularność w strukturze *Hypnerotomachii*. Długość kolejnych rozdziałów zmieniała się cyklicznie, od pięciu lub dziesięciu stron do dwudziestu, trzydziestu, a nawet czterdziestu. Krótkie rozdziały następowały w seriach liczących trzy lub cztery, a długie raczej pojedynczo. Na wykresie widać było, że linia wskazująca długość rozdziałów ma wyraźne maksima. Tworzyła wizualny profil, który nazywaliśmy „tętnem *Hypnerotomachii*”. Taki miała przebieg w pierwszej połowie książki, później zaczynała się chaotyczna sekwencja rozdziałów, których długość nie przekraczała jedenastu stron.

Paul szybko wyjaśnił tę regularność, wzorując się na naszym sukcesie z Mojżeszem i jego rogami. Każdy długi rozdział krył pewną zagadkę, której rozwiązanie stanowiło klucz do szyfru w kilku krótkich rozdziałach, zawierających część wiadomości od Colonny. Druga część książki, zdaniem Paula, stanowiła tylko uzupełnienie,

podobnie jak początek pierwszej. Chodziło o stworzenie wrażenia, że fragmentaryczna opowieść stanowi jednak spójną całość.

Podzieliliśmy się pracą. Paul wyszukiwał zagadki w dłuższych rozdziałach, mnie natomiast pozostawiał ich rozwiązanie. Pierwsza, jaką zaatakowałem, brzmiała: *Jaka jest najmniejsza harmonia wielkiego zwycięstwa?*

– To kojarzy mi się z Pitagorasem – zauważyła Katie, gdy opowiedziałem jej o tym w Small World Coffee. Piliśmy gorącą czekoladę i jedliśmy biszkopt. – Według niego wszystko polegało na harmoniach. Harmonia w astronomii, matematyce, cnocie...

– Moim zdaniem ma to związek z techniką wojenną – odpowiedziałem. Spędziłem sporo czasu w bibliotece Firestone, przeglądając renesansowe teksty o inżynierii. Leonardo w liście do księcia Mediolanu twierdził, że potrafi zbudować rydwany odporne na pociski, czyli renesansowe czołgi, a także przenośne moździerze i wielkie maszyny oblężnicze. W jego pismach filozofia łączyła się z techniką – zwycięstwo wymagało matematyki, zaś udoskonalenie techniki wojennej wymagało znajomości proporcji. Matematykę od muzyki dzielił niewielki krok.

Następnego dnia Katie obudziła mnie o siódmej trzydzieści, żebyśmy pobiegali przed jej wykładem o dziewiątej.

– Technika wojenna nie ma tu znaczenia – powiedziała, analizując zagadkę tak, jak mógłby to zrobić tylko student filozofii. – Pytanie zawiera dwa elementy: najmniejsza harmonia i największe zwycięstwo. Wielkie zwycięstwo może oznaczać wszystko.

Powinieneś skupić uwagę na jaśniejszej części. Najmniejsza harmonia ma mniej precyzyjnie określonych znaczeń.

Burknąłem coś w odpowiedzi. Mijaliśmy właśnie stację kolejki łączącej Princeton z Princeton Junction. Z zazdrością spojrzałem na nielicznych pasażerów, czekających na pociąg o 7.43. Bieganie i myślenie o wschodzie słońca było sprzeczne z moją naturą. Katie wiedziała, że przed dwunastą mgła nie ulotni się z mojej głowy. Wykorzystywała swoją przewagę, by ukarać mnie za to, że nie potraktowałem poważnie jej sugestii na temat Pitagorasa.

– Co więc sugerujesz? – spytałem.

– Wracając, zatrzymamy się w Firestone – odpowiedziała. Nawet się nie zasapała. – Pokażę ci, gdzie, moim zdaniem, powinieneś szukać.

To ciągnęło się przez dwa tygodnie. Rankami uprawialiśmy gimnastykę fizyczną i umysłową. Opowiadałem Katie o moich pomysłach dotyczących Colony, żeby musiała zwolnić i posłuchać, a następnie przyśpieszałem, żeby nie miała czasu powiedzieć mi, dlaczego nie mam racji. Spędzaliśmy razem tak wiele wieczorów i poranków, że Katie, jako osoba racjonalna, powinna w końcu wpaść na pomysł, iż spędzenie nocy w Dod byłoby lepszym rozwiązaniem niż nieustanne chodzenie w tę i z powrotem do Holder. Każdego ranka, gdy widziałem ją w obcisłych spodniach i bluzie dresowej, wymyślałem nowe sposoby sformułowania takiej propozycji, ale Katie wyraźnie wolała ich nie rozumieć. Gil powiedział mi, że jej poprzedni chłopak, członek drużyny lacrosse, od początku uprawiał

z nią gierki: nie wykorzystywał nielicznych okazji, gdy była wstawiona, by następnie rozpląnęła się z wdzięczności, gdy będzie trzeźwa. Minęło tak dużo czasu, nim Katie dostrzegła jego manipulacje, że w czasie naszego pierwszego wspólnego miesiąca nie mogła o nich zapomnieć.

– Co mam zrobić? – jęknąłem pewnego wieczoru po jej wyjściu, gdy nie mogłem dłużej oprzeć się frustracji. Po każdym porannym biegu dostawałem lekki pocałunek w policzek, co, biorąc wszystko pod uwagę, raczej nie rekompensowało moich nakładów. Teraz, gdy poświęcałem coraz więcej czasu *Hypnerotomachii* i sypiałem tylko pięć lub sześć godzin, narastał dług zupełnie innego rodzaju. Tantal nie mógł się ze mną równać: gdy pragnąłem Katie, dostawałem Colonnę, gdy próbowałem skupić się na Colonnie, myślałem tylko o śnie, gdy próbowałem spać, rozlegało się pukanie do drzwi i nadchodziła pora na kolejny bieg z Katie. To była komedia, bo nieustannie spóźniałem się na własne życie, ale jakoś nie mogłem się z tego śmiać. Nadeszła pora na zmiany. Tym razem, o dziwo, Gil i Charlie byli tego samego zdania.

– Bądź cierpliwy – radzili. – Ona jest tego warta.

Jak zwykle mieli rację. Pewnego dnia, po pięciu tygodniach bycia razem, Katie przyćmiła nas obu. Wracając z seminarium z filozofii, zatrzymała się w Dod, by podzielić się pewnym pomysłem.

– Posłuchaj – powiedziała, wyciągając z torby *Utopię* Tomasza Morusa. Otworzyła ją i zaczęła czytać:

Rozpowszechnione są u nich dwie gry bardzo podobne do szachów; jedna, tak zwana walka liczb, polega na tym, że liczba obrabowuje liczbę, w drugiej zaś staczają walkę występki z cnotami. W tej grze pokazana jest w dowcipny sposób rozbieżność i wzajemna niechęć pomiędzy występkami, a równocześnie doskonała zgoda, gdy chodzi o zwalczanie cnót; widać tu również, jakie występki jakim cnotom przeciwstawiają się, z jakim wysiłkiem w otwarty sposób uderzają w nie lub jakimi podstępami starają się podejść je z boku, jak potem cnoty bronią się i odpierają ataki występków, zręcznie udaremniając ich zakusy, w jaki wreszcie sposób jeden z obu walczących szeregów odnosi zwycięstwo.*

Katie chwyciła mnie za rękę i umieściła książkę w mojej dłoni. Czekala, aż przeczytam to ponownie.

– Napisana w tysiąc pięćset szesnastym – zauważyłem, zerkając na ostatnią stronę okładki. – Niecałe dwadzieścia lat po *Hypnerotomachii*. – Różnica czasu nie jest zbyt duża.

– Staczają walkę występki z cnotami – powtórzyła.

Zaczęło mi świtać w głowie, że pewnie ma rację.

Gdy spotykałem się z Laną McKnight, wymagała, żebyśmy przestrzegali jednej reguły: nigdy nie należy mieszać książek z łóżkiem. W całym wachlarzu rzeczy podniecających seks i myślenie znajdowały się na przeciwnych krańcach; należało się nimi cieszyć,

* Thomas More (Morus), *Utopia*, przekład K. Abgarowicz, Warszawa 1954

ale nigdy równocześnie. Zdumiewało mnie, jak taka inteligentna dziewczyna może zachowywać się tak głupio, miotając się w ciemnościach w bieliźnie w cętki leoparda, jakby była jakąś kobietą jaskiniową, którą ogłuszyłem pałką. Wydawała przy tym okrzyki, mogące przerazić watahę wilków, które ją wychowały. Nie ośmieliłem się powiedzieć jej, że gdyby mniej jęczała, mogłoby to mieć większe znaczenie, ale już pierwszej nocy pomyślałem, jakby to było wspaniale, gdyby podniecenie ogarnęło jednocześnie moje ciało i umysł. Prawdopodobnie powinienem był dostrzec tę możliwość w przypadku Katie, po tych wszystkich porankach, kiedy ćwiczyliśmy mięśnie i mózgi, ale w rzeczywistości uświadomiłem to sobie dopiero tej nocy, gdy tak się stało: gdy pracowaliśmy nad implikacjami jej odkrycia, ostatnie ślady po jej starym graczku w lacrosse wreszcie zostały zatarte i mogliśmy zacząć od nowa.

Najbardziej utkwilo mi w pamięci, że tej nocy Paul nadzwyczaj uprzejmie poszedł spać do Ivy, a gdy Katie była ze mną, cały czas paliło się światło. Lampy świeciły się, gdy czytaliśmy sir Tomasza Morusa i próbowaliśmy zrozumieć grę, o jakiej pisał, w której wielkie zwycięstwo było możliwe dzięki harmonii cnót. Lampy świeciły się, gdy stwierdziliśmy, że jedna z gier, o jakiej wspomina, tak zwana gra filozofów, czyli *Rithmomachia* na pewno odpowiadałaby Colonne, jako najtrudniejsza ze wszystkich uprawianych w średniowieczu i renesansie. Lampy świeciły się, gdy Katie pocałowała mnie za to, że przyznałem jej rację: jak się okazało w *Rithmomachii* można było zwyciężyć tylko dzięki stworzeniu odpowiedniej harmonii liczb –

najdoskonalsza dawała rzadki wynik, zwany wielkim zwycięstwem. Lampy świeciły się, gdy pocałowała mnie znowu za to, że przyznałem, iż moje pomysły są chybione i powinienem od początku jej słuchać. Zdałem sobie wreszcie sprawę z nieporozumienia, jakie trwało od naszego pierwszego porannego biegu: gdy ja usiłowałem za nią nadażyć, ona starała się utrzymać przewagę. Chciała wykazać, że nie da się zastraszyć starszemu studentowi, że zasługuje na to, by traktować ją poważnie – i dopiero tego wieczoru dostrzegła, że to jej się udało.

Położyliśmy się na materacu zawalonym książkami. Przestaliśmy udawać, że nadal czytamy. Prawdopodobnie rzeczywiście było jej za gorąco w swetrze, ale z drugiej strony, najprawdopodobniej byłoby jej za gorąco w swetrze, nawet gdyby działała klimatyzacja, a na dworze szalała zamieć, jak w ten wielkanocny weekend. Pod spodem miała bluzkę z krótkimi rękawami i czarny stanik. Gdy patrzyłem, jak ściąga sweter i jak jej naelektryzowane włosy tworzą potarganą aureolę, poczułem coś, czego bogowie odmówili Tantalowi: oto cudowna przyszłość wreszcie spotkała się z pełną nadziei teraźniejszością i zamknęło się koło czasu.

Kiedy przyszła moja kolej, by zdjąć ubranie i odsłonić poszarpaną lewą nogę, nie wahałem się ani chwili. Gdy Katie zobaczyła blizny, również się nie zawahała. Gdybyśmy spędzili te godziny w mroku, nie miałyby to znaczenia. Ale tej nocy ani przez chwilę nie byliśmy w ciemnościach. Przewracaliśmy się po świętym

Tomaszu Morusie i stronach jego *Utopii*, odnajdując nowe pozycje naszego związku, a lampy paliły się bez przerwy.

Tydzień później otrzymałem pierwszy sygnał, że błędnie zrozumiałem siły kształtujące moje życie. Paul i ja przez prawie cały poniedziałek i wtorek dyskutowaliśmy nad kolejną zagadką: *Ile jest ramion od twoich stóp do horyzontu?*

– Myślę, że to ma związek z geometrią – powiedział Paul.

– Euklides?

– Nie, z pomiarami Ziemi. – Pokręcił głową. – Eratostenes wyznaczył w przybliżeniu obwód Ziemi, mierząc różnice położenia Słońca na niebie w Syene i w Aleksandrii podczas letniego przesilenia. Gdy znał już różnicę kątową...

Dopiero po chwili zrozumiałem, że mówiąc o geometrii, Paul miał na myśli etymologiczne znaczenie tego słowa – chodziło mu dosłownie o pomiary Ziemi.

– Znając różnicę kątową i odległość między miejscami obserwacji, Eratostenes obliczył obwód Ziemi.

– Co to ma wspólnego z zagadką? – spytałem.

– Francesco pyta o odległość między tobą i horyzontem. Oblicz, jak daleko jest z danego punktu na powierzchni do miejsca, gdzie wszystko znika za horyzontem, a dostaniesz odpowiedź. Albo lepiej znajdź to w podręczniku. To pewnie stała wielkość.

Paul powiedział to tak, jakby sprawa była oczywista, ale ja byłem innego zdania.

– Dlaczego Colonna pyta, ile jest ramion?

Paul pochylił się i przekreślił słowo „ramiona” na mojej kopii. Zamiast niego napisał coś po włosku.

– Zapewne chodzi o *bracci* – wyjaśnił. – To florenetyńska miara długości. Jedno *braccio* to mniej więcej długość ramienia.

Od kilku dni sypiałem mniej od niego, co nigdy przedtem się nie zdarzało. Nagły przyływ powodzenia sprawiał, że chciałem w pełni wykorzystać moje szczęście, wciąż mieszałem drinki, bo koktajl złożony z Katie i Colony wydawał się idealnie zgodny z zaleceniami lekarza. Uznałem to za dowód, że powrót do *Hypnerotomachii* nadał nową strukturę światu, w którym żyłem. Zacząłem szybko wpadać w tę samą pułapkę co ojciec, tę, przed którą ostrzegała mnie matka.

W środę rano, gdy wspomniałem Katie, że śnił mi się ojciec, zrobiła coś, czego nie uczyniła nigdy podczas naszych biegów: zatrzymała się.

– Tom, nie chcę o tym rozmawiać.

– O czym?

– O rozprawie Paula. Porozmawiajmy o czymś innym.

– Mówiłem o ojcu.

Przyzwyczailem się, że w rozmowach z Paulem odwołanie się do ojca kończy dyskusję. Tym razem tak się nie stało.

– Twój ojciec zajmował się tą samą książką co Paul – odparła Katie. – Jedno jest z drugim związane.

Uznałem, że jej słowa są oznaką lęku, iż nie uda jej się rozwiązać kolejnej zagadki, a wtedy przestanę się nią interesować.

– Doskonale – powiedziałem, sądząc, że ratuję ją przed tym niepowodzeniem. – Porozmawiajmy o czymś innym.

Tak rozpoczął się przyjemny okres, trwający kilka tygodni, który opierał się jednak na nieporozumieniu równie zasadniczym jak to, od którego zaczęliśmy. W czasie pierwszego miesiąca naszej znajomości, do pierwszej nocy z Katie w Dod, to ona budowała fasadę, starała się stworzyć coś, czego – jak sądziła – pragnąłem. Podczas drugiego miesiąca to ja udawałem, unikałem wszelkich wzmianek o *Hypnerotomachii* w jej obecności nie dlatego, że Colonna przestał odgrywać ważną rolę w moim życiu, ale z obawy, że zagadki wpędzają ją w zakłopotanie.

Gdyby Katie знаła prawdę, miałaby powody do zmartwień. *Hypnerotomachia* powoli wypierała z mojej głowy wszystkie inne myśli i zainteresowania. Sądziłem, że utrzymuję równowagę między rozprawą Paula i własną – tańczyłem walca między Mary Shelley i Franceskiem Colonną, co wydawało mi się tym bliższe rzeczywistości, im więcej czasu spędzałem z Katie. W rzeczywistości taniec zmieniał się w przeciąganie liny, a Colonna stopniowo wygrywał.

Mimo to, nim Katie i ja zdążyliśmy się zorientować, wszędzie pojawiły się ślady naszych wspólnych przeżyć. Każdego ranka biegaliśmy tą samą trasą, przed wykładami wstępowaliśmy do tej samej kawiarni, a gdy w swoim klubie wyczerpałem wszystkie bilety dla gości, i tak ją szmuglowałem. W czwartki wieczorem tańczyliśmy z Charliem w Cloister Inn, w soboty graliśmy w bilard z Gilem w Ivy,

a w piątki wieczorem, gdy w klubach na Prospect robiło się cicho, oglądaliśmy występy znajomych w komediach Szekspira lub słuchaliśmy ich popisów muzycznych w kampusie. Emocje pierwszych wspólnych dni stopniowo uległy przemianie w coś zupełnie innego, czego nie doświadczyłem z Laną i żadną jej poprzedniczką. Mogę to tylko porównać z uczuciem powrotu do domu, wstąpienia na wagę, która nie wymaga żadnych korekt, tak jakby szale mojego życia idealnie się zrównoważyły.

Gdy Katie po raz pierwszy zauważyła, że nie mogę zasnąć, zaczęła recytować dzieło swojego ulubionego autora i powędrowałem w ślad za *Ciekawskim George'em* na koniec świata, aż wreszcie nie utrzymałem ciężaru powiek. Później było jeszcze wiele nocy, gdy nieustannie przewracałem się na łóżku, ale Katie za każdym razem znajdowała rozwiązanie. Epizody z M*A*S*H, nocne czytanie Camusa, programy radiowe, których słuchała w domu, tutaj ledwo słyszalne. Czasami otwieraliśmy okno, by słuchać, jak pod koniec lutego pada deszcz, lub podsłuchiwać rozmowy pijanych studentów. Wymyśliliśmy nawet na takie puste noce grę w rymowanie – Francesco Colonna zapewne nie uznałby jej za równie budującą co *Rithmomachia*, ale my ją lubiliśmy.

– Pewien człowiek, Camus zwany – zaczynałem.

Gdy Katie uśmiechała się w mroku, wyglądała jak kot z Cheshire.

– Porzucił Algierię grypą opętany – odpowiadała Katie.

– Był bardzo potencjalny.

- Lecz nie dość egzystencjalny.
- Dlatego stary Sartre był załamany.

Jednak mimo wszystkich wysiłków Katie, by mnie uśpić, *Hypnerotomachia* często brała górę. Wymyśliłem w końcu, na czym polegała najmniejsza harmonia wielkiego zwycięstwa: w *Rithmomachii*, w której celem jest utworzenie kombinacji liczb zawierających harmonie arytmetyczne, geometryczne i muzyczne, tylko trzy sekwencje dają od razu trzy harmonie – co jest warunkiem wielkiego zwycięstwa. Najmniejsza z nich, którą miał na myśli Colonna, to 3-4-6-9.

Paul użył tej kombinacji, by odczytać zaszyfrowaną wiadomość. Wziął trzecią literę, po niej czwartą, szóstą i dziewiątą i tak dalej. Już po godzinie mieliśmy kolejny list od Colony:

Zaczynam mą opowieść od wyznania. Wielu ludzi zmarło, by dochować tej tajemnicy. Kilku zginęło podczas budowy mej krypty, zaprojektowanej przez Bramantego i wzniesionej przez braci Terragui. Zgodnie ze swym przeznaczeniem jest to niezwykła konstrukcja, odporna na wszelkie żywioły, a zwłaszcza wodę. Budowa pochłonęła wiele ofiar, nawet spośród najbardziej doświadczonych ludzi. Trzej zginęli, przesuając wielkie kamienie, dwaj, ścinając drzewa, a pięciu podczas samej budowy. Innych zmarłych nie wspominam, ponieważ zginęli haniebnie i zostaną zapomniani.

Opiszę tutaj naturę mojego wroga, którego rosnąca potęga jest przyczyną wszystkich moich działań. Czytelniku, zapewne dziwisz się,

dlatego opatrzyłem tę księgę datą 1467, choć napisałem te słowa trzydzieści lat później. Oto powód: w tym roku wybuchła wojna, którą wciąż prowadzimy, a obecnie przegrywamy. Trzy lata temu Jego Świątobliwość Paweł II wyrzucił kilku radców dworu, jasno okazując swoje zamiary w stosunku do moich braci. Jednak członkowie pokolenia mego wuja byli potężnymi ludźmi, mieli wielkie wpływy i wyrzuceni bracia znaleźli schronienie w „rzymskiej akademii”, którą podtrzymał dobry Pomponio Leto. Paweł przekonał się, że przetrwaliśmy w niezmnieszonej liczbie, i jego gniew jeszcze się wzmoął. W 1467 roku zniósł akademię. Chcąc, by wszyscy dowiedzieli się, jaki jest zdecydowany, uwięził Pomponia Leto i oskarżył go o sodomie. Inni z naszej grupy byli torturowani. Co najmniej jeden zmarł.

Teraz rzucił nam wyzwanie stary wróg, który nagle się odrodził. Siła nowego ducha wciąż rośnie i zjednuje on sobie coraz potężniejsze głosy, a zatem nie mam wyboru, muszę budować, korzystając z pomocy przyjaciół mądrzejszych ode mnie, urządzenie, którego sekret tu skrywam. Nawet kapłan, choć może być filozofem, nie sprosta zadaniu.

Kontynuuj, czytelniku, a powiem więcej.

– Wyrzuceni radcy dworu byli humanistami – wyjaśnił Paul. – Papież sądził, że humanizm powoduje zepsucie moralne. Nie chciał nawet, żeby dzieci poznawały dzieła dawnych poetów. Papież Paweł

zrobił z Leto przykład. Z jakiegoś powodu Francesco uznał to za wypowiedzenie wojny.

Przez tę i wiele następnych nocy wciąż myślałem o słowach Colonny. Po raz pierwszy zrezygnowałem z porannego biegu z Katie, ponieważ byłem zbyt zmęczony, by zwlec się z łóżka. Coś mi mówiło, że Paul błędnie interpretuje ostatnią zagadkę – Ile jest ramion od twoich stóp do horyzontu? – i nie ma ona nic wspólnego z Eratostenesem i geometrią. Charlie potwierdził, że odległość do horyzontu zależy od wysokości obserwatora. Poza tym, nawet gdybyśmy znaleźli jednoznaczną odpowiedź i wyrazili ją w *braccia*, otrzymalibyśmy ogromną liczbę, zdecydowanie za dużą, by nadawała się na klucz do szyfru.

– Kiedy Eratostenes wykonał te obliczenia? – spytałem.

– Mniej więcej dwieście lat przed naszą erą.

To rozstrzygnęło sprawę.

– Moim zdaniem nie masz racji – powiedziałem. – Dotychczas wszystkie zagadki miały związek z wiedzą z czasów renesansu, z renesansowymi odkryciami. On egzaminuje nas z wiedzy humanistów z początku piętnastego wieku.

– Zagadka Mojżesza i *cornuta* miała związek z lingwistyką – zauważył Paul, wypróbując to rozumowanie. – Chodziło o poprawienie błędnego przekładu. Coś jak to, co zrobił Valla z donacją Konstantyna Wielkiego.

– A zagadka *Rithmomachii* dotyczyła matematyki – dodałem. – Colonna zapewne nie użył powtórnie matematyki. Wydaje mi się, że za każdym razem wykorzystuje inną dziedzinę wiedzy.

Dopiero, gdy Paul spojrział na mnie, wyraźnie zaskoczony jasnością mojego wywodu, uświadomiłem sobie, że moja rola się zmieniła. Teraz byliśmy już w tym przedsięwzięciu równymi partnerami.

Od tej pory każdego wieczoru spotykaliśmy się w Ivy. Paul jeszcze utrzymywał porządek w pokoju prezydenta, ponieważ bał się, że Gil w każdej chwili może się tam pojawić. Jadłem obiad na górze z Gilem i Katie, która już za kilka tygodni miała wziąć udział w „selekcji”, a następnie schodziłem na dół, by przyłączyć się do Paula i Francesca Colonny. Sądziłem, że nawet lepiej zostawić ją samą, skoro jest tak zajęta przygotowaniem do przyjęcia do klubu. Musiała odbyć różne rytuały i miałem wrażenie, że nie przejmuję się moją nieobecnością.

Jednak wszystko zmieniło się nagle wieczorem, po tym jak po raz trzeci opuściłem poranny bieg. Wydawało mi się, że już niemal znam rozwiązanie zagadki, gdy Katie wreszcie zdała sobie sprawę, co robię, gdy nie jesteśmy razem.

– To dla ciebie – powiedziała, wchodząc do naszego pokoju w Dod.

Gil znowu nie zamknął drzwi, a Katie, gdy sądziła, że jestem sam, nie pukała.

Przyniosła mi coś ciepłego do jedzenia z pobliskiego baru. Sądziła, że przez cały czas pocę się nad swoją rozprawą.

– Co robisz? – spytała. – Wciąż *Frankenstein*?

W tym momencie zwróciła uwagę na rozłożone wokół książki. Tytuł każdej miał jakiś związek z renesansem.

Nigdy nie sądziłem, że można kłamać, samemu o tym nie wiedząc. Zwodziłem ją przez kilka tygodni, używając różnych pretekstów – Mary Shelley, bezsenność, rozliczne obowiązki, które utrudniały nam bycie razem – aż wreszcie dałem się ponieść własnym słowom i dryfowałem coraz dalej od prawdy, na tyle wolno, że każdego dnia odległość wydawała się niemal taka sama, jak dnia poprzedniego. Uważałem, że Katie wie, iż zajmuję się rozprawą Paula, ale po prostu nie chce o tym słyszeć. Moim zdaniem zostało to ustalone, choć nikt tego głośno nie powiedział.

Rozmowę, która nastąpiła, przerywały długie chwile milczenia, gdy Katie patrzyła na mnie, ja zaś usiłowałem nie odwracać wzroku. Wreszcie Katie wstała i zapięła płaszcz. Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała zapamiętać wszystkie szczegóły, po czym wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Zamierzałem zadzwonić do niej wieczorem. Wiedziałem, że tego się spodziewała, gdy wróciła do siebie i siedziała, czekając na telefon, o czym później opowiedziały mi jej koleżanki z pokoju. Coś mi jednak przeszkodziło. Ta książka to fantastyczna kochanka, pokazuje nogi we właściwej chwili. Zaraz po wyjściu Katie doznałem olśnienia i odgadłem rozwiązanie zagadki Colonney. Jak pod wpływem

zapachu perfum lub widoku głębokiego dekoltu, zapomniałem o całym świecie.

W zagadce chodziło o horyzont obrazu, o punkt zbieżności perspektywy. Problem nie miał związku z matematyką, lecz ze sztuką. To pasowało do innych zagadek – Colonna wykorzystywał specyficzną wiedzę renesansu, zdobycze humanistów, których bronił. W tym przypadku rzeczywiście chodziło o odległość mierzoną w *braccia*, między pierwszym planem, na którym stoją główne postacie, a teoretycznym horyzontem, gdzie niebo łączy się z ziemią. Pamiętałem, że w sprawach architektury Colonna polegał na Albertim, którego *De re aedificatoria* umożliwiła Paulowi rozwikłanie pierwszej zagadki, dlatego teraz również zacząłem od Alberta. W jego traktacie – znalazłem go w książkach Paula – natknąłem się na następujący fragment:

Biorąc pod uwagę powierzchnię, na której zamierzam malować, decyduję najpierw, jak duża ma być postać człowieka na pierwszym planie. Dzielę jego wysokość na trzy części, proporcjonalne do miary zwanej powszechnie braccio, gdyż, jak można się przekonać na podstawie analizy proporcji kończyn, wzrost typowego człowieka to trzy braccia. Punkt zbieżności winien znajdować się nad linią podstawy nie wyżej niż wzrost człowieka na obrazie. Następnie rysuję linię biegnącą przez punkt zbieżności; jest to dla mnie granica, której nic nie może przekroczyć. Dlatego ludzie na obrazie, stojący dalej, zawsze są znacznie mniejsi niż ci na pierwszym planie.

Jak wynikało z rysunków, owa linia przechodząca przez punkt zbieżności to nic innego jak horyzont. Zgodnie z systemem Albertiego horyzont miał być umieszczony na tej samej wysokości, co wzrost postaci na pierwszym planie, czyli na wysokości trzech *braccia*. Teraz rozwiązanie zagadki – odległość od stóp do horyzontu – było oczywiste: trzy *braccia*.

Paul potrzebował tylko pół godziny, by wykorzystać to rozwiązanie. Pierwsze litery co trzeciego słowa w kolejnych rozdziałach utworzyły następną część listu Colonna.

Teraz, czytelniku, wyjaśnię ci naturę kompozycji tego dzieła. Z pomocą moich braci poznałem księgi Arabów, Żydów i starożytnych dotyczące układania szyfrów. Poznałem uprawianą przez kabalistów gematrię, zgodnie z którą, gdy w Księdze Rodzaju jest napisane, że Abraham sprowadził 318 ludzi na pomoc Lotowi, wiemy, że liczba 318 oznacza jego sługę Eliezera, ponieważ tyle wynosi suma cyfr w zapisanym po hebrajsku jego imieniu. Poznałem praktyki Greków, których bogowie przemawiali zagadkami, a generałowie, jak to opisuje Herodot w swoich Dziejach, przebiegle skrywali przesyłane wiadomości – na przykład Histajeus zapisał list na czaszce niewolnika, a Arystogoras kazał go ogolić i odczytał wiadomość.

Ujawnię ci teraz, czytelniku, nazwiska tych uczonych mężów, których mądrość ukształtowała me zagadki. Pomponio Leto, mistrz Rzymskiej Akademii, uczeń Valla i stary przyjaciel mojej rodziny,

udzielał mi instrukcji w sprawach języka i przekładu, gdy zawodziły mnie własne oczy i uszy. W sztuce i harmonii liczb krokami moimi kierował Francuz Jacques Lefevere d'Etaples, wielbiciel Rogera Bacona i Boecjusza, który znał wszystkie rodzaje wyliczeń, jakich mój intelekt nie był w stanie przełknąć. Wielki Alberti, który nauczył się swej sztuki od mistrzów Massacia i Brunelleschiego (oby ich geniusz nigdy nie został zapomniany), dawno temu zapoznał mnie z wiedzą o horyzontach i malowaniu; będę go chwalił teraz i zawsze. Znajomość świętych pism następców Hermesa Trismegistosa, pierwszego proroka Egiptu, zawdzięczam mądrymu Ficino, mistrzowi języków i filozofii, który nie ma sobie równego wśród uczniów Platona. Wreszcie, to Andrei Alpago, uczniowi czcigodnego Ibn al-Nafisa, wdzięczny jestem za pomoc w sprawach, o których będzie jeszcze mowa. Jego wkład należy ocenić jeszcze wyżej niż pozostałych, ponieważ jest on najbliższy doskonałości w badaniach samego człowieka, z których wywodzą się wszystkie inne dziedziny wiedzy i sztuki.

To są, czytelniku, moi najmądrzejsi przyjaciele, którzy wspólnie opanowali wiedzę mi nieznaną, dawniej obcą wszystkim ludziom. Po kolei zgodzili się spełnić mą jedyną prośbę: każdy z nich, nie wiedząc o pozostałych, wymyślił zagadkę, której rozwiązanie znają tylko dwie osoby, on i ja, a którą rozwiązać może tylko miłośnik wiedzy. Zagadki te umieściłem we fragmentach mego tekstu, zgodnie z regułą, której nikomu nie zdradziłem. Ich rozwiązanie pozwoli odczytać me prawdziwe słowa.

Zrobiłem to wszystko, by chronić mój sekret, ale również po to, by przekazać go tobie, jeśli odczytasz to, co napisałem. Rozwiąż jeszcze tylko dwie zagadki, a zacznę ujawniać naturę mojej krypty.

Następnego dnia rano Katie nie obudziła mnie na wspólne bieganie. Do końca tygodnia kontaktowałem się tylko z jej współlokatorkami i automatyczną sekretarką, ale nie z nią. Oślepiony przez postępy, jakie poczyniliśmy, nie widziałem, jak pejzaż mojego życia ulega przyśpieszonej erozji. Odległość między nami rosła, ścieżki do biegania przestały się przecinać, nie spotykaliśmy się w kawiarniach. Katie przestała jadać ze mną w Cloister Inn, ale prawie tego nie zauważyłem, bo sam od tygodni rzadko tam jadałem: Paul i ja poruszaliśmy się jak szczury tunelami między Dod i Ivy, unikając dziennego światła, ignorując odgłosy selekcji, jaka odbywała się nad naszymi głowami, żywiąc się kawą i kanapkami z czynnych przez całą dobę sklepów w kampusie, dzięki czemu mogliśmy pracować i jeść zgodnie z własnym rozkładem dnia.

Przez cały czas Katie była zaledwie jedno piętro wyżej niż ja; z trudem powstrzymywała się od obgryzania paznokci, gdy wędrowała od jednej kliky do drugiej i usiłowała zaprezentować właściwą kombinację pewności siebie i uległości, tak by starsi studenci przychylnie odnieśli się do jej kandydatury. Uznałem, że z pewnością nie chce, bym wtrącał się w tym momencie w jej życie – była to jeszcze jedna wymówka, dzięki której mogłem spędzać dnie i noce z Paulem. Byłem zbyt zajęty, by zastanowić się, czy Katie nie

potrzebuje towarzystwa, czy nie chciałaby mieć przyjaciela, z którym mogłaby wieczorem porozmawiać, kogoś, kto towarzyszyłby jej w czasie coraz ciemniejszych i chłodniejszych poranków. Nie przyszło mi do głowy, że oczekuje mojego poparcia w pierwszym przełomowym momencie podczas jej studiów w Princeton. Nie pomyślałem, że selekcja może być dla niej ciężką próbą, przeżyciem, będącym w większym stopniu sprawdzianem jej wytrzymałości niż uroku. Byłem jej obcy, nie wiedziałem, przez co przechodzi podczas tych wieczorów w Ivy.

Tydzień później Gil powiedział mi, że Katie została przyjęta. Sam zbierał siły na długą noc, podczas której miał przekazać każdemu kandydatowi wiadomość – dobrą lub złą. Parker Hassett starał się zablokować jej kandydaturę. Prawdopodobnie wiedział, że jest jedną z faworytek Gila. W końcu jednak nawet on zmienił zdanie. Ceremonia wprowadzenia nowych członków miała się odbyć w przyszłym tygodniu, po inicjacji, a tradycyjny bal Ivy został wyznaczony na wielkanocny weekend. Gil wyliczał te zaplanowane imprezy z takim naciskiem, że zdałem sobie sprawę, iż coś mi sugeruje. Każda z nich stanowiła dla mnie okazję, by pogodzić się z Katie. To był kalendarz mojej rehabilitacji.

Jeśli tak, to okazałem się równie kiepskim chłopakiem, co skautem. Miłość, zamiast skupić się na właściwym obiekcie, znalazła nowy. W ciągu kilku tygodni po selekcji coraz rzadziej widywałem Gila i w ogóle nie spotykałem Katie. Dotarły do mnie plotki, że zainteresowała się starszym studentem z Ivy, kolejnym wcieleniem

gracza w lacrosse. W tym czasie Paul znalazł jednak kolejną zagadkę i zaczęliśmy zastanawiać się, jaką tajemnicę skrywa krypta Colonney. Stara mantra, długo uszpiona, obudziła się z drzemki i znów stała się aktualna.

Nie dbaj o przyjaciół, kop staruszków

Ważne jest tylko srebro i złoto.

Rozdział 17

Jest już widno, gdy budzi mnie dźwięk telefonu. Zegarek wskazuje wpół do dziesiątej. Wygrzebuję się z łóżka i chwytam bezprzewodowy telefon, nim dzwonek obudzi Paula.

- Spałeś? – To pierwsze słowa Katie.
- Coś w tym rodzaju.
- Nie mogę uwierzyć, że to był Bill Stein.
- My też nie. Co się dzieje?
- Jestem w redakcji. Możesz tu przyjść?
- Teraz?
- Jesteś zajęty?

W jej głosie słyszę coś, co mi się nie podoba, jakiś dystans. Jestem dostatecznie przytomny, by to zauważyć.

- Pozwól mi wskoczyć pod prysznic. Będę za kwadrans.

Zaczynam się przebierać, nim Katie odłożyła słuchawkę. Podczas przygotowań do wyjścia myślę na zmianę o Steinie i Katie. To tak, jakby ktoś wciąż zapalał i gasił żarówkę. Gdy jest widno, mam przed oczami Katie, natomiast w ciemnościach znów widzę pokryty śniegiem dziedziniec Dickinson i słyszę ciszę po odjeździe karetki.

Po powrocie z łazienki rzucam piżamę na fotel w salonie, żeby nie obudzić Paula. Gdy szukam zegarka, zwracam uwagę, że w pokoju jest większy porządek, niż kiedy kładłem się spać.

Ktoś poprawił dywan i opróżnił kosze na śmieci. To zły znak. Widocznie Charlie nie spał tej nocy.

Kilka sekund później dostrzegam kartkę przypiętą do korkowej tablicy.

Tom,

Nie mogłem spać. Poszedłem do Ivy trochę popracować. Zadzwoń, gdy wstaniesz.

P.

Rzeczywiście, łóżko Paula jest puste. Jeszcze raz spoglądam na tablicę. Teraz dostrzegam godzinę zapisaną nad wiadomością: 2.15. Paula nie było przez całą noc.

Znow podnoszę słuchawkę i już mam wykręcić numer do pokoju prezydenta, gdy słyszę głos automatycznej sekretarki.

„Piątek, dwudziesta trzecia pięćdziesiąt cztery”.

To telefon, którego nie odebrałem, widocznie ktoś dzwonił, gdy byłem z Paulem w muzeum.

„Tom, tu Katie. Nie wiem, gdzie jesteś. Być może już tu idziesz. Karen i Trish chcą zacząć kroić tort urodzinowy. Powiedziałam im, żeby poczekały na ciebie. (Przerwa). Mam nadzieję, że zobaczę cię, gdy się tu pojawisz”.

Słuchawka parzy mi palce. Czarno-białe zdjęcie, które kupiłem jej na urodziny, wygląda głupio w ramce, wydaje się bardziej tandetne niż wczoraj. Gdybym miał wymienić jakiegoś fotografa poza Anselem Adamsem i Mathew Bradym, musiałbym prosić o pomoc. Nie wiem jeszcze dostatecznie dobrze, jak Katie spędza wolny czas, by mieć

pewność, co jej się spodoba. Po namyśle postanawiam nie brać teraz fotografii.

Idę szybkim krokiem do redakcji „Prince”. Katie wita mnie przy wejściu i prowadzi do ciemni. Po drodze otwiera i zamyka na klucz kolejne drzwi. Jest ubrana tak samo jak wczoraj w Holder: bluzka z krótkimi rękawami i stare dżinsy. Włosy ma niedbale ściągnięte z tyłu, jakby nie spodziewała się towarzystwa, a kołnierzyk bluzki jest pognieciony. Widzę złoty łańcuszek przecinający jej obojczyk, a przez dziurę w dżinsach prześwituje biała skóra jej uda.

– Tom – mówi, wskazując ręką na kogoś przy komputerze – poznaj moją koleżankę. To Sam Felton.

Sam uśmiecha się, jakby mnie znała. Ma na sobie dres drużyny hokeja na trawie i bluzkę z długimi rękawami z napisem GDYBY DZIENNIKARSTWO BYŁO ŁATWE, ZAJMOWAŁBY SIĘ NIM NEWSWEEK. Wyłącza leżący na biurku mały magnetofon i wyciąga z ucha jedną słuchawkę.

– Umówiłaś się z nim na dziś wieczór? – pyta, by upewnić się, czy dobrze słyszała.

Katie potwierdza, ale wbrew moim oczekiwaniom nie dodaje: „To mój chłopak”.

– Sam pisze artykuł o Billu Steinie – mówi zamiast tego.

– Bawcie się dobrze na balu – rzuca Sam i sięga do magnetofonu.

– Ty się nie wybierasz? – pyta Katie.

Domyślam się, że znają się z Ivy.

– Bardzo wątpię. – Sam wskazuje na ekran komputera, zapełniony gęsto słowami – prawdziwe mrowisko za szkłem. Przypomina mi Charliego w laboratorium: podnieca ją to, ile jest jeszcze do zrobienia. Zawsze będą nowe sprawy do opisania, nowe teorie do sprawdzenia, nowe zjawiska do zaobserwowania. Subtelna jałowość niemożliwego do spełnienia zadania podkreśla ludzi nadmiernie ambitnych.

Katie patrzy na nią ze współczuciem. Sam wraca do spisywania nagrania.

– O czym chciałaś porozmawiać? – pytam.

Zamiast odpowiedzi Katie prowadzi mnie do ciemni.

– Tu jest dość gorąco – mówi, otwierając drzwi i rozsuwając ciężką, czarną kotarę. – Lepiej zdejmij płaszcz. Zdejmuję płaszcz, a Katie wiesza go na niewidocznym haku przy drzwiach. Od kiedy ją poznałem, unikam ciemni, bo boję się, że przypadkiem zniszczę jakiś jej film.

Katie podchodzi do rozciągniętego na ścianie sznura do suszenia bielizny, na którym wiszą przypięte spinaczami fotografie.

– Tu nie powinno być więcej niż dwadzieścia stopni – mówi. – Inaczej ciepło powoduje retykulację emulsji na negatywach.

Mogłaby równie dobrze mówić po grecku. Siostry nauczyły mnie żelaznej reguły: gdy umawiasz się z dziewczyną, zawsze wybieraj miejsce, które dobrze znasz. Francuska restauracja nie robi wrażenia, jeśli nie potrafisz przeczytać menu, wyrefinowane filmy

tylko szkodzą, jeśli nie rozumiesz intrygi. Tutaj, w ciemni, czyhają na mnie niezliczone możliwości efektownych porażek.

– Chwileczkę. – Katie kręci się po ciemni jak koliber. – Już kończę.

Otwiera koreks, wyciąga film i płucze go pod bieżącą wodą. Czuję się przytłoczony. Ciemnia jest niewielka i zapchana zegarami, kuwetami, butlami z chemikaliami. Na półkach stoją wywoływacze i utrwalacze. Katie porusza się z idealną precyzją. Przypomina mi się, jak wczoraj upięła włosy, nie patrząc, co robi.

– Mam zgasić światło? – pytam. Czuję się bezużyteczny.

– Nie, chyba, że sam chcesz. Negatywy już są utrwalone. Stoję pośrodku pokoju jak strach na wróble.

– Jak to znosi Paul?

– W porządku.

Zapada pełne powagi milczenie. Mam wrażenie, że zajmując się fotografiami, Katie zapomina o rozmowie.

– Wstąpiłam do Dod po północy – zaczyna znowu. – Charlie powiedział mi, że wyszedłeś z Paulem.

W jej głosie słyszę nieoczekiwane ciepło.

– Dobrze zrobiłeś, nie zostawiając go samego – dodaje. – To musiało być dla niego straszne. Jak dla nas wszystkich.

Chcę jej opowiedzieć o listach Steina, ale zdaję sobie sprawę, że to wymagałoby długich wyjaśnień. Katie podchodzi do mnie z kilkoma zdjęciami w ręku.

– Co to za fotografie?

– Wywołałam nasz film.

– Z „filmowego pola”?

Katie kiwa głową.

Pole filmowe to miejsce, które pokazała mi Katie – otwarta łąka w Princeton Battlefield Park, które wydaje się bardziej płaskie i rozległe niż jakikolwiek kawał ziemi na wschód od Kansas. Pośrodku pola, niczym wartownik, który nie chce opuścić posterunku, stoi samotny dąb. Drzewo wydaje się echem ostatniego gestu generała, który zmarł pod nim w czasie amerykańskiej rewolucji. Katie najpierw zobaczyła to miejsce na filmie Waltera Matthaua i od tej pory drzewo jest dla niej talizmanem. „Pole filmowe” stało się jednym z kilku miejsc, które regularnie odwiedza, różańcem widoków, stanowiących kotwicę jej życia. Kilka dni po naszej pierwszej nocy w Dod Katie przyprowadziła mnie tam, bym je zobaczył. To było tak, jakby stary Dąb Mercera był jej krewnym i wszystkim zależało na tym, by zrobić dobre wrażenie. Przyniosłem koc, latarkę i kosz z jedzeniem i piciem, a Katie wzięła aparat.

Fotografie to artefakt, którego się nie spodziewam, niewielkie kawałki nas samych, uwięzione w bursztynie. Przeglądamy je, podając sobie z ręki do ręki.

– Co o nich myślisz?

Patrząc na nie, przypominam sobie, jak ciepła była zima w tym roku. Styczniowe światła miały barwę miodu, jesteśmy ubrani w swetry, nigdzie nie widać kurtek, czapek i rękawiczek. Pomarszczona kora drzewa ma fakturę upływającego czasu.

– Są wspaniałe – odpowiadam.

Katie uśmiecha się nieśmiało, niepewna, jak zareagować na komplement. Dostrzegam na czubkach jej palców ciemne plamy, pamiątki po stojących na półkach chemikaliach. Ma długie i cienkie palce, ale widać, że nimi pracuje – zostały na nich ślady moczenia zbyt wielu filmów w zbyt licznych chemicznych kąpielach.

– To my – mówi, wypowiadając tysiąc słów jednocześnie. – Pamiętasz?

– Przepraszam – mówię.

Katie kładzie rękę na moich palcach.

– Nie chodzi mi o urodziny – odpowiada, jakby się martwiła, że nie rozumiem sedna sprawy.

Czekam.

– Dokąd poszliście, ty i Paul, po wyjściu z Holder wczoraj wieczorem?

– Spotkać się z Billem Steinem.

Słyszając to nazwisko, Katie na chwilę milknie, ale nie rezygnuje.

– W sprawie dysertacji Paula?

– To było coś pilnego.

– A gdzie byliście, gdy po północy do was wstąpiłam?

– W Muzeum Sztuki.

– Co tam robiliście?

Rozmowa przybiera nieprzyjemny obrót.

– Przepraszam, że nie przyszedłem do ciebie wieczorem. Paul sądził, że znajdzie kryptę Colony, i chciał spojrzeć na jakieś stare mapy.

Katie nie wydaje się zdziwiona. W jej głosie narasta napięcie. Wiem, do czego to zmierza.

– Sądziłam, że skończyłeś z rozprawą Paula.

– Też tak myślałem.

– Nie możesz oczekiwać, że będę znów spokojnie patrzyła, jak to powtarzasz, Tom. Ostatnim razem nie rozmawialiśmy przez kilka tygodni. – Waha się, nie wiedząc, jak to lepiej wyrazić. – Zasluguję na coś lepszego – mówi w końcu.

Typowa strategia chłopca polega na znalezieniu pozycji nadającej się do obrony i trzymaniu się jej uparcie, nawet jeśli brakuje przekonania. Już mam wyrzucić z siebie stek argumentów służących przetrwaniu, lecz Katie mnie powstrzymuje.

– Nic nie mów. Chcę, żebyś się nad tym zastanowił.

Nie musi nic dodawać. Nasze ręce się rozdzielają. Wciąż trzymam fotografie. Znowu słyszę szum urządzeń w ciemni. Jak pies, którego kopnąłem, cisza zawsze bierze jej stronę.

Dokonałem wyboru, chcę jej powiedzieć. Nie muszę się zastanawiać. To proste: kocham cię bardziej niż tę książkę.

Nie mówię tego głośno, to byłby błąd. Nie chodzi o udzielenie właściwej odpowiedzi na pytanie, lecz o wykazanie, że się poprawię. Dwa razy zawiodłem, ale jeszcze nadaję się do naprawy. Dwanaście godzin temu zapomniałem ojej urodzinach z powodu

Hypnerotomachii. W tym momencie nawet mnie moje obietnice wydałyby się puste.

– Dobrze – mówię.

Katie podnosi rękę i obgryza paznokcie, ale zaraz się reflektuje.

– Mam robotę – mówi i znowu muska palcami moją rękę. – Porozmawiamy wieczorem.

Patrzę na jej obgryzione paznokcie i żałuję, że nie wzbudzam większego zaufania.

Katie popycha mnie w kierunku czarnej kotary i podaje płaszcz. Wracamy do biura.

– Muszę wywołać wszystkie filmy, zanim przyjdą starsi studenci i zajmą ciemnię – wyjaśnia po drodze, raczej na użytek Sam niż mój.

– Nie dajesz mi się skupić.

Ten zabieg idzie na marne. Sam nadal ma na uszach słuchawki i stuka w klawiaturę. Nawet nie zauważa, że wychodzę.

Przy drzwiach Katie zdejmuje rękę z moich pleców. Mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale rezygnuje. Zamiast tego całuje mnie w policzek, tak jak kiedyś, w nagrodę za poranny bieg, po czym otwiera drzwi. Wychodzę.

Rozdział 18

„Miłość zwycięża wszystko”.

Gdy byłem w siódmej klasie, podczas wyjazdu z rodzicami do Nowego Jorku kupiłem na straganie srebrną bransoletkę z tym napisem dla niejakiej Jenny Harlow. Sądziłem, że to wywoła w jej wyobraźni portret młodego człowieka, z jakim na pewno chciałaby się umówić: kosmopolity z Manhattanu, romantycznego, z poetyckim mottem, z klasą i dyskretnym błyskiem. Zostawiłem ją bez podpisu w szafce Jenny w walentynki i przez cały dzień czekałem na odpowiedź. Nie miałem wątpliwości, że domyśli się, od kogo jest ten prezent.

Kosmpolityczny, romantyczny, z klasą – niestety, te cechy nie stanowiły śladu prowadzącego prosto do mnie. Niejaki Julius Murphy z ósmej klasy był widocznie obdarzony nimi w znacznie większym stopniu niż ja, bo pod koniec dnia to on doczekał się pocałunku od Jenny, a mnie zostało tylko ponure przekonanie, że wycieczka do Nowego Jorku została zmarnowana.

Całe to doświadczenie, jak wiele innych z dzieciństwa, opierało się na nieporozumieniu. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że bransoletka nie pochodziła z Nowego Jorku i nie była srebrna, natomiast tego dnia ojciec wyjaśnił mi szczególnie wymowne nieporozumienie: poetyckie motto wcale nie było tak romantyczne, jak Jenny, Julius i ja sądziliśmy.

– Zapewne odniosłeś błędne wrażenie po lekturze Chaucera – zaczął z uśmiechem, wyrażającym ojcowską mądrość. – „Miłość zwycięża wszystko” to coś więcej niż tylko broszka przeoryszy.

Wyczułem, że zanosí się na rozmowę podobną do tej na temat dzieci i bocianów, jaką odbyliśmy parę lat wcześniej: pełną dobrych intencji, lecz opartą na całkowicie błędnych wyobrażeniach na temat tego, czego uczę się w szkole.

Teraz nastąpił długi wykład o dziesiątej ekłodze Wergiliusza i *omnia vincit amor*, z dygresjami na temat śniegów Sytonii i etiopskich owiec, co miało dla mnie mniejsze znaczenie niż kwestia, dlaczego Jenny Harlow nie uważała, iż jestem romantyczny, i dlaczego wpadłem na tak głupi sposób wydania dwunastu dolarów. Jeśli miłość zwycięża wszystko, uznałem, to najwyraźniej jeszcze nie spotkała Juliusa Murphy’ego.

Ojciec był jednak na swój sposób mądrym człowiekiem. Gdy zorientował się, że jego słowa do mnie nie trafiają, otworzył książkę i pokazał mi rysunek ilustrujący jego wywód.

– To *Miłość wszystko zwycięża* Agostina Carracciego – powiedział. – Co tutaj widzisz?



Po prawej stronie widać było dwie nagie kobiety. Po lewej mały chłopiec bił znacznie większego, mocno umięśnionego satyra.

– Nie wiem – odpowiedziałem. Nie byłem pewny, która część rysunku ma być dla mnie pouczeniem.

– To jest Amor – powiedział ojciec, wskazując chłopca.

Przerwał na chwilę, by te słowa do mnie dotarły.

– On nie jest po twojej stronie. Walczysz z nim, próbujesz przeciwstawić się temu, co robi z innymi. Jest jednak zbyt potężny. Niezależnie do tego, jak bardzo cierpimy, nasze męki go nie wzruszają.

Nie jestem pewny, czy kiedykolwiek w pełni zrozumiałem, o co mu chodziło. Wtedy wyciągnąłem z tego najprostszy wniosek: usiłując sprawić, by Jenny Harlow się we mnie zakochała, mocowałem się z Amorem, a moja tandetna bransoletka dowiodła

tylko, jak jałowe były te próby. Już wówczas wyczuwałem jednak, że dla ojca Jenny i Julius to tylko przykłady. W rzeczywistości chciał mi przekazać mądrość, za którą zapłacił wysoką cenę; miał nadzieję, że wpoi mi ją, póki moje porażki nie są jeszcze zbyt poważne. Gdy mama ostrzegała mnie przed niewłaściwie ulokowanym uczuciem, myślała o romansie ojca z *Hypnerotomachią*. Teraz ojciec przedstawiał kontrargument ukryty u Wergiliusza i Chaucera. Dobrze wiedział, jak ona się czuje – mówił – zapewne nawet się z nią zgadzał. Jak jednak mógł się temu przeciwstawić, skąd miał wziąć siły, by pokonać tę siłę, skoro miłość zwycięża wszystko?

Nigdy nie rozstrzygnąłem, które z nich miało rację. Myślę, że świat jest podobny do Jenny Harlow, my zaś jesteśmy wędkarzami, snującymi opowieści o rybach, które urwały się z haczyka. Do dziś nie jestem pewny, jak przeorysza Chaucera rozumiała Wergiliusza, a jak Wergiliusz pojmował miłość. Pamiętam tylko obraz, który pokazał mi ojciec, zwłaszcza tę jego część, o której nie powiedział ani słowa – dwie nagie kobiety przyglądające się, jak Amor terroryzuje satyra. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego Carracci umieścił na sztychu dwie kobiety, skoro potrzebował tylko jednej. Gdzieś w tym kryje się morał: w geometrii miłości zawsze dominuje trójkąt. Każdemu Tomowi i Jenny towarzyszy jakiś Julius, każda Katie i Tom mają swego Francesca Colonnę. Język pożądania jest rozwidlony, całuje dwoje, lecz kocha jedno. Miłość rysuje linie podziału między ludźmi, tak jak astronom wykreśla konstelacje, tworząc związki między gwiazdami, niemające żadnych podstaw w naturze. Podstawa

każdego trójkąta staje się środkiem następnego, aż wreszcie rzeczywistość zostaje podzielona liniami związków miłosnych. Razem tworzą sieć, a za nimi kryje się Amor. Tylko Amor jest doskonałym rybakiem, który zarzuca sieć najdalej i nie pozwala uciec żadnej rybie. W nagrodę siedzi samotnie w tawernie życia, na zawsze chłopiec między mężczyznami, i ma nadzieję, że kiedyś będzie opowiadał historie o rybie, która uciekła.

Krażyły plotki, że Katie znalazła kogoś innego. Zostałem zastąpiony przez studenta drugiego roku, niejakiego Donalda Morgana, potężnie zbudowanego typu, który zawsze wkładał blezer, gdy sytuacja wymagała tylko zwykłej koszuli. Morgan zamierzał objąć stanowisko prezydenta Ivy po Gilu. Wpadłem na nich przypadkiem pod koniec lutego w Small World Coffee, tej samej kawiarni, gdzie trzy lata wcześniej spotkałem Paula. Rozmowa była chłodna. Donald zdołał wykrztusić kilka banałów, po czym zorientował się, że nie mam prawa głosu w wyborach w Ivy, wobec czego szybko wyciągnął Katie z kawiarni i razem wsiedli do jego shelby cobra.

To była śmierć w męczarniach, patrzeć, jak trzy razy uruchamia starter, nim wreszcie silnik zapalił. Nie wiem, czy to na mój użytek, czy z powodu próżności, Morgan jeszcze przez dobrą minutę rozgrzewał silnik, aż wreszcie na drodze nie było nikogo i zdecydował się ruszyć. Zwróciłem uwagę, że Katie ani razu na mnie nie spojrzała, nawet gdy już odjeżdżali. Co gorsza, miałem wrażenie, że ignoruje

mnie z gniewu, nie zaś z zakłopotania, zupełnie jakby to była moja, a nie jej wina, że do tego doszliśmy. Gotowałem się z oburzenia, aż wreszcie doszedłem do wniosku, że nie pozostało mi nic innego, jak kapitulacja. Niech ma swojego Donalda Morgana, myślałem. Niech sobie sypia w Ivy.

Oczywiście to Katie miała rację. To była moja wina. Od kilku tygodni męczyłem się, usiłując rozwiązać czwartą zagadkę – *Co mają wspólnego ślepy chruśszcz, nocna sowa i krzywodzioby orzeł?* Miałem poczucie, że szczęście przestało mi sprzyjać. Zwierzęta w intelektualnym świecie renesansu to skomplikowany temat. W tym samym roku, w którym Carracci stworzył sztych *Miłość wszystko zwycięża*, włoski profesor Ulisse Aldrovandi opublikował pierwszy z czternastu tomów historii naturalnej. Jednym z najslawniejszych przykładów jego podejścia do kwestii klasyfikacji jest przypadek kurcząt. Aldrovandi na dwóch stronach wymienił różne rasy kurcząt, po czym dodał jeszcze trzysta stron, które poświęcił roli kurczaków w mitologii, użyciu kurczaków do celów medycznych, a nawet kosmetycznych.

Pliniusz Starszy, klasyczny autorytet w sprawach zwierząt, umieścił jednorożce, bazyliuszki i gryfony między nosorożcami i wilkami, i wyjaśnił, jak za pomocą kurzego jajka odgadnąć płeć dziecka jeszcze przed rozwiązaniem. Po dziesięciu dniach rozmyślań o zagadce czułem się jak jeden z delfinów opisanych przez Pliniusza, oczarowanych ludzką muzyką, lecz niezdolnych do jej tworzenia.

Niewątpliwie Colonna wymyślił coś bardzo chytrego, lecz ja byłem zbyt głupi, by pojąć jego magię.

Trzy dni później minął pierwszy termin oddania rozprawy. Pograżony w kserokopiach różnych fragmentów dzieła Aldrovandiego, poniewczasie przypomniałem sobie, że na moim biurku leży nieskończony brudnopis ostatniego rozdziału pracy o Frankensteinie. Mój promotor, chytry, stary profesor filologii angielskiej, doktor Montrose, zauważył moje przekrwione oczy i uznał, że widocznie ciężko pracuję i jestem bliski sukcesu. Ani przez chwilę nie podejrzewał, iż to nie z powodu Mary Shelley nie sypiam po nocach, dlatego zgodził się na przesunięcie terminu. Nowego terminu również nie dotrzymałem i tak, bardzo spokojnie, rozpoczął się okres mojego najgłębszego upadku w historii studiów. Przez kilka tygodni niemal nikt nie zauważył, że stopniowo wycofuję się z własnego życia.

Spałem na porannych wykładach, a na popołudniowych przez cały czas myślałem nad rozwiązaniem zagadki. Wiele razy obserwowałem, jak Paul wcześniej kończy pracę, zaledwie kilka minut po jedenastej, by pójść z Charliem do Hoagie Haven na późną kolację. Zawsze proponowali, bym poszedł z nimi, później pytali, czy mi coś przynieść, ale ja odmawiałem. Początkowo dlatego, że zacząłem być dumny z monastycznego stylu życia, później uznałem, że jest coś nieprzyzwoitego w tak niedbałym podejściu do pracy. Pewnego wieczoru, gdy Paul, zamiast badać *Hypnerotomachię*, poszedł z Gilem

na lody, po raz pierwszy pomyślałem, że nie przykłada się dostatecznie do pracy.

– Straciłeś koncentrację – zarzuciłem mu, gdy wrócił i kładł się spać. Bolały mnie oczy od czytania przy kiepskim świetle. To starcie wypadło w wyjątkowo niesprzyjającym momencie.

– Co takiego? – spytał Paul zdziwiony. Myślał, że się przesłyszał.

– Ile godzin dziennie pracujesz nad *Hypnerotomachią*?

– Nie wiem. Pewnie osiem.

– W tym tygodniu każdego dnia pracowałem dziesięć, a ty chodzisz na lody!

– Nie było mnie dziesięć minut, Tom. Dziś wieczorem zrobiłem duży krok naprzód. O co ci chodzi?

– Już prawie marzec. Mamy miesiąc na skończenie. Paul nie zwrócił uwagi na liczbę mnogą.

– Dostanę przedłużenie – powiedział.

– Może raczej bardziej byś się przyłożył. Prawdopodobnie Paul jeszcze nigdy nie słyszał od nikogo takiej uwagi. Tylko parę razy widziałem go rozgniewanego, ale nigdy aż tak bardzo.

– Przykładam się dostatecznie. Komu ty to mówisz?

– Jestem bliski rozwiązania zagadki. A ty co zrobiłeś?

– Jesteś bliski? – Paul pokręcił głową. – Robisz scenę, ponieważ wcale nie jesteś bliski znalezienia rozwiązania. Przeciwnie, bardzo ci do tego daleko. Ta zagadka nie powinna zabrać ci tyle czasu. Nie jest chyba aż tak trudna. Brakuje ci cierpliwości.

Zmierzyłem go wściekłym spojrzeniem.

– Tak właśnie jest – powiedział takim tonem, jakby od kilku dni zamierzał mi to oświadczyć. – Ja już niemal znalazłem następną zagadkę, a ty wciąż męczysz się z poprzednią. Starałem się zachować dystans. Każdy z nas pracuje w swoim tempie, a ty nie chciałeś mojej pomocy. Doskonale, zrób to sam. Nie próbuj tylko wyładowywać się na mnie.

Tego wieczoru już nie rozmawialiśmy.

Gdybym posłuchał, zapewne wcześniej mógłbym zaliczyć właściwą lekcję. Zamiast tego robiłem, co tylko mogłem, by udowodnić, że Paul nie miał racji. Zacząłem wstawać wcześniej i pracować jeszcze dłużej. Każdego dnia przesuwałem budzik o piętnaście minut w tył. Miałem nadzieję, że Paul zwróci uwagę, jak systematycznie poddaję rygorom dotychczas marnotrawione fazy życia. Wymyślałem nowe sposoby, jak poświęcić więcej czasu Colonne. Liczyłem godziny spędzone nad *Hypnerotomachią*, jak skąpiec liczy monety. Osiem w poniedziałek, dziewięć we wtorek, dziesięć w środę i czwartek, prawie dwanaście w piątek.

Co mają wspólnego ślepy chrząszcz, nocna sowa i krzywodzioby orzeł? Według Pliniusza, rogate chrząszcze wieszają się na szyi małych dzieci, by chronić je przed chorobami, złote żuki wytwarzają trujący miód i nie są w stanie żyć w miejscowości zwanej Cantharolethus w Tracji, czarne chrabąszcze zbierają się w ciemnych kątach i najczęściej widuje się je w łaźniach. Ale ślepe chrząszcze?

Odkryłem, że mogę zaoszczędzić czas, nie chodząc do Cloisters na posiłki. Droga tam i z powrotem na Prospect Avenue zajmowała pół godziny, a jedzenie w towarzystwie, zamiast samemu, powodowało stratę jeszcze pół godziny. Przestałem pracować w pokoju prezydenta w Ivy, dzięki czemu unikałem spotkania z Paulem i oszczędzałem kilka minut na dojście do Ivy. Ograniczyłem rozmowy telefoniczne do minimum, goliłem się i brałem prysznic tylko wtedy, gdy było to konieczne, pozostawiłem Charliemu i Gilowi otwieranie drzwi, gdy ktoś pukał, i zmieniłem w prawdziwą naukę metody oszczędzania czasu drogą rezygnacji z różnych normalnych rzeczy.

Co mają wspólnego ślepy chrząszcz, nocna sowa i krzywodzioby orzeł? Arystoteles pisał, że ze stworzeń bezkrwistych i latających niektóre mają błonkowe skrzydła jak chrząszcze; z nocnych ptaków niektóre mają zakrzywione szpony jak nocny kruk i sowy, a w późnym wieku górna część dzioba orła wydłuża się i zakrzywia, a wtedy ptak umiera z głodu. Jednak co one mają ze sobą wspólnego?

Uznałem, że Katie to przegrana sprawa. Kimkolwiek dla mnie była, stała się kimś innym dla Donalda Morgana. Jak to możliwe, że widywałem ich tak często, skoro tak rzadko wychodziłem z pokoju? Odpowiedź na to pytanie musi kryć się w moich myślach i snach, w których widziałem, jak nieustannie robią z siebie głupców. Widywałem ich w alejkach i zaułkach, trzymali się za ręce, całowali i szeptali słodkie słówka, wszystko na mój użytek. Demonstrowali, jak łatwo można złamać płytkie serce i równie łatwo je wyleczyć. Miałem

czarny stanik Katie, który zostawiła kiedyś w moim pokoju, a ja jakoś nigdy nie pamiętałem, by go jej oddać. Teraz był dla mnie czymś w rodzaju trofeum, symbolem tej części jej osoby, którą tu zostawiła, niedostępnej dla Donalda. Widziałem oczami wyobraźni, jak stoi nago w mojej sypialni; to były wspomnienia z czasów, kiedy bycie razem sprawiało nam radość, a ona zapominała, że jestem kimś od niej różnym i odrzucała wszystkie zahamowania. Pamiętałem każdy szczegół jej postaci, każdy pieg na plecach, każdy cień między piersiami. Tańczyła przy muzyce z budzika, przeczesując palcami włosy, drugą ręką trzymając niewidoczny mikrofon przy ustach, a ja byłem jedynym widzem.

Co mają wspólnego ślepy chrząszcz, nocna sowa i krzywodzioby orzeł? Wszystkie latają – no ale Pliniusz twierdzi, że chrząszcze kopią norki. Wszystkie oddychają – lecz Arystoteles utrzymuje, że owady nie wdychają powietrza. Nie uczą się na podstawie popełnionych błędów, ponieważ, jak twierdzi Arystoteles, wiele zwierząt ma pamięć... ale żadne stworzenie poza człowiekiem nie może swobodnie przypominać sobie przeszłości. Ale przecież nawet ludzie nie zawsze uczą się na podstawie wcześniejszych doświadczeń. Zgodnie z tą miarą, wszyscy jesteśmy ślepymi chrzążkami i nocnymi sowami.

Czwartek czwartego marca był dniem mojego największego zaangażowania się w próby rozwiązania tajemnic *Hypnerotomachii*. Tego dnia przez czternaście godzin czytałem sześć renesansowych historii naturalnych i sporządziłem dwadzieścia jeden stron notatek drobnym maczkiem. Nie poszedłem na żadne zajęcia, zjadłem trzy

posiłki przy biurku i spałem dokładnie trzy i pół godziny. Od kilku tygodni nie zajmowałem się *Frankensteinem*. Poza *Hypnerotomachią* myślałem tylko o Katie, a pod wpływem tych myśli jeszcze bardziej niszczyłem sobie życie. Poczucie pełnego panowania nad własnym życiem działało jak narkotyk. Nie mogło to być nic innego, ponieważ nie posunąłem się nawet o krok w poszukiwaniu rozwiązania zagadki.

– Zamknij te książki – powiedział w końcu Charlie w piątek wieczorem. Najwyraźniej uznał, że nie wolno mu biernie przyglądać się temu, co się ze mną dzieje. Zaciągnął mnie za kołnierz przed lustro. – Spójrz na siebie.

– Nic mi nie jest... – zacząłem, ignorując wilczą twarz, którą ujrzałem. Miałem czerwone oczy, różowy nos i tłuste, pełne łupieżu włosy.

– Wyglądasz okropnie – Gil poparł Charliego. Wszedł do naszej sypialni, czego nie robił od wielu tygodni. – Słuchaj, ona chce z tobą porozmawiać. Nie bądź uparty.

– Nie jestem uparty. Po prostu muszę coś zrobić.

– Niby co? Musisz pracować nad dysertacją Paula? – skrzywił się Charlie.

Jęknąłem. Czekałem, aż Paul wystąpi w mojej obronie, ale on stał za nimi i milczał. Przez ponad tydzień miał nadzieję, że już za chwilę poznamy prawdę, że robię postępy, tyle że to wymaga czasu.

– Idziemy do Blair Arch – oznajmił Gil, mając na myśli koncert *a capella*.

– Wszyscy czterej – dodał Charlie.

– Katie też się wybiera – zaznaczył Gil, łagodnym gestem zamykając książkę, którą przeglądałem. – Powiedziałem jej, że przyjdiesz.

Gwałtownie otworzyłem książkę i powiedziałem, że nie idę. Pamiętam wyraz twarzy Gila, gdy patrzył na mnie w tamtej chwili. Nigdy wcześniej tak na mnie nie spoglądał – to spojrzenie było zarezerwowane dla Parkera Hassetta i innych błaznów, którzy nie wiedzieli, kiedy skończyć.

– Idziesz – syknął Charlie, zbliżając się do mnie.

– Daj spokój – powstrzymał go Gil.

– Lepiej chodźmy.

Zostałem sam.

To nie upór, duma czy umiłowanie Colonney nie pozwoliło mi pójść do Blair Arch. Przyczyną były ból serca i porażka. Kochałem Katie i na swój sposób kochałem *Hypnerotomachie*, lecz przegrałem w obu przypadkach. Wyraz twarzy Paula, gdy wychodził, mówił wyraźnie, że według niego straciłem szansę na rozwiązanie zagadki, niezależnie od tego, czy już to wiedziałem. Grymas na twarzy Gila oznaczał, że według niego Gaciłem Katie. Gapiąc się na drzeworyty z *Hypnerotomachii* – te same, które wykorzystał Taft w swoim odczycie miesiąc później, przedstawiające Kupidyna, poganiającego kobiety zaprzęgnięte do płonącego rydwanu – myślałem o sztychu Carracciego. Oto mały chłopiec wymierza mi lanie, podczas gdy dwie moje ukochane przyglądają się tej scenie. To właśnie miał na myśli

ojciec, to miała być lekcja dla mnie. „Niezależnie od tego, jak bardzo cierpimy, nasze męki go nie wzruszają. Miłość wszystko zwycięża”.

Są dwie rzeczy najtrudniejsze do zniesienia – powiedział kiedyś Paulowi Richard Curry – to porażka i starość. To jedno i to samo. Doskonałość jest naturalną konsekwencją wieczności: jeśli poczekamy dostatecznie długo, wszystko zrealizuje swój potencjał. Węgiel zmieni się w diament, piasek w perły, małpy w ludzi. Po prostu nie jest nam dane zobaczyć, jak dochodzi do takiego spełnienia w ciągu jednego życia, dlatego każda porażka przypomina o śmierci.

Wydaje mi się jednak, że utrata miłości jest szczególnym rodzajem porażki. To przypomina, że pewne rodzaje spełnienia, niezależnie od tego, jak bardzo upragnione, nigdy nie nastąpią, że niektóre małpy nigdy nie staną się ludźmi, niezależnie od tego, jak długo będziemy na to czekali. Co ma myśleć małpa, która ma maszynę do pisania i całą wieczność, a mimo to nie może wystukać całego Szekspira? Gdybym usłyszał, jak Katie mówi, że to koniec, że między nami wszystko skończone, byłoby to sprzeczne z moim poczuciem możliwości. Jeślibym zobaczył ją pod Blair Arch, jak chroni się przed zimnem w ramionach Donalda Morgana, z mojej przyszłości znikłyby wszystkie perły i diamenty.

Wtedy to się zdarzyło: gdy moje użalanie się nad sobą było w pełnym rozkwicie, rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili poruszyła się klamka i do środka weszła Katie, tak jak setki razy przedtem. Zauważyłem, że pod kurtką ma mój ulubiony sweter – szmaragdowy, pasujący kolorem do jej oczu.

– Miałaś przecież śpiewać pod arkadą – to pierwsze słowa, które zdołałem wykrztusić. Ze wszystkich kombinacji wystukanych przez małpę ta pewnie były najgorsza.

– Ty też – odpowiedziała, taksując mnie od stóp do głów.

Wiedziałem, jakie musiałem zrobić wrażenie. Wilk, którego pokazał mi w lustrze Charlie, teraz spoglądał na nią.

– Dlaczego tu przyszliście? – spytałem, zerkając na drzwi.

– Przyszłam sama. – Katie zmusiła mnie, bym skupił się na niej.

– Przyszłam, żebyś mógł mnie przeprosić.

Przez chwilę myślałem, że namówił ją do tego Gil, wymyślił coś, naopowiadał, jak mi z tym źle i jak po prostu nie wiem, co powiedzieć. Gdy jednak spojrzałem na nią jeszcze raz, odgadłem, że nie o to chodzi. Katie wiedziała, że nie miałem zamiaru jej przeproszać.

– No więc?

– Uważasz, że to moja wina?

– Wszyscy tak uważają.

– Jacy wszyscy?

– Zrób to, Tom. Przeproś.

– Dobrze. Kocham cię. Chciałbym, żeby wszystko dobrze się ułożyło. Przykro mi, że tak się nie stało.

– Jeśli chciałbyś, żeby wszystko dobrze się ułożyło, to dlaczego nic nie zrobiłeś?

– Spójrz na mnie – odpowiedziałem. Czterodniowy zarost, kudły na głowie. – To właśnie zrobiłem.

- Zrobiłeś to dla książki.
- To jedno i to samo.
- Ja jestem jednym i tym samym co książka?
- Tak.

Katie spojrzała na mnie tak, jakbym już wykopał sobie grób. Wiedziała, co mam zamiar powiedzieć, ale nigdy tego nie zaakceptowała.

– Ojciec przez całe życie zajmował się *Hypnerotomachią* – powiedziałem. – Nigdy nie czuję się bardziej podniecony niż podczas pracy nad tą książką. Nie śpię z jej powodu, nie jem z jej powodu, śnię o niej. – Przerwałem i rozejrzałem się. Szukałem właściwych słów. – Nie wiem, jak inaczej mam to wyrazić. To tak jak spacer na pole bitwy, by zobaczyć twoje drzewo. Gdy jestem blisko książki, czuję, że wszystko jest na miejscu, nie jestem zagubiony. – Nie patrzyłem na Katie. – Czy zatem jesteś dla mnie tym samym, co książka? Oczywiście, że tak. Jesteś jedyną osobą lub rzeczą, która jest dla mnie tym samym co ta książka.

Popełniłem błąd. Myślałem, że mogę mieć je obie. Pomyliłem się.

- Dlaczego tu jestem, Tom?
- Żeby postawić kropkę nad i.
- To znaczy?
- Żeby skłonić mnie do przeprosz...
- Tom. – Katie zmusiła mnie spojrzeniem, bym przerwał. –
Dlaczego tu przyszedłem?

- Ponieważ czujesz to samo co ja.
- Tak.
- Ponieważ jest to zbyt ważne, by mnie zostawić.
- Tak.
- Czego chcesz?
- Chcę, żebyś przestał zajmować się tą książką.
- To wszystko?
- To wszystko? Teraz mówisz „to wszystko”?

Katie nagle przestała panować nad emocjami.

– Mam się nad tobą uzalać, bo zrezygnowałeś z nas, żeby zachowywać się jak bałwan i żyć w świecie tej książki? Ty dupku, przez cztery dni siedziałam w swoim pokoju za zaciągniętymi firankami i zamkniętymi drzwiami. Karen zadzwoniła do moich rodziców. Mama przyleciała tu z New Hampshire.

– Tak mi przykro...

– Zamknij się. Teraz moja kolej. Poszłam zobaczyć moje drzewo i nie mogłam. Nie mogłam, bo teraz to jest nasze drzewo. Nie mogę słuchać muzyki, bo wszystkie piosenki śpiewaliśmy razem w samochodzie, w moim pokoju lub tutaj. Potrzebuję godziny, by wygrzebać się rano na wykład, bo przez większość czasu jestem nieprzytomna. Nie mogę znaleźć skarpetek, nie mogę znaleźć ulubionego czarnego stanika. Donald wciąż pyta: „Skarbie, co się stało? Skarbie, co się stało?”. „Nic się nie stało”, odpowiadam. Katie wciągnęła dłonie w mankiety i zasłoniła oczy.

– Nie chciałem... – zacząłem znowu, ale jeszcze nie nadeszła moja kolej.

– W przypadku Petera przynajmniej to rozumiałam. Nie tworzyliśmy doskonałej pary. On lubił lacrosse bardziej niż mnie, wiedziałam o tym. Chciał pójść ze mną do łóżka, a potem stracił zainteresowanie. – Katie przeczesła palcami włosy, odgarniając kosmyki mokre od łez. – Ale ty? Walczyłam o ciebie. Czekałam miesiąc, nim pozwoliłam ci się pocałować. Po tym, jak się przespaliśmy, płakałam całą noc, bo bałam się, że cię stracę. – Przerwała, rozgniewana tym wspomnieniem. – Teraz tracę cię z powodu książki. Przegrywam z książką! Powiedz mi przynajmniej, że jest inaczej, niż myślę. Powiedz mi, że przez cały czas widywałeś się na boku z kimś innym. Powiedz mi, że to dlatego, że ona nie robi tych wszystkich głupot co ja, nie tańczy nago przed tobą jak jakaś idiotka, która myśli, że lubisz, jak śpiewa, i nie budzi cię codziennie o szóstej rano, by razem biegać, bo każdego ranka chce się upewnić, że wciąż jesteś. Powiedz coś.

Spojrzała na mnie. Wiedziałem, że wstydzi się tego wybuchu. Myślę tylko o jednym. Pewnej nocy, niedługo po wypadku, zarzuciłem matce, że nie kochała ojca. „Gdybyś go kochała, powiedziałem, wspierałabyś jego pracę”. Wyraz jej twarzy, którego nie potrafię opisać, powiedział mi wyraźnie, że to była najbardziej haniebna rzecz, jaką mogłem powiedzieć.

– Kocham cię – powiedziałem i zrobiłem krok w stronę Katie, by mogła ukryć twarz w mojej koszuli i przez chwilę być niewidzialna. – Tak mi przykro.

W tym momencie nastąpił zwrot. Moja śmiertelna choroba, miłość, którą, jak sądziłem, miałem w genach, przestała nade mną panować. Trójkąt zaczął się rozpadać. Jego miejsce zajęły dwa punkty, podwójny układ gwiazd w chwili największego zbliżenia.

Zapadła skomplikowana cisza, złożona ze wszystkiego, co Katie musiała powiedzieć, ale wiedziała, że nie powinna, oraz ze wszystkiego, co chciałem powiedzieć ja, ale nie wiedziałem jak.

– Powiem Paulowi, że nie będę już dłużej zajmował się *Hypnerotomachią*. – To było najprostsze i najbardziej prawdziwe stwierdzenie, jakie przyszło mi do głowy.

Zbawienie. Katie uświadomiła sobie, że nie zamierzam walczyć, że wreszcie zrozumiałem, co jest najlepsze dla mojego szczęścia. To wystarczyło, by zrobiła coś, czego się nie spodziewałem, coś, o czym sądziłem, że zostawi to na później, gdy już będzie miała pewność, że znów jestem z nią. Pocałowała mnie. Dotknięcie, niczym błyskawica, która przywróciła życie potworowi, było nowym początkiem.

Tego wieczoru nie widziałem się z Paulem. Cały czas spędziłem z Katie. Zawiadomiłem go o mojej decyzji następnego dnia w Dod. Nie wydawał się zdziwiony. Męczyłem się z Colonną tak bardzo, że łatwo było przewidzieć, iż skorzystam z pierwszej okazji, by rzucić ręcznik. Gil i Charlie przekonali go, że tak będzie najlepiej, i z jakiegoś powodu Paul nie miał mi tego za złe. Być może

przypuszczał, że jeszcze zmienię zdanie. Być może zaszedł już tak daleko, iż sądził, że sam zdoła rozwiązać wszystkie zagadki. Niezależnie od prawdziwych przyczyn, gdy wreszcie przedstawiłem mu moje rozumowanie – wnioski, jakie wyciągnąłem ze zdarzenia z Jenny Harlow i ze sztychu Carraccia – Paul się ze mną zgodził, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wyraz jego twarzy zdradzał wprawdzie, że wie o Carraccim więcej ode mnie, ale nie skorygował mojego rozumowania. Paul, który miał więcej niż inni powodów, by sądzić, że pewne interpretacje są lepsze od pozostałych i chodzi o znalezienie poprawnych, jak zwykle nie polemizował z moimi komentarzami. To było coś więcej niż okazanie szacunku; w ten sposób Paul okazywał mi przyjaźń.

– Lepiej jest kochać coś, co może się odwzajemnić – powiedział. To była jedyna rzecz, jaką musiał powiedzieć.

To, co zaczęło się jako rozprawa Paula, znów nabrało takiego charakteru. Początkowo wydawało się, że skończy ją sam. Czwarta zagadka, która mnie złamała, zajęła mu tylko trzy dni. Podejrzewam, że wpadł na ten pomysł już dawno, ale nic mi nie powiedział, bo nie chciałem słuchać jego rad. Odpowiedź kryła się w książce zatytułowanej *Hieroglify* niejakiego Horapolla, która ukazała się w renesansowych Włoszech w latach dwudziestych XV wieku i rzekomo zawierała rozwiązanie odwiecznego problemu egipskich hieroglifów. Horapollo, uważany przez humanistów za starożytnego egipskiego mędrca, w rzeczywistości był piętnastowiecznym

uczonym, który pisał po grecku i prawdopodobnie wiedział tyle o hieroglifach, ile Eskimosi o lecie. W niektórych symbolach w jego książce występują nawet zwierzęta nieznane w starożytnym Egipcie. Mimo to, gorączkowe pragnienie wiedzy i poznania tajemnic sprawiło, że Horapollo cieszył się wielką popularnością, przynajmniej w niewielkim kręgu tych, dla których popularność i znajomość martwych języków nie były rzeczami wzajemnie się wykluczającymi.

Nocna sowa, według Horapolla, jest symbolem śmierci, *ponieważ nocna sowa nagle spada na pisklęta wron, tak jak śmierć nagle dopada człowieka*. Orzeł z zakrzywionym dziobem, pisał, oznacza starca umierającego z głodu, *gdy bowiem orzeł się starzeje, jego dziób się zakrzywia i orzeł umiera z głodu*. Ślepy chrząszcz, to hieroglif oznaczający człowieka umierającego na udar słoneczny, *ponieważ oślepiiony słońcem chrząszcz umiera*. Rozumowanie Horapolla wydaje się dość tajemnicze, lecz Paul natychmiast uznał, że trafił na właściwe źródło, szybko zauważył, co te trzy zwierzęta mają ze sobą wspólnego: śmierć, czyli po łacinie *mors*. Biorąc to słowo za klucz, Paul odczytał czwartą część listu Colonna.

Ty, który dotarłeś tak daleko, przyłączysz się do filozofów z moich czasów, którzy w twych czasach są zapewne już tylko prochem, ale za mego życia byli gigantami ludzkości. Wkrótce podzielę się z tobą ciężarem tego, co pozostało, gdyż wiele jest do powiedzenia, a ja coraz bardziej się boję, że mój sekret zostanie zbyt łatwo ujawniony. Najpierw jednak, by okazać szacunek dla twoich

osiągnąć, opowiem początek mojej historii, abyś wiedział, że nie prowadzę cię tutaj po próżnicy.

W kraju moich braci żyje pewien kaznodzieja, który sprowadził wielką zarazę na miłośników wiedzy. Walczyliśmy z nim, używając wszelkich wpływów, jednak człowiek ten podjudził rodaków przeciw nam. Grzmi na placach i z kazalnicy, a plebs wszystkich krajów chwyta za broń, by zrobić nam krzywdę. Tak jak Bóg, kierując się zawiścią, zniszczył wieżę na równinie Szinear, którą ludzie wzniesli aż do nieba, tak on unosi swoją pięść przeciw nam, którzy usiłujemy zrobić to samo. Dawno temu miałem nadzieję, że ludzie pragną wybawienia od ignorancji, tak jak niewolnicy marzą o wyzwoleniu z więzów. Niewiedza bowiem to stan niepasujący do naszej godności, sprzeczny z naszą naturą. Teraz jednak przekonuję się, że rasa ludzka jest tchórzliwa, perwersyjna jak sowa z mojej zagadki, która mogłaby cieszyć się światłem słońca, lecz woli ciemności nocy. Nie usłyszysz więcej ode mnie, czytelniku, aż do zakończenia budowy mojej krypty. Bycie księciem takich ludzi jest jak bycie żebrakiem. Ta książka będzie moim jedynym dzieckiem; niech żyje długo i dobrze ci służy.

Paul nawet się nie zatrzymał, by zastanowić się nad odczytanym tekstem, lecz natychmiast przeszedł do piątej i ostatniej zagadki, którą znalazł, gdy ja męczyłem się nad czwartą: *Gdzie krew spotyka się z duchem?*

– To najstarszy problem filozoficzny w całej książce – powiedział mi, gdy krzątałem się po pokoju, przygotowując się do nocy z Katie.

– Mianowicie?

– Kontakt umysłu z ciałem, odrębność ciała i ducha, czyli tak zwany problem psychofizyczny. Rozważa go już Augustyn w *Przeciw Manichejczykom*. Jest również przedmiotem rozważań filozofów nowożytnych. Kartezjusz sądził, że siedzibą duszy jest szyszynka.

Paul dywagował, kartkując książkę z Firestone, podczas gdy ja się pakowałem.

– Co czytasz? – spytałem, zdejmując z półki *Raj utracony*, który chciałem zabrać.

– Galena.

– Kogo?

– Drugi ojciec zachodniej medycyny, po Hipokratesie.

Przypomniałem sobie. Charlie uczył się o Galenie podczas wykładu z historii nauki. Według renesansowych standardów, Galen należał jednak do zamierzchłej przeszłości: zmarł tysiąc trzysta lat przed opublikowaniem *Hypnerotomachii*.

– Po co?

– Myślę, że ta zagadka dotyczy anatomii. Francesco na pewno wierzył, że istnieje jakiś organ w ciele, w którym krew łączy się z duszą.

W drzwiach pojawił się Charlie z niedojedzonym jabłkiem w ręku.

– O czym mówicie, amatorzy? – zapytał. Widocznie usłyszał, że rozmawiamy o kwestiach medycznych.

– Organ, taki jak ten – kontynuował Paul, nie zwracając na niego uwagi. – *Rete mirabile*. – Paul wskazał na rysunek w książce. – Siatka nerwów i naczyń krwionośnych u podstawy mózgu. Galen sądził, że to tutaj następuje przemiana duchów witalnych w zwierzęce.

– Dlaczego ci to nie pasuje? – spytałem, spoglądając na zegarek.

– Nie wiem. Nie sprawdza się jako klucz.

– To dlatego, że nie istnieje w ludzkim organizmie – wtrącił Charlie.

– Co takiego?

Charlie przełknął ostatni kawałek jabłka.

– Galen robił sekcje zwierząt, a nie ludzi. *Rete mirabile* to coś, co znalazł u wołów lub owiec.

Paulowi zrzędła mina.

– Spieprzył również anatomię serca – dodał Charlie.

– Chcesz powiedzieć, że *septum* nie istnieje? – spytał Paul, jakby wiedział, co Charlie miał na myśli.

– Istnieje. Nie ma tylko żadnych porów.

– Co to jest *septum*? – zainteresowałem się.

– Ściana z tkanki dzieląca serce na dwie połowy – wyjaśnił Charlie. Wziął książkę z rąk Paula i otworzył ją na rysunku przedstawiającym układ krwionośny. – Galen się pomylił. Twierdził, że w *septum* istnieją małe otwory, przez które krew przepływa z jednej komory do drugiej.

– A nie ma? – zdziwiłem się.

– Nie – prychnął Paul. Najwyraźniej zajmował się tym znacznie dłużej, niż sądziłem. – Mondino popełnił ten sam błąd. Wyjaśnili to Vesalius i Servet, ale dopiero w połowie szesnastego wieku Leonardo twierdził to samo co Galen. Harvey opisał układ krwionośny dopiero na początku siedemnastego stulecia. Zagadka pochodzi z drugiej połowy piętnastego wieku, Charlie. To musi być *rete mirabile* albo *septum*. Nikt wtedy nie wiedział, że powietrze miesza się z krwią w płucach.

– Nikt na Zachodzie – zachichotał Charlie. – Arabowie odkryli to dwieście lat wcześniej, nim ten twój facet napisał swoją książkę.

Paul zaczął grzebać w papierach. Uznałem, że sprawa została rozstrzygnięta, i odwróciłem się do drzwi.

– Muszę iść. Do zobaczenia później.

Już byłem w przedpokoju, gdy Paul wyciągnął kartkę z przekładem trzeciej części listu Colonna.

– Ten arabski uczyony, który to odkrył – powiedział – czy to Ibn al-Nafis?

– Tak – potwierdził Charlie.

– Francesco na pewno dowiedział się tego od Andrei Alpago! – wykrzyknął Paul, najwyraźniej podniecony.

– Od kogo?

– Od człowieka, którego wymienia w liście. *Uczeń czcigodnego Ibn al-Nafisa*. – Nim Charlie i ja zdążyliśmy coś powiedzieć, Paul zaczął mówić do siebie. – Jak są płuca po łacinie? *Pulmo*?

Zrobiłem krok do drzwi.

– Nie poczekasz, żeby poznać kolejną część wiadomości? –
zdziwił się Paul.

– Mam być u Katie za dziesięć minut.

– To zajmie tylko kwadrans. Może pół godziny.

Myślę, że dopiero w tym momencie Paul uświadomił sobie, jak
bardzo wszystko się zmieniło.

– Spotkamy się rano – powiedziałem.

Charlie uśmiechnął się i życzył mi powodzenia.

Dla Paula była to przełomowa noc. Zdał sobie sprawę, że stracił
mnie na dobre. Wyczuł również, że niezależnie od treści ostatniej
części listu Colony z pewnością nie zawiera ona jego głównego
sekretu, skoro w pierwszych czterech ujawnił tak niewiele. Druga
połowa *Hypnerotomachii*, którą uważaliśmy za uzupełnienie, musiała
zawierać dalszy ciąg zaszyfrowanej wiadomości. Jeśli medyczne
wskazówki Charliego i rozwiązanie piątej zagadki sprawiły Paulowi
satysfakcję, szybko o tym zapomniał, gdy odczytał ostatnią część listu
i przekonał się, że miał rację.

*Lękam się o ciebie, czytelniku, tak jak lękam się o siebie. Jak
zapewne zauważyłeś, gdy zaczynałem pisać ten tekst, początkowo
miałem zamiar ujawnić, o co mi chodzi, choć ukryłem tajemnicę
w szyfrach. Chciałem, byś znalazł to, czego szukasz, i byłem twym
przewodnikiem.*

Teraz jednak przekonałem się, że nie mam dostatecznej wiary w swe pomysły, by ciągnąć to dalej. Zapewne nie potrafię ocenić, jak trudne są przedstawione tu zagadki, nawet jeśli ich twórcy zapewniają mnie, że może je rozwiązać tylko prawdziwy filozof. Zapewne mądrzy ludzie również zazdroszczą mi sekretu i wprowadzili mnie w błąd, by wykraść to, co na mocy prawa nam się należy. Ten kaznodzieja jest bardzo chytry i ma ludzi w każdym obozie. Obawiam się, że teraz skieruje swych żołnierzy przeciw mnie.

To również w twojej obronie, czytelniku, postanowiłem obrać nowy kurs. Przyzwyczałeś się już do zagadek ukrytych w mych rozdziałach, lecz teraz już ich nie znajdziesz, a rozwiązania nie wskażą ci drogi. Do końca wędrówki Polifila będę posługiwał się tylko moją Regułą Czterech, ale nie wyjaśnię ci jej istoty. Od tej chwili twym jedynym przewodnikiem będzie twa inteligencja. Niech Bóg i geniusz kierują twymi krokami, przyjacielu.

Myślę, że tylko z powodu wielkiej pewności Paul dopiero po wielu dniach poczuł się porzucony. Ja go porzuciłem, Colonna zostawił go samego, teraz musiał nawigować samodzielnie. Początkowo próbował znów wciągnąć mnie do pracy. Osiągnęliśmy razem tak dużo, że Paulowi wydawało się, iż byłoby egoizmem z jego strony pozwolić, abym się wycofał w ostatniej chwili przed ostatecznym triumfem. Byliśmy już tak blisko, już tak niewiele pozostawało do zrobienia.

Minął tydzień, później następny. Zacząłem z Katie od początku, uczyłem się jej ponownie, kochałem tylko ją. W czasie naszej kilkutygodniowej rozłąki zdarzyło się tak wiele, że musiałem to nadrobić. Jadaliśmy na zmianę w Cloister i w Ivy. Katie miała nowych znajomych, nabraliśmy nowych nawyków. Zacząłem interesować się jej sprawami rodzinnymi. Wyczuwałem, że od kiedy odzyskałem jej zaufanie, chciała mi mówić o różnych rzeczach.

Wszystko, czego nauczył się Paul o zagadkach Colony, teraz go zawodziło. Niczym organizm ulegający rozkładowi, *Hypnerotomachia* okazywała się odporna na przeróżne sprawdzone medykamenty. Reguła czterech była tajemnicą, Colonna w żaden sposób nie wskazała na jej pochodzenie i istotę. Charlie, bohater piątej zagadki, towarzyszył niekiedy Paulowi w nocnej pracy, lękając się skutków mojego odejścia. Nigdy nie prosił mnie o pomoc, bo wiedział, co się ze mną działo pod wpływem tej książki, lecz czuwał nad Paulem jak lekarz, który ma wrażenie, że stan pacjenta wciąż się pogarsza. Zapadały ciemności, trudny moment dla wszystkich miłośników książek, i Paul nie mógł nic na to poradzić. Cierpiał bez mojej pomocy aż do świąt wielkanocnych.

Rozdział 19

Wracając do Dod, przeglądam fotografie Katie z Princeton Battlefield. Na wszystkich uchwyciłem ją w ruchu, jak biegnie do mnie, z rozwianymi włosami, z otwartymi ustami, wyrażającymi doświadczenia, będące poza zakresem możliwości aparatu. Fotografie te są dla mnie źródłem radości również dlatego, że mogę wyobrażać sobie jej głos. Za dwanaście godzin znowu zobaczę ją w Ivy – pójdziemy razem na bal, na który czekała niemal od chwili naszego spotkania. Wiem, czego się po mnie spodziewa: mam powiedzieć, że podjąłem decyzję, której będę się trzymał, zapewnić ją, że czegoś się nauczyłem. *Że już nie wrócę do Hypnerotomachii.*

W pokoju, wbrew moim oczekiwaniom, nie ma Paula. Nie siedzi przy biurku, jego łóżko jest puste, a książki znikły z komody. Na drzwiach wisi notatka, napisana dużymi, czerwonymi literami:

Tom,

Gdzie jesteś? Wróciłem po ciebie. Wiem już, co znaczy 4S-10E-2N-6W! Idę do Firestone po atlas topograficzny, a później do McCosh. Vincent mówi, że ma plan. 10.15.

P.

Czytam wiadomość jeszcze raz, usiłując złożyć w całość wszystkie elementy. Pokój Tafta w kampusie znajduje się w suterenie McCosh Hall. Jednak ostatnie zdanie sprawia, że cierpie mi skóra.

Vincent mówi, że ma plan. Chwytam za słuchawkę i dzwonię na pogotowie ratunkowe. Na szczęście to Charlie natychmiast odbiera telefon.

– Co się stało, Tom?

– Paul poszedł zobaczyć się z Taftem.

– Co takiego? Myślałem, że miał rozmawiać z dziekanem o Steinie.

– Musimy go znaleźć. Czy ktoś może cię zastąpić...

Nim skończyłem zdanie, w słuchawce rozlegają się jakieś niewyraźne dźwięki. Słyszę, jak Charlie z kimś rozmawia.

– Kiedy Paul wyszedł? – pyta Charlie, wracając do rozmowy.

– Dziesięć minut temu.

– Już biegnę. Dogonimy go.

Sportowy volkswagen karman ghia z 1973 roku Charliego podjeżdża pod wejście do Dod dopiero po ponad piętnastu minutach. Stary samochód wygląda jak metalowa ropucha, która zastygła w skoku. Nim wsiadłem, Charlie już wrzucił wsteczny bieg.

– Dlaczego tak długo cię nie było? – pytam.

– Gdy wychodziłem, na pogotowiu pojawiła się dziennikarka – wyjaśnia Charlie. – Chciała rozmawiać ze mną o ostatniej nocy.

– No i co z tego?

– Na policji ktoś jej powiedział, co zeznał Taft. – Wjeżdżamy na Elm Drive. Nierówna warstwa błota i śniegu powoduje, że jezdnia jest

pofalowana jak ocean. – Jeśli dobrze Pamiętam, mówiłeś mi, że Taft znał Richarda Curry’ego od bardzo dawna.

Tak. Dlaczego pytasz?

– On powiedział gliniarzom, że poznał go dopiero za pośrednictwem Paula.

Jesteśmy już w północnej części kampusu. Dostrzegam Paula na dziedzińcu między biblioteką i wydziałem historii. Idzie w kierunku McCosh.

– Paul! – krzyczę przez okno.

– Co ty wyprawiasz?! – warczy na niego Charlie i parkuje przy krawężniku.

– Znam rozwiązanie! – mówi Paul, zaskoczony naszym nagłym pojawieniem się. – Wiem już wszystko. Potrzebuję tylko planu. Tom, nie uwierzysz. To najbardziej zdumiewające...

– Mów.

Jednak Charlie nie ma zamiaru tego słuchać.

– Nie pójdziesz do Tafta – mówi.

– Nie rozumiesz. Rozwiązałem...

Charlie naciska klakson, którego wycie wypełnia dziedziniec.

– Słuchaj, co mówię – przerywa Paulowi. – Wskakuj do samochodu. Jedziemy do domu.

– On ma rację – wtrącam. – Nie powinieneś iść tam sam.

– Idę spotkać się z Vincentem – spokojnie oznajmia Paul i rusza w stronę McCosh. – Wiem, co robię.

Charlie jedzie do tyłu, trzymając się obok niego.

– Myślisz, że on po prostu da ci to, czego potrzebujesz?

– Sam do mnie zadzwonił. Powiedział, że da mi plan.

– Przyznał, że ukradł go Curry’emu? – pytam. – Dlaczego miałby teraz dawać ci plan?

– Paul, on ci niczego nie da. – Charlie mówi to w taki sposób, że Paul się zatrzymuje.

Charlie ścisza głos i relacjonuje, czego dowiedział się od dziennikarki:

– Gdy wczoraj wieczorem policja spytała Tafta, kto jego zdaniem mógłby chcieć zamordować Steina, Taft powiedział, że przychodzą mu do głowy tylko dwie osoby.

Z twarzy Paula stopniowo znika wyraz podniecenia wywołanego odkryciem.

– Pierwsza to Curry – ciągnie Charlie. – Druga to ty. – Urywa dla większego efektu. – Nic mnie nie obchodzi, co ten człowiek powiedział ci przez telefon. Musisz trzymać się od niego z daleka.

Obok nas przejeżdża stara, biała furgonetka, miażdżąc kołami śnieg.

– Więc pomóżcie mi – prosi Paul.

– Pomożemy – odpowiada Charlie i otwiera drzwiczki. – Zawieziemy cię do domu.

Paul mocniej otula się płaszczem.

– Nie, pomóżcie mi, idąc ze mną. Gdy dostanę plan, nie będę już potrzebował Vincenta.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówimy? – irytuje się Charlie.

Są jednak sprawy, których Charlie nie rozumie. Nie wie, jakie znaczenie ma fakt, że Taft przez cały czas ukrywał plan.

– Charlie, tak niewiele mi brakuje do zdobycia planu – mówi Paul. – Teraz wystarczy, żebym bronił swoich odkryć. A ty chcesz, żebym poszedł do domu?

– Słuchaj – zaczyna Charlie – twierdzą tylko, że musimy...

– Paul, pójdziemy z tobą – przerywam mu.

– Co takiego? – nie może uwierzyć Charlie.

– Chodź – mówię, otwierając drzwiczki.

Paul się tego nie spodziewał.

– Jeśli on i tak idzie, z nami lub sam – mówię do Charliego, pochylając się do środka samochodu – to ja idę z nim.

Paul zaczyna iść w stronę McCosh. Charlie zastanawia się przez chwilę nad sytuacją.

– Jeśli będziemy we trzech, Taft nie będzie mógł nic zrobić – mówię. – Sam wiesz...

Charlie robi wydech. W powietrzu unosi się chmura pary. Wreszcie parkuje w śniegu i wyciąga kluczyki ze stacyjki.

Droga do biura Tafta ciągnie się w nieskończoność. Brniemy przez śnieg wzdłuż szarego budynku. Jego gabinet znajduje się w suterenie, gdzie korytarze i schody są tak wąskie, że musimy iść gęsiego. Trudno pojąć, jak Vincent Taft może tu oddychać, a co

dopiero się poruszać. Nawet ja mam wrażenie, że jestem za duży na to miejsce. Charlie na pewno czuje się jak w pułapce.

Oglądam się, by upewnić się, że idzie z nami. Charlie wypełnia cały korytarz. Jego widok i świadomość, że chroni nasze tyły, dają mi dostateczną pewność, by posuwać się naprzód. Uświadamiam sobie coś, czego dotychczas nie chciałem przyznać: gdyby nie jego obecność, nie zdobyłbym się na to przedsięwzięcie.

Paul prowadzi nas na koniec korytarza. Z powodu weekendu i świąt wszystkie inne pokoje są pozamykane, tylko pod białymi drzwiami z tabliczką z nazwiskiem Tafta lśni smuga światła. Z drzwi obłazi farba, na brzegach zwija się w ruloniki. Na dole widać jaśniejszy pas, to ślad po powodzi, gdy z tuneli pod budynkiem wypłynęła woda. Plama nie została zamalowana od przyjazdu Tafta, wieki temu.

Paul już ma zapukać, ale zza drzwi dobiega nas głos.

– Spóźniłeś się – warczy Taft.

Paul naciska klamkę. Słysząc pisk metalu. Czuję, jak Charlie opiera się o moje plecy.

– Dalej – szepcze mi do ucha i popycha naprzód.

Taft siedzi samotnie przy wielkim, starym biurku, rozciągnięty na skórzanym fotelu. Tweedową marynarkę zarzucił na oparcie fotela i podwinął rękawy, odsłaniając przedramiona. Robi korektę jakiegoś rękopisu. Czerwony ołówek niemal niknie w jego potężnej dłoni.

– Po co oni tu przyszli? – pyta.

– Niech mi pan da plan – mówi Paul, przechodząc natychmiast do rzeczy.

Taft patrzy na Charliego, później na mnie.

– Siadajcie. – Wskazuje grubymi palcami dwa krzesła.

Rozglądam się, usiłując go ignorować. Wzdłuż wszystkich ścian niewielkiego pokoju stoją półki z książkami. Tu i ówdzie na grubej warstwie kurzu widać ślady po wyciąganiu książek. Na wykładzinie odznacza się wydeptana ścieżka od drzwi do biurka.

– Siadajcie – powtarza Taft z naciskiem.

Paul już ma odmówić, lecz Charlie popycha go w stronę krzesła, bo chce jak najszybciej z tym skończyć. Taft zgniata w rękę chusteczkę i wyciera usta.

– Tom Sullivan – mówi, jakby dostrzegł moje podobieństwo do ojca.

Kiwam głową, ale nic nie mówię. Na ścianie za biurkiem wiszą stare, otwarte dyby. Jedyne ślady koloru w tym pomieszczeniu to czerwone okładki książek i złocone brzegi stron.

– Niech pan mu da spokój – mówi Paul, pochylając się do przodu.

– Gdzie jest plan?

Jestem zaskoczony siłą jego głosu.

Taft cmoka i unosi do ust filiżankę z herbatą. Jego oczy mają nieprzyjemny wyraz, jakby oczekiwał, że ktoś z nas rozpocznie starcie. Wreszcie wstaje z fotela, podciąga rękawy koszuli i człapie ku ścianie, gdzie wmurowany jest sejf. Wykręca kombinację włochatą

ręką, naciska dźwignię i otwiera sejf, po czym wyciąga notatnik oprawiony w skórę.

– To plan? – pyta cicho Paul.

Taft otwiera notatnik i podaje mu kartkę. To tylko list napisany na papierze firmowym instytutu, sprzed dwóch tygodni.

– Chcę, żebyś wiedział, jak się sprawy mają – mówi. – Przeczytaj to.

Gdy widzę reakcję Paula, pochylam się nad jego ramieniem – też czytam.

Szanowny Panie Dziekanie,

W związku z naszą rozmową z 12 marca, dotyczącą Paula Harrisa, niniejszym dostarczam dodatkowe informacje, jakich pan zażądał. Jak panu wiadomo, pan Harris kilkakrotnie prosił o przedłużenie terminu złożenia rozprawy i nie chciał ujawnić jej treści. Dopiero, gdy na moje żądanie tydzień temu przedstawił końcowe sprawozdanie z postępu pracy, stało się dla mnie jasne, dlaczego się tak zachowywał. Dołączam do listu ostateczną wersję mojego artykułu Tajemnica rozwikłana: Francesco Colonna i Hypnerotomachia Poliphili, który ma się ukazać w jesiennym numerze „Renaissance Quaterly”, a także kopię sprawozdania pana Harrisa w celu porównania. Proszę się ze mną skontaktować, gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania.

Szczerze oddany,

dr Vincent Taft

Zaniemówiliśmy.

– Pracowałem nad tym przez trzydzieści lat – mówi potwór, zwracając się do mnie i Charliego. Jego głos jest dziwnie spokojny. – Teraz na ostatecznej pracy nie ma nawet mojego nazwiska. Nigdy nie byłeś mi wdzięczny, Paul, nawet wtedy, gdy poznałem cię ze Stevenem Gelbmanem i załatwiłem dostęp do Sali Rzadkich Ksiąg. Nie czułeś wdzięczności, gdy załatwiłem kilkakrotne przełożenie terminu zakończenia twojej niewydajnej pracy. Nigdy.

Paul jest zbyt zdumiony, by odpowiedzieć.

– Nie pozwolę, żebyś mi to odebrał – ciągnie Taft. – Czekałem na to zbyt długo.

– Dziekan ma moje wcześniejsze sprawozdania – wykrztusza wreszcie Paul. – Ma też dokumenty Steina.

– Do dziekana nie dotarło żadne twoje wcześniejsze sprawozdanie – mówi Taft, otwierając szufladę i wyciągając z niej plik formularzy. – Z pewnością nie ma też w dziekanacie żadnych dokumentów Steina.

– Wszyscy będą wiedzieli, że to nie pana praca. Od dwudziestu pięciu lat nie opublikował pan niczego o Francescu. Nawet nie zajmuje się pan już *Hypnerotomachią*.

– Redakcja „Renaissance Quaterly” widziała trzy wstępne wersje mojego artykułu – odpowiada Taft, gładząc się po brodzie. – Po wczorajszym wykładzie kilka osób zadzwoniło, żeby mi pogratulować.

Przypominam sobie daty na listach Steina. Taft już dawno to wymyślił. Przez szereg miesięcy Stein i Taft rywalizowali, kto pierwszy ukradnie pracę Paula.

– Ale on ma jeszcze swoje końcowe wnioski – mówię, gdy Paulowi nie przychodzi to do głowy. – Nikomu o nich nie powiedział.

Taft, zamiast się zezłościć, wydaje się rozbawiony.

– Końcowe wnioski? Tak szybko, Paul? Czemu zawdzięczasz ten nagły sukces?

Taft widać wie o dzienniku.

– To pan podsunął Billowi dziennik – mówi Paul.

– Wciąż pan nie wie, co Paul odkrył – powtarzam.

– Jesteś równie szalony jak twój ojciec – mówi Taft, odwracając się do mnie. – Jeśli jakiś chłopak potrafi odgadnąć znaczenie dziennika, to sądzisz, że ja tego nie dokonam?

Paul jest oszołomiony, jego wzrok błądzi po pokoju.

– Ojciec uważał pana za durnia – mówię.

– Twój ojciec zmarł, czekając, aż muzy szepną mu do ucha rozwiązanie – zakpił Taft. – Nauka polega na ścisłości, a nie na natchnieniu. Nigdy mnie nie słuchał i spotkała go za to kara.

– Miał rację w sprawie *Hypnerotomachii*. To pan się mylił.

– Wiem, co on zrobił, chłopcze. – Taft spojrzał na mnie z nienawiścią. – Nie masz z czego być dumny.

Zerkam na Paula, ponieważ nie rozumiem, o co Taftowi chodzi, lecz on zrobił właśnie kilka kroków w kierunku półek z książkami.

– Czy można go winić? – ciągnie Taft, pochylając się do przodu.
– Bez sukcesów, izolowany w środowisku. Krytyczne przyjęcie jego książki było tylko *coup de grace*.

Odwracam się jak rażony gromem.

– Na dodatek zrobił to, gdy jechał z własnym synem – dokończył Taft. – Cóż za brzemienna decyzja.

– To był wypadek – mówię.

Taft uśmiecha się jadowicie, pokazując wszystkie zęby. Robię krok w jego stronę. Charlie kładzie mi rękę na piersiach, ale odtrącam ją. Taft powoli wstaje z fotela.

– To przez pana! – Nie zdaję sobie sprawy, że krzyczę.

Charlie znowu próbuje mnie powstrzymać. Odpycham go i podchodzę tak blisko, że blat biurka wcina się w bliznę na moim udzie.

Taft okrąża róg biurka. Teraz jest w moim zasięgu.

– On cię prowokuje, Tom – ostrzega mnie Paul z drugiego końca pokoju.

– Twój ojciec sam się tak urządził – mówi Taft.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, nim popchnąłem go z całej siły, to uśmiech na jego twarzy. Taft przewraca się, jego własny ciężar przygniata go do podłogi. Czuję, jak trzęsą się deski parkietu. Wszystko ogarnia chaos, słyszę jakieś głosy, czuję, jak Charlie odciąga mnie od Tafta.

– Chodź – mówi.

Próbuję się uwolnić, ale Charlie jest silniejszy.

– Chodźmy! – krzyczy do Paula, który wciąż wpatruje się w leżącego na podłodze Tafta.

Za późno. Taft z trudem wstaje i zaczyna się do mnie zbliżać.

– Trzymaj się od niego z daleka – ostrzega Charlie i wyciąga rękę, by go powstrzymać.

Taft patrzy na mnie z wściekłością, lecz staje. Paul rozgląda się po pokoju, nie zwracając na nas uwagi, jakby czegoś szukał. W końcu Taft przytomnieje i sięga po telefon.

– Spadamy stąd – mówi Charlie. Teraz wydaje się przestraszony.
– I to już.

Taft naciska trzy guziki. Charlie dobrze zna ten numer.

– Policja? – mówi Taft, patrząc na mnie. – Proszę natychmiast przyjechać. Zostałem napadnięty we własnym gabinecie.

Charlie wypycha mnie za drzwi.

– Rusz się! – poganiam mnie.

W tym momencie Paul rzuca się do otwartego sejfu i wyciąga wszystkie papiery, jakie tam jeszcze zostały. Później zrzuca książki z półek, przewraca wszystko, co znajduje się w jego zasięgu. W końcu chwyta gruby plik dokumentów Tafta i wybiega na korytarz, nie patrząc nawet na Charliego i mnie.

Biegniemy za nim. Słyszę jeszcze, jak Taft podaje policji nasze nazwiska. Jego głos słychać w całym korytarzu.

Biegniemy korytarzem w kierunku klatki schodowej, ale nagle czujemy powiew zimnego powietrza. Dwaj policjanci już są na parterze, przy schodach.

– Stój! – krzyczy jeden z nich w głąb wąskiej klatki schodowej.
Zatrzymujemy się.

– Policja! Nie ruszać się!

Paul spogląda nad moim ramieniem w kierunku końca korytarza. Zaciska palce na papierach.

– Rób, co kazali! – upomina go Charlie.

Wiem już, o czym myśli Paul. W końcu korytarza znajduje się pokój woźnego, gdzie jest wejście do tunelu.

– Tam jest niebezpiecznie – szepcze Charlie i próbuje powstrzymać Paula. – Robią remont instalacji grzewczej...

Policjanci uznają ruch za próbę ucieczki. Jeden szybko zbiega po schodach. W tym momencie Paul rzuca się do drzwi.

– Stój! – krzyczy policjant. – Nie wchodź tam!

Jednak Paul jest już przy wejściu. Podnosi drewnianą klapę i znika w środku.

Charlie nie waha się ani chwili. Nim dwaj gliniarze decydują, Co robić, on wyprzedza ich o dwa kroki i biegnie do drzwi, słyszę głuchy huk, gdy Charlie ląduje na dnie tunelu, żeby zatrzymać Paula. Z tunelu dochodzi głośny krzyk, to Charlie wykrzykuje jego imię.

– Wychodź! – ryczy policjant, jednocześnie popychając mnie do przodu.

Drugi policjant pochyła się nad otworem i znowu wola, ale nikt nie odpowiada.

– Zawiadam... – zaczyna mówić do kolegi, jednak w tym momencie rozlega się huk wybuchu i świst pary. Natychmiast odgaduję, co się stało: pękła rura. Słyszę krzyk Charliego.

Po sekundzie wpadam do pokoju woźnego. Otwór tunelu jest zupełnie ciemny. Skaczę na oślep do środka. Gdy uderzam o ziemię, poziom adrenaliny gwałtownie wzrasta i ból znika, nim się rozprzestrzenił. Zmuszam się do wstania. Słyszę jęki Charliego i idę w tym kierunku, choć policjant nadal wydziera się na górze. Jeden z nich w końcu oprzytomniał.

– Dzwonimy po pogotowie! – krzyknął w głąb tunelu. – Słyszycie mnie?

Brnę przez gęstą parę. Temperatura wzrasta, ale myślę tylko o Charliem. Gwizd pary co chwila zagłusza wszystkie inne odgłosy.

Teraz słyszę wyraźniej jęki Charliego. Staram się dojść do niego. Wreszcie znajduję go w miejscu, gdzie rury skręcają. Leży skulony, bez ruchu. Ma poszarpane ubranie, włosy przyklejone do czaszki. Dostrzegam również wielką dziurę w rurze przy ziemi.

– Umm – jęczy Charlie.

Nie rozumiem, co chce powiedzieć.

– Umm...

Orientuję się, że próbuje wymówić moje imię. Ma mokrą klatkę piersiową. Struga pary uderzyła go prosto w brzuch.

– Możesz wstać? – pytam, usiłując go podeprzeć.

– Umm... – mamrocze i traci przytomność. Zaciskam zęby i staram się go podnieść, ale równie dobrze mógłbym próbować udźwignąć górę.

– Chodź, Charlie – błagam. Udaje mi się nieco go podnieść. – Nie mdlej mi tu.

Wyczuwam jednak, że Charlie coraz bardziej odpływa. Jego ciało staje się coraz cięższe.

– Pomocy! – wrzeszczę. – Proszę mi pomóc! Ciśnienie pary podarło Charliemu koszulę. Jest cały mokry. Z trudem słyszę jego oddech.

– Mmm... – coś bełkocze i próbuje chwycić moją rękę.

Biorę go za ramiona i potrząsam. Wreszcie słyszę zbliżające się kroki. Wiązka światła przecina mgłę. Podbiegają do mnie dwaj sanitariusze. Po chwili są tak blisko, że rozpoznaję ich twarze.

– Jezu! – jęczy jeden z nich, gdy światło latarek pada wreszcie na ciało Charliego.

– Jesteś ranny? – Drugi zwraca się do mnie i maca moją klatkę piersiową.

Patrzę na niego zdziwiony, nie rozumiejąc jego zachowania. Spoglądam na krąg światła na moim brzuchu i już rozumiem. Charlie nie był oblany wodą, tylko mokry od krwi. Jestem usmarowany jego krwią.

Dwaj sanitariusze zajmują się Charliem. Próbują go podnieść. Pojawia się trzeci i chce mnie podeprzeć, ale go odpycham. Staram się

być przy Charliem, czuję jednak, że jestem bliski zemdlenia. W ciemnościach i gorącej mgle tracę kontakt z rzeczywistością. Ktoś prowadzi mnie do wyjścia z tunelu. Na zewnątrz czeka już czterech policjantów, którzy przyglądają się, jak sanitariusze wyciągają nas na górę.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to wyraz twarzy policjanta, przyglądającego się, jak wyłaniam się z ciemności, obryzgany krwią od głowy do końców palców. Patrzy z ulgą, jak wygrzebuję się z tunelu. Po chwili jego twarz tężeje, z oczu znika wyraz ulgi, bo stwierdza, że krew nie jest moja.

Rozdział 20

Odzyskuję przytomność na łóżku w Centrum Medycznym Princeton kilka godzin po wypadku. Paul siedzi obok mnie. Wyraźnie cieszy się, że odzyskałem przytomność. Na korytarzu, przy drzwiach mojego pokoju, stoi policjant. Ktoś przebrał mnie we fizelinową koszulę, która skrzypi jak pielucha, gdy siadam na łóżku. Pod paznokciami mam krew, co pamiętam z poprzedniego pobytu w szpitalu. Czuję zapach szpitala, zmieszany z wonią środków dezynfekujących. To odór medycyny.

– Tom? – odzywa się Paul.

Próbuję się podeprzeć, żeby odwrócić się do niego twarzą, ale czuję ostry ból w ramieniu.

– Ostrożnie – mówi, pochylając się nad łóżkiem. – Lekarz twierdzi, że masz obrażenia ramienia.

Oprzytomniałem na tyle, że czuję już wyraźny ból pod bandażem.

– Co się stało z tobą w tym tunelu?

– To była głupota. Zareagowałem instynktownie. Po wybuchu rury nie mogłem cofnąć się do Charliego, bo cała para leciała w moim kierunku. Wszedłem najbliższym otworem i policja przywiozła mnie tutaj.

– Gdzie jest Charlie?

– Na oddziale intensywnej opieki. Nikomu nie pozwalają go zobaczyć – odpowiada Paul bezbarwnym głosem. Przeciera oczy

i wygląda na korytarz. Jakaś staruszka przejeżdża na fotelu na kółkach; jest tak drobna, że sprawia wrażenie dziecka w gokarcie. Gliniarz patrzy na nią bez śladu uśmiechu. Na środku korytarza stoi żółta tablica z napisem: „Uwaga, mokra posadzka!”.

– Co z nim? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada Paul, wciąż wpatrując się w drzwi. – Will powiedział, że znaleźli go tuż obok pękniętej rury.

– Will?

– Will Clay, kumpel Charliego. – Paul kładzie dłoń na poręczy łóżka. – To on cię wyciągnął.

Usiłuję sobie przypomnieć, co działo się w tunelu, ale widzę tylko ciemne sylwetki, oświetlone na brzegach światłem latarek.

– Will zastąpił Charliego, gdy poszliście mnie szukać.

W głosie Paula słychać przygnębienie. Najwyraźniej uważa, że to wszystko przez niego.

– Chcesz, żebym zadzwonił do Katie i powiedział jej, że tu jesteś? – pyta.

– Zadzwonię do niej później – odpowiadam, kręcąc głową. Chcę najpierw oprzytomnieć i zorientować się w sytuacji.

Staruszka znowu przejeżdża korytarzem. Tym razem dostrzegam, że ma gips od kolana w dół, potargane włosy i spodnie podwinięte do kolana, ale w jej oczach widać pogodny błysk. Patrzy na policjanta z wyzywającym uśmiechem, jakby złamała prawo, a nie nogę. Charlie powiedział mi kiedyś, że starzy ludzie cieszą się niekiedy z drobnych ran lub chorób. Przegrywają małą bitwę, ale mają

poczucie, że wciąż mają przewagę w wojnie. Nagle boleśnie odczuwam nieobecność Charliego, Pustkę, gdy spodziewam się usłyszeć jego głos.

– Na pewno stracił dużo krwi – mówię.

Paul wbija wzrok w swoje ręce. Słyszę jakiś szelest po drugiej stronie parawanu oddzielającego moje łóżko od następnego. W tym momencie do pokoju wchodzi lekarka. Policjant przy drzwiach dotyka lekko jej łokcia. Lekarka zatrzymuje się i wymienia z nim kilka słów. Rozmawiają tak cicho, że niczego nie słyszę.

– Thomas? – mówi, marszcząc brwi i podchodząc do mojego łóżka. Trzyma w ręku podkładkę do pisania.

– Tak?

– Doktor Jansen – przedstawia się. Podchodzi z drugiej strony, żeby zbadać moją rękę. – Jak się czujesz?

– W porządku. Co z Charliem?

Lekarka naciska lekko moje ramię. Krzywię się z bólu.

– Nie wiem – odpowiada. – Od razu trafił na intensywną opiekę.

Wystarczyło imię, by wiedziała o kogo pytam. Nie myślę jeszcze dostatecznie jasno, by zrozumieć, jakie ma to znaczenie.

– Nic mu nie będzie?

– Za wcześnie, żeby to wiedzieć – mówi, nie podnosząc głowy.

– Kiedy będziemy mogli go zobaczyć? – pyta Paul.

– Spokojnie, nie wszystko naraz – odpowiada doktor Jansen. Pomaga mi usiąść. – Czy tutaj boli? – pyta, naciskając na plecy.

– Nie.

– A tutaj? – Tym razem maca moje obojczyki.

– Też nie.

Systematycznie bada całe plecy, ramiona, łokcie, nadgarstki i głowę. Później wypróbował jeszcze swój stetoskop i wreszcie kończy. Doktorzy są jak hazardziści, ciągle szukają właściwych kombinacji. Pacjenci to maszyny do gry: jeśli gra się dostatecznie długo, w końcu trafi się jakaś wygrana.

– Masz szczęście, że nie skończyło się gorzej – mówi. – Nie ma żadnych złamań, tylko potłuczenia. Poczujesz je, gdy przestanie działać środek znieczulający. Rób okłady z lodu, dwa razy dziennie przez tydzień. Potem przyjdź na kontrolę.

Lekarka pachnie potem i mydłem. Czekam, aż wyciągnie bloczek z receptami. Dobrze pamiętam, jak po wypadku samochodowym szybko uzbierałem całą szafkę leków. Tym razem jednak jest inaczej.

– Przyszedł ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać – mówi doktor Jansen bardzo miłym tonem.

Przez chwilę wyobrażam sobie, że na korytarzu czeka jakiś przyjaciel – może to Gil wrócił z klubu, może nawet przyjechała matka? Nagle zaczynam się zastanawiać, ile właściwie czasu minęło, od kiedy wyciągnęli mnie z tunelu.

W drzwiach pojawia się jednak twarz, której nigdy jeszcze nie widziałem. Kobieta, ale nie lekarka i z pewnością nie moja matka. Jest tęga i niska, ubrana w czarną spódnicę do połowy łydek, nieprzezroczyste, czarne pończochy, białą bluzkę i czerwony żakiet.

Sprawia nieco macierzyńskie wrażenie, ale w pierwszej chwili biorę ją za urzędniczkę uniwersytetu.

Lekarka i kobieta wymieniają spojrzenia, po czym jedna wychodzi, a druga wchodzi. Nowa zatrzymuje się w pewnej odległości od łóżka i gestem przywołuje Paula. Przez chwilę cicho rozmawiają, po czym Paul nagle pyta, czy czegoś nie potrzebuję, a gdy kręcę głową, wychodzi na korytarz, gdzie ktoś na niego czeka.

– Czy mógłby pan zamknąć drzwi? – mówi kobieta do policjanta. Ten, ku mojemu zdumieniu, kiwa głową i posłusznie wykonuje polecenie.

Kobieta podchodzi do mojego łóżka. Po drodze zatrzymuje się na chwilę, by zerknąć na pacjenta leżącego za parawanem.

– Jak się czujesz, Tom? – pyta, siadając na krześle, które przed chwilą zajmował Paul. Krzesło znika pod jej rozłożystymi kształtami. Ma policzki chomika. Gdy mówi, wydaje mi się, że pod policzkami ma pełno ziarna.

– Tak sobie – odpowiadam zmęczonym głosem. Pokazuję jej prawe ramię owinięte bandażem.

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Mój syn był tutaj miesiąc temu – mówi z roztargnieniem, szukając czegoś w kieszeni żakietu. – Wyrostek robaczkowy.

Już mam spytać, kim jest, gdy wreszcie wyciąga z kieszeni niewielki portfel.

– Tom, jestem inspektor Gwynn. – Pokazuje mi legitymację policyjną. – Chciałabym z tobą porozmawiać o tym, co się dzisiaj wydarzyło.

– Gdzie jest Paul?

– Rozmawia z inspektor Martin. Chciałabym zadać ci kilka pytań dotyczących Williama Steina. Znałeś go?

– Zmarł wczoraj wieczorem.

– Został zabity. – Gwynn milczy chwilę, by podkreślić wagę tego słowa. – Czy ty lub któryś z twoich współlokatorów go znał?

– Paul. Pracowali razem w Instytucie Studiów Zaawansowanych.

Gwynn wyjmuje notes i długopis.

– Czy znasz Vincenta Tafta?

– W pewnym sensie. – Czuję, że zanoszi się na coś poważnego.

– Czy byłeś dzisiaj w jego gabinecie?

– Dlaczego pani pyta? – Krew zaczyna pulsować mi w skroniach.

– Czy wdałeś się z nim w bójkę?

– Nie nazwałbym tego bójką.

Gwynn coś notuje.

– Czy ty i twój współlokator byliście wczoraj w Muzeum Sztuki? – pyta, przeglądając jakieś papiery.

To pytanie może mieć różne konsekwencje. Przypominam sobie wczorajszego wieczór. Paul dotykał dokumentów Steina przez rękawy. W ciemnościach nikt nie mógł zobaczyć naszych twarzy.

– Nie.

Gwynn porusza wargami, jakby chciała wyrównać warstwę szminki. Nie umiem odczytać języka jej ciała. Wreszcie wyciąga jakąś kartkę i pokazuje mi ją. To kopia rejestru osób wchodzących i wychodzących z muzeum, którą Paul i ja podpisaliśmy przy wejściu. Obok każdego nazwiska wpisana jest data i godzina.

– Jak dostaliście się do biblioteki muzeum?

– Paul zna kod – odpowiadam, rezygnując z zaprzeczania. – Dostał go od Billa Steina.

– Biurko Steina ma związek z naszą sprawą. Czego szukaliście?

– Nie wiem.

Inspektor Gwynn patrzy na mnie ze współczuciem.

– Wydaje mi się – mówi – że twój przyjaciel Paul wciąga cię w poważniejsze kłopoty, niż zdajesz sobie sprawę.

Czekam, aż dokładniej określi naturę tych kłopotów jakimś prawniczym terminem, ale to słowo nie pada.

– Zatem na liście jest twoje nazwisko, tak? – mówi i wyjmuje mi kartkę z rąk. – Czy to ty zaatakowałeś doktora Tafta?

– Nie...

– To dziwne, że akurat wasz przyjaciel Charlie próbował uratować Williama Steina.

– Charlie jest sanitariuszem.

– A gdzie był Paul Harris?

Na chwilę fasada znika. Z jej oczu unosi się kurtyna i nie ma już łagodnej matrony.

– Powinieneś zacząć myśleć o sobie, Tom.

Nie wiem, czy to groźba, czy ostrzeżenie.

– Twój przyjaciel Charlie jedzie na tym samym wozie. Jeśli z tego wyjdzie. – Znowu robi wymowną pauzę. – Powiedz mi prawdę.

– Powiedziałem.

– Paul Harris opuścił audytorium przed zakończeniem wypadu doktora Tafta.

– Tak.

– Wiedział, gdzie jest pracownia Steina.

– Tak. Pracowali razem.

– Czy to on wpadł na pomysł włamania się do muzeum?

– Nigdzie się nie włamaliśmy. Paul miał klucze.

– To on chciał przeszukać biurko Steina?

Wiem, że lepiej przestać odpowiadać. Teraz nie mam już dobrych odpowiedzi.

– Uciekł przed policją sprzed gabinetu doktora Tafta. Dlaczego to zrobił?

Ona ani nie zrozumiałaby tego, ani nie chciałaby zrozumieć. Wiem, do czego to prowadzi, ale myślę tylko o tym, co powiedziała o Charliem.

„Jeśli z tego wyjdzie”.

– Był wzorowym studentem, Tom. Mam jego dokumenty. Potem doktor Taft dowiedział się o plagiacie. Jak sądzisz, kto mu powiedział?

Cegła po cegle, jakby chodziło tylko o zbudowanie muru między przyjaciółmi.

– William Stein – mówi inspektor Gwynn, ale wie, że już przestałem współpracować. – Wyobraź sobie, co czuł Paul. Czy był bardzo zły?

Nagle ktoś puka do drzwi. Nim ja lub inspektor Gwynn zdążyliśmy zareagować, drzwi się otworzyły.

– Proszę pani? – Do pokoju zagląda policjant.

– Słucham?

– Ktoś chce z panią rozmawiać.

– Kto?

– Dziekan uniwersytetu – odpowiada policjant, patrząc na wizytówkę.

Gwynn siedzi jeszcze przez chwilę, po czym wstaje i wychodzi na korytarz.

Po jej wyjściu w pokoju panuje pełna napięcia cisza. Po dłuższej chwili, gdy nie wraca, siadam na łóżku i rozglądam się, gdzie jest moja koszula. Mam już dość szpitali, czuję się dostatecznie dobrze, by samemu zająć się ramieniem. Chcę zobaczyć Charliego, chcę dowiedzieć się, co powiedzieli Paulowi. Moja kurtka wisi na wieszaku. Ostrożnie przesuwam się, by wstać z łóżka.

W tym momencie otwierają się drzwi i do pokoju wraca inspektor Gwynn.

– Jesteś wolny, możesz iść do domu – mówi bez wstępu – Dziekanat się z tobą skontaktuje.

Mogę tylko zastanawiać się, co stało się na korytarzu. Gwynn podaje mi swoją wizytówkę i bacznie mi się przygląda.

– Chciałabym, żebyś pomyślał nad tym, co mi powiedziałaś, Tom.

Kiwam głową. Mam wrażenie, że chce coś dodać, ale ona trzyma język za zębami. Odwraca się bez słowa i wychodzi.

Drzwi się zamykają, po czym natychmiast ktoś znowu je otwiera. Zamieram, oczekując na pojawienie się dziekana. Tym razem jednak widzę przyjazną twarz Gila. Nie przyszedł z pustymi rękami. Przyniósł to, czego najbardziej potrzebuję: czyste ubranie.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

– W porządku. Co się dzieje?

– Will Clay do mnie zadzwonił. Powiedział mi, co się stało. Jak ramie?

– Nic poważnego. Powiedział ci coś o Charliem?

– Tylko trochę.

– Co z nim?

– Jest już w lepszym stanie, niż był, gdy go tu przywieźli.

W głosie Gila jest coś dziwnego.

– Co się stało? – pytam.

– Nic. Przesłuchiwali cię gliniarze?

– Tak. Paula też. Widziałaś go na korytarzu?

– Jest w poczekalni. Towarzyszy mu Richard Curry.

– Curry? Dlaczego? Wygrzebuję się z łóżka.

Gil tylko wzrusza ramionami. Patrzy na tacę ze szpitalnym jedzeniem.

– Potrzebujesz pomocy?

– W czym?

– W ubraniu się.

Nie jestem pewny, czy nie żartuje.

– Myślę, że dam sobie radę – odpowiadam i z trudem ściągam szpitalną koszulę. Gil obserwuje moje wysiłki i się uśmiecha.

– Zajrzymy do Charliego – mówię, gdy już pewniej stoję na nogach.

Gil się waha.

– O co chodzi?

Na jego twarzy pojawia się dziwny grymas, jakby był równocześnie zły i zakłopotany.

– Wczoraj wieczorem bardzo się pokłóciliśmy, Tom.

– Wiem.

– Już po tym, jak wyszliście. Powiedziałem parę rzeczy, których nie powinienem mówić.

Przypominam sobie, jaki porządek panował rano w salonie. To dlatego Charlie nie spał.

– To nie ma teraz znaczenia. Chodźmy do niego.

– On nie chciałby mnie widzieć.

– Oczywiście, że chciałby.

– Lekarze i tak nie pozwalają tam wchodzić – mówi Gil, przeciągając palcem po górnej wardze. – Musi mieć spokój. Przyjść później.

Gil wyciąga z kieszeni kluczyki od samochodu. W jego oczach jest coś smutnego. Wreszcie kładzie rękę na klamce.

– Zadzwoń do mnie do Ivy, jeśli będziesz czegoś potrzebował – mówi, otwiera drzwi i wychodzi na korytarz.

Przed drzwiami nie stoi już policjant, staruszka na fotelu na kółkach też gdzieś znikła. Ktoś zabrał żółtą tablicę ostrzegawczą. Odprowadzam wzrokiem Gila, ale on się nie ogląda. Nim zdążyłem coś powiedzieć, znika za rogiem korytarza.

Charlie opowiadał mi kiedyś, jak dawniej epidemie wpływały na stosunki między ludźmi. W czasie zarazy ludzie unikali chorych i lękali się zdrowych, aż dochodziło do tego, że rodzice i dzieci nie siadali przy jednym stole i całe społeczeństwo ulegało rozkładowi. „Jeśli jesteś sam, nie zachorujesz”, powiedziałem, odnosząc się ze zrozumieniem do tych, którzy uciekali w góry. Charlie spojrzał na mnie i w jednym zdaniu wyraził najlepszy argument, uzasadniający działania lekarzy, który według mnie odnosi się również do przyjaciół. „Może i nie, powiedział, ale w ten sposób również nie wyzdrowiejesz”.

Przypominam sobie słowa Charliego, gdy patrzę, jak Gil wychodzi. Tego uczucia doświadczam, gdy wchodzę do poczekalni i widzę Paula. Jest sam. Teraz musimy radzić sobie z problemem i to

tylko pogarsza sytuację każdego z nas. Paul dziwnie wygląda, gdy tak siedzi na jednym z białych plastikowych krzeseł, ustawionych w długi rząd. Trzyma głowę między rękami i wpatruje się w podłogę. Zawsze przyjmuje tę pozę, gdy jest zamyślony: pochyła się do przodu, opiera łokcie na kolanach i splata palce na potylicy. Wiele razy, gdy budziłem się w nocy, widziałem go, jak tak siedzi przy biurku, z piórem w ręku, w świetle starej lampy.

W pierwszej chwili chcę go zapytać, co znalazł w dzienniku. Nawet po tym wszystkim, co się zdarzyło, chcę wiedzieć, chcę mu pomóc, chcę przypomnieć o starym partnerstwie, by nie czuł się taki samotny. Kiedy jednak widzę, jak tak siedzi, walcząc z myślami, rezygnuję z tego pytania. Nie wolno mi zapomnieć, jak ciężko pracował nad swoją rozprawą już po rym, gdy się wycofałem, ile razy przychodził na śniadanie z przekrwionymi oczami, ile razy przynosiliśmy mu w nocy kawę z baru. Gdyby ktoś mógł policzyć, jak wiele poświęcił, by poznać tajemnicę Colony, wyrazić to za pomocą liczby, tak jak więzień liczy kreski na ścianie, jego wkład byłby bez Porównania większy od mojego. Kilka miesięcy temu pragnął Partnerstwa, ale ja się nie zgodziłem. Teraz mogę co najwyżej zaproponować mu towarzystwo.

– Hej – mówię cicho, podchodząc do niego. Tom... – Wstaje z krzesła. Ma czerwone oczy.

– Jak się czujesz?

– W porządku – odpowiada i przeciera rękawem twarz. – A ty?

– Nic mi nie jest.

Paul spogląda na moje ramię.

– Nic mi nie będzie – zapewniam go.

Już chcę mu opowiedzieć o wizycie Gila, lecz w poczekalni pojawia się młody doktor z rzadką brodą.

– Jak się czuje Charlie? – pyta go Paul.

Gdy patrzę na tego lekarza, mam takie wrażenie, jakbym stał tuż obok torów, po których przejeżdża pociąg. Jest ubrany w jasnozielony fartuch, takiego samego koloru, jak ściany w szpitalu, w którym odbywałem rehabilitację po wypadku. Gorzki kolor, jak barwa oliwek utłuczonych z limonkami. Terapeutka, która się mną zajmowała, powiedziała mi, żebym przestał patrzeć w dół, bo nigdy nie nauczę się chodzić, jeśli wciąż będę myślał o śrubach w nodze. „Patrz przed siebie, mówiła. Zawsze przed siebie”. Wpatrywałem się więc w zielone ściany.

– Jego stan jest stabilny – odpowiada mężczyzna w fartuchu.

Stabilny, myślę. Lekarskie określenie. Przez dwa dni od powstrzymania krwotoku z nogi byłem w stabilnym stanie. Co oznaczało tylko, że umierałem wolniej niż przedtem.

– Czy możemy go zobaczyć? – pyta Paul.

– Nie. Jest nieprzytomny.

Paul waha się, jakby brak przytomności i stabilny stan wzajemnie się wykluczały.

– Czy nic mu nie będzie? – pyta w końcu.

Doktor wyciąga ze swojego arsenału łagodny, lecz stanowczy wyraz twarzy.

– Moim zdaniem najgorsze mamy już za sobą – mówi.

Paul uśmiecha się z wysiłkiem, po czym dziękuje. Nie wyjaśniam mu, co to naprawdę znaczy. W izbie przyjęć myją ręce i podłogę, w oczekiwaniu na kolejny przyjazd karetki.

Najgorsze mamy już za sobą. Ale tylko z punktu widzenia lekarzy. Dla Charliego to dopiero początek.

– Dzięki Bogu – wzdycha Paul, właściwie do siebie.

Patrząc teraz na niego, obserwując wyraz ulgi na jego twarzy, coś sobie uświadamiam. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że Charlie umrze z powodu obrażeń odniesionych w tunelu. Nie wierzyłem, by to było możliwe.

Gdy wypisuję się ze szpitala, Paul niewiele się odzywa. Mamrocze coś o tym, jak okrutne było to, co powiedział Taft. Formalności są minimalne, muszę tylko podpisać ze dwa formularze i pokazać legitymację studencką. Z trudem podpisuję się lewą ręką. Mam wrażenie, że była tu już pani dziekan i zawczasu załatwiła wszystkie problemy. Znow się zastanawiam, czy to ona powiedziała policji, żeby nas zwolnili.

Przypominam sobie, co powiedział mi Gil.

– Czy Curry był tutaj? – pytam.

– Wszedł chwilę wcześniej, nim się pokazałeś. Nie wyglądał zbyt dobrze.

– Tak? Czemu?

– Był w tym samym garniturze co wczoraj wieczorem.

– Wiedział o Billu?

– Oczywiście. Miałem wrażenie, że myśli... – Paul nie dokończył zdania. – Powiedział: „Rozumiemy się, synu”.

– Co to miało znaczyć?

– Nie wiem. Chyba chciał przez to powiedzieć, że mi wybacza.

– Wybacza ci?

– Powiedział, żebym się nie martwił, bo wszystko dobrze się skończy.

– Jak on mógł nawet pomyśleć, że ty to zrobiłeś? – Jestem zaszokowany. – Co mu odpowiedziałeś?

– Powiedziałem mu tylko, że nie ja to zrobiłem. – Paul chwilę się waha. – Nie wiedziałem, co mam mu jeszcze powiedzieć, więc w końcu powiedziałem, co odkryłem.

– W dzienniku?

– Nic innego nie przyszło mi do głowy. Wydawał się taki podniecony. Powiedział, że nie mógł spać, tak się niepokoił.

– Niepokoił o co?

– O mnie.

– Słuchaj – mówię, bo nie podoba mi się ton jego głosu, a raczej wpływ Curry’ego na niego. – On nie wie, o czym mówi.

– „Gdybym wiedział, co zrobisz, załatwiłbym to inaczej”. To jego ostatnie słowa.

Mam ochotę powiedzieć, co o nim myślę, ale muszę wziąć pod uwagę, że Curry to jedyny człowiek, którego Paul może uważać za ojca.

– Co ci powiedziała ta policjantka? – pyta Paul.

– Próbowala mnie zastraszyć.

– Podejrzewala to samo, co Curry?

– Tak. Próbowali cię namówić, żebyś się przyznał?

– Dziekan przyszła, nim zdążyli mnie zapytać, i poprosiła, żebym nie odpowiadał na żadne pytania.

– Co zamierzasz zrobić?

– Dziekan powiedziała, żebym poszukał adwokata.

Paul mówi to tak, jakby łatwiej było znaleźć bazyliuszka lub jednorożca.

– Coś załatwimy – mówię. Kończę się wypisywać i wychodzimy ze szpitala. Przed wejściem stoi policjant. Przygląda nam się uważnie, gdy przechodzimy obok niego. Na zewnątrz od razu czujemy podmuch zimnego wiatru.

Do kampusu wracamy piechotą – to tylko parę kroków. Ulice są puste, niebo szarzeje. Wiatr podrywa z ziemi płatki śniegu. Mija nas jadący na rowerze roznosiciel pizzy. Zostawia za sobą wyraźny zapach drożdży i pary. Czuję gwałtowny skurcz żołądka – to przypomnienie, że znowu jesteśmy w świecie żywych.

– Chodź ze mną do biblioteki – prosi Paul, gdy zbliżamy się do Nassau Street. – Chcę ci coś pokazać.

Zatrzymuje się na przejściu dla pieszych. Po drugiej stronie dziedzińca widać Nassau Hall. Myślę o spodniach powiewających na wieży i sercu dzwonu, którego nie było.

– Co takiego?

Paul trzyma ręce w kieszeniach i idzie z pochyloną głową, walcząc z wiatrem. Przechodzimy przez bramę FitzRandolpha, nie oglądając się. Zgodnie z legendą, tą bramą można wchodzić na teren kampusu, ile razy się zechce, ale jeśli ktoś wyjdzie choćby raz, nigdy nie skończy studiów.

– Vincent powiedział mi kiedyś, żebym nigdy nie ufał przyjaciołom – mówi Paul. – Według niego, przyjaciele są kapryśni.

Drogę przecina nam grupa turystów z przewodnikiem. Wyglądają jak kolędnicy.

– Nathaniel FitzRandolph ofiarował ziemię, na której zbudowano Nassau Hall – wyjaśnia przewodnik. – Został pochowany w miejscu, gdzie obecnie znajduje się dziedziniec Holder Hall.

– Nie wiedziałem, co mam zrobić, gdy pękła rura. Nie zdawałem sobie sprawy, że Charlie chwilę wcześniej wskoczył do tunelu, żeby mnie znaleźć.

Idziemy w kierunku biblioteki. W oddali widać marmurowe domy starych towarzystw dyskusyjnych. Whig, klub Jamesa Madisona oraz Cliosophic Aarona Burra. Z tyłu dochodzi do nas mocny głos przewodnika. Mam coraz silniejsze wrażenie, że jestem tu gościem, turystą, że od pierwszego dnia w Princeton wędrowałem w ciemnościach tunelem, tak jak wczoraj pod dziedzińcem Holder, gdzie szliśmy wśród grobów.

– Później usłyszałem, że skoczyłeś mi pomóc. Nie myślałeś o tym, co jest na dole. Wiedziałeś tylko, że jest ranny. – Paul patrzy na mnie po raz pierwszy od dłuższej chwili. – Słyszałem, że wzywasz

pomocy, ale niczego nie widziałem. Byłem zbyt przerażony, żeby się ruszyć. Myślałem tylko, co ze mnie za przyjaciel? Zawiodłem go.

– Paul... – zaczynam i urywam. – Przestań. Nie musisz tego mówić.

Jesteśmy na dziedzińcu East Pyne, budynku przypominającego klasztor z krużgankami. Z góry sypie się śnieg. Nagle wraca do mnie ojciec, niczym cień na murach, ponieważ uprzytomniam sobie, że chodził po tych ścieżkach i widział te same budynki, nim jeszcze się urodziłem. Podążam jego śladami zupełnie bezwiednie, ponieważ żaden z nas nie zmienił w najmniejszym stopniu tego miejsca.

Zatrzymuję się. Paul robi to samo. Przez chwilę jesteśmy jedynymi żywymi istotami wśród tych kamiennych murów.

– Owszem, muszę – mówi, odwracając się do mnie. – Gdy powiem ci, co znalazłem w dzienniku, wszystko inne wyda ci się bez znaczenia. A w rzeczywistości wszystko inne ma znaczenie.

– Powiedz mi tylko, czy to taka sensacja, jakiej oczekiwaliśmy.

Jeśli tak, to przynajmniej cień mojego ojca jest bardzo długi.

„Patrz przed siebie”, słyszę w głowie upomnienia terapeutki. „Zawsze przed siebie”. Teraz, tak jak wtedy, otaczają mnie mury.

– Tak – odpowiada Paul, doskonale mnie rozumiejąc. – Naprawdę.

Jego twarz się rozjaśnia. Ogarnia mnie uniesienie, poddaję się wrażeniu, jakiego oczekiwałem. To tak, jakby mój ojciec dokonał czegoś niewyobrażalnego, jakby powrócił i doczekał się rehabilitacji.

Nie wiem, co Paul za chwilę powie, ale sama myśl, że jest to większa sensacja, niż sobie wyobrażałem, wystarcza, by wzbudzić we mnie uczucie, jakiego już długo nie doświadczyłem. Nagle widzę przed sobą coś więcej niż tylko ścianę. Czuję przyływ nadziei.

Rozdział 21

Po drodze do Firestone mijamy Carrie Shaw, studentkę drugiego roku, którą poznałem na zajęciach z literatury angielskiej rok temu. Przecina nam drogę i pozdrawia nas. Przez kilka tygodni wymienialiśmy spojrzenia przy stole seminaryjnym, ale później poznałem Katie. Zastanawiam się, jak zmieniło się jej życie od tamtych dni. Ciekawe, czy mogłaby zrozumieć, jak bardzo zmieniło się moje.

– Zastanawiające, jak los zrządził, że tak się wciągnąłem w *Hypnerotomachię* – mówi Paul, gdy idziemy dalej na wschód, do biblioteki. – To był zbieg okoliczności. Tak samo jak w przypadku twojego ojca.

– Masz na myśli to, że poznał profesora McBee?

– I Richarda. A gdyby się nigdy nie spotkali? Gdyby nigdy nie chodzili na te same wykłady? Gdybym nigdy nie trafił na książkę twojego ojca?

– W takim razie nie stalibyśmy tutaj razem.

Paul uznaje to za uwagę rzuconą od niechcienia, ale po chwili uświadamia sobie, co chciałem powiedzieć. Gdyby nie Curry, McBee, *List o belladonnii*, Paul i ja nigdy byśmy się nie spotkali. Nasze drogi w kampusie skrzyżowałyby się zapewne w taki sam sposób jak Carrie i moja. Mówilibyśmy sobie „cześć”, zastanawialibyśmy się, czy już się kiedyś spotkaliśmy, i wzdychalibyśmy z żalem, jak to możliwe, że

po czterech latach w kampusie wciąż jest wokół tyle nieznanymi twarzami.

– Czasami zastanawiam się – podejmuje Paul – dlaczego musiałem trafić na Vincenta? Dlaczego musiałem poznać Billa? Dlaczego zawsze muszę docierać do celu najdłuższą drogą?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czy zwróciłeś uwagę, że instrukcje kapitana portu również nie wskazują najkrótszej drogi? Cztery na południe, dziesięć na wschód, dwa na północ, sześć na zachód. To prawie kółko. Kończysz blisko punktu wyjścia.

W końcu rozumiem związek: zbieg różnych okoliczności, jego droga z *Hypnerotomachią* w czasie i przestrzeni, od dwóch przyjaciół w Princeton w czasach mojego ojca, do trzech w Nowym Jorku, ojca i syna we Włoszech i znów dwóch przyjaciół w Princeton przypomina dziwną zagadkę Colonna, cztery wskazówki, które niemal prowadzą do miejsca startu.

– Czy nie sądzisz, że tkwi w tym jakiś głębszy sens, że to właśnie twój ojciec wciągnął mnie w *Hypnerotomachię*? – pyta Paul.

Docieramy do biblioteki. Paul otwiera drzwi i puszcza mnie przodem. Chowamy się przed śniegiem. Teraz jesteśmy w starym sercu kampusu, zbudowanym z kamienia. Latem, gdy obok przejeżdżają samochody z otwartymi oknami i włączonymi radiami, a wszyscy studenci chodzą w szortach i koszulkach z krótkimi rękawami, takie budynki jak Firestone i Nassau przypominają

jaskinie. Natomiast, gdy temperatura spada i sypie śnieg, nigdzie nie jest tak przytulnie, jak tutaj.

– Ostatniej nocy przyszło mi coś do głowy – kontynuuje Paul. – Przyjaciele Francesca pomogli mu ułożyć zagadki, prawda? Teraz nasi przyjaciele pomagają nam je rozwiązać.

Ty rozwiązałeś pierwszą, Katie drugą. Charlie wyjaśnił ostatnią – Twój ojciec odkrył list o belladonna. Richard znalazł dziennik.

Zatrzymujemy się na chwilę przy kołowrotku i pokazujemy ochronie legitymacje. Gdy czekamy na windę, by zjechać na poziom C, na sam dół, Paul wskazuje metalową tabliczkę na drzwiach windy. Jest na niej wygrawerowany symbol, na który nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi.

– Oficyna Aldine – mówię, rozpoznając znak. Widywałem go w gabinecie ojca w domu.

Godło Aldusa Piusa Manutiusa, jedno z najsłynniejszych w historii drukarstwa, to właśnie delfin i kotwica z *Hypnerotomachii*.

Paul kiwa głową. To jeszcze jeden element jego wyvodu. Po czterech latach spędzonych nad *Hypnerotomachią* gdziekolwiek się skieruje, wraca do punktu wyjścia. Stale czuje na plecach dotknięcie ręki. Jego świat, nawet drobne detale, popycha go, pomaga mu złamać tajemnicę Colonna.

Winda się otwiera i wchodzimy do środka.

– W każdym razie, myślałem o tym wszystkim wczoraj wieczorem – mówi Paul, naciskając guzik C. Zaczynamy zjeżdżać. –

O tym, jak wszystko wydaje się tworzyć krąg. To było dla mnie czymś uderzającym.

Nad naszymi głowami rozlega się dzwonek. Drzwi się otwierają i mamy przed sobą najbardziej ponure miejsce w bibliotece, kilkanaście metrów pod ziemią. Sięgające do sufitu półki są tak ciasno upchane, jakby to na nich miał spoczywać ciężar pięciu pięter nad nami. Po lewej znajduje się dział mikrofilmów, ciemna jaskinia, w której przed czytnikami wysiadują profesorowie i doktoranci, wpatrując się w jasne ekrany. Paul prowadzi mnie między półkami, wodząc palcem po zakurzonych grzbietach książek. Idziemy do jego klitki.

Jest pewien powód, dla którego wszystko w książce wraca do punktu wyjścia. Początek to klucz do *Hypnerotomachii*. Pierwsze litery każdego rozdziału tworzą akrostych o Francesco Colonne. Pierwsze litery terminów architektonicznych to rozwiązanie pierwszej zagadki. Nie jest przypadkiem, że wszystko wraca do początku. Francesco zrobił to celowo.

Widzę już długi szereg metalowych drzwi, umieszczonych niemal tak ciasno, jak drzwiczki szafek w szatni. Pokoje za nimi nie są wiele większe od szafy. To tutaj studenci czwartego roku przesiadują przez wiele tygodni, by w spokoju pisać rozprawy. Cela Paula – nie byłem tu już dawno – znajduje się blisko końca szeregu.

– Może po prostu byłem zmęczony, ale pomyślałem, że Colonna mógł dobrze wiedzieć, co robi. Być może klucz do odszyfrowania drugiej połowy książki kryje się w pierwszej zagadce? Francesco

napisał, że nie podaje więcej rozwiązań, ale nie wykluczył wskazówek. Miałem do dyspozycji wskazówki z dziennika kapitana portu.

Jesteśmy już przed drzwiami do jego klitki. Paul otwiera szyfrowy zamek. Niewielkie okno w drzwiach zaklejone jest grubym czarnym brystolem, tak, by nikt nie mógł zajrzeć do środka.

– Wcześniej byłem przekonany, że te wskazówki dotyczą kierunków fizycznych. Jak dostać się od stadionu do krypty, mierząc odległości w stadionach. Nawet kapitan portu sądził, że dotyczą kierunków geograficznych. – Paul kręci głową. – Nie myślałem jak Francesco.

Otwiera drzwi i wchodzimy do środka. Cella jest zavalona stertami książek. To miniaturowa wersja pokoju prezydenta w Ivy. Na podłodze walają się torebki po kanapkach. Na ścianach wiszą niezliczone kartki z notatkami. „Fineus syn Belusa to nie Fineus król Salmydessus”. „Sprawdź u Hezjoda: Hesperethousa czy Hesperia i Arethousa?”. „Kup więcej krakersów”.

Podnoszę plik odbitek kserograficznych z jednego z dwóch krzeseł wciśniętych do tej klitki i próbuję usiąść tak, by niczego nie stracić.

– W ten sposób wróciłem do zagadek – mówi Paul. – Czego dotyczyła pierwsza?

– Mojżesza. Rogów po łacinie.

– Słusznie. – Paul odwraca się do mnie plecami, by zamknąć drzwi. – Dotyczyła błędnego przekładu. Filologia, lingwistyka historyczna. Dotyczyła języka.

Paul zaczyna szukać czegoś w stosie książek na biurku. W końcu wyciąga *Historię sztuki renesansu* Hartta.

– Dlaczego udało nam się rozwiązać pierwszą zagadkę?

– Bo miałem sen.

– Nie. – Paul kręci głową i otwiera książkę na stronie ze zdjęciem Mojżesza dłuta Michała Anioła, od którego rozpoczęło się nasze partnerstwo. – Udało nam się, choć szukaliśmy czegoś fizycznego, a w rzeczywistości zagadka dotyczyła słów. Francesco nie myślał o rzeczywistych, fizycznych rogach, jego interesowało słowo, błędne tłumaczenie. Na szczęście ten błąd w końcu przejawiał się fizycznie. Michał Anioł wyrzeźbił Mojżesza z rogami, a ty to sobie przypomniałeś. Gdyby nie ta fizyczna manifestacja, nigdy nie wpadlibyśmy na rozwiązanie lingwistyczne. Kluczem były słowa.

– Zatem zacząłeś szukać lingwistycznej reprezentacji kierunków.

– Właśnie. Północ, południe, wschód, zachód to nie są wskazówki fizyczne, tylko werbalne. Gdy zajrzałem do drugiej połowy książki, od razu wiedziałem, że mam rację. Słowo stadia pojawia się zaraz na początku pierwszego rozdziału. Spójrz – mówi, pokazując mi kartkę.

Widnieją na niej trzy zdania: *Gil and Chanie go to the stadium to watch Princeton vs. Harvard. Tom waits as Paul catches up. Katie*

takes photographs while winsomely smiling and mouthing, I love you, Tom. (Gil i Charlie idą na stadion obejrzeć mecz Princeton kontra Harvard. Tom czeka, aż Paul go dogoni. Katie robi zdjęcia, jednocześnie pociągająco się uśmiechając i mówiąc bezdźwięcznie, kocham cię, Tom).

– Pociągająco? – krzywię się nieco.

– Nic wielkiego, prawda? Taka gadanina, jak cała opowieść Polifila. Gdy jednak wypiszesz to na siatce, dostaniesz coś takiego. –
Odwraca kartkę.

G i l a n d C h a r l i e g o t o t
h e s t a d i u m t o w a t c h P r
i n c e t o n v s . H a r v a r d .
T o m w a i t s a s P a u l c a t c
h e s u p . K a t i e t a k e s p h
o t o g r a p h s w h i l e w i n s
o m e l y s m i l i n g a n d m o u
t h i n g , I l o v e y o u , T o m

Czekam na pointę, ale jakoś jej nie dostrzegam.

– No i co? – pytam.

– Przesuwaj się zgodnie ze wskazówkami. Cztery na południe, dziesięć na wschód, dwa na północ, sześć na zachód. De stadio – od stadionu. Zaczynij od „s” w słowie stadion.

Biorę długopis i próbuję. Cztery litery w dół, dziesięć w prawo, dwie do góry, sześć w lewo.

G i l a n d C h a r l i e g o t o t
h e S t a d i u m t o w a t c h P r
i n | e t o n v s . H a r v a r d .
T o | w a i T- — — — — — U l c a t c
h e | u p . K a t i e t | k e s p h
o t O- — — — — — — — — — — L e w i n s
o m e l y s m i l i n g a n d m o u
t h i n g , I l o v e y o u , T o m

Otrzymuję litery S-O-L-U-T.

– Teraz powtórz całą sekwencję, zaczynając od ostatniej litery – poleca Paul. Zaczynam od T.

G i l a n d C h a r l i e g o t o t
h e S t a d i u m t o w a t c h P r
i n | e t o n v s . H a r v a r d .
T o | w a i T- — — — — — U l c a t c
h e | u p . | a t i e t | k e s p h
o t O- — — — — — | — — — — — — — — — — L e w i N s
o m e l y s | i l i n g a n d m | u
t h i n g , I- — — — — — — — — — — — — — — — — O m

Teraz widzę na kartce słowo S-O-L-U-T-I-O-N (rozwiązanie).

– To właśnie jest Reguła czterech – wyjaśnia Paul. – To bardzo proste, gdy ktoś wpadnie na to, jak rozumował Colonna. Cztery kierunki wewnątrz tekstu. Wystarczy powtarzać to wiele razy i później odpowiednio podzielić ciąg liter na wyrazy.

– Ale napisanie czegoś takiego musiało zająć wiele miesięcy.

Paul kiwa głową.

– Od początku zwróciłem uwagę, że pewne linijki w *Hypnerotomachii* wydają się sztuczne. Słowa niezbyt do siebie pasują, składnia jest dziwaczna, jakieś niezwykle neologizmy.

Teraz to jest jasne. Francesco musiał dopasować tekst do przyjętego rozkładu liter. Dlatego używał wielu języków. Gdy nie pasował włoski, próbował łaciny. Czasami wymyślał słowa.

Na dokładkę wybrał niezbyt dobry wzór. Spójrz.

Paul wskazuje na linijkę, w której występują litery O, L i N.

– Widzisz, ile liter tekstu zaszyfrowanego występuje w jednej linijce? Jeśli zrobisz skok o sześć liter na zachód, pojawi się jeszcze jedna. Posuwając się o cztery linijki w dół i dwie w górę, wracasz do linijki, w której już byłeś. W co drugiej linijce są cztery litery zaszyfrowanej wiadomości. Francesco musiał wymyślić tekst, który pasowałby do tej sekwencji. Metoda okazała się skuteczna. Przez pięćset lat nikt jej nie rozgryzł.

– Ale litery w książce nie są wydrukowane w ten sposób – zauważam, zastanawiając się, jak zastosować tę metodę do oryginalnego tekstu. – Litery nie są równo rozstawione. Jak ustalić, która jest dokładnie na północ lub na południe?

– Nie można, bo trudno powiedzieć, która litera jest dokładnie pod lub nad inną – potwierdza Paul. – To trzeba wyliczyć matematycznie, a nie szukać graficznie.

Wciąż mnie zdumiewa, jak Paul potrafi wydobyć zarówno proste, jak i złożone konsekwencje tej samej idei.

– Weź na przykład mój tekst. W tym przypadku mamy... – urywa i coś liczy – osiemnaście liter w wierszu, prawda? Jeśli policzysz, przekonasz się, że „cztery na południe”, czyli cztery linijki w dół, to to samo, co siedemdziesiąt dwie litery w prawo. Podobnie „dwie na północ” to trzydzieści sześć liter w lewo. Gdy znasz standardową długość tekstu Colonney, możesz zrobić identyczne rachunki i szukać w ten sposób kolejnych liter. Po chwili nabierasz wprawy i to szybko idzie.

W całej historii naszego partnerstwa jedynym, co mogłem przeciwstawić szybkości rozumowania Paula, była intuicja – szczęście, sny, przypadkowe skojarzenia. Nie wydaje się sprawiedliwe, że pracowaliśmy razem jako równi partnerzy.

Paul zgniata kartkę i wrzuca ją do kosza na śmieci. Przez chwilę rozgląda się po pokoju, po czym podnosi stos książek i umieszcza je na moim zgiętym ramieniu. Sam bierze drugi. Środek przeciwbólowy widać działa, bo ramię wytrzymuje obciążenie.

– Jestem zdumiony, że to odgadłeś – mówię. – I czego się dowiedziałeś?

– Najpierw pomóż mi odstawić te książki na półki – odpowiada Paul. – Chcę opróżnić tę klatkę.

– Dlaczego?

– Dla bezpieczeństwa.

– Czego się boisz?

– Może kar bibliotecznych? – uśmiecha się Paul.

Wychodzimy z celi. Paul prowadzi mnie przez długi korytarz, ciągnący się gdzieś w ciemność. Po obu stronach stoją półki z książkami, tworzące boczne alejki, ślepe zaułki, dające początek kolejnym ślepym zaułkom. Jesteśmy w tak rzadko odwiedzanym zakątku biblioteki, że światło jest tu zwykle wyłączone. Gdy ktoś przychodzi, sam musi nacisnąć kontakt umieszczony na półce.

– Nie mogłem uwierzyć, że skończyłem – opowiada Paul. – Nim jeszcze zakończyłem deszyfrować tekst, cały się trząsałem. Skończone. Po tylu latach wreszcie skończone.

Zatrzymuje się przy jednej z ostatnich półek. W półmroku widzę tylko zarys jego twarzy.

– Warto było się męczyć, Tom. Nigdy nie spodziewałem się tego, co znalazłem w drugiej połowie książki. Pamiętasz list Billa?

– Tak.

– Prawie wszystko w tym liście to kłamstwa. Wiesz, że to były moje osiągnięcia. Bill przetłumaczył tylko kilka arabskich liter, robił kopie i wypożyczał książki. Wszystko poza tym zrobiłem sam.

– Wiem.

Paul na chwilę zakrywa dłonią usta.

– To nieprawda – mówi. – Bez tego, co odkryli twój ojciec i Richard, bez wkładu wszystkich pozostałych, zwłaszcza twojego, nie mógłbym tego dokonać. Nie zrobiłem tego sam. Wy wszyscy wskazywaliście mi drogę.

Paul mówi o moim ojcu i Currym tak, jakby to byli święci, dwaj męczennicy z wykładu Tafta. Przez chwilę czuję się jak Sancho Pansa

słuchający słów Don Kichota. Olbrzymy, których widzi, to wiatraki, ale to on przenika wzrokiem ciemności, a ja nie dowierzam swoim oczom. Może w tym leży sedno sprawy: jesteśmy zwierzętami obdarzonymi wyobraźnią. Tylko ten, kto widzi olbrzymów, może stanąć na ich ramionach.

– Bill miał jednak rację w jednej sprawie – dodaje Paul. – Wyniki będą wpływać na wszystkie badania historyczne, i to bardzo długo.

Odbiera ode mnie książki i nagle czuję się jak w stanie nieważkości. Korytarz za nami ciągnie się do światła, otwarte alejki odchodzą na boki. Nawet w ciemnościach widzę, jak Paul się uśmiecha.

Rozdział 22

Zaczynamy kursować od celi Paula do półek, nosząc dziesiątki książek. Większość nie trafia na właściwe miejsce. Paula najwyraźniej to nie obchodzi, chce tylko, by książki znikły z jego pokoju.

– Czy pamiętasz, co działo się we Włoszech na krótko przed opublikowaniem *Hypnerotomachii!* – pyta.

– Tylko to, co było w przewodniku po Watykanie.

Paul łąduje mi na ramię kolejny stos książek i wracamy w ciemności.

– Życie intelektualne Włoch w czasach Francesca kręciło się wokół jednego miasta.

– Rzymu.

– Nie – kręci głową Paul. – Znacznie mniejszego. Wielkości Princeton, i to kampusu, a nie miasta.

Widzę, że jest oczarowany swoim odkryciem, że stało się ono dla niego rzeczywistością.

– W tym mieście – ciągnie Paul – było tylu intelektualistów, że nikt nie wiedział, co z nimi zrobić. Geniuszy. Myślicieli, poszukujących wielkich odpowiedzi na wielkie pytania. Samouków, którzy opanowali dawne języki, nieznane nikomu innemu. Filozofów, dążących do syntezy *Biblij* z tekstami greckimi i rzymskimi, z egipskim mistycyzmem, z perskimi rękopisami tak starymi, że nikt nie potrafił ich datować. To był front badań humanizmu. Pomyśl

o zagadkach. Profesorowie uniwersytetu, grający w *Rithmomachię*, tłumacze interpretujący Horapolla, anatomowie korygujący Galena.

Oczami wyobraźni widzę kopułę Santa Maria del Fiore. Ojciec nazywał to miasto kolebką współczesnej wiedzy.

– Florencja – mówię.

– Zgadza się. Ale to tylko początek. Najwięksi twórcy w każdej dziedzinie działali we Florencji. W architekturze mamy Brunelleschiego, który zbudował największą kopułę od tysiąca lat. W rzeźbie – Ghibertiego, który stworzył tak piękne płaskorzeźby na drzwiach do baptysterium, że stały się znane jako Drzwi do raju, oraz Donatella, jego pomocnika, który później stał się ojcem nowoczesnej rzeźby.

– Malarze też byli niezli – dodaję.

– To było największe skupisko talentów w historii sztuki Zachodu – uśmiecha się Paul. – Wszyscy w tym małym mieście stosowali nowe techniki, wymyślali nowe teorie perspektywy, zmieniali malarstwo z rzemiosła w naukę i sztukę. Musiało być tam kilkudziesięciu takich jak Alberti, którzy gdzie indziej zostaliby uznani za mistrzów, lecz we Florencji uważano ich za drugorzędnych twórców. Dlatego że rywalizowali z olbrzymami: Masacciem, Botticellim, Michałem Aniołem.

W miarę jak potok jego myśli nabiera rozpędu Paul coraz szybciej przemierza korytarz.

– Chcesz uczonych? Proszę bardzo! Leonardo da Vinci. Polityków? Machiavelli. Poetów? Boccaccio i Dante. Wielu tych ludzi

żyło w tym samym czasie. Na dodatek byli jeszcze Medyceusze, rodzina tak bogata, że stać ją było, by patronować wszystkim artystom i intelektualistom, jacy pojawili się w mieście.

Wszyscy razem, w jednym mieście, niemal równocześnie. Najwięksi bohaterowie kultury zachodniej spotykali się na ulicach, mówili sobie po imieniu, rozmawiali i pracowali razem, rywalizowali ze sobą i wywierali na siebie presję, dzięki czemu zaszli dalej, niż każdy mógłby zająć w pojedynkę. W mieście, gdzie królowało piękno i prawda, gdzie największe rodziny konkurowały, która zamówi najwspanialsze dzieła sztuki, będzie wspierać najwybitniejszych myślicieli i zbierze największą bibliotekę. Wyobraź to sobie. To jak sen. Coś, co wydaje się niemożliwe.

Wracamy do jego klitki. Paul wreszcie siada.

– Później, w ostatnich latach piętnastego wieku, tuż przed napisaniem *Hypnerotomachii*, zdarza się coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Coś, o czym wie każdy uczony, zajmujący się renesansem, ale nikt nie skojarzył tego z tą książką. Francesco w swoich zagadkach wciąż mówił o potężnym kaznodziei w kraju swoich braci. Długo nie mogłem zrozumieć, o co chodzi.

– Jeśli dobrze pamiętam, Luter to dopiero tysiąc pięćset siedemnasty rok. Colonna pisał w latach dziewięćdziesiątych piętnastego wieku.

– To nie Luter. Pod koniec piętnastego wieku do Florencji przybył pewien dominikanin, który wstąpił do klasztoru San Marco.

– Savonarola – nagle świta mi w głowie.

Wielki kaznodzieja, który na przełomie XV i XVI wieku wstrząsnął Florencją, usiłując za wszelką cenę ożywić chrześcijańską wiarę jej mieszkańców.

– Tak – potwierdza Paul. – Savonarola, najcnotliwszy i najczystszy człowiek, jakiego możesz sobie wyobrazić. Przybywa do Florencji i zaczyna wygłaszać kazania. Mówi ludziom, że postępują źle, ich kultura i sztuka są grzeszne, rząd niesprawiedliwy. Głosi, że Bóg patrzy na nich z gniewem. Wzywa do pokuty.

Kręcę głową.

– Wiem, jak to zabrzmie – ciągnie Paul – ale on ma rację. W pewnym sensie renesans jest bezbożnym okresem. Kościół jest zepsuty. Papieże to politycy. Prospero Colonna, wuj Francesca, rzekomo zmarł na podagrę, ale wielu twierdzi, że otruił go papież Aleksander, ponieważ pochodził z rodziny, która rywalizowała z jego rodem. To świat, w którym ludzie podejrzewają papieża o morderstwo. A to dopiero początek, podejrzewali go również o sadyzm, kazirodztwo, co tylko chcesz.

W tym czasie, choć we Florencji rozwija się nauka i sztuka, miastem wstrząsają nieustanne niepokoje. Stronnictwa toczą walki na ulicach, ważne rodziny spiskują, by zdobyć władzę, a choć miasto jest formalnie republiką, wszystkim rządzą Medyceusze. Śmierć nie jest niczym niezwykłym, wymuszenia i gwałty są jeszcze częstsze, a niesprawiedliwość i nierówność stają się regułami życia. To przygnębiające miejsce, choć powstało tam tyle wspaniałych rzeczy.

Savonarola przyjeżdża do Florencji i widzi całe to zło. Wzywa obywateli, by się poprawili, przestali uprawiać hazard, zaczęli czytać Biblię, pomagali biednym i karmili głodnych. Zyskuje stronników w San Marco. Podziwiają go nawet niektórzy wybitni humaniści. Zdają sobie sprawę, że jest odcytany i biegły w filozofii. Stopniowo pozycja Savonaroli się umacnia.

– Sądziłem, że w tym czasie Medyceusze nadal rządzą miastem – wtrącam.

– Na nieszczęście dla nich, kolejny dziedzic, Piero, był głupcem. – Paul kręci głową. – Nie potrafił rządzić miastem. Ludzie zaczęli domagać się wolności, co we Florencji jest świętym wezwaniem, i w końcu Medyceusze zostają wygnani. Pamiętasz drzeworyt czterdziesty ósmy? Dziecko na rydwanie, mordujące dwie kobiety?

– Taft komentował go na wykładzie.

– Właśnie ten. Vincent zawsze tak go interpretował. Kara została wymierzona za zdradę. Czy wyjaśnił, co jego zdaniem to oznacza?

– Nie. Chciał, żeby słuchacze sami to odgadli.

Przypominam sobie, jak Taft stoi pod obrazem, a jego cień pada na ekran.

– Dlaczego dziecko zmusza kobiety, by ciągnęły rydwan przez las, a potem je zabija? – pytam.

– Zgodnie z teorią Vincenta Kupidyn reprezentuje Piera, nowego dziedzica Medyceuszy. Piero zachowywał się jak dziecko, dlatego artysta tak go przedstawił. Przez niego Medyceusze stracili władzę i zostali wygnani. Dlatego drzeworyt pokazuje, jak uciekają przez las.

– Kim zatem są kobiety?

– Florencja i Italia. Tak twierdzi Vincent. Postępując jak dziecko, Piero zniszczył miasto i kraj.

– Wydaje się to możliwe.

– To niezła interpretacja – zgadza się Paul, wsuwając rękę pod blat biurka i czegoś szukając. – Niezła, lecz błędna. Vincent nie przyjął do wiadomości, że kluczem jest reguła akrostychu. Nigdy nie chciał uwierzyć, że ważny jest pierwszy z tych obrazów. Zawsze potrafił patrzeć na różne rzeczy tylko ze swojego punktu widzenia.

Otóż po wygnaniu Medyceuszy inne wybitne rody zebrały się we Florencji, by omówić powołanie nowego rządu. Problem polegał na tym, że nikt nikomu nie ufał. W końcu zgodzili się, by władzę sprawował Savonarola, jako jedyny, o którym było powszechnie wiadomo, że jest nieprzekupny.

Popularność Savonaroli jeszcze wzrasta. Ludzie zaczynają brać sobie do serca jego kazania. Sklepikarze w wolnych chwilach czytają Biblię. Hazardziści zaczynają się ukrywać. Pijaństwo i chuligaństwo stają się mniej widoczne. Lecz Savonarola widzi, że zło trwa nadal, i rozszerza swój program obywatelskiej i duchowej odnowy.

Paul sięga jeszcze głębiej pod blat biurka. Słyszę trzask odrywanej taśmy klejącej. Wyciąga plastikową kopertę. Wewnątrz znajduje się ręcznie wykonany kalendarz. Gdy przerzuca strony, widzę zaznaczone czerwonym ołówkiem nieznane mi święta religijne – dni świątecznych, uroczystości. Obok są jakieś notatki czarnym długopisem, których nie mogę odczytać.

– Jest luty tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku – mówi Paul, wskazując na ten miesiąc w kalendarzu. – Dwa lata przed wydaniem *Hypnerotomachii*. Zbliża się Wielki Post. Zgodnie z tradycją, ponieważ Wielki Post to okres abstynencji i pokuty, przed jego rozpoczęciem ludzie bawili się i szaleli. Tak jak obecnie, ten okres zwano karnawalem. Trwający czterdzieści dni Wielki Post zaczyna się zawsze w środę popielcową, dlatego kulminacja karnawału następuje dzień wcześniej, w tłusty wtorek, czyli Mardi Gras.

Część jego wywodu wydaje mi się znajoma. Ojciec musiał mi to kiedyś opowiadać, nim ze mnie zrezygnował lub ja zrezygnowałem z niego. A może usłyszałem o tym w kościele, nim byłem dostatecznie duży, by samemu decydować, jak chcę spędzać niedziele?

Paul wyciąga kolejny rysunek, zatytułowany FLORENCJA 1500.

– Karnawał we Florencji to był czas pijaństwa, awantur, rozpusty. Gromady młodych ludzi blokowały ulice i domagały się opłat za przejście. Później przepijali pieniądze lub przegrywali je w karty.

Paul wskazuje na środek rysunku.

– Gdy wszyscy byli kompletnie pijani, rozpalali ogniska na głównym placu i kończyli zabawę gigantyczną bójką, obrzucali się kamieniami. Każdego roku było wielu rannych, zdarzały się nawet ofiary śmiertelne.

Savonarola, rzecz jasna, jest najzagorzalszym przeciwnikiem karnawału. Według niego to wyzwanie rzucone chrześcijaństwu, wodzenie mieszkańców Florencji na pokuszenie. Dostrzega, że jest jedna siła, potężniejsza od innych, która powoduje powszechne zepsucie. Tą siłą jest humanizm. Humanisci uczą ludzi, że pogańskie autorytety mogą rywalizować z *Biblią*, że mądrość i piękno należy podziwiać również w rzeczach niemających chrześcijańskiego rodowodu. Humanizm skłania ludzi do wiary, że życie jest poszukiwaniem ziemskiej wiedzy i radości, odwołuje ich od jedynej rzeczy, mającej znaczenie: od zbawienia. Najwybitniejszymi heroldami humanizmu są florency intelektualiści.

Savonarola wpada zatem na pomysł, który prawdopodobnie przyniósł mu największą sławę w historii. Postanawia, że w tłusty wtorek, w kulminacyjny dzień karnawału, zorganizuje niezwykle wydarzenie – coś, co zademonstruje przemianę miasta, a równocześnie przypomni Florentyńczykom o ich grzechach. Pozwala bandom wyrostków buszować po mieście, ale tym razem wyznacza im zadanie: mają zebrać wszystkie niechrześcijańskie przedmioty z całego miasta i zanieść je na główny plac. Powstaje ogromna piramida. W tłusty wtorek, w dniu, w którym grupy wyrostków siedzą zwykle przy ogniskach i obrzucają się kamieniami, Savonarola każe im rozpaścić inne ognisko. – Paul spogląda na mapę, a później wbija wzrok we mnie.

– Stos próżności.

– Tak. Młodzi ludzie zwożą na plac kolejne wozy różnych przedmiotów. Karty i kości do gry, szachownice. Cienie do oczu, róż, siatki na włosy, biżuterię. Maski i kostiumy karnawałowe. A co najważniejsze, pogańskie książki. Rękopisy greckich i rzymskich autorów. Antyczne rzeźby i obrazy.

Paul wkłada rysunek do plastikowej koperty. Jego głos brzmi smutno.

– W tłusty wtorek, siódmego lutego, tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku, całe miasto schodzi się na plac, by oglądać widowisko. Według źródeł stos miał osiemnaście metrów wysokości, a jego obwód u podstawy wynosił osiemdziesiąt metrów. Wszystko spłonęło. Stos próżności był bardzo ważnym momentem w historii renesansu – Paul urywa. Patrzy ponad moim ramieniem na przyczepione do ściany kartki. Poruszają się lekko, gdy wentylator włącza do pokoju świeże powietrze. – Savonarola staje się postacią znaną w całych Włoszech i w całej Europie. Jego kazania są przedrukowywane i czytane w kilkunastu krajach. Jest podziwiany i nienawidzony. Michał Anioł był nim zauroczony. Machiavelli uważał go za szalbierza. Każdy miał na jego temat opinię i wszyscy przyznawali, że Savonarola zdobył niezwykłą władzę. Wszyscy.

– Również Francesco Colonna – mówię. Rozumiem już, do czego zmierza Paul.

– Tak. I tu właśnie pojawia się *Hypnerotomachia*.

– A więc jest to manifest?

– Pewnego rodzaju. Francesco nie cierpiał Savonaroli. Według niego, Savonarola reprezentował najgorszą odmianę fanatyzmu, był uosobieniem wszystkiego, co najgorsze w chrześcijaństwie. Był destruktywny i mściwy. Nie pozwalał ludziom korzystać z boskich darów. Francesco zaś to humanista, miłośnik antyku. On i jego kuzyni studiowali w młodości pod kierunkiem wielkich znawców starożytnej poezji i prozy. Gdy miał trzydzieści lat, posiadał już jedną z najważniejszych rzymskich kolekcji oryginalnych rękopisów.

Jeszcze na długo przed pierwszym stosem Colonna skupował dzieła sztuki i książki, korzystając z pośrednictwa florenckich kupców, a następnie sprowadzał je do swoich posiadłości w Rzymie. To wywołało poważną kłótnię między nim i resztą rodziny, która uważała, że Francesco wyrzuca pieniądze na florenckie błyskotki. W miarę jak Savonarola zdobywał coraz większe wpływy, Colonna działał coraz energiczniej. Nie mógł znieść myśli o znikającej w płomieniach piramidzie dzieł sztuki, niezależnie od tego, ile go to kosztowało. Marmurowe popiersia, obrazy Botticellego, setki bezcennych przedmiotów. I przede wszystkim, książki. Rzadkie, niemożliwe do zastąpienia książki. Francesco reprezentował przeciwny skraj intelektualnego świata niż Savonarola. Z jego punktu widzenia, największą zbrodnią tego świata były wszelkie działania przeciw sztuce i wiedzy.

Latem tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku Francesco udaje się do Florencji, by przekonać się, jak jest naprawdę. To, co wszyscy podziwiają w działaniach Savonaroli – jego świętość,

zdolność do skoncentrowania uwagi wyłącznie na zbawieniu – budzi w Colonne głęboki strach i nienawiść. Widzi, że Savonarola jest zdolny do zniszczenia największych dzieł, jakie powstały dzięki pierwszemu odrodzeniu się klasycznej wiedzy od czasów upadku Rzymu. Widzi zagładę sztuki, zagładę wiedzy, zagładę klasycznego ducha. I śmierć humanizmu: kres poszukiwań, przekraczających granice i bariery w celu zbadania wszystkich możliwości ludzkiego umysłu.

– Czy to właśnie napisał w drugiej połowie *Hypnerotomachii*?

Paul kiwa głową.

– Francesco napisał o wszystkim, o wszystkich sprawach, o których bał się mówić otwarcie w pierwszej części. Zannotował, co zobaczył we Florencji i czego się lękał. Że wpływy Savonaroli rosną. Że w jakiś sposób zdobył przychylność króla Francji. Że ma wielbicieli w Niemczech i Włoszech. Łatwo dostrzec, że w miarę jak Francesco pisze, jego lęk narasta. Jest coraz bardziej przekonany, że Savonarola ma legiony zwolenników we wszystkich krajach chrześcijańskich. *Ten kaznodzieja – pisał – reprezentuje dopiero początek nowego ducha chrześcijaństwa. Pojawią się liczni fanatyczni kaznodzieje, w całych Włoszech zapłoną stosy.* Jego zdaniem Europa bliska jest rewolucji religijnej. Ma rację, już wkrótce rozpocznie się reformacja. Savonarola tego nie dożyje, ale, jak powiedziałaś, gdy Luter kilkanaście lat później zainicjuje reformę kościoła, będzie wspominał Savonarolę jako bohatera.

– Zatem Colonna to wszystko przewidział.

– Tak. Po poznaniu Savonaroli Francesco decyduje się działać. Postanawia wykorzystać swoje kontakty i znajomości, by zrobić coś, co tylko nieliczni ludzie w Rzymie lub gdziekolwiek na Zachodzie mogliby zrobić w tej sprawie. Z pomocą nielicznych, zaufanych przyjaciół skupuje coraz więcej wybitnych dzieł sztuki i rzadkich rękopisów. Kontaktuje się z licznymi humanistami i malarzami, by zebrać jak najwięcej skarbów, jak najwięcej owoców ludzkiej wiedzy. Przekupuje opatów i bibliotekarzy, arystokratów i plutokratów. Na jego polecenie kupcy wędrują do miast po drugiej stronie kontynentu. Docierają do ruin Bizancjum, gdzie zachowały się resztki dawnej wiedzy. Podróżują do krajów pogan w poszukiwaniu arabskich tekstów.

Zaglądają do klasztorów w Niemczech, Francji i na północy. Przez cały czas tożsamość Francesca pozostaje sekretem, chronionym przez jego najbliższych przyjaciół i braci humanistów. Tylko oni wiedzą, co zamierza zrobić z tymi skarbami.

Nagle przypominam sobie dziennik kapitana portu. Genueńczyk zastanawiał się, jaki ładunek mógł wieźć taki mały statek, płynący z nieznanego portu. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego arystokrata, taki jak Francesco Colonna, tak się nim interesował.

– Francesco odnajduje arcydzieła – kontynuuje Paul. – Prace, których od setek lat nikt nie widział. Tytuły, o których nie wiadomo nawet, że istnieją. *Eudemus*, *Protrepticus* i *Gryllus* Arystotelesa. Kopie antycznych rzeźb wykonane przez Michała Anioła. Wszystkie czterdzieści dwa tomy prac Hermesa Trismegistosa, egipskiego

proroka, uważanego za starszego od Mojżesza. Trzydzieści osiem sztuk Sofoklesa, dwanaście Eurypidesa, dwadzieścia trzy Ajschylosa, które dziś uważane są za zaginione. W jednym z niemieckich klasztorów znajduje filozoficzne traktaty Parmenidesa, Empedoklesa i Demokryta, przez wieki chomikowane przez mnichów. Wyprawa na drugą stronę Adriatyku przynosi dzieła starożytnego malarza Apellesa – portret Aleksandra Wielkiego, Afrodytę Anadyomene i rysunek Protogenesa. Francesco jest tak tym podniecony, że poleca swojemu wysłannikowi kupić je, nawet jeśli ich autentyczność nie jest pewna. Bibliotekarz w Konstantynopolu sprzedaje mu *Wyrocznie Chaldejskie* za tyle srebra, ile waży prosię. Francesco uważa to za okazję, ponieważ ich rzekomy autor, Pers Zaratustra, jest jedynym znanym prorokiem wcześniejszym od Hermesa Trismegistosa. Siedem rozdziałów Tacyty i księga Liwiusza pojawiają się dopiero na końcu listy Francesca, jakby to były drobiazgi. Prawie zapomina wymienić kilka obrazów Botticellego.

Na myśl o tym wszystkim Paul kręci głową.

– W ciągu niecałych dwóch lat Francesco Colonna tworzy jedną z największych kolekcji antycznych dzieł sztuki i literatury w całym renesansowym świecie. Wprowadza do swego kręgu dwóch żeglarzy, którzy dowodzą jego statkami i przewożą ładunki. Zatrudnia synów zaufanych członków Rzymskiej Akademii, by chronili przesyłki przewożone łądem w całej Europie. Poddaje próbom ludzi, których podejrzewa o zdradę, śledzi ich posunięcia, by móc zatrzeć ślady.

Francesco wiedział, że może powierzyć swój sekret tylko nielicznym, i był gotów na wszystko, żeby go chronić.

Teraz w pełni uświadamiam sobie znaczenie dokumentu, który ojciec i ja przypadkowo odkryliśmy: to jedyny ślad, jaki pozostał po kontaktach między Colonną i jego pomocnikami, po całej siatce stworzonej wyłącznie w celu ochrony jego tajemnicy.

– Zapewne Rodrigo i Donato nie byli jedynymi ludźmi, których poddał próbie – sugeruję. – Być może jest jeszcze wiele listów o belladonna.

– Prawdopodobnie – przyznaje Paul. – Gdy Francesco skończył, umieścił wszystkie zgromadzone skarby w miejscu, w którym nikomu nie przyszłoby do głowy ich szukać. W miejscu, w którym, jak sądził, będą bezpieczne.

Wiem, co za chwilę powie.

– Colonna zwraca się do wszystkich starszych członków rodziny o udostępnienie mu rozległych terenów, jakie posiadają niedaleko Rzymu. Są mu rzekomo potrzebne do zyskowego przedsięwzięcia. W rzeczywistości, zamiast budować cokolwiek nad ziemią, projektuje kryptę w środku lasu, gdzie jego przodkowie zwykli polować. Ogromny podziemny skarbiec. Tylko pięciu ludzi zna jego położenie.

Gdy zbliża się rok tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty ósmy, Francesco podejmuje decyzję. Wydaje się, że Savonarola cieszy się coraz większą popularnością. Zapowiada, że w następny tłusty wtorek zbuduje jeszcze większy stos niż poprzedni. Francesco zapisuje fragmenty jego kazań w *Hypnerotomachii*. Całe Włochy ogarnia nowa

mania religijna. Francesco lęka się o los swoich skarbów. Wydał już niemal wszystkie pieniądze, a wobec wzrostu wpływów Savonaroli w całej zachodniej Europie transport i ukrycie dzieł sztuki staje się coraz trudniejsze. Zbiera zatem swoje skarby w jedno miejsce, ukrywa je w krypcie i zamyka ją na dobre.

W tym momencie uświadamiam sobie, że jeden z najdziwniejszych szczegółów drugiej części listu Colonna jest teraz jasny. Zgodnie ze swym przeznaczeniem jest to niezwykła konstrukcja, odporna na wszelkie żywioły, a zwłaszcza wodę – tak pisał Colonna o swojej krypcie. Niewątpliwie starannie ją uszczelnił, ponieważ wiedział, że w przeciwnym razie wilgoć szybko zniszczy skarby ukryte pod ziemią.

– Francesco postanawia, że na krótko przed podpaleniem stosu pojedzie do Florencji – ciągnie Paul. – Pójdzie do San Marco. Po raz ostatni wystąpi w obronie swojej sprawy, decydując się na konfrontację z Savonarolą. Chce odwołać się do jego umiłowania wiedzy, szacunku dla prawdy i piękna, by przekonać go do usunięcia ze stosu wszystkich przedmiotów o trwałej wartości. Pragnie powstrzymać kaznodzieję od zniszczenia dzieł, które dla humanistów są święte.

Jest jednak realistą. Po wysłuchaniu kazań Savonaroli rozumie, jak bardzo jest on przekonany o słuszności stosów. Francesco wie, że jeśli Savonarola się nie zgodzi, nie będzie miał wyboru. Musi przekonać mieszkańców Florencji, jakim barbarzyńcą jest ten prorok. Pójdzie na stos i sam usunie z niego cenne przedmioty. Jeśli

Savonarola zdecyduje się mimo to podpalić stos, to na oczach całego miasta Francesco zostanie męczennikiem. Zmusi Savonarolę do morderstwa. Jest przekonany, iż dopiero to sprawi, że Florencja wystąpi przeciw fanatyzmowi, a wraz z nią cała Europa.

– Gotowy był za to umrzeć – mówię trochę do siebie.

– Gotowy był również zabijać – dodaje Paul. – W swoim braterskim związku Francesco miał pięciu bliskich przyjaciół humanistów. Jednym z nich był Terragni, architekt. Dwaj to jego bracia, Matteo i Cesare. Pozostali dwaj to Rodrigo i Donato, którzy go zdradzili i zostali za to ukarani śmiercią. Francesco był gotowy na wszystko w obronie tego, w co wierzył.

Mam wrażenie, że niewielka przestrzeń pokoiku na chwilę się zakrzywia i widzę ojca, jak pisze na starej maszynie *List o belladonie*. Dobrze rozumiał znaczenie tego listu, nie znał tylko całego kontekstu. Teraz Paul umieścił list we właściwym miejscu. To sprawia mi pewną satysfakcję, ale gdy Paul kontynuuje opowieść, czuję również narastający smutek. Im więcej wiem o Francescu Colonne, zdesperowanym człowieku, który nie mógł ufać nawet najbliższym przyjaciołom, tym więcej myślę o Paulu, który męczył się nad *Hypnerotomachią* tak samo, jak Colonna na przeciwnym końcu nici czasu. Tworzą parę autor-czytelnik. Vincent Taft mógł celowo dążyć do poróżnienia Paula z nami, gdy przekonywał go, że wszyscy przyjaciele są zawodni, ale im lepiej pojmuje, co zrobił Paul dla tej książki – przez kilka lat żył w taki sposób, jaki ja wytrzymałem tylko

kilka miesięcy – tym lepiej go rozumiem. To Francesco Colonna,
w równej mierze co dowolny żyjący człowiek, skłonił go, by zważył.

Rozdział 23

– Kilka miesięcy przed wyjazdem do Florencji – opowiada Paul – Francesco zdecydował się na posunięcie, które uznał za całkowicie bezpieczne. Postanowił napisać książkę. Książkę, która będzie zawierać informacje o położeniu krypty, ale tak zaszyfrowane, by mógł je odczytać tylko inny uczony, nie zaś jakiś laik, a tym bardziej religijny fanatyk. Jest przekonany, że nikt nie odszyfruje wiadomości poza prawdziwym miłośnikiem wiedzy, kimś, kto ma powody obawiać się Savonaroli w takim samym stopniu co Francesco, i nigdy nie pozwoli, by skarby kultury zostały spalone. Marzy o czasach, kiedy humanizm znów zatriumfuje i jego zbiory będą bezpieczne.

Kończy zatem książkę i prosi Terragniego, by wysłał ją anonimowo, kurierem, do Aldusa. Udając patrona autora, zapowiada, że poprosi Aldusa, by ten zachował dyskrecję. Nie zdradza, że to on ją napisał, by nikt nie podejrzewał, co kryje się w środku.

Gdy zbliża się karnawał, Francesco, dwaj jego bracia i architekt, ostatni członkowie kręgu Rzymskiej Akademii, jadą do Florencji. To ludzie pryncypialni, lecz Francesco zdaje sobie sprawę, jak trudne czeka ich zadanie, dlatego nakłania ich do złożenia przysięgi, że jeśli będzie to konieczne, umrą na Piazza dell Signoria.

Wieczorem, dzień przed podpaleniem stosu, Francesco zaprasza swoich kompanów na kolację i modlitwę. Opowiadają o swoich przygodach, podróżach i innych rzeczach, jakich dokonali w życiu.

Jednak Francesco twierdzi, że przez cały wieczór widzi ciemną chmurą zbierającą się nad ich głowami.

Cały tekst od tego miejsca napisał architekt. Francesco powiada, że Terragni to jedyny człowiek na świecie, któremu może powierzyć to zadanie. Wie, że jeśli coś mu się przydarzy we Florencji, ktoś będzie musiał zająć się jego sprawami, dlatego postanawia zaufać Terragniemu. Wyjaśnia mu szyfr i prosi, by dopisał posłowie, w którym opowie, co stało się z przyjaciółmi z Rzymskiej Akademii. Powierza mu nadzór nad wydaniem *Hypnerotomachii*, gdy już dotrze do Aldusa. Terragni ma dopilnować, by *Hypnerotomachia* została wydrukowana. Francesco twierdzi, że miał wizję własnej śmierci i rozumie, iż sam nie zdoła wszystkiego załatwić. Prosi Terragniego, by towarzyszył mu podczas rozmowy z Savonarolą i wszystko spisał.

Savonarola czeka na nich w swojej celi w klasztorze. Spotkanie zostało umówione wcześniej, zatem obie strony są przygotowane. Francesco usiłuje być dyplomata, mówi, że podziwia Savonarolę i ma takie same cele, równie mocno nienawidzi grzechu. Cytuje słowa Arystotelesa o cnocie.

Savonarola odpowiada cytatem ze świętego Tomasza z Akwinu. To niemal identyczny ustęp. Pyta Francesca, dlaczego woli źródła pogańskie od chrześcijańskich. Francesco chwali Akwinatę, ale mówi, że Tomasz zapożyczył to od Arystotelesa. Savonarola traci cierpliwość. Cytuje werset z *Listu do Koryntian* apostoła Pawła: *Wytracę mądrość mędrców, a przebiegłość przebiegłych zniweczę.*

*Gdzie jest mędrzec? Gdzie uczoney? Gdzie badacz tego, co doczesne?
Czyż nie uczynił Bóg głupstwem mądrości świata!*

Francesco słucha tego z przerażeniem. Pyta Savonarolę, dlaczego nie chce zaakceptować wiedzy i sztuki, dlaczego koniecznie chce je zniszczyć. Mówi mu, że powinni wspólnie zwalczać grzech, że wiara jest źródłem prawdy i piękna, a zatem prawda i piękno nie mogą być jej wrogie. Savonarola kręci głową. Jego zdaniem prawda i piękno tylko służą wierze. Gdy stają się czymś więcej, duma i chęć zysku prowadzą ludzi do grzechu.

„Dlatego, mówi, nie dam się przekonać. W tych książkach i na tych płótnach jest więcej zła niż we wszystkich innych rzeczach, które będą spalone. Gra w karty lub kości może bowiem odwrócić uwagę głupców od wiary, natomiast pańska «mądrość» jest pokusą silnych i potężnych. Największe rodziny tego miasta rywalizują, która będzie waszą patronką. Pańscy filozofowie uczą poetów, a ich dzieła są powszechnie czytane. Zatruwacie malarzy swoimi ideami, ich obrazy wiszą w pałacach książąt, a freski wypełniają mury i sklepienia wszystkich kościołów. Docieracie do książąt i królów, ponieważ otaczają się oni waszymi zwolennikami, domagają się wskazówek od astrologów i inżynierów, którzy mają wobec was dług wdzięczności, bo tłumaczycie ich księgi. Nie pozwolę, by duma i chęć zysku nadal rządziły Florencją. Prawda i piękno, które kochacie, to fałszywi idole, to marność, która kieruje ludzi na złą drogę”.

Francesco już ma wyjść, bo wie, że między nimi nigdy nie dojdzie do porozumienia, ale ogarnia go gniew i mówi Savonaroli, co

zamierza uczynić. „Jeśli nie spełnisz moich żądań, zapowiada, zademonstruję całemu światu, że jesteś szaleńcem, a nie prorokiem. Będę wynosił książki i obrazy z tego stosu, aż wreszcie spłonę, a moja krew będzie na twoich rękach. Świat obróci się przeciw tobie”.

Francesco idzie do drzwi, ale w tym momencie Savonarola mówi coś nieoczekiwanego: „Nie zmienię zdania. Jeśli jednak jest pan gotowy zginąć w obronie swoich przekonań, to wyrażam swój głęboki szacunek dla pana i uważam pana za syna. Każda rzecz, którą Bóg uznaje za świętą, kiedyś się odrodzi, a każdy męczennik wierny świętej sprawie wstanie z popiołów i wstąpi do raju. Nie chcę widzieć, jak ginie człowiek o pańskich przekonaniach, ale ludzie, których pan reprezentuje, którzy posiadają rzeczy, jakie chce pan ratować, działają pod wpływem chciwości i próżności. Oni nigdy nie pogodzą się z Bożą wolą trzeba ich do tego zmusić. Bóg czasami poświęca niewinnych, by poddać wiernych próbie. Może tak jest i teraz”.

Francesco już chce zaprotestować, dowodzić, że nie wolno poświęcać wiedzy i piękna dla ratowania dusz przed zepsuciem, ale przypomina sobie dwóch swoich ludzi, Donata i Rodriga. Dostrzega ziarno prawdy w słowach Savonaroli. Próżność i chciwość zdarzają się również wśród humanistów i nie ma na to rady. Savonarola prosi go, żeby już wyszedł, ponieważ mnisi muszą przygotować się do ceremonii. Francesco posłusznie wychodzi.

Gdy wraca do swoich towarzyszy i zdaje im relację, zaczynają szykować się do swego ostatniego czynu. Francesco, Terragni, Matteo i Cesare idą na Piazza della Signoria. Kiedy pomocnicy Savonaroli

budują stos, Francesco, Matteo i Cesare usuwają z piramidy książki i obrazy, tak jak zapowiedział Francesco. Terragni stoi obok i notuje. Pomocnicy pytają Savonarolę, czy mają przerwać przygotowania, lecz on każe im kontynuować. Francesco i jego bracia chodzą w tę i z powrotem, wynoszą ze stosu sterty książek i kładą je w bezpiecznej odległości. Savonarola zapowiada, że za chwilę stos zostanie podpalony. Jeśli nie przestaną, zginą w płomieniach. Ci jednak nie zwracają na niego uwagi.

Na placu zebrało się całe miasto, by oglądać płonący stos. Tłum śpiewa. Płomienie ogarniają podstawę piramidy i strzelają w górę. Francesco i jego dwaj bracia nadal próbują ratować książki i obrazy. Zasłaniają usta rękawami, by nie wdychać dymu. Wkładają rękawiczki, ale płomienie szybko je niszczą. Po trzech lub czterech podejściach do stosu ich twarze są ciemne od dymu, a ręce i stopy zupełnie czarne. Wiedzą, że zbliża się śmierć. W tym momencie – zapisuje architekt – uświadamiają sobie chwałę męczeństwa.

Savonarola rozkazuje, by jeden z mnichów wziął taczkę i wrzucił uratowane książki i dzieła sztuki w płomienie. Gdy bracia rzucają na bruk uratowane przedmioty, mnich zbiera je i wiezie na stos. Po sześciu czy siedmiu kolejkach wszystko, co Francesco uratował, wróciło do ognia. Matteo i Cesare rezygnują z ratowania obrazów, bo płótna są już zniszczone. Wszyscy trzej duszą rękami płomienie trawiące okładki, by uratować strony. Jeden z nich zaczyna krzyczyć z bólu i wzywać boskiej pomocy.

Nie ma już nadziei, że cokolwiek uda się uratować. Dzieła sztuki i książki na stosie są stracone. Mnich z taczką wciąż odwozi to, co tamci uratowali, z powrotem w płomienie. Jego jeden kurs niweczy wszystko, co tamci trzej zrobili wspólnie. Tłum milknie. Zamierają gwizdy i szydercze okrzyki. Ludzie, którzy krzyczeli na Francesca i wyzywali go od głupców, bo chciał ratować książki, teraz cichną. Kilka osób krzyczy do braci, by przestali. Ci jednak wciąż wchodzą w płomienie, wspinają się po węglach, znikają na chwilę i pojawiają się ponownie. Ryk ognia zagłusza wszystkie inne dźwięki. Trzej mężczyźni się duszą. Nałykali się tak dużo dymu, że nie mogą krzyżeć. „Za każdym razem, gdy schodzą ze stosu, widać ich czerwone ręce i stopy – notuje architekt. – Skóra już spłonęła”.

Matteo, najmłodszy, pierwszy pada twarzą w żarzące się węgle. Cesare zatrzymuje się, żeby mu pomóc, lecz Francesco go odciąga. Matteo już się nie rusza. Ogarniają go płomienie. Cesare krzyczy, żeby wstał, ale Matteo nie odpowiada. Wreszcie Cesare z trudem znowu podchodzi do brata. Gdy jest już blisko, on również traci przytomność. Francesco przygląda się temu, stojąc na skraju stosu. Słyszy, jak Cesare woła Mattea, ale po chwili krzyk się urywa. Francesco zdaje sobie sprawę, że jest sam, i pada na kolana. Przez chwilę się nie rusza.

Kiedy tłum jest już przekonany, że Francesco nie żyje, on zmusza się do wstania. Raz jeszcze sięga rękami w płomienie, chwytając dwie garście popiołu i zataczając się, podchodzi do Savonaroli. Jeden z mnichów zagradza mu drogę. Francesco zatrzymuje się dwa kroki

przed Savonarolą. Otwiera dłonie i popiół sypie się na ziemię, między nimi, po czym mówi: *Inde ferunt, totidem qui vivere debeat annos, corpore de patrio parvum phoenice renasci*. To z Owidiusza. „Mały feniks narodził się na nowo z ciała ojca i żyć będzie tak samo długo, jak on”. Francesco pada u stóp Savonaroli i umiera.

Relacja Terragniego kończy się na pogrzebie Colonny. Rodzina i przyjaciele humaniści urządzili jemu i jego dwóm braciom pogrzeb niemal królewski. Wiemy, że ich męczeństwo zatriumfowało. Kilka tygodni później opinia publiczna we Florencji odwraca się od Savonaroli. Florentyńczycy mają dość jego ekstremizmu, nieustannych zapowiedzi zagłady. Wrogowie rozsiewają o nim plotki, starają się doprowadzić do jego upadku. Papież Aleksander rzuca na niego klątwę. Gdy Savonarola nie chce poddać się jego woli, papież uznaje go za winnego herezji, a jego nauki za wywrotowe. Savonarola zostaje skazany na śmierć. Dwudziestego trzeciego maja, trzy miesiące po tym, jak Francesco zginął w płomieniach, na Piazza della Signoria znowu pojawia się stos. Savonarola zostaje powieszony, a jego ciało spalone w miejscu, gdzie płonęły stosy próżności.

– Co stało się z Terragnim? – pytam.

– Wiemy tylko, że dotrzymał obietnicy złożonej Colonnii. Rok później, w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym dziewiątym, Aldus wydał *Hypnerotomachię*.

Wstaję z krzesła. Jestem zbyt podniecony, by usiedzieć na miejscu.

– Od ukazania się książki – mówi Paul – wszyscy, którzy próbowali wyjaśnić jej sens, używali wytrychów z dziewiętnastego i dwudziestego wieku, by otworzyć piętnastowieczny zamek. – Odchyła się do tyłu i robi wydech. – Aż do teraz.

Paul urywa i milknie. Z korytarza dochodzą do nas odgłosy kroków, stłumione przez drzwi. Patrząc na niego zdumiony. Powoli dociera do mnie rzeczywistość, prawdziwy świat zewnętrzny, a Francesco Colonna wraca na odpowiednią półkę w moim umyśle, ale między tymi dwoma światami pozostaje niełatwy związek. Patrząc na Paula i zdaję sobie sprawę, że to on stał się łącznikiem między nimi, ligaturą między różnymi epokami.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówię. Powinien tu być mój ojciec. Ojciec, Richard Curry i profesor McBee. Wszyscy, którzy wiedzieli o tej książce i coś poświęcili, by rozwiązać jej tajemnicę. Odkrycie Paula to dar dla nich wszystkich.

– Francesco podaje wskazówki, jak trafić do krypty z trzech różnych punktów – wyjaśnia Paul. – Znalezienie jej nie powinno być więc problemem. Podaje nawet odległości i listę przedmiotów zgromadzonych w krypcie. Brakuje tylko planu zamka.

Terragni skonstruował specjalny, cylindryczny zamek. Wejście jest tak szczelne, że, jak pisze Francesco, ani wilgoć, ani złodzieje nie dostaną się do środka, dopóki ktoś nie odsłoni tajemnicy książki. Wielokrotnie powtarza, że zaraz poda plan zamka i instrukcje, jak go otworzyć, ale zawsze popada w dygresje na temat Savonaroli. Być

może polecił Terragniemu umieścić opis w ostatnim rozdziale, lecz on miał inne sprawy na głowie i tego nie zrobił.

– A więc tego szukałeś u Tafta.

Paul skinął głową.

– Richard twierdzi, że gdy trzydzieści lat temu znalazł dziennik kapitana portu, był w nim jakiś plan. Myślę, że Vincent go zatrzymał, gdy podsunął Billowi dziennik.

– Odzyskałeś go?

– Nie. Złapałem tylko jakieś odręczne notatki Vincenta.

– Co zatem zamierzasz zrobić?

– Jestem zdany na łaskę Tafta – wzdycha, znowu sięgając pod biurko.

– Jak dużo mu powiedziałaś?

Paulowi nie udało się wyciągnąć tego, czego szukał. Traci cierpliwość, odsuwa krzesło i klęka na podłodze.

– Nie zna żadnych szczegółów – mówi spod biurka. – Wie tylko, że krypta istnieje.

Dostrzegam na podłodze ślady, półkoliste rysy, prowadzące do nóżek biurka.

– Wczoraj zacząłem rysować mapę, uwzględniając wszystkie informacje, jakie podaje Francesco w drugiej części *Hypnerotomachii*. Położenie, odległości, rozmiary, znaki topograficzne. Wiedziałem, że Vincent może tu przyjść szperać, dlatego schowałem mapę tam, gdzie trzymam wszystkie najważniejsze wyniki.

Słysząc zgrzyt metalu. Paul wyciąga spod blatu śrubokręt, z którego zwisa długa taśma klejąca – był przyklejony pod spodem. Paul odrywa taśmę, po czym przekręca biurko w moją stronę. Nogi przesuwają się po śladach na posadzce. Nagle ukazuje się przewód wentylacyjny, zamknięty metalową kratką. Cztery śruby mocujące kratkę do ściany są oskrobane z farby.

Paul zaczyna odkręcać kratkę. Po kolei wykręca śruby, po czym sięga w głąb i wyciąga kopertę wypchaną papierami. W pierwszym odruchu chcę wyjrzeć przez okno w drzwiach i sprawdzić, czy nikt nas nie podgląda. Teraz rozumiem, czemu ma służyć czarny brystol zasłaniający szybę.

Paul otwiera kopertę. Najpierw wyjmuję dwie fotografie, obie mocno pogniecione. Na pierwszej widać Paula i Richarda Curry'ego we Włoszech. Stoją na Piazza della Signoria we Florencji, przed Fontanną Neptuna. Na drugim planie widać nieostre zarysy kopii *Dawida* Michała Anioła. Paul ma na sobie szorty i niesie plecak. Richard Curry jest w garniturze, ale rozwiązał krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. Obaj uśmiechają się do aparatu.

Drugie zdjęcie przedstawia naszą czwórkę, gdy byliśmy na drugim roku. Paul klęczy pośrodku, w pożyczonym krawacie. Podnosi do góry medal. My stoimy wokół niego. Na drugim planie widać dwóch rozbawionych profesorów. Paul właśnie wygrał coroczny konkurs na najlepszy esej, organizowany przez Towarzystwo Frankofilów w Princeton. My trzej jesteśmy przebrani za rozmaite postacie z francuskiej historii. Ja jestem Robespierre'em, Gil

Napoleonem, a Charlie, w wielkiej krynolinie pożyczonej z teatru, udaje Marię Antoninę.

Paul nie zwraca uwagi na fotografie, odkłada je na biurko. Z pewnością oglądał je wiele razy. Teraz wyciąga z koperty papiery. To, co wziąłem za plik kartek, okazuje się wielokrotnie złożonym dużym arkuszem papieru.

– To właśnie mapa – oznajmia, rozkładając arkusz na biurku.

Jest to ręcznie narysowana, bardzo szczegółowa mapa. Zaznaczone poziomice tworzą nieregularne pętle. Blisko środka, narysowany czerwoną kredką, znajduje się obiekt w kształcie krzyża. Sądząc na podstawie skali w rogu, musi być wielkości akademika.

– To krypta? – pytam.

Paul przytakuje.

Jest ogromna. Przez chwilę obaj wpatrujemy się w milczeniu w mapę.

– Co chcesz z nią zrobić? – pytam. Cella Paula jest już pusta.

Paul otwiera dłoń. Cztery śruby od kratki wentylatora toczą się jak nasiona.

– Umieszczę ją w jakimś bezpiecznym miejscu.

– W ścianie?

– Nie.

Paul znów klęka i przykręca kratkę do ściany. Sprawia wrażenie, jakby ogarnął go dziwny spokój. Po chwili wstaje i zaczyna zrywać kartki ze ścian. Po kolei znikają królowie i potwory, starożytne imiona i notatki, których nie miał widzieć nikt poza nim.

– Co zrobisz? – pytam ponownie, patrząc na mapę.

Paul zgniata kartki i wrzuca je do kosza. Ściany znowu są białe. Siada przy biurku i starannie składa mapę.

– Zamierzam dać ją tobie – mówi spokojnie.

– Co takiego?

Wkłada mapę do koperty i mi ją wręcza. Fotografie zatrzymał dla siebie.

– Obiecałem ci, że pierwszy się dowiesz. Zasłużyłeś na to.

Paul mówi to tak, jakby chodziło wyłącznie o dotrzymanie danego słowa.

– A co ja mam z tym zrobić?

– Tylko nie zgub – uśmiecha się w odpowiedzi.

– A co będzie, jeśli Taft będzie jej szukał?

– O to właśnie chodzi. Zacznie ode mnie. – Paul milknie na chwilę. – Poza tym chcę, żebyś się do niej przyzwyczaił.

– Dlaczego?

– Ponieważ chcę, żebyśmy znowu razem pracowali – wyjaśnia, siadając na krześle. – Chcę, żebyśmy razem znaleźli kryptę Francesca.

– W przyszłym roku? – Wreszcie rozumiem, o czym mówi.

– W Chicago – przytakuje. – No i w Rzymie.

Z wentylatora wydobywa się kolejny podmuch.

– To twoja praca – mówię. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. – Twoja rozprawa. Ty rozwiązałeś zagadkę do końca.

– Tu chodzi o coś więcej niż rozprawa, Tom.

– To większe osiągnięcie, niż wymaga tego dysertacja doktorska.

– Niewątpliwie.

Teraz słyszę w jego głosie podniecenie. To dopiero początek.

– Nie chcę zajmować się tym sam – mówi.

– A co ja mogę zrobić?

– Na razie po prostu schowaj mapę. Będiesz czuł, jak cię pali.

Niewielka waga koperty wytrąca mnie z równowagi. To, co trzymam, wydaje się takie nietrwale i bez znaczenia. Mam w dłoni całą tajemnicę *Hypnerotomachii* – to wydaje się zaprzeczać realności całej historii.

– Chodźmy – mówi wreszcie Paul, spoglądając na zegarek. – Idziemy do domu. Musimy wziąć coś dla Charliego.

Jednym ruchem ręki usuwa ostatni dowód na to, że tu pracował. W klitce nie ma już żadnych śladów po Paulu, Colinnie i długim łańcuchu pomysłów, który połączył ich po pięciuset latach. Z okna zniknął czarny brystol.

Rozdział 24

Na zakończenie rozmowy w Daedalusie osoba przeprowadzająca wywiad zadała mi zagadkę: Do studni o głębokości pięćdziesięciu metrów wpadła żaba i musi się wydostać. W ciągu dnia wspina się trzy metry, a nocą spada dwa metry. Ile dni potrzebuje, żeby wspiąć się na górę?

Charlie odpowiedział, że nigdy się nie wydostanie, bo to za głęboko. Paul zaczął opowiadać coś o starożytnym filozofie, który wpadł do studni, gdy wpatrywał się w gwiazdy. Gil stwierdził, że nigdy nie słyszał o żabach, wspinających się po cembrowinie studni, a poza tym, co to ma wspólnego z opracowywaniem programów komputerowych?

Właściwa odpowiedź, jak sądzę, to czterdzieści osiem dni, dwa dni mniej, niż wydaje się w pierwszej chwili. Haczyk polega na tym, by zauważyć, że choć w ciągu doby żaba pokonuje tylko metr, to czterdziestego ósmego dnia osiągnie krawędź studni, nim zsunie się w dół.

Nie wiem, dlaczego myślę o tym akurat teraz. Może to taka chwila, gdy zagadki emitują własną poświatę, wyjaśniają doświadczenia, gdy nic innego nie pomaga. W świecie, w którym połowa mieszkańców wioski zawsze mówi prawdę, a połowa zawsze kłamie, gdzie zając nigdy nie dogania zółwia, bo odległość między nimi kurczy się zawsze tylko o połowę, gdzie wilk nigdy nie może być na tym samym brzegu co koza, a koza na tym samym brzegu co

siano, ponieważ z idealną regularnością jedno zje drugie i nic nie może temu zapobiec – w takim świecie wszystko jest sensowne, z wyjątkiem założeń. Zagadka to gmach wzniesiony na lodzie; nadaje się do zamieszkania, jeśli ktoś nie patrzy na fundamenty. Monumentalna niemożliwość tego, co powiedział mi Paul – jakoby po dawnej rywalizacji między mnichem i humanistą w jakimś zapomnianym lesie pozostała ogromna krypta wypełniona skarbami – wynika z bardziej podstawowych zastrzeżeń niż to, czy taka książka jak *Hypnerotomachia*, zawierająca zaszyfrowaną wiadomość, ignorowana przez uczonych przez pięć wieków, mogłaby istnieć. Nie mogłaby, a jednak jest dla mnie równie rzeczywista, jak ja sam. Jeśli zaakceptuję jej istnienie, to już mam fundamenty, na których można wznieść niemożliwy zamek. Cała reszta to tylko kamienie i zaprawa.

Gdy otwierają się drzwi windy, oświetlony zimowym światłem hol biblioteki wydaje się pozbawiony ciężaru. Mam wrażenie, że wyszliśmy z tunelu. Za każdym razem, gdy myślę o zagadce Daedalusa, wyobrażam sobie zdziwienie żaby, gdy ostatniego dnia po trzech metrach w górę nie zjeżdża dwóch metrów w dół. Nagle wskakuje na brzeg studni, wspinaczka nieoczekiwanie kończy się szybciej, niż się spodziewała. Teraz czuję podobne zaskoczenie. Zagadka, którą znałem od dziecka – zagadka *Hypnerotomachii* – została rozwiązana w niecały dzień.

Przeciskamy się przez kołowrót biblioteki. Spod progu dochodzi ostry podmuch wiatru. Paul otwiera drzwi, ja ciasniej otulam się płaszczem. Wszędzie leży śnieg. Nie widać kamieni, murów i cieni,

tylko białe tornado. Jestem w świecie Chicago i Teksasu, zakończenia studiów, Dod i domu. Jestem tu, znowu na powierzchni.

Idziemy na południe. Przed akademikiem leży przewrócony pojemnik na śmieci. Ze śniegu wystają torby z odpadkami, którymi już zajmują się wiewiórki. Wyciągają ogryzki jabłek i butelki po kosmetykach, starannie wszystko obwąchują, nim zaczną jeść. Są wybredne. Doświadczenie nauczyło je, że tu zawsze jest coś do zjedzenia, a zapas jest odnawiany każdego dnia. Przestały więc zakopywać orzechy i żołędzie. Na kole przewróconego pojemnika siada wrona wielkości sępa i demonstruje swoje prawo pierwszeństwa, lecz wiewiórki tylko popiskują i nadal jedzą, nie zwracając na nią uwagi.

– Wiesz, o czym pomyślałem na widok tej wrony? – odzywa się Paul.

Kręcę głową. Rozłuszczona wrona odlatuje, szeroko rozkładając skrzydła. Udało jej się zdobyć tylko torbę okruchów.

– O orle, który zabił Ajschylosa, zrzucając mu na głowę żółwia – mówi Paul.

Zerkam na niego, by sprawdzić, czy mówi poważnie.

– Ajschylos był łysy – wyjaśnia. – Orły rozbijają skorupy żółwi, zrzucając je na kamienie. Ten się pomylił.

Znowu myślę o filozofie, który wpadł do studni. Paul zawsze miesza teraźniejszość z przeszłością.

– Gdybyś teraz mógł być w dowolnym miejscu na świecie – pytam go – to gdzie chciałbyś być?

– W zupełnie dowolnym? – pyta rozbawiony. Kiwam głową.

– W Rzymie, ze szpadlem.

Wiewiórka odrywa pyszczek od znalezionej kromki chleba i przygląda nam się uważnie.

– A ty? – pyta Paul. – W Teksasie?

– Nie.

– W Chicago?

– Nie wiem.

Przecinamy tylny dziedziniec, oddzielający Dod od Muzeum Sztuki. Na śniegu widać liczne ślady stóp.

– Wiesz, co powiedział mi kiedyś Charlie? – mówi Paul, wpatrując się w ślady.

– Co takiego?

– Jeśli wystrzelisz poziomo z karabinu, pocisk spada z taką samą szybkością, jakbyś go upuścił.

To przypomina mi jakieś prawo z lekcji fizyki.

– Nie możesz wygrać z grawitacją – dodaje Paul. – Niezależnie od tego, jak szybko się poruszasz, i tak spadasz jak kamień. A może ruch poziomy to tylko iluzja? Może poruszamy się w bok tylko po to, by przekonać się, że nie spadamy?

– Do czego zmierzasz?

– Myślę o skorupie żółwia. To była część proroctwa. Wyrocznia zapowiedziała, że Ajschylos umrze wskutek ciosu z niebios.

To dopiero cios z niebios, myślę. Bóg się z nas naigrawa.

– Ajschylos nie mógł uniknąć zapowiedzianego losu – ciągnie Paul. – My nie możemy uniknąć grawitacji. – Splata palce. – Niebo i ziemia mówią jednym głosem.

Rozgląda się dookoła szeroko otwartymi oczami, jak dziecko w ogrodzie zoologicznym, które chce wszystko zobaczyć.

– Pewnie opowiadasz to wszystkim dziewczynom – mówię.

– Przepraszam – uśmiecha się Paul. – Przeciążenie zmysłów. Czuję się, jakby mnie coś roznosiło. Nie wiem dlaczego.

Ja wiem. Teraz już ktoś inny myśli o krypcie, ktoś inny rozmyśla o *Hypnerotomachii*. Atlas poczuł się lekki, gdy zdjęto mu z ramion cały wszechświat.

– To trochę jak twoje pytanie – mówi, idąc przede mną tyłem. – Gdybyś mógł być gdziekolwiek, gdzie byłbyś? – Paul rozkłada otwarte dłonie i mam wrażenie, że ląduje na nich prawda. – Odpowiedź: Nie ma znaczenia, bo gdziekolwiek pójdziesz, i tak spadasz.

Mówi to z uśmiechem, jakby nie było niczego przygnębiającego w świadomości, że wszyscy swobodnie spadamy. Nie ma znaczenia, dokąd pójdziemy i co zrobimy. Paul chce chyba powiedzieć, że bycie ze mną w Dod jest równie dobre, jak bycie w Rzymie ze szpadlem. Na swój sposób, swoimi słowami, mówi mi, że jest szczęśliwy.

Wyciąga z kieszeni klucz i otwiera drzwi do pokoju. W środku panuje cisza. Od wczoraj działo się tu tak wiele – włamanie, policja – że ten spokój i ciemność wydają się niepokojące.

Paul idzie do sypialni odwiesić kurtkę. Automatycznie odsłuchuję wiadomości z poczty głosowej.

„Hej, Tom – słyszę najpierw głos Gila. – Postaram się przyłączyć do was później, ale... wygląda na to, że nie uda mi się jeszcze raz przyjść do szpitala... Pozdrówcie ode mnie... Tom... strój wieczorowy... Możesz wypożyczyć...”.

Strój wieczorowy. Bal.

Po sekundzie zaczyna się druga wiadomość:

„Tom, tu Katie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jak skończę w ciemni, pójdę do klubu, pomóc w przygotowaniach. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałaś, że przyjdiesz z Gilem. Pauza. Rozumiem, że wieczorem porozmawiamy”.

Mam wrażenie, że w jej głosie słyszę wahanie, jakby nie była pewna, czy słusznie podkreśliła ostatnie słowa, przypomnienie o niezakończonych sprawach.

– Co się dzieje? – woła Paul z sypialni.

– Muszę się przygotować – odpowiadam, wyczuwając, jak potoczy się rozmowa.

– Przygotować? – Paul pojawia się w salonie. – Do czego?

– Na bal.

Paul nie rozumie. Nie powiedziałem mu jeszcze, o czym rozmawiałem z Katie w ciemni. To, co dziś widziałem, o czym mi opowiedział, postawiło świat na głowie. Gdy jednak wszystko wraca do normy, jestem tam, gdzie byłem. Dawna kochanka, odrzucona, wróciła, żeby mnie kusić. Aż do tej chwili byłem zbyt oczarowany, by

przerwać ten cykl. Książka Colonna kusi mnie wizjami doskonałości, nierzeczywistego świata, w którym mogę zamieszkać za niewielką cenę szalonego zaangażowania i wycofania się ze świata doczesnego. Francesco najpierw wymyślił ten dziwny pakt, a później odpowiednio go nazwał: *Hypnerotomachia* – walka o miłość we śnie. Jeśli mam kiedyś stanąć na ziemi, odmówić przyłączenia się do walki i snu, jeśli mam pamiętać o szaleńczej miłości skierowanej na mnie, dotrzymać obietnicy złożonej Katie – to teraz jest właściwa chwila.

– Co się stało? – pyta Paul.

Nie wiem, jak mu to powiedzieć. Nie wiem nawet, co mam mu powiedzieć.

– Proszę – wyciągam rękę i podaję mu mapę. Paul się nie rusza.

– Weź mapę.

– Dlaczego? – Początkowo Paul jest tylko zdziwiony, podniecenie utrudnia mu rozumowanie.

– Nie mogę tego zrobić, Paul. Bardzo mi przykro.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Z jego twarzy znika uśmiech.

– Nie mogę się tym dłużej zajmować – mówię i wciskam mu mapę. – To należy do ciebie.

– Do nas – odpowiada, nie mogąc pojąć, co mną owładnęło.

Nie. To nie należy do nas. Od początku to my należeliśmy do książki.

– Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. Ani tutaj, ani w Chicago, ani w Rzymie.

– Już to zrobiłeś – odpowiada Paul. – Praca skończona. Potrzebujemy jeszcze tylko planu zamka.

Obaj jednak zdajemy sobie sprawę, że decyzja już zapadła. Oczy Paula mają taki wyraz, jakby tonął. Siła, która dotychczas utrzymywała go na powierzchni, nagle go zawiodła i świat wywrócił się do góry nogami. Znamy się tak dobrze, że nie musi mówić ani słowa, bym zobaczył, co się z nim dzieje. Ja jestem wolny, mam poczucie wyzwolenia z łańcucha zdarzeń, który rozpoczął się jeszcze przed moimi narodzinami, natomiast on przeżywa proces odwrotny.

– To nie jest albo-albo – mówi, biorąc się w garść. – Jeśli chcesz, możesz mieć jedno i drugie.

– Nie sądzę.

– Twój ojciec miał.

Obaj wiemy, że to nieprawda.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy – mówię. – Masz już to, czego chciałeś.

Wiem, że nie ma.

Zapada dziwna cisza. Obaj wyczuwamy, że drugi ma rację, ale też żaden z nas nie popełnia błędu. Zawodzi matematyka moralności. Paul sprawia wrażenie, jakby zamierzał mnie przekonywać, raz jeszcze przedstawić argumenty, ale wie, że to bezcelowe.

Zamiast tego powtarza dowcip, który tysiące razy opowiadał Gil. Nie znajduje lepszych słów, by wyrazić to, co czuje.

– Ostatni człowiek na ziemi wchodzi do baru – mamrocze. – Co mówi?

Paul odwraca głowę w stronę okna, ale nie kończy pointą. Obaj wiemy, co mówi ostatni człowiek na ziemi. Wpatruje się w swoje piwo, samotny i przygnębiony, i mówi: „Piwo, jeszcze jednego barmana”.

– Przykro mi – mówię.

Paul jest już myślami gdzie indziej.

– Muszę znaleźć Richarda – mówi.

– Paul?

– Co chcesz, żebym powiedział? – pyta, odwracając się do mnie.

– Czego chcesz od Curry’ego?

– Pamiętasz, o co cię zapytałem, gdy szliśmy do Firestone? Co by się stało, gdybym nigdy nie trafił na książkę twojego ojca? Pamiętasz, co odpowiedziałeś?

– Powiedziałem, że nigdy byśmy się nie spotkali.

Tysiące drobnych okoliczności sprawiło, że on i ja poznaliśmy się, a następnie znaleźliśmy się obaj tu i teraz. Przeznaczenie, po pięciuset latach, stworzyło zamek na lodzie, dzięki czemu dwaj studenci mogli być królami. Paul chce powiedzieć, że taki mam do tego stosunek.

– Gdy zobaczysz Gila – mówi, podnosząc z podłogi płaszcz – powiedz mu, że zwalniam pokój prezydenta. Już nie będę go potrzebował.

Myślę o jego zepsutym samochodzie, stojącym na ulicy niedaleko instytutu. Wyobrażam sobie, jak brnie przez śnieg, by znaleźć Curry’ego.

– Lepiej nie wychodź sam. To nie jest bezpieczne... – zaczynam.
Paul jednak zawsze chodzi samotnie. Już jest na korytarzu.

Być może poszedłbym za nim, ale w tym momencie zadzwoniła recepcjonistka ze szpitala, by przekazać wiadomość od Charliego.

– Obudził się i odzyskał przytomność – mówi. – Pytał o ciebie.
Już wkładam czapkę i rękawiczki.

Gdy jestem w połowie drogi do szpitala, śnieg przestaje padać. Na chwilę pokazuje się słońce. Chmury mają kształt naczyń – talerzy, półmisek i waz. Dostrzegam też widelec i łyżkę. W tym momencie uświadamiam sobie, jaki jestem głodny. Mam nadzieję, że Charlie czuje się tak dobrze, jak mówiła pielęgniarka. Chyba dali mu jeść.

Na miejscu zastaję drzwi do pokoju zablokowane przez jedyną osobę bardziej dominującą fizycznie niż Charlie: jego matkę. Pani Freeman wyjaśnia właśnie lekarzowi, że po tym, jak przyjechała tu pierwszym pociągiem z Filadelfii i dowiedziała się w dziekanacie, że Charliemu grozi zawieszenie, i mając za sobą siedemnaście lat praktyki pielęgniarki, nim została nauczycielką nauk przyrodniczych, nie jest w nastroju do słuchania, jak doktor zniża się do niej, by wyjaśnić, co stało się jej synowi. Poznaje go po fartuchu, że to ten sam lekarz, który powiedział Paulowi i mnie, że Charlie jest w stabilnym stanie. Specjalista od szpitalnego języka i uśmiechów z konserwy. Najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że nikt jeszcze nie wymyślił uśmiechu, który mógłby poruszyć tę górę.

Pani Freeman dostrzega mnie, gdy zbliżam się do pokoju Charliego.

– Thomas – mówi.

W obecności pani Freeman zawsze mam poczucie, że obserwuję zjawiska geologiczne, a jeśli nie będę uważał, zostanę zgnieciony. Wie, że mama wychowuje mnie samotnie, a zatem uważa za swój obowiązek jej pomóc.

– Thomas! – powtarza. Nikt poza nią nie odzywa się już do mnie w ten sposób. – Podejdź tutaj!

Zbliżam się o pół kroku.

– W co ty go wciągnąłeś? – pyta.

– Charlie próbował...

– Ostrzegałam cię przed takimi rzeczami, prawda? – mówi pani Freeman, przyciskając mnie do ściany. – Po tych wygłupach na dachu budynku!

Serce dzwonu.

– Pani Freeman, to był jego pomysł...

– Och, nie. Nie chcę tego słyszeć raz jeszcze. Mój Charlie nie jest geniuszem, Thomas. Jego trzeba skusić do złego.

Matki. Można by pomyśleć, że Charlie nie potrafiłby sam zejść na złą drogę. Pani Freeman uważa, że jej synek wpadł w złe towarzystwo. Biorąc pod uwagę, że ja mam tylko matkę, Paul w ogóle nie ma rodziców, a Gil cały szereg szybko zmieniających się członków rodziny, wszyscy razem nie mamy tylu pozytywnych wzorców, ile ma Charlie. Z jakiegoś powodu to ja jestem tym

z widłami, rogami i ogonem. Gdyby tylko знаła prawdę, myślę. Mojżesz też miał rogi.

– Daj mu spokój – słyszymy chrapliwy głos dochodzący z pokoju.

Pani Freeman obraca się jak planeta wokół osi.

– Tom próbował mnie stamtąd wyciągnąć – mówi ciszej Charlie.

Zapada cisza. Pani Freeman patrzy na mnie, jakby mówiła: Nie waż się uśmiechać, nie ma nic chwalebne w tym, że próbowałeś wyciągnąć go z niebezpiecznej sytuacji, w którą sam go wpakowałeś. Gdy jednak Charlie znów chce coś powiedzieć, pani Freeman poleca mi, bym wszedł i porozmawiał z jej synem, nim ten wyczerpie się do końca, krzycząc przez cały pokój. Ona musi pogadać z lekarzem.

– Jeszcze jedno, Thomas – dodaje, nim udaje mi się ją minąć. – Nie podsuwaj mu żadnych pomysłów.

Kiwam głową. Pani Freeman jest jedyną znaną mi nauczycielką, która wymawia słowo „pomysł” tak, jakby było wulgarne.

Charlie leży na szpitalnym łóżku z niskimi metalowymi poręczami po obu stronach. Takie poręcze są zbyt niskie, by zapobiec wypadkowi, gdy wysoki mężczyzna źle sypia, natomiast mają akurat taką wysokość, by salowy mógł przełożyć przez nie kij od szczotki i uniemożliwić pacjentowi wstanie z łóżka. Znam więcej szpitalnych koszmarów niż Szeherazada opowieści i nawet czas nie wyparł ich z mojej pamięci.

– Godziny odwiedzin kończą się za dziesięć minut – obwieszcza pielęgniarka, nie patrząc na zegarek. W jednej ręce trzyma tacę w kształcie nerki, w drugiej szczotkę.

Charlie przygląda się, jak wychodzi.

– Chyba wpadłeś jej w oko – mówi ochrypłym głosem.

Od szyi w górę wygląda nienajgorzej. Ma obtarty obojczyk, ale poza tym wydaje się tylko zmęczony. Najgorzej ucierpiała jego klatka piersiowa. Cały tułów ma owinięty gazą, która znika pod kołdrą naciągniętą do pasa. Tu i ówdzie na powierzchni wydobywa się żółta ropa.

– Możesz zostać, żeby pomóc im zmienić opatrunek – mówi Charlie.

Ma żółte oczy, a koło nosa dostrzegam wilgoć, którą zapewne wytarłby, gdyby mógł to zrobić.

– Jak się czujesz? – pytam.

– A jak wyglądam?

– Całkiem nieźle, biorąc wszystko pod uwagę.

Charlie zdobywa się na uśmiech, po czym próbuje zerknąć w dół. Zdaję sobie sprawę, że on sam dobrze nie wie, co mu się stało. Jest na tyle przytomny, by wiedzieć, że nie powinien ufać własnym zmysłom.

– Ktoś cię jeszcze odwiedził? – pytam.

– Gil nie przyszedł, jeśli o to pytasz – odpowiada po chwili.

– Pytam o kogokolwiek.

– Może nie zauważyłeś mojej matki – uśmiecha się Charlie. – Łatwo jej nie dostrzec.

Spoglądam w stronę drzwi. Pani Freeman nadal rozmawia z lekarzem.

– Nie martw się – uspokaja mnie Charlie, błędnie rozumiejąc moje spojrzenie. – Przyjdzie.

Jednak pielęgniarka z pewnością już dawno zawiadomiła wszystkich, których mogło to interesować, że Charlie odzyskał przytomność. Skoro Gila jeszcze tu nie ma, to najwyraźniej nie zamierza przyjść.

– Hej, chyba nie przejmujesz się tym, co się tam stało? – Charlie zmienia temat.

– Kiedy?

– Wiesz. Tym, co powiedział Taft.

Staram się przypomnieć sobie jego słowa. Tak dawno byliśmy w McCosh Hall. To zapewne ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

– To o twoim ojcu. – Charlie usiłuje zmienić pozycję i krzywi się z bólu.

Wbijam wzrok w poręcz łóżka. Pani Freeman sterroryzowała lekarza do tego stopnia, że prowadzi ją do gabinetu na dłuższą konferencję. Znikają za drzwiami. Teraz korytarz jest pusty.

– Słuchaj – mówi cicho Charlie – nie pozwól, by ktokolwiek mącił ci w głowie.

Cały Charlie. Leży, bliski śmierci, i myśli o moich problemach.

– Cieszę się, że z tobą w porządku.

Wiem, że próbuje zażartować, ale rezygnuje z tego, gdy czuje, jak ściskam jego dłoń.

– Ja też – odpowiada krótko, znowu się uśmiecha, aż wreszcie głośno śmieje. – Niech mnie diabli – mówi, kręcąc głową. Patrzy gdzieś ponad moim ramieniem. – Niech mnie diabli – powtarza.

Wydaje mi się, że znowu traci przytomność. Gdy się jednak odwracam, widzę w drzwiach Gila z bukietem kwiatów.

– Ukradłem z balu – mówi z wahaniem, jakby nie był pewny, jak zostanie przyjęty. – Lepiej więc bądź zadowolony.

– A wino? – chrypi Charlie.

– Dla ciebie szkoda pieniędzy – uśmiecha się z trudem Gil. Podchodzi i podaje Charliemu rękę.

– Pielęgniarka powiedziała, że mamy dwie minuty. Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. Bywało gorzej.

– Wydaje mi się, że przyjechała twoja matka. – Gil wciąż nie wie, co ma mówić.

Charlie zaczyna odpływać, ale jeszcze się uśmiecha.

– Łatwo jej nie zauważyć.

– Mam nadzieję, że dzisiaj się nie wypiszesz? – pyta spokojnie Gil.

– Ze szpitala? – Charlie chyba nie zrozumiał, co Gil miał na myśli.

– Taak.

– Chyba tak – szepcze Charlie. – Jedzenie jest ohydne.

Jego głowa opada na poduszkę. W tym momencie do pokoju wchodzi pielęgniarka, by oznajmić, że czas wizyt minął, a Charlie musi odpocząć.

– Śpij dobrze, wodzu – szepcze Gil i kładzie bukiet na nocnym stoliku.

Charlie go nie słyszy. Śpi, oddychając przez usta.

Gdy wychodzimy, spoglądam na niego jeszcze raz, jak leży owinięty w bandażu, z kroplówką przy łóżku. Przypomina mi to komiksy, które czytałem w dzieciństwie. Medycyna ratuje pokonanego olbrzyma. Miejscowi lekarze zdumieni szybkim powrotem do zdrowia tajemniczego pacjenta. Ciemności zapadają nad Gotham, lecz nagłówki są takie same. Dziś Superman walczył z siłami natury i przeżył, by narzekać na jedzenie.

– Nic mu nie będzie? – pyta Gil, gdy dochodzimy do parkingu dla gości, gdzie stoi tylko jego saab. Maski jest jeszcze na tyle ciepła, że śnieg się topi.

– Myślę, że dojdzie do siebie.

– Klatka piersiowa wygląda dość kiepsko. Nie wiem, jak wygląda rehabilitacja ofiar poparzeń, ale ponowne przyzwyczajanie się do własnej skóry nie może być przyjemne.

– Nie sądziłem, że się pokażesz.

– Żałuję, że nie byłem z wami – wyznaje Gil po chwili wahania.

– Kiedy?

– Przez cały dzień.

– Czy to żart?

– Nie – Gil patrzy na mnie. – O co ci chodzi?

Zatrzymujemy się przy samochodzie. Zdaję sobie sprawę, że jestem na niego zły. A nawet wściekły, że tak trudno mu było odezwać się do Charliego, że tak bardzo bał się go odwiedzić.

– Byłeś tam, gdzie chciałeś być – stwierdzam.

– Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem.

– Nie byłeś z nami.

– Kiedy? Dziś rano?

– Przez cały czas.

– Chryste, Tom...

– Wiesz, dlaczego Charlie leży w szpitalu?

– Ponieważ podjął błędną decyzję.

– Ponieważ próbował pomóc. Nie chciał, żebyśmy poszli do Tafta sami. Nie chciał, by Paulowi coś się stało w tunelu.

– Czego ty ode mnie chcesz, Tom? Przeprosin? *Mea culpa*. Nie mogę rywalizować z Charliem. On już taki jest. Zawsze był.

– To ty zawsze taki byłeś. Wiesz, co dziś powiedziała mi pani Freeman? Od czego zaczęła? Od kradzieży serca dzwonu z Nassau Hall.

Gil przeczesuje palcami włosy.

– Ona uważa, że to ja jestem winny. Zawsze tak myślała. Wiesz dlaczego?

– Bo jej zdaniem Charlie jest święty.

– Bo ona nie może uwierzyć, że jesteś zdolny do czegoś takiego.

– Co z tego?

– Otóż jesteś zdolny do czegoś takiego. Zrobiłeś to.

Mam wrażenie, że Gil nie wie, co powiedzieć.

– Czy przychodzi ci do głowy, że może przed spotkaniem z wami wypilem kilka piw? Być może nie myślałem dostatecznie jasno.

– A może wtedy byłeś inny?

– Tak, Tom. Może byłem.

Zapada milczenie. Na masce saaba zaczyna zbierać się śnieg. W jakiś sposób te słowa są równoznaczne ze spowiedzią.

– Słuchaj – odzywa się Gil – naprawdę bardzo przepraszam.

– Za co?

– Powinienem od razu odwiedzić Charliego. Gdy spotkałem ciebie i Paula.

– Daj już spokój.

– Jestem uparty. Zawsze byłem.

Gil podkreśla słowo „zawsze”, jakby chciał powiedzieć „słuchaj, Tom, pewne rzeczy się nie zmieniają”.

Jednak wszystko się zmienia. W ciągu tygodnia, dnia, godziny. Charlie, później Paul. Teraz, nieoczekiwanie, Gil.

– Nie wiem – mówię.

– Nie wiesz czego?

– Co robiłeś przez cały ten czas. Dlaczego wszystko się zmieniło. Jezu, przecież ja nawet nie wiem, co będziesz robił w przyszłym roku.

Gil wyciąga z kieszeni kluczyki i otwiera drzwiczki.

– Jedźmy – mówi – bo zmarzniemy na śmierć.

Stoimy w śniegu, sami na szpitalnym parkingu. Słońce już niemal całkowicie ześlizgnęło się ze skraju nieba i zrobiło się ciemno. Wszystko ma kolor i fakturę popiołu.

– Wsiadaj – mówi Gil. – Porozmawiajmy.

Rozdział 25

Tego wieczoru poznałem Gila ponownie, po raz pierwszy i zapewne ostatni. Był niemal tak czarujący, jak go pamiętałem: zabawny, zainteresowany, bystry w sprawach ważnych, ironiczny w sprawach bez znaczenia. Pojechaliśmy do domu. Słuchaliśmy Sinatry i rozmowa nie zamierała nawet na chwilę. Nim jeszcze zastanowiłem się, co mam włożyć na bal, wszedłem do sypialni i znalazłem czekający na mnie smoking, uprasowany i idealnie czysty, z kartką przyklejoną do plastikowej torby: „Tom – Jeśli jest za duży, to widocznie się skurczyłeś. – G”. Mimo nawału zajęć, Gil znalazł czas, żeby pojechać z moją marynarką do wypożyczalni i poprosić o smoking tej samej wielkości.

– Ojciec uważa, że powinienem zrobić sobie przerwę – Gil odpowiada na moje wcześniejsze pytanie. – Zobaczyć świat. Europę, Amerykę Południową.

Dziwne jest wspominać kogoś, kogo zna się przez cały czas. To coś innego, niż gdy wraca się do domu z czasów dzieciństwa i dostrzega, jaki wywarł na nas wpływ – wszystkie ściany, jakie później zbudowaliśmy i wszystkie drzwi, które otworzyliśmy, są podobne do tych, widzianych przez nas po raz pierwszy. To raczej jak powrót do domu i spotkanie z matką i siostrą, która jest na tyle stara, że nie urosła od poprzedniego spotkania, a na tyle młoda, że się nie postarzała. Po raz pierwszy zastanawiamy się, jak widzą je inni; myślimy, czy wydawałyby się nam piękne, gdybyśmy ich nie znali,

i co widzieli w nich ojciec i szwagier, gdy oceniali je najczęściej i znali najslabiej.

– A tak szczerze – mówi Gil – to jeszcze się nie zdecydowałem. Nie jestem przekonany, czy mój ojciec to właściwa osoba do udzielania rad. Saab to jego pomysł, i to był błąd. Myślał o tym, czego sam pragnął, gdy był w naszym wieku. Rozmawia ze mną tak, jakbym był kimś innym.

Gil miał rację. Nie jest już studentem pierwszego roku, którego bawi zawieszenie spodni na wieży Nassau Hall. Teraz jest bardziej ostrożny i rozważny. Gdy się na niego patrzy, ma się wrażenie, że jest osobą bywałą w świecie i opanowaną. Jego sposób mówienia i język ciała wyrażają naturalny autorytet, cechę, którą rozwinął w Ivy. Nosi nieco spokojniejsze ubrania, a jego włosy, zawsze dostatecznie długie, by je dostrzegano, teraz nie bywają potargane. To jakaś magiczna sztuczka, ponieważ nigdy nie widać, że Gil był u fryzjera. Nieco przybrał na wadze, nadal jest przystojny, ale wygląda stateczniej. Znikły również afektowane manieryzmy, które przywiózł z Exeter – sygnet na palcu, kolczyk w uchu.

– Przypuszczam, że będę zwlekał do ostatniej chwili. Podejmę decyzję podczas uroczystego rozdania dyplomów, coś spontanicznego, nieoczekiwanego. Może zostanę architektem?

– Może wrócę do żeglarstwa?

Gil również się przebiera. Zdejmuje wełniane spodnie w mojej obecności, nie zdając sobie sprawy, jaki jestem obcy – nigdy go nie poznałem, gdy występował w tej wersji. Prawdopodobnie jestem obcy

samemu sobie – nigdy nie widziałem tego człowieka, na którego Katie czekała całą noc, tego najnowszego modelu mnie samego. Tkwi w tym jakaś zagadka, jakiś paradoks. Żaby, studnie i dziwny przypadek Toma Sullivana, który patrzy w lustro i widzi przeszłość.

– Pewien facet wchodzi do baru – mówi Gil, przypominając stary kawał. – Jest zupełnie nagi. Na jego głowie siedzi kaczor. Barman mówi: „Carl, wyglądasz dzisiaj jakoś inaczej niż zwykle”. Kaczor kręci głową i odpowiada: „Harry, nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedział, co mi się przydarzyło”. Zastanawiam się, dlaczego Gil wybrał ten kawał. Być może przez cały czas chodziło mu o to samo. Wszyscy rozmawialiśmy z nim tak, jakby był kimś innym. Na nasz obraz jego osoby decydujący wpływ wywarł ten saab, i to był błąd. Gil jest kimś nieoczekiwanym, spontanicznym. Architekt, żeglarz, kaczor.

– Wiesz, czego słuchałem tamtego dnia? – pyta. – Po tym, jak rozstałem się z Anną?

– Sinatrę – odpowiadam, ale wiem, że to nieprawda.

– Sambę – oznajmia. – Skakałem po stacjach i trafiłem na WPRB, grali muzykę południowoamerykańską. Instrumentalną, bez śpiewu. Wspaniały rytm. Zdumiewający.

WPRB. Uniwersytecka stacja radiowa, która nadawała *Mesjasza* Haendla, gdy zaczęto przyjmować do Princeton kobiety. Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie, przed dzwonnica Nassau Hall. Wszedł z ciemności, tańcząc rumbę, i powiedział, „Rusz się mały. Tańcz”. Zawsze towarzyszyła mu muzyka, również

jazz, który próbował grać na pianinie, od kiedy się spotkaliśmy. W tej nowej wersji jest jednak sporo elementów starej.

– Wcale za nią nie tęsknię – mówi, po raz pierwszy próbując wciągnąć mnie w swoje sprawy. – Smarowała czymś włosy. Pomadą. Dostała ją od fryzjera. Znasz ten zapach, jaki czuć, gdy ktoś przejedzie odkurzaczem po wykładzinie? Coś gorącego i czystego?

– Oczywiście.

– To tak pachniało. Pewnie suszyła włosy suszarką tak długo, że je przypalała. Za każdym razem, gdy pochylała głowę w moją stronę, miałem ochotę powiedzieć jej, że pachnie jak wykładzina podłogowa.

Teraz Gil wędruje we wszystkie strony, kierując się swobodnymi skojarzeniami.

– Wiesz, kto jeszcze tak pachniał? – pyta.

– Kto?

– Przypomnij sobie. Byliśmy na pierwszym roku. Gorący i czysty zapach. Natychmiast przypomina mi się kominek w Rockefeller.

– Lana McKnight – mówię.

Gil potakuje.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, jakim cudem tak długo wytrzymaliście razem. To był dziwny związek. Charlie i ja zakładaliśmy się, kiedy zerwiecie.

– Mówił, że lubił Lane.

– Pamiętasz tę dziewczynę, z którą spotykał się na drugim roku?

– Gil już myśli o czymś innym.

– Charlie?

– Miała chyba na imię Sharon, pamiętasz?

– Ta z każdym okiem innego koloru?

– Tak. Miała wspaniale pachnące włosy. Pamiętam, jak siedziała u nas i czekała na Charliego. Cały pokój pachniał jak kosmetyki mojej matki. Nie wiem, co to było, ale bardzo je lubiłem.

Gil dotychczas wspominał tylko o swoich macochach, nigdy o matce. Teraz zdradzają go uczucia.

– Wiesz, dlaczego zerwali? – pyta.

– Ona go rzuciła.

Gil kręci głową.

– On miał dość sprzątanania po niej. Zostawiała w naszym pokoju różne rzeczy – swetry, torebki, cokolwiek – a Charlie musiał je odnosić. Nie mógł zrozumieć, że to był celowy manewr. Dawała mu powody, by odwiedził ją nocą, a Charlie myślał, że jest zwykłą bałaganiarą.

Męcę się z muszką, usiłując zawiązać ją pod kołnierzykiem koszuli. Pocziwy, stary Charlie. Czystość jest siostrą bogobojności.

– To nie ona z nim zerwała – kontynuuje Gil. – Dziewczyny, które zakochują się w Charliem, nigdy tego nie robią. To on zawsze zrywa.

W jego głosie słyhać delikatną sugestię, że ten fakt warto zapamiętać – tendencja do szukania wad u innych jest ważną cechą charakteru Charliego. Zupełnie jakby to ułatwiało wyjaśnienie problemów między nimi.

– Charlie jest w porządku – reflektuje się Gil i nie wdaje się w dalsze rozważania.

Przez chwilę w pokoju panuje cisza, słycać tylko szelest materiału. Rozwiązuję muszkę i zaczynam ją wiązać od początku. Gil siada na łóżku i przeczesuje palcami włosy. Nabrał tego nawyku, gdy miał dłuższe. Jego ręce jeszcze nie dostosowały się do zmiany.

W końcu wiążę muszkę. Węzeł przypomina orzech włoski ze skrzydełkami. Patrzę w lustro i uznaję, że może tak zostać. Wkładam smoking. Pasuje idealnie, nawet lepiej niż moja marynarka.

Gil siedzi w milczeniu, przyglądają się swojemu odbiciu w lustrze, jakby to był obraz. Oto doszliśmy do końca jego prezydentury. To jego pożegnanie z Ivy. Jutro klubem będą już rządzili nowi ludzie, którzy jemu zawdzięczają sukces w procesie selekcji, a Gil stanie się widmem we własnym domu. Najlepsza część jego życia w Princeton dobiega końca.

– Hej – mówię, wchodząc do jego sypialni. – Postaraj się dziś dobrze bawić.

Gil sprawia wrażenie, jakby mnie nie słyszał. Podłącza komórkę do ładowarki i przez chwilę przygląda się pulsującemu światełku.

– Żałuję, że tak to się potoczyło – wzdycha.

– Charliemu nic nie będzie – zapewniam go.

Gil nie odpowiada, tylko wpatruje się w szkatułkę na biżuterię – niewielkie drewniane pudełko, w którym trzyma swoje kosztowności. Przejeżdża dłonią po wieczku, by usunąć kilka pyłków. W należącej do Charliego połowie pokoju wszystko jest stare, ale w nienagannym

porządku. Para butów do biegania sprzed dwóch lat stoi na brzegu szafy, sznurowadła są włożone do środka. Nowe buty Charlie wkłada tylko w weekendy, bo jeszcze nie dopasowały się do jego stopy. Natomiast połowa Gila sprawia wrażenie, jakby nikt tu nie mieszkał – wszystko jest jednocześnie nowe i zakurzone. Gil wyciąga z pudełka srebrny zegarek, który zakłada na specjalne okazje. Wskazówki są nieruchome, więc delikatnie potrząsa kopertą, by go nakręcić.

– Która godzina? – pyta.

Pokazuję mu tarczę zegarka. Gil nastawia swój.

Na zewnątrz robi się już ciemno. Gil bierze klucze i komórkę.

– Ulubione wspomnienie ojca z Princeton to bal Ivy na czwartym roku – mówi. – Zawsze o tym opowiada.

Myślę o Richardzie Currym i historiach, jakie opowiadał Paulowi o Ivy.

„Powiedział, że to było jak spełnienie wszystkich marzeń”.

Gil przysuwa zegarek do ucha. Przysłuchuje się tykaniu, jakby to był jakiś cud, szum oceanu zamknięty w muszli.

– Gotowy? – pyta, zapinając bransoletkę na przegubie. Przygląda mi się uważnie, sprawdzając krój smokinga.

– Nieźle wyglądasz – mówi. – Myślę, że będzie zadowolona.

– Ty jesteś gotowy?

Gil poprawia marynarkę i kiwa głową.

– Nie sądzę, bym opowiadał dzieciom o tym wieczorze. Ale tak, jestem gotowy.

Przed zamknięciem drzwi na klucz obaj spoglądamy jeszcze do środka. Po wyłączeniu światła w pokoju panuje półmrok. Gdy po raz ostatni patrzę przez okno na księżyc, oczami wyobraźni widzę, jak Paul brnie przez śnieg w zimowej kurtce, tak bardzo samotny.

Gil spogląda na zegarek.

– Będziemy punktualnie.

Idziemy, w czarnych smokingach i czarnych półbutach, do czekającego w ciemnym śniegu saaba.

Bal kostiumowy – zapowiedział mi Gil. I rzeczywiście. Gdy docieramy na miejsce, przekonuję się, że klub wygląda wspaniale i przyciąga uwagę wszystkich na Prospect Avenue. Wokół muru z cegieł otaczającego budynek wznoszą się wysokie pryzmy śniegu, ale podjazd do frontowego wejścia został oczyszczony i wysypany czarnym żwirem. Z czterech okien w wykuszach na fasadzie zwisają długie pasma materii koloru zielonego bluszczu, z namalowanymi złotymi filarami.

Gil parkuje na swoim miejscu. Widzimy, jak członkowie klubu i zaproszeni goście parami zmierzają do wejścia po półkolistym podjeździe, zachowując stosowne odstępy, by nie zepsuć innym efektownego *entrée*. Studenci czwartego roku przychodzą ostatni, bo zgodnie ze zwyczajem najcieplej witani są ci, którzy kończą studia, wyjaśnia mi Gil i gasi reflektory.

W klubie jest już pełno ludzi. W powietrzu czuć zapach rozgrzanych ciał, alkoholu i jedzenia. Wszędzie widać nieustannie

zmieniające się kółka znajomych. Gila witają oklaski i okrzyki. Stojący na parterze studenci drugiego i trzeciego roku odwracają się do drzwi, by go pozdrowić. Niektórzy głośno wykrzykują jego imię i przez chwilę wydaje się, że to jeszcze może być taka noc, jakiej pragnął, taka, jaką wspominał jego ojciec.

– No, starczy – mówi do mnie, gdy oklaski trwają zbyt długo.

Przyglądam się wystrojowi klubu. Wnętrze uległo całkowitej przemianie. Praca, jaką wykonał Gil, niezliczone sprawy do załatwienia, rozmowy z kwiaciarzami i dostawcami jedzenia, teraz już nie wyglądają na wymówkę, by wyjść, gdy działo się coś nieprzyjemnego. Wszystko się zmieniło. Wyniesiono stoły i fotele. W rogach frontowej sali stoją stoły w kształcie ćwiartki koła, nakryte jedwabnymi, ciemnozielonymi obrusami i zastawione porcelanowymi półmiskami z jedzeniem. Po prawej stronie znajduje się bar z napojami. Za stolikami i barem stoją kelnerzy w białych rękawiczkach. Wszędzie rozstawione są kwiaty, ale bez śladu koloru: wyłącznie białe lilie, czarne storczyki i jeszcze jakieś, których nigdy wcześniej nie widziałem. Czarne smokingi i długie wieczorowe suknie odwracają uwagę od ciemnych, dębowych boazerii.

– Proszę pana? – podchodzi do nas kelner w białej muszce. Nie wiem, skąd się wziął. Podsuwa tacę z kanapkami i słodyczami. – Jagnięcina – wskazuje na pierwszą – i biała czekolada – dodaje, unosząc nieco drugą.

– Poczęstuj się – zachęca Gil.

Sięgam po kanapkę i natychmiast przypominam sobie o wszystkich opuszczonych dziś posiłkach oraz marzeniach o jedzeniu w szpitalu. Gdy w pobliżu pojawia się kelner z tacą zastawioną wysokimi kieliszkami z szampanem, wyciągam do niego rękę. Bąbelki idą mi prosto do głowy i ułatwiają odpędzenie myśli o Paulu.

W tym momencie w przedpokoju sali jadalnej zaczyna grać kwartet. Zwykle stały tam wysłużone krzesła. W jeden róg wciśnięto fortepian, w drugi perkusję, a między nimi zostało jeszcze dość miejsca dla dwóch gitarzystów. Na razie grają rockowe i bluesowe standardy. Później, jeśli Gil postawi na swoim, zmienią repertuar na jazz.

– Zaraz wracam – mówi Gil i nagle mnie zostawia. Idzie w stronę schodów. Co chwila ktoś go zatrzymuje, by powiedzieć coś miłego, uśmiechnąć się i uścisnąć mu dłoń. Niektórzy go obejmują i ściskają. Widzę, jak Donald Morgan kładzie mu rękę na ramieniu – to szczere gratulacje człowieka, który wie, że będzie królem. Studentki drugiego roku, już pod wpływem alkoholu, patrzą na niego zamglonymi oczami, czując wzruszenie z powodu straty, jaką będzie dla klubu odejście Gila, a tak naprawdę będzie to strata dla nich. To on jest bohaterem wieczoru, jednocześnie honorowym gościem i gospodarzem. Gdzie się nie ruszy, zawsze ma towarzystwo. A jednak, gdy nie ma przy nim ani Brooksa, ani Anny, ani nikogo z nas, Gil wydaje się samotny.

– Tom! – słyszę za plecami głos Katie.

Odwracam się. Powietrze koncentruje się w jeden zapach, ten sam, jakiego musiały używać matka Gila i dziewczyna Charliego, ponieważ tak samo działa na mnie. Jeśli wyobrażałem sobie, że najbardziej lubię Katie w zwykłych łąkach, ze spiętymi włosami i koszulą wyrzuconą na spodnie, to byłem głupcem. Stoi przede mną w czarnej sukni z dekoltem, z rozpuszczonymi włosami i jej widok mnie zatyka.

– Ach!

Katie strzepuje coś z kłapy mojego smokingu. Okazuje się, że to płatek śniegu, który jakoś przetrwał od chwili wejścia.

– Też mogłabym to powiedzieć – mówi.

W jej głosie jest coś niezwykłego, jakaś serdeczność.

– Gdzie Gil? – pyta.

– Poszedł na górę.

Obok nas przechodzi kelner. Katie sięga po dwa kieliszki szampana.

– Na zdrowie – mówi, podając mi jeden. – Kim zatem jesteś?

Nie jestem pewny, co ma na myśli.

– Twój kostium. Za kogo się przebrałeś? Gil znów się pojawia.

– Cześć – wita go Katie. – Dawno cię nie widziałam. Gil przygląda się nam, po czym uśmiecha niczym dumny ojciec.

– Pięknie oboje wyglądacie. Katie się śmieje.

– A ty za kogo się przebrałeś? – pyta go.

Gil fantazyjnym gestem odsuwa na bok połę smokingu. Dopiero teraz dostrzegam, po co poszedł na górę. Przez jego tułów, od lewej

strony ku prawemu biodru, zwisa skórzany pas z olstrami. Z olstrów wystaje kolba pistoletu, ozdobiona macią perłową.

– Aaron Burr – mówi. – Rocznik tysiąc siedemset siedemdziesiąt dwa.

– Efektowne – chwali Katie, przyglądając się perłowej kolbie.

– Co to ma być? – pytam gwałtownie.

– Mój kostium. – Gil wydaje się zdziwiony moją reakcją. – Burr postrzelił Hamiltona w pojedynku.

Kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi na podest między parterem i pierwszym piętrzem.

– Widzisz te broszki, które ma Jamie Ness? – wskazuje na studenta czwartego roku z muszką wyszywaną w klucze nutowe.

Z tej odległości widzę tylko brązowy owal i czarną kropkę.

– Piłka futbolowa i krążek hokejowy – wyjaśnia Gil. – Jamie to Hobey Baker, członek Ivy z tysiąc dziewięćset czternastego roku, jedyny student w historii Princeton, który trafił na listy najświetniejszych graczy w futbol i hokej. Hobby należał również do klubowego chóru, dlatego Jamie ma na muszce nuty.

Teraz Gil wskazuje wysokiego, jaskraworudego studenta.

– Chris Bentham, tam obok Douga. To James Madison, rocznik tysiąc siedemset siedemdziesiąt jeden. Możesz poznać po guzikach koszuli. Najwyższy to pieczęć Princeton – Madison był pierwszym prezesem stowarzyszenia absolwentów. Czwarty jest ozdobiony amerykańską flagą...

Gil mówi nieco mechanicznie, udając przewodnika wycieczki, jakby recytował przygotowane formułki.

– Po prostu wymyśl, co to za kostium – wtrąca Katie, stojąc na dole schodów.

Patrzę na nią. Z tego miejsca mogę jeszcze lepiej ocenić, jak pasuje do swojej sukni.

– Och, słuchajcie – mówi Gil, patrząc na coś za plecami Katie. – Muszę się czymś zająć. Dacie sobie przez chwilę radę sami?

Brooks, stojąc przy barze z napojami, wskazuje Gilowi jednego z kelnerów, który ciężko opiera się o ścianę.

– Jeden z kelnerów się upił – stwierdza Gil.

– Nie musisz się śpieszyć – wtrącam. Z tej wysokości szyja Katie wydaje się nieprawdopodobnie smukła, jak łodyga słonecznika.

– Jeśli będziecie czegoś potrzebowali – dodaje Gil – od razu mi powiedzcie.

Schodzimy razem po schodach. Zespół gra Duke'a Ellingtona, słysząc, jak dzwonią kieliszki z szampanem, Katie ma usta pomalowane na czerwono – to kolor pocałunku.

– Chcesz zatańczyć? – pytam, gdy już jesteśmy na dole.

Katie uśmiecha się i podaje mi rękę.

Listen... rails a-thrumming... on the „A” train.

Na dole Gil i ja idziemy każdy w swoją stronę.

Rozdział 26

Na parkiecie jest dobre pięć stopni cieplej niż gdzie indziej w klubie. Pary mieszają się i kręcą w ścisku, to prawdziwy pas planetoid tancerzy, ale mimo to od razu czuję się swobodnie. Od naszego pierwszego spotkania w Ivy Katie i ja dużo się ruszaliśmy w takt muzyki. W każdy weekend kluby na Prospect Avenue wynajmują zespoły muzyczne, grające najróżniejsze rodzaje muzyki, więc każdy może znaleźć coś, co lubi. W ciągu zaledwie kilku miesięcy przećwiczyliśmy różne tańce, od klasyki do południowoamerykańskich. Katie ma za sobą dziewięć lat baletu, dlatego wdziękiem i elegancją jej ruchów można byłoby obdzielić czterech tancerzy. To oznacza, że razem nie spadamy poniżej średniego poziomu innych par. Dzięki jej miłosiernym wysiłkom zrobiłem ogromne postępy. Pod wpływem szampana stopniowo nabieramy śmiałości. Raz udało mi się przegiąć ją do tyłu i nie upaść. Katie robi wyrzucany piruet w powietrzu, nie powodując szkód. Wkrótce szalejemy na parkiecie.

– Postanowiłem już, kim jestem – mówię, przyciągając ją do siebie.

Kontakt między nami jest wspaniały. Widzę, jak przy każdym oddechu zaciska się rowek między jej piersiami.

– Kim?

Oboje ciężko dyszymy. Na jej czole pojawiają się kropelki potu.

– F. Scott Fitzgerald.

Katie kręci z uśmiechem głową. Przesuwa językiem po wargach.

– Nie możesz – mówi. – Scott Fitzgerald jest zakazany.

Oboje mówimy głośno, przysuwając usta do uszu, by przekrzyczeć muzykę.

– Dlaczego? – pytam. W ustach czuję kilka pasemek jej włosów. Jej kark pachnie perfumami, tak jak w ciemni. Ciągłość między tymi zdarzeniami – pewność, że jesteśmy tymi samymi ludźmi, tyle że inaczej ubranymi – jest przekonująca.

– Bo był członkiem Cottage – wyjaśnia Katie. – To byłaby blasfemia.

– Do której to będzie trwać? – pytam z uśmiechem.

– Bal? Do początku nabożeństwa.

Dopiero po chwili przypominam sobie, że jutro jest Wielkanoc.

– Czyli do północy?

– Tak – potakuje Katie. – Kelly i inni martwią się, ile osób pojawi się w kaplicy.

Niemal jak na sygnał, przy kolejnym obrocie widzimy Kelly Danner, która wskazuje palcem jakiegoś studenta drugiego roku w efektownej kamizelce. To gest czarownicy, zmieniającej księcia w ropuchę. Potężna Kelly Danner, kobieta, z którą nawet Gil woli nie zadzierać.

– Zmuszą wszystkich do pójścia? – mówię. Nawet Kelly miałaby trudności z realizacją tego pomysłu.

Katie kręci głową.

– Nikogo nie zmuszą. Zamkną klub i zasugerują, by udać się do kaplicy.

Gdy Katie mówi o Kelly, w jej głosie słyszę napięcie, dlatego wolę nie naciskać. Obserwując tańczące pary, nie mogę powstrzymać się od myślenia o Paulu, który zawsze wydawał się tu samotny.

W tym momencie rytm balu zostaje zaburzony wskutek przybycia ostatniej pary. Parker Hassett i jego partnerka pojawiają się tak późno, by wszyscy zwrócili na nich uwagę. Zgodnie z zapowiedzią Parker ufarbował włosy na brązowo, jest uczesany z przedziałkiem po lewej, ma na sobie smoking, białą kamizelkę i białą muszkę, jak prezydent podczas inauguracji. Rzeczywiście jest podobny do Johna Kennedy'ego. Jego dziewczyna, jak zawsze efektowna Veronica Terry, również dotrzymała słowa. Ma platynowe włosy, cukierkowaty makijaż i suknię, która rozdyma się na boki i do góry nawet bez podmuchu powietrza z tunelu metra. Jest podobna do Marilyn Monroe jak dwie krople wody. Bal kostiumowy się rozpoczął. W sali pełnej przebierańców ta para zasłużyła na koronę.

Mimo to Parkera spotyka lodowate przyjęcie. Zapada cisza, potem rozlegają się syknięcia. Tylko Gil, stojąc na podeście schodów, jest w stanie uspokoić obecnych. Wyczuwam, że to on miał pojawić się ostatni, a tymczasem Parker pojawił się w przebraniu prezydenta na balu prezydenta.

Pod wpływem Gila temperatura w sali nieco opada. Parker szybko podchodzi do baru, bierze dwa kieliszki wina, po czym, nie odstawiając wina, prowadzi Veronicę na parkiet. Idzie śmiało, jego

zachowanie w żaden sposób nie zdradza, by zdawał sobie sprawę, że jest najbardziej nie lubianym członkiem klubu. Gdy przechodzi obok nas, pojmuję, jak mu się to udało. Parker jest pijany, ciągną się za nim opary licznych koktajli.

Katie przysuwa się bliżej mnie, ale nie przypisuję temu żadnego znaczenia, dopóki nie dostrzegam, jakie wymieniają spojrzenia. Parker rzuca jej wymowne spojrzenie, bezczelne i z seksualnym podtekstem. Katie ciągnie mnie za rękę, żebyśmy zeszli z parkietu.

– O co chodzi? – pytam, gdy on już nie może nas usłyszeć.

Zespół gra Marvina Gaye'a, gitary rzepołą, perkusja grzmi. To lejtmotyw wielkiego wejścia Parkera. John Kennedy i Marilyn Monroe kręcą biodrami na parkiecie, produkując dziwny spektakl historyczny. Wszystkie pary usuwają się, by zrobić im miejsce – to kwarantanna otaczająca trędowatych.

Katie jest zdenerwowana. Cała magia tańca nagle wyparowała.

– To chuj – mówi.

– Co takiego zrobił?

Nagle wszystko wychodzi na jaw: nie byłem na miejscu, by dowiedzieć się o tym od razu, a Katie zamierzała mi o tym powiedzieć dopiero później.

– Parker próbował zaciągnąć mnie na piętro podczas selekcji. Powiedział, że będzie głosował przeciw mnie, jeśli nie zatańczę dla niego tańca brzucha. Teraz uważa, że to był świetny kawał.

Stoimy na środku głównej sali. Widzimy stąd, jak Parker tańczy, trzymając dłonie na biodrach Veroniki.

– Skurwysyn. Co zrobiłaś?

– Powiedziała Gilowi. – Katie spogląda w kierunku schodów, gdzie Gil rozmawia z dwiema studentkami z drugiego roku.

– To wszystko?

Spodziewam się, że Katie wspomni o Donaldzie, by przypomnieć mi, gdzie było moje miejsce, ale to nazwisko nie pada.

– Tak – mówi. – Gil wykluczył Parkera z głosowania.

Katie chce mi powiedzieć, żebym dał spokój, że nie chciała, bym dowiedział się o tym w ten sposób. Przeżyła już z tego powodu dostatecznie dużo przykrości. Mnie jednak ogarnia coraz większa wściekłość.

– Powiem coś Parkerowi – zapowiadam.

– Nie, Tom. Nie dzisiaj – zdecydowanie protestuje Katie.

– Nie pozwolą, żeby on...

– Słuchaj – przerywa mi. – Daj spokój. Nie możemy pozwolić, by zepsuł nam wspólny wieczór.

– Chciałem tylko...

– Wiem. – Katie kładzie mi palec na ustach. – Chodźmy gdzieś indziej.

Rozgląda się, ale wszędzie widać smokingi, czarne suknie, kelnerów ze srebrnymi tacami, zewsząd dochodzą odgłosy rozmów. Oto magia Ivy. Nigdy nic można być tu samemu.

– Może Gil da nam klucz do pokoju prezydenta?

– Spyta go – odpowiada Katie.

Zwracam uwagę, z jakim zaufaniem Katie mówi o Gilu. Gil zachowywał się wobec niej przyzwoicie, nawet bardziej niż przyzwoicie, być może nawet o tym nie myśląc. To do niego zwróciła się w sprawie Parkera, gdy ja zniknąłem z horyzontu. Nawet, gdy chodzi o jakiś drobiazg, to on jest pierwszą osobą, o jakiej myśli. Zapewne ma dla niej znaczenie, że często rozmawiają przy śniadaniu, nawet jeśli Gil niemal natychmiast o tym zapomina. Gil był dla niej starszym bratem, tak jak dla mnie na pierwszym roku. Wszystko, co dobre dla niego, jest dostatecznie dobre dla nas obojga.

– Nie ma problemu – zapewniają Gil. – Tam nikogo nie będzie.

Idę za nią na dół, obserwując, jak pod suknią przesuwiają się jej mięśnie, jak porusza nogami przy każdym kroku.

Po zapaleniu światła widzę pokój, w którym Paul i ja spędziliśmy tyle nocy. Tu nic się nie zmieniło, przygotowania do balu nie dotknęły pokoju prezydenta. Notatki, rysunki i książki tworzą łańcuchy górskie, przecinające cały pokój, a najwyższe szczyty są tak wysokie, jak my.

– Tu nie jest tak gorąco – mówię, by przerwać ciszę.

Chyba przykręcili termostat, by nie przegrzać pomieszczeń na parterze.

Katie się rozgląda. Z gzymsu kominka i ze ścian zwisają przyklejone notatki Paula. Ze wszystkich stron otacza nas Colonna.

– Może nie powinniśmy byli tu przychodzić – mówi.

Nie jestem pewny, czy martwi się, że wtrącamy się w sprawy Paula, czy tym, że Paul wtrąci się w nasze. Gdy tak stoimy,

rozglądając się po pokoju, dystans między nami ciągle narasta. To nie jest miejsce, jakiego potrzebowaliśmy.

– Słyszałaś kiedyś o kocie Schrodingera? – mówię wreszcie, bo to jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy, żeby wyrazić swoje uczucia.

– Na filozofii?

– Gdziekolwiek.

Podczas jedyne go kursu fizyki, jaki zaliczyłem, profesor mówił o kocie Schrodingera jako problemie w mechanice kwantowej, gdy większość z nas miała kłopoty z pojęciem prawa Coulomba. Kot jest zamknięty w pudle z fiolką cyjanku; dostanie zastrzyk tylko wtedy, gdy zadziała licznik Geigera. Jeśli dobrze rozumiem, problem polega na tym, że przed otwarciem pudła nie można w żaden sposób powiedzieć, czy kot żyje, czy jest martwy. Przedtem, zgodnie z regułami prawdopodobieństwa, trzeba przyjąć, że w pudle znajduje się pewna kombinacja kota martwego i kota żywego.

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Mam wrażenie, że teraz kot nie jest ani żywy, ani martwy – mówię. – Nie ma go.

Katie zastanawia się, do czego zmierzam.

– Chcesz otworzyć pudło? – mówi w końcu, siadając na stole.

Kiwam głową, opierając się o blat obok niej. Wielka, dębowa płyta w ciszy znosi nasz ciężar. Nie wiem, jak jej powiedzieć, o czym jeszcze myślę: każde z nas oddzielnie jest uczonym na zewnątrz pudła, razem jesteśmy kotem w środku.

Zamiast odpowiedzieć, Katie przesuwa palcem po mojej skroni, odgarniając mi włosy za ucho, jakbym powiedział coś szczególnie miłego. Być może wie już, jak rozwiązać moją zagadkę. Jesteśmy więksi od pudła Schrodingera. Jak każdy porządny kot, mamy dziewięć żywotów.

– Czy w Ohio też pada tyle śniegu? – pyta, świadomie zmieniając temat. Na dworze znów rozszalała się zadymka. Cała nasza zima została skoncentrowana w jednej zamieci.

– Nie w kwietniu.

– Podobnie w New Hampshire – mówi Katie.

Siedzimy obok siebie w odległości paru centymetrów. Rozumiem, co próbuje osiągnąć, dokąd chce mnie przenieść. Wszędzie, byle nie tutaj. Zawsze chciałem więcej wiedzieć – jak wyglądało jej życie w domu, jak zachowywała się jej rodzina podczas posiłków. Północna część Nowej Anglii to dla mnie amerykańskie Alpy, szczyty i bernardyny z baryłkami przy obroży.

– Zwykle bawiłam się w śniegu z młodszą siostrą – mówi Katie.

– Z Mary?

– Tak. Każdego roku, gdy zamarzał staw niedaleko naszego domu, chodziłyśmy wybijać dziury w lodzie.

– Po co?

– Żeby ryby miały czym oddychać – wyjaśnia z uśmiechem. Jest piękna.

Po schodach przechodzą członkowie klubu, poruszające się paczki ciepła.

– Brałyśmy kije od szczotki i robiłyśmy dziury w lodzie na stawie – wspomina Katie. – Zupełnie jakbyśmy dziurawiły pokrywę słoika.

– Dla świetlików.

– Tak. – Katie kładzie rękę na mojej dłoni. – Łyżwiarze nas nienawidzili.

– Moje siostry zabierały mnie na sanki – mówię.

Oczy Katie się świecą. Pamięta, że ma nade mną przewagę: ona jest starszą siostrą, ja młodszym bratem.

– W Columbus nie ma wielu wzgórz. Zawsze chodziliśmy na to samo.

– A one wciągały cię na górę na sankach?

– Już ci o tym opowiadałem?

– Tak robią wszystkie starsze siostry.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak Katie ciągnie sanki pod górę. Moje siostry były silne jak psy pociągowe.

– Opowiadałem ci o Dicku Mayfieldzie? – pytam.

– O kim?

– To facet, z którym spotykała się moja siostra.

– No i co?

– Sarah nie pozwalała mi rozmawiać przez telefon, gdy Dick miał zadzwonić.

Katie wyczuwa szpilkę. Tak robią starsze siostry.

– Nie sądzę, by Dick Mayfield miał mój numer – odpowiada z uśmiechem, splatając palce z moimi.

Nieuchronnie przypominam sobie, jak splata palce Paul.

– Dick miał numer siostry – mówię. – Wystarczyło, że jeździł starym, czerwonym camaro z płomieniami wymalowanymi na bokach.

Katie kręci głową z dezaprobatą.

– Ogier Dick ze swoją maszyną-przynętą na kurczaki – ciągnę. – Powiedziałem to kiedyś wieczorem, gdy przyjechał i mama kazała mi iść spać bez kolacji.

Dick Mayfield, przywołany niczym duch. Nazywał mnie Maleńki Tom. Kiedyś zabrał mnie na przejażdżkę swoim camaro. Powiedział mi wtedy w sekrecie: „Nie ma znaczenia, jaki jesteś mały. Liczy się tylko ogień w twoim motorze”.

– Mary chodziła z facetem, który jeździł mustangiem z sześćdziesiątego czwartego roku. Spytałam ją kiedyś, czy robią coś na tylnym siedzeniu. Powiedziała, że nie, bo tamten boi się, że zabrudzą samochód.

Sublimacja opowieści seksualnych w opowieści o samochodach. Sposób na rozmawianie o wszystkim i o niczym.

– Moja pierwsza dziewczyna miała volkswagena, który kiedyś został zalany – przypominam sobie. – Tylnie siedzenie śmierdziało jak *sushi*. Nie było to odpowiednie miejsce.

– Twoja pierwsza dziewczyna miała prawo jazdy? – dziwi się Katie.

Poniewczasie orientuję się, co zdradziłem.

– Miałem dziewięć lat, a ona siedemnaście – odpowiadam zmieszany.

Katie wybucha śmiechem, po czym oboje milkniemy. Mam wrażenie, że wreszcie nadeszła odpowiednia chwila.

– Powiedziałem Paulowi – informuję Katie.

Katie podnosi wzrok.

– Przestałem zajmować się *Hypnerotomachią*.

Katie nie odpowiada. Unosi dłonie i rozciera nimi ramiona, by się rozgrzać. Po tylu sygnałach i tylu dotknięciach dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że jest jej zimno.

– Chcesz moją marynarkę? – pytam.

– Mam gęsią skórkę – odpowiada, kiwając głową. Automatycznie spoglądam na jej ramiona, pokryte drobnymi wypukłościami. Jej piersi są blade jak tancerki z porcelany.

– Proszę. – Zdejmuję smoking i zarzucam go na jej plecy.

Prawą ręką przez ułamek sekundy muskam jej ramię, ale Katie unosi rękę i przytrzymuje moją dłoń. Wiszę nad nią zgięty w pół i czekam, a ona przysuwa się do mnie. Znów czuję, jak z jej włosów unosi się zapach perfum. To jest jej odpowiedź. Odchyła głowę. Sięgam pod smoking, w ciemną przestrzeń, gdzie zwisa z jej ramion, i kładę rękę na jej talii. Czuję, jak moje palce zatrzymują się na szorstkim materiale sukni – tarcie mnie zaskakuje. Bez wysiłku przyciągam ją do siebie. Pasma włosów spada na jej twarz, ale Katie go nie odgarnia. Tuż poniżej jej wargi widzę maleńką plamkę szminki, dostrzegalną tylko z tak małej odległości, na jaką, ku

własnemu zdziwieniu, zbliżyłem się do niej. Po chwili Katie jest już zbyt blisko, bym mógł skupić wzrok na czymkolwiek, czuję ciepło na wargach i dotyk jej ust.

Rozdział 27

Całujemy się coraz namiętniej, lecz nagle słyszę, jak ktoś otwiera drzwi. Już mam warknąć na intruza, gdy orientuję się, że przed nami stoi Paul.

– Co się dzieje? – pytam, odsuwając się od Katie.

Paul rozgląda się po pokoju, wyraźnie zaskoczony.

– Vincent został ponownie zabrany na przesłuchanie – mówi wreszcie. Oboje, Katie i on, są w równym stopniu zaszokowani tym nieoczekiwanym spotkaniem.

– Kiedy? – Mam nadzieję, że dobiorą mu się do skóry.

– Godzinę temu, może dwie. Właśnie rozmawiałem z Timem Stone'em w instytucie.

Zapada niezręczna cisza.

– Znalazłeś Curry'ego? – pytam, ścierając szminkę z ust.

Paul nie odpowiada. W ciszy powtarzamy naszą kłótnię na temat *Hypnerotomachii* i celów, jakie sobie postawiłem.

– Przyszedłem porozmawiać z Gilem. – Paul ucina rozmowę.

Katie i ja przyglądamy się, jak podchodzi do biurka, zbiera stare rysunki krypty, które sporządzał od miesiący, po czym znika za drzwiami równie nagle, jak się pojawił. W powietrzu wirują kartki, uniesione z podłogi przez podmuch wywołany szybkim ruchem drzwi.

Katie wstaje z biurka. Mam wrażenie, że czytam w jej myślach. Od tej książki nie można uciec. Żadna decyzja, jaką podejmę, nie spowoduje, że naprawdę się od niej oderwę. Nawet tutaj, w Ivy, gdzie,

jak sądziła, powinniśmy się od niej uwolnić, *Hypnerotomachia* jest wszędzie – na ścianach, w powietrzu, atakuje nas wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy.

Jednak, ku mojemu zdziwieniu, Katie myśli o informacjach, jakie przekazał nam Paul.

– Chodź – mówi energicznie. – Muszę znaleźć Sam.

Jeśli Taft został aresztowany, to ona musi zmienić nagłówek.

Na górze, w głównej sali, widzimy z daleka, jak Paul i Gil rozmawiają w kącie. Wszyscy przycichli i wpatrują się w klubowego pustelnika, który nieoczekiwanie pojawił się na balu.

– Gdzie jest Sam? – Katie usiłuje dowiedzieć się tego od jej chłopaka.

Jestem zbyt zaskoczony, by się skupić. Przez dwa lata wyobrażałem sobie, że Paul jest ofiarą nieustannych dowcipów członków Ivy, osobliwością zamkniętą w piwnicy. Teraz jednak wszyscy zachowują się tak, jakby ożył ktoś ze starych portretów. Paul wydaje się zdesperowany, a jeśli zdaje sobie sprawę, że wszyscy go obserwują, to w żaden sposób tego nie zdradza. Podchodzę bliżej, żeby usłyszeć, co mówią. Widzę, jak Paul podaje Gilowi dobrze mi znany złożony arkusz papieru. Mapa z lokalizacją krypty Colony.

Obaj odwracają się w stronę drzwi. Wszyscy patrzą, jak Gil wychodzi z sali. Pierwsi orientują się w sytuacji najstarsi studenci. Członkowie zarządu klubu po kolei zaczynają bębnić palcami o stoły, poręcze i boazerie. Zaczyna wiceprezydent Brooks, dołącza do niego skarbnik Carter Simmons, a po chwili bębnienie dochodzi już ze

wszystkich stron. To pożegnanie. Parker, nadal na parkiecie, znów próbuje się wyróżnić, waląc głośniejszym niż wszyscy. Za późno. Wyjście Gila, podobnie jak pojawienie się, następuje w dokładnie wyznaczonej chwili, ze ścisłą precyzją tanecznej figury, wykonywanej tylko raz. Gdy hałas przycicha, idę za Paulem i Gilem.

– Musimy zawieźć Paula do domu Tafta – mówi Gil, gdy wreszcie znajduję ich w pokoju zarządu.

– Co takiego?

– Tam jest coś, czego Paul potrzebuje. Plan.

– Chcecie jechać tam teraz?

– Taft jest na policji – wyjaśnia Gil, powtarzając słowa Paula. – Musimy zawieźć Paula do jego domu.

Widzę, jak obracają się tryby. Gil pragnie pomóc, tak jak to zrobił Charlie; chce zaprzeczyć zarzutom, które sformułowałem na szpitalnym parkingu.

Paul milczy. Wyraz jego twarzy zdradza, że chciał tam jechać tylko z Gilem, we dwóch.

Już mam wyjaśnić Gilowi, że nie mogę jechać, że muszą jechać beze mnie, ale sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej. W drzwiach pojawia się Katie.

– Co się stało? – pyta.

– Nic – odpowiadam. – Wróćmy na salę.

– Nie udało mi się dodzwonić do Sam – mówi Katie, źle mnie rozumiejąc. – Ona musi dowiedzieć się o Tafcie. Nie będziesz się gniewał, jeśli pojedę do redakcji „Prince”?

– Doskonale się składa – mówi Gil, wyczuwając okazję. – Tom jedzie z nami do instytutu. Spotkamy się na nabożeństwie.

Katie już ma się zgodzić, ale wyraz mojej twarzy zdradza, że nie wszystko jest w porządku.

– Po co jedziecie do instytutu? – pyta.

– To ważna sprawa – krótko odpowiada Gil. To jeden z nielicznych przypadków w historii naszej znajomości, kiedy Gil, mówiąc, że coś jest ważne, nie ma na myśli, że jest ważne dla niego.

– Dobra – mówi niepewnie Katie. Ściska moją rękę. – Spotkamy się w kaplicy.

Chce jeszcze coś dodać, ale z dołu dochodzi do nas głośny trzask i brzęk tłuczonego szkła.

Gil zbiega po schodach. Pędzimy za nim. W głównej sali na podłodze widać wielką kałużę z odłamkami szkła. Czerwona ciecz rozlewa się na wszystkie strony. W środku kałuży stoi Parker Hassett, czerwony i wzburzony. Właśnie wywrócił cały bar z napojami, półki, butelki, kieliszki, wszystko. Wszyscy prócz niego odsunęli się od miejsca katastrofy.

– Do diabła, co się stało? – Gil pyta studenta, który stoi obok i obserwuje całą scenę.

– Parker eksplodował. Ktoś nazwał go pijakiem, a on zwariował.

Veronica Terry unosi białą suknię, teraz poplamioną winem.

– Wszyscy dokuczali mu przez cały wieczór – żali się głośno.

– Na litość boską – krzywi się Gil – jak mogłaś pozwolić, żeby tak się upił?

Veronica patrzy na niego, wyraźnie zaskoczona. Oczekiwała współczucia, doczekała się wściekłości. Dookoła słychać szepty, wszyscy starają się ukryć pełne satysfakcji uśmiechy.

Brooks mówi kelnerowi, żeby podniósł bar i przyniósł wino z klubowej piwnicy. Donald Morgan, wyglądający bardzo prezydencko, próbuje uspokoić Parkera. Z tłumu dochodzą okrzyki „Pijak! Menel!” i obraźliwe śmiechy. Parker, pokaleczony odłamkami szkła, stoi w wielkiej kałuży alkoholu, jak dziecko babrające się w błocie. Gdy w końcu obraca się w stronę Donalda, jest błydy z wściekłości.

Obserwując rozwój zdarzeń, Katie zakrywa dłonią usta. Parker rzuca się na Donalda. Obaj przewracają się na podłogę; początkowo się mocują, później okładają pięściami. Oto spektakl, na który wszyscy czekali. Parker dostaje karę za tysiące drobnych przewinień, Donald wymierza mu sprawiedliwość za to, co robił na drugim piętrze. Ten akt przemocy wyraża narastającą od dwóch lat nienawiść. Kelner podchodzi ze ścierką i z kamienną twarzą odgrywa przedstawienie – wyciera podłogę na skraju ringu. Strugi wina i koniaku płyną po parkiecie i odbijają się od dębowych ścian. Klepki są ułożone tak ściśle, że nie przedostanie się nawet kropla. Ścierka, dywan i smokingi nie wchłaniają cieczy. Dwaj mężczyźni szamoczą

się na podłodze, tworząc plątaninę rąk i nóg, przypominającą czarnego owada, który usiłuje uratować się przed utonięciem.

– Chodźmy – mówi Gil i wyprowadza nas z sali. Ta bójka to już nie jego kłopot.

Paul i ja idziemy za nim, brodząc w strumieniach whisky, koniaku i wina.

Jedziemy ulicami, wyglądającymi jak cienkie czarne ściegi na wielkiej białej sukni. Saab dobrze trzyma się drogi, nawet, gdy Gil naciska pedał gazu i wiatr wyje wokół nas. Na Nassau Street zderzyły się dwa samochody; widać migoczące światła, krzyczących kierowców i dwie lawety. Z budki przy wjeździe do kampusu wychodzi strażnik i wskazuje nam gestem, że brama jest zamknięta, ale Gil już skręca na zachód, w przeciwnym kierunku. Wrzuca trzeci, potem czwarty bieg. Szybko mijamy kolejne przecznice.

– Pokaż mu list – mówi Gil.

Paul wyciąga coś z kieszeni i podaje do tyłu.

– Co to takiego?

Koperta jest rozdarta u góry, ale jeszcze daje się odczytać umieszczony w lewym rogu nadruk dziekana do spraw studenckich.

– Przyszedł w dzisiejszej poczcie – mówi Gil.

Panie Harris,

Niniejszym informuję pana, że moje biuro prowadzi dochodzenie w sprawie oskarżenia o plagiat, wniesionego przeciw panu przez

promotora pańskiej rozprawy dr. Vincenta Tafta. Z uwagi na naturę zarzutów i ich wpływ na pańskie studia Komisja Dyscyplinarna zbierze się na specjalnym posiedzeniu w przyszłym tygodniu w celu rozważenia sprawy i podjęcia decyzji. Uprzejmie proszę, by skontaktował się pan ze mną w celu ustalenia terminu wstępnego spotkania i potwierdził otrzymanie tego listu.

Z wyrazami szacunku

Marshall Meadows

Prodziekan ds. Studentów

Collegu

– Wiedział, co robi – mówi Paul, gdy skończyłem czytać.

– Kto?

– Vincent. Dziś rano.

– Gdy ci groził?

– Wiedział, że nic na mnie nie ma. Dlatego zaczął atakować twojego ojca.

Słyszę w jego głosie oskarżenie. Wszystko wraca do momentu, gdy pchnąłem Tafta.

– To ty wybiegłeś – mruczę pod nosem.

Koło saaba wpada w dziurę w jezdni. Strugi błota opryskują samochód.

– To również ja zawiadomiłem policję – odpowiada Paul.

– Co?

– Dlatego policja zatrzymała Vincenta – mówi. – Zeznałem, że widziałem go w pobliżu Dickinson w czasie, gdy Bill został zastrzelony.

– Kłamałeś.

Czekam, jak zareaguje Gil, ale on wpatruję się w drogę. Gdy patrzę na potylicę Paula, mam dziwne wrażenie, że oglądam siebie od tyłu i znowu jestem w samochodzie ojca.

– To tutaj? – pyta Gil.

Mijam domy z białych desek. U Tafta jest ciemno. Za szeregiem domków zaczyna się las należący do instytutu. Korony drzew pokrywa śnieg.

– Taft jest na policji – mówi Paul, właściwie do siebie. – Światła są zgaszone.

– Jezu, Paul – denerwuję się. – Przecież nawet nie wiesz, czy Taft właśnie tutaj trzyma plan.

– To jedyne miejsce poza instytutem i wydziałem, gdzie mógł go schować.

Gil nawet nas nie słyszy. Wstrząśnięty widokiem domu Tafta, zdejmuję nogę z hamulca i jedzie siłą rozpędu, przygotowując się do zawrócenia. Samochód zwalnia. Gil już ma puścić sprzęgło, gdy Paul otwiera drzwiczki i wyskakuje na chodnik.

– Cholera! – Gil hamuje i wysiada. – Paul!

Wyjący wiatr zagłusza jego słowa. Widzę, jak Paul porusza ustami i wskazuje na dom. Zaczyna iść w kierunku wejścia.

– Paul! – Wysiadam z samochodu i wołam go, starając się nie krzyczeć zbyt głośno.

U sąsiadów zapala się światło, lecz Paul nie zwraca na to uwagi. Wchodzi na frontową werandę i przykładą ucho do drzwi. Delikatnie puka.

Wiatr gwiżdże między kolumnienkami fasady, podrywając w powietrze płatki śniegu. W sąsiednim domu okno znów ciemnieje. Gdy nikt nie odpowiada na pukanie, Paul naciska klamkę, ale drzwi są zamknięte.

– Co robimy? – pyta Gil, stając obok niego.

Paul puka jeszcze raz, po czym wyciąga pęk kluczy i wkłada jeden do zamka. Napiera ramieniem na drzwi, a te ustępują. Rozlega się skrzypienie zawiasów.

– Nie możemy tego zrobić – mówię, zbliżając się do nich.

Staram się, by mój ton był stanowczy.

Paul jest już w środku i rozgląda się po parterze. Bez słowa wchodzi dalej.

– Vincent? – rozlega się w ciemnościach jego głos. – Vincent, jesteś tutaj?

Głos się oddala. Słyszę kroki na schodach, potem zapada cisza.

– Dokąd on poszedł? – mruczy Gil, zbliżając się do mnie.

Czuję dziwny zapach, jest słaby, ale wyraźny. Podmuch wiatru szarpie naszymi smokingami i unosi do góry kosmyki włosów Gila. Odwracam się, żeby zamknąć drzwi. Zaczyna dzwonić komórka Gila.

Naciskam kontakt na ścianie, ale w pokoju nadal jest ciemno. Moje oczy stopniowo dostosowują się do mroku. Przed nami jest jadalnia Tafta, z barokowymi meblami, ciemnymi ścianami i krzesłami o wygiętych nogach. W końcu jadalni znajdują się schody.

Telefon Gila dzwoni znowu. Gil stoi za mną i woła Paula. Zapach staje się coraz silniejszy. Na kredensie obok schodów dostrzegam trzy przedmioty: zniszczony portfel, klucze i okulary. Już chyba wiem, co się stało.

– Odbierz telefon – mówię do Gila przez ramię. Nim wyciągnął telefon, już idę po schodach.

– Katie...? – słyszę, jak mówi do telefonu. Wszystko ginie w mroku. Schody wydają się połamane, jak ciemność oglądana przez pryzmat.

– Co? Chryste... – Gil krzyczy do telefonu, po czym wbiega na schody. Popycha mnie i pośpieszenie mówi mi coś, co już sam odgadłem.

– Tafta nie ma na policji. Zwolnili go godzinę temu.

Gdy docieramy na górę, słyszymy krzyk Paula.

Gil popycha mnie w stronę, z której dochodzi głos Paula. Mam wrażenie, że ogarnia mnie cień fali, która już wzbiera nad moją głową. Uświadamiam sobie, że się spóźniliśmy, to już się stało. Gil mnie wyprzedza i wbiega w korytarz po prawej. Kieruje mną instynkt, tylko chwilami kontroluję, co robię. Automatycznie poruszam nogami. Czas zwalnia, świat przechodzi na niższy bieg.

– Boże – jęczy Paul. – Pomocy.

Ściany sypialni oświetla księżyc. Paul jest w łazience. To stąd wydobywa się ten zapach, swąd spalonego prochu i bezład.

Na ścianach widać plamy krwi. Paul klęczy na podłodze, pochylony nad porcelanowym brzegiem wanny. Leży w niej ciało.

Taft jest martwy.

Gil chwiejnie wychodzi z łazienki, ale ja przyglądam się tej scenie. Taft leży na wznak, jego wielki brzuch rozlewa się na boki. Jedna kula trafiła go w pierś, druga między oczy. Z otworu krew wciąż spływa na czoło. Paul cały dygocze. Nagle czuję ochotę, by parsknąć śmiechem, ale to zaraz mija. Jestem oszołomiony, jakbym był pijany.

Gil dzwoni na policję.

– Nagły wypadek, zginął człowiek – mówi. – Olden Street, obok instytutu.

W ciszy jego głos wydaje się głośny. Paul mamrocze numer domu, a Gil powtarza go do telefonu. Szybko.

– Musimy stąd uciec. – Paul nagle zrywa się z podłogi.

– Co takiego?

Przytomnieję. Kładę rękę na jego ramieniu, ale Paul wybiega do sypialni i zaczyna poszukiwania. Zagląda pod łóżko, do szafy, przegląda półki z książkami.

– Tu go nie ma... – Odwraca się nagle, jakby coś sobie przypomniał. – Mapa – wyrzuca z siebie. – Gdzie jest moja mapa?

Gil patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: Paul stracił kontakt z rzeczywistością, nie trzeba lepszego dowodu.

– Jest w sejfie w Ivy – mówi, chwytając Paula za ramię. – Razem ją tam zamknęliśmy.

Paul go odtrąca i idzie w kierunku schodów. Słysząc już sygnał syreny policyjnej.

– Nie możemy stąd odejść – krzyczę.

Gil zerka na mnie, ale idzie za Paulem. Policja jest coraz bliżej, zostało im do pokonania tylko kilka przecznic. Przez okno widać wzgórza koloru ołowiu. Gdzieś, w jakimś kościele, zaczyna się Wielkanoc.

– Kłamałem, mówiąc policji o Vincencie – krzyczy Paul. – Nie mogę tu być, gdy go znajdą.

Biegnę za nimi do wyjścia. Wskakujemy do samochodu. Gil zapala silnik i gwałtownie naciska na pedał gazu. Na luzie silnik ryczy tak głośno, że u sąsiadów znów zapalają się światła. Gil wrzuca pierwszy bieg i ponownie nacisk na gaz. Gdy opony chwytają asfalt, auto wyskakuje naprzód jak z procy. Gil od razu skręca w pierwszą przecznicę. W tym momencie na końcu Olden Street pokazuje się pierwszy samochód policyjny i podjeżdża pod dom Tafta.

– Dokąd jedziemy? – pyta Gil, zerkając na odbicie Paula w lusterku.

– Do Ivy – rzuca Paul.

Rozdział 28

Gdy docieramy na miejsce, w Ivy panuje cisza. Ktoś rzucił szmaty na podłogę w głównej sali, by zebrać rozlany alkohol, ale mimo to nadal widać błyszczącą kałużę. Zasłony i obrusy są poplamione. Pracownicy poszli już do domu. Kelly Danner najwyraźniej wyrzuciła wszystkich z klubu.

Chodnik na schodach wiodących na piętro jest wilgotny – uczestnicy balu roznosili alkohol na butach. Po wejściu do pokoju zarządu Gil zapala światło i zamyka drzwi. W kącie stoi połamany bar z napojami. Do kominka nikt dawno nie dokładał, ale węgle są jeszcze gorące i co chwila strzelają z nich płomienie.

Patrząc na stojący na biurku telefon, myślę o numerze, którego nie mogłem sobie przypomnieć, gdy komórka Gila przestała działać, i nagle rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Awaria pamięci, błąd w komunikacji. Linia łącząca Richarda Curry'ego z Paulem została uszkodzona i wiadomość zginęła w szumie. A przecież Curry jasno sformułował swoje żądania.

„Powiedz mi, gdzie jest plan, a więcej mnie nie zobaczysz”, powiedział podczas wykładu Tafta w Wielki Piątek. – „To jedyna sprawa, jaka została jeszcze do załatwienia między nami”. Taft jednak odmówił.

Gil wyciąga klucz i otwiera sejf.

– Proszę – mówi do Gila i podaje mu mapę.

Znowu widzę, jak Curry zbliża się do Paula na dziedzińcu, po czym cofa się w stronę kaplicy, w kierunku Dickinson Hall i pracowni Billa Steina.

– Jezu – wzdycha Gil. – Co mamy teraz zrobić?

– Trzeba zawiadomić policję – mówię. – Curry może zaatakować Paula.

– Wykluczone – odpowiada Paul. – On nie robi mi krzywdy.

Jednak Gil miał na myśli coś innego: co mamy teraz zrobić, skoro uciekliśmy z domu Tafta.

– To Curry zabił Tafta? – pyta.

– Zastrzelił również Billa Steina. – Wstaję i zamykam drzwi.

Pokój nagle wydaje się zupełnie szczelny. Z wraku barku, przyniesionego z dołu, unosi się słodki i ciężki zapach zmieszanych trunków.

Oniemiały Gil stoi przy stole.

– On nie robi mi krzywdy – powtarza Paul.

Ja jednak pamiętam list, który znaleźliśmy w biurku Steina. *Mam dla ciebie propozycję. Jest tyle materiału, że starczy dla nas obu.* I dopisek Curry'ego, który do tej pory błędnie rozumiałem. Co z Paulem?

– Owszem, robi – mówię.

– Mylisz się, Tom – złości się Paul.

Ja jednak widzę coraz wyraźniej, do czego to wszystko prowadzi.

– Gdy poszliśmy na wystawę, pokazałeś Curry’emu dziennik – mówię. – On wiedział, że to Taft go ukraść.

– Tak, ale...

– Stein powiedział mu nawet, że zamierzają ukraść twoją rozprawę. Curry chciał ich wyprzedzić.

– Tom...

– Później, w szpitalu, opowiedziałeś mu o wszystkim, co odkryłeś. Powiedziałeś nawet, że szukasz planu.

Sięgam po telefon, ale Paul kładzie rękę na słuchawce, nie pozwalając mi jej podnieść.

– Przestań, Tom – mówi. – Posłuchaj mnie.

– On zabił ich obu.

Teraz Paul pochyla się do przodu. Wydaje się załamany. Mówi coś, czego Gil i ja zupełnie się nie spodziewamy.

– To prawda. Przyznaję. Możesz jednak posłuchać mnie przez chwilę? To właśnie miał na myśli, gdy rozmawialiśmy w szpitalu. Pamiętasz? Na chwilę, nim przyszedłeś do poczekalni. „Rozumiemy się, synu”. Powiedział mi, że nie mógł spać, bo tak się o mnie martwił.

– No i co?

– Potem powiedział: „Gdybym wiedział, co zrobisz, załatwiłbym to inaczej”. Richard sądził, że ja wiem, że to on zabił Billa. Chciał powiedzieć, że gdyby wiedział, że wyjdę z wykładu wcześniej, to zrobiłby to inaczej, tak by policja mnie nie podejrzewała.

Gil zaczyna krążyć nerwowo po pokoju. W kominku trzaska płonące polano.

– Pamiętasz wiersz, o którym wspomniał na wystawie?

– *Andrea del Sarto* Browninga.

– Jak to szło?

– *Robisz to, o czym wielu marzy przez całe życie – cytuję. – Marzenia? Walcz, męcz się i padnij, ale próbuj.*

– Dlaczego wybrał ten wiersz?

– Ponieważ pasował do obrazów del Sarto.

– Nie! – Paul uderza pięścią w stół. – Ponieważ my rozwiązaliśmy problem, z którym on, twój ojciec i Vincent nigdy sobie nie poradzili. Richard marzył o tym całe życie. Walczył, męczył się i padł.

Ogarnia go taka frustracja, jakiej nie oglądałem, od kiedy pracowaliśmy razem, gdy najwyraźniej oczekiwał, że będziemy działali i myśleli jak jeden mąż. „Ta zagadka nie powinna zabrać ci tyle czasu. Nie jest chyba taka trudna”. Znowu rozwiązujemy zagadkę, próbujemy zrozumieć postępowanie człowieka, którego, zdaniem Paula, powinniśmy obaj znać równie dobrze. Według niego, ja nigdy nie rozumiałem dostatecznie ani Colonna, ani Curry’ego.

– Nie rozumiem, o czym mówicie – wtrąca Gil, który czuje, że między nami zdarzyło się coś, co wykracza poza jego doświadczenie.

– Obrazy. – Paul w dalszym ciągu mówi, usiłując mnie oświecić. – *Historia Józefa*. Wyjaśniłem ci nawet jej znaczenie. Nie wiedzieliśmy tylko, co Richard chciał przekazać. Jakub miłował Józefa najbardziej ze wszystkich swych synów, gdyż urodził się on

mu w podeszłych jego latach. Sprawił mu też wzorzystą szatę z rękawami.

Paul urywa i czeka, aż jakoś zasygnalizuję, że rozumiem, o czym myśli, ale nie mogę tego uczynić.

– To dar – mówi w końcu. – Richard uważa, że składa mi dar.

– Dar? – pyta Gil. – Czy ty postradałeś zmysły? Jaki dar?

– Taki – odpowiada Paul, rozkładając szeroko ramiona, jakby chciał wszystko objąć. – Darem jest to, co zrobił z Billem. I z Vincentem. Nie pozwolił, by mnie okradli. Ofiarowuje mi to, co znalazłem w *Hypnerotomachii*.

Paul mówi to z przerażającym spokojem. Strach, duma i smutek łączą się ze spokojną pewnością.

– Vincent ukradł mu sukces trzydzieści lat temu. Richard nie chciał pozwolić, by ze mną było tak samo.

– Curry okłamał Steina – mówię mu. Nie chcę pozwolić, by dał się oszukać człowiekowi, wykorzystującemu słabości psychiczne sieroty. – Okłamał Tafta. Ciebie również okłamuje.

Paul nie jest zdolny do zwątpienia. W jego głosie, poza zgrozą i zdumieniem, kryje się coś, co przypomina wdzięczność. Jesteśmy w kolejnej sali muzeum pożyczonych obrazów, oglądamy jeszcze jeden eksponat w muzeum ojcowskiej miłości, które Curry zbudował dla syna, którego nigdy nie miał, a wszystkie gesty są tak monumentalne, że ich motywy nie mają znaczenia. Nagle przypominam sobie, że Paul i ja nie jesteśmy braćmi. Wierzmy w różne rzeczy.

Gil wtrąca się do dyskusji, by sprowadzić nas na ziemię, ale w tym momencie dociera do nas z zewnątrz jakiś hałas. Wszyscy odwracamy się do drzwi.

– Do diabła, co to było? – mówi Gil. Nagle słyszymy głos Curry’ego.

– Paul – szepcze, stojąc po drugiej stronie drzwi. Stoimy jak zamarli.

– Richard – Paul przytomnieje i sięga ręką do automatycznego zamka. Gil i ja nie mamy szans go powstrzymać.

– Ani się waż! – krzyczy Gil, lecz Paul już przekręcił gałkę, a ręka po drugiej stronie nacisnęła klamkę.

Na progu stoi Richard Curry, ubrany w ten sam czarny garnitur co wczoraj. Ma błędny wzrok, jest wzburzony. Trzyma coś w ręku.

– Muszę porozmawiać z Paulem w cztery oczy – mówi ochryłym głosem.

Paul widzi to, co każdy musi zobaczyć: na kołnierzu jego koszuli są plamy krwi.

– Precz stąd! – krzyczy Gil.

– Coś ty zrobił? – szepcze Paul.

Curry wpatruje się w niego, po czym podnosi rękę, w której coś trzyma.

Gil robi krok naprzód. Zatrzymuje się na korytarzu przed drzwiami.

– Wynoś się stąd! – powtarza, ale Curry nie zwraca na niego uwagi.

– Mam plan, Paul – mówi. – Weź go.

– Nie zbliżaj się do niego – ostrzega Gil drżącym głosem. –
Wzywam policję.

Wpatruję się w ciemny zwój w ręku Curry'ego. Staję obok Gila, by zasłonić Paula. Gdy jednak Gil sięga po telefon komórkowy, Curry wykorzystuje okazję. Rzuca się między Gila i mnie, wpycha Paula głębiej do pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi. Nim Gil i ja zareagowaliśmy, zamek już zaskoczył.

Gil wali pięściami w drzwi.

– Otwieraj! – krzyczy, odpycha mnie i naciska ramieniem na drzwi. Grube deski nawet nie drgnęły. Cofamy się, po czym razem rzucamy się na drzwi. Tym razem zamek zaskrzypiał.

– Jeszcze raz! – krzyczy Gil.

Za trzecią próbą puszczaają śruby trzymające zamek i drzwi otwierają się z trzaskiem wystrzału.

Wpadamy do środka jak wystrzeleni z katapulty. Curry i Paul stoją po przeciwnych stronach kominka. Curry wciąż wyciąga rękę przed siebie. Gil biegnie ku nim i z całym impetem zderza się z Currym, przewracając go na podłogę koło paleniska. Richard uderza głową o kratkę, która wpada do środka, wyrzucając w górę liczne iskry. Węgle nagle nabierają koloru.

– Richard! – krzyczy Paul, podbiegając do niego. Wyciąga go z paleniska i opiera o połamany barek. Curry ma rozciętą głowę. Próbuje odzyskać orientację, ale utrudnia mu to krew spływająca do oczu. Dopiero teraz widzę, że Paul ma w ręku plan.

– Czy coś ci się stało? – Paul chwyta Curry’ego za ramiona i lekko nim potrząsa. – Musimy wezwać pogotowie!

– Policja się nim zajmie – odpowiada przytomnie Gil.

W tym momencie czuję falę ciepła. Od węgla w palenisku zapalił się tył marynarki Curry’ego, a teraz płomienie ogarnęły barek.

– Cofnijcie się! – krzyczy Gil.

Ja jednak stoję jak skamieniały. Ogień wspina się po firankach do sufitu. Alkohol podsyca płomienie, które błyskawicznie się rozprzestrzeniają.

– Tom! – Gil wyszczekuje komendę. – Odciągnij ich stamtąd! Biegnę po gaśnicę!

Curry, z pomocą Paula, z trudem wstaje na nogi. Nagle odpycha go i wytacza się na korytarz, ściągając po drodze marynarkę.

– Richard! – woła Paul błagalnym tonem i biegnie za nim.

Gil wbiega do pokoju i zaczyna polewać zasłony pianą z gaśnicy, jednak ogień rozszerza się tak szybko, że nie można go ugasić. Dym wydostaje się już na korytarz.

W końcu cofamy się do drzwi, zmuszeni do tego przez dym i gorąco. Zakrywam usta dłonią, bo czuję, jak kurczą mi się płuca. Na schodach dostrzegam Paula i Curry’ego, otoczonych chmurą ciemnego dymu. Obaj coś krzyczą.

Wołam Paula, ale właśnie zaczynają eksplodować butelki w barze i mój głos ginie w hałasie. Pierwsza fala odłamków spada na Gila. Odciągam do dalej i nasłuchuję odpowiedzi Paula.

– Uciekaj, Tom! Uciekaj stąd! – wreszcie słyszę jego głos. Dym zasłania mi widok.

Na ścianach widać języki ognia. Szyjka od butelki wylatuje w powietrze nad schodami, rozpryskując krople płonącej cieczy, po czym spada na parter.

Szkło ląduje na kupie szmat nasączonych whisky, koniakiem i ginem. Przez sekundę nic się nie dzieje, po czym nagle pojawia się wielka plama ognia. Z dołu dochodzą do nas głośnie trzaski, pali się drewno, pożar gwałtownie się rozprzestrzenia. Dojście do drzwi frontowych jest już zablokowane. Gil krzyczy do telefonu, wzywając pomocy. Ogień posuwa się teraz od dołu ku pierwszemu piętru. Mam w głowie iskry, a gdy zamykam oczy, widzę białe światło. Płynę w powietrzu, unoszony przez gorącą falę. Wszystko wydaje się powolne i ciężkie. Z sufitu odpadają stiuki. Parkiet taneczny błyszczy jak lustro.

– Jak się stąd wydostaniemy?! – krzyczę.

– Kuchennymi schodami – odpowiada Gil. – Chodź na górę.

– Paul! – wołam.

Żadnej odpowiedzi. Przesuwam się w stronę schodów. Nie ma ich. Paul i Curry gdzieś znikli.

– Paul! – ryczę znowu.

Pożar ogarnął już cały pokój zarządu i zbliża się do nas. Czuję w udzie dziwną drętwotę. Gil wskazuje ręką na moją nogę. Nogawka jest rozdarta, a po czarnych spodniach od smokingu spływa ciemna krew. Gil zrywa smoking i obwiązuje nim ranę. Ściana ognia jest

coraz bliżej, zmuszając nas do wycofania się na piętro. Powietrze jest niemal czarne.

Gil popycha mnie w kierunku drugiego piętra. Na górze nic nie widać, wszystko ginie w jaśniejszych i ciemniejszych cieniach. Spod drzwi w końcu korytarza wydobywa się pasmo światła. Pożar dotarł do schodów i na chwilę się zatrzymał.

Nagle słyszę wysoki, załamujący się jęk dochodzący z biblioteki klubu.

Stajemy jak wryci. Gil pierwszy rzuca się naprzód i otwiera drzwi. Znowu, tak jak podczas balu, czuję się jak pijany. Robi mi się gorąco, chcę uciekać. Mam wrażenie, że czuję dotknięcie, oddech i usta Katie.

Za długim stołem w końcu pokoju stoi Curry i przekonuje o czymś Paula. W rękę trzyma pustą butelkę. Jego głowa kiwa się na boki, z czoła ścieka krew. W bibliotece czuć mocny zapach alkoholu wylanego na stół. W ukrytym w ścianie barku widać kilka butelek – to tajemnica dawnego prezydenta klubu. Pokój ciągnie się przez całą szerokość budynku, a w świetle księżyca jego wnętrze wydaje się srebrne. Wzdłuż ścian stoją półki z książkami oprawionymi w skórę. Ich długie szeregi giną w ciemnościach za Currym. Po północnej stronie są dwa okna. Wszędzie widać błyszczące kałuże.

– Paul! – krzyczy Gil. – On blokuje przejście do kuchennych schodów.

Paul rozgląda się na boki, natomiast Curry wpatruje się w Gila i we mnie. Jego widok działa na mnie paraliżująco. Zmarszczki na

jego twarzy są tak napięte, jakby ściągała go w dół potężna siła grawitacji.

– Richardzie – mówi Paul zdecydowanym tonem, jak do niegrzecznego dziecka – musimy się stąd wydostać.

– Odsuń się! – krzyczy Gil i robi krok naprzód.

Curry tłucze butelkę o kant stołu, po czym wbija szyjkę w ramię Gila. Widzę, jak krew spływa między jego palcami. Gil cofa się i patrzy na ranę. Paul opiera się bezwładnie o ścianę.

– Masz! – wrywam z kieszeni chusteczkę i podaję Gilowi.

Gil porusza się jak na filmie puszczonego w zwolnionym tempie. Kiedy wyciąga rękę po chusteczkę, widzę, jak głęboka jest rana. Gdy tylko zwalnia nacisk, z cięcia natychmiast wydobywa się krew.

– Skacz! – mówię, ciągnąc go do okna. – Wyskakuj! Wylądujesz w krzakach!

Gil, zamiast się ruszyć, stoi i wpatruje się w „tulipana” w rękę Curry’ego. Drzwi biblioteki trzeszczą, po drugiej stronie robi się coraz goręcej. Dołem przedostają się do środka pasma dymu. Czuję, jak łzawią mi oczy, coraz trudniej mi złapać oddech.

– Paul! – krzyczę. – Musisz uciekać!

– Richard! – błaga Paul. – Chodź!

– Puść go! – wołam do Curry’ego. Za drzwiami słychać ryk płomieni i trzask pękających desek. Pożar domaga się wejścia do biblioteki.

Gil się chwieje. Podbiegam do okna, otwieram je i przyciągam Gila, który opiera się o ramę. Podpieram go, by nie przewrócił się na podłogę.

– Pomóż Paulowi – mamrocze jeszcze Gil i zaczyna tracić przytomność.

Do pokoju wpada zimny podmuch. W powietrzu wirują płatki śniegu, które wiatr zdmuchnął z krzaków na dole. Siedzam Gila na parapecie. W świetle księżycy w jego wyglądzie jest coś anielskiego, nawet teraz sprawia wrażenie, że wszystko robi bez wysiłku. Spoglądam na zakrwawioną chusteczkę, przylepioną do ramienia. Mam wrażenie, że wszystko wokół mnie się rozpada. Raz jeszcze spoglądam w dół, po czym wypycham Gila z okna.

– Tom – słyszę krzyk Paula, stłumiony przez chmurę dymu. – Uciekaj!

Widzę, jak Paul szamocze się z Currym, próbując przyciągnąć go do okna, ale stary jest od niego znacznie silniejszy.

Nie ustępuje, przeciwnie, ciągnie Paula w stronę kuchennych schodów.

– Skacz! – słyszę głosy dochodzące z dołu. – Wyskakuj! To strażacy, którzy dostrzegli mnie w bibliotece.

– Paul! – próbuję jeszcze raz. – Chodź tutaj!

– Uciekaj, Tom! – słyszę odpowiedź. – Proszę! Słowa Paula cichną zbyt szybko, jakby Curry ciągnął go w dół. We dwóch wracają na stos, mocując się niczym aniołowie w ludzkim życiu.

– Na dół! – To ostatnie słowa, jakie dobiegają do mnie z głębi biblioteki. Poznaje głos Curry’ego.

– Skacz! – znów krzyczą ludzie na dole.

– Paul! – wrzeszczę, cofając się do okna przed płomieniami. Czuję na piersi nacisk gorącego dymu. Rozlega się trzask zamykanych drzwi prowadzących na klatkę schodową. Paul i Curry znikli. Wyskakuję przez okno.

To ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem, nim wylądowałem w mokrym śniegu. Potem jeszcze wybuch gazu, jak nagły świt o północy, wstrząsa całym budynkiem. Zaczyna opadać sadza.

Krzyczę do strażaków, do Gila, do wszystkich, którzy mnie słyszą: „Richard Curry i Paul są na kuchennych schodach! Słuchajcie mnie”.

W pierwszej chwili słuchają. Dwaj strażacy podchodzą do budynku. Obok mnie stoi sanitariusz i próbuje zrozumieć, co mówię.

– Jakie schody? – pyta. – Gdzie jest wyjście?

– Blisko tunelu. Wejście na schody kuchenne jest blisko tunelu.

Później dym się przeredza, woda z gaśnic odsłania fasadę klubu i wszystko się zmienia. Strażacy przestają szukać, przestają słuchać.

– Nikogo tam nie ma – mówią, ruszając się bez pośpiechu. – W środku nikogo nie ma.

– Paul żyje! – krzyczę. – Widziałem go!

Każda sekunda działa na jego niekorzyść. Każda minuta to garść piasku. Spojrzenie Gila mówi mi, jak wiele się zmieniło.

– Nic mi nie jest – zapewnia sanitariusza, opatrującego jego ramię. Przeciera mokrą twarz i wskazuje na mnie. – Nim się zajmijcie.

Księżyc wisi nad nami jak oko czujnego strażnika. Siedzę i gapię się na milczących strażaków, którzy wciąż polewają wodą zniszczony budynek klubu, ale myślę o Paulu i wyobrażam sobie jego głos. „W jakiś sposób – mówi, podnosząc wzrok znad kubka kawy – czuję się tak, jakby on był również moim ojcem”. Na tle ciemnego nieba widzę jego twarz, z wyrazem takiej pewności, że wierzę mu nawet w tym momencie.

„Co o tym myślisz?” – pyta mnie.

„O twoim wyjeździe do Chicago?”.

„O naszym wyjeździe do Chicago”.

Gdzie nas później zabrano, jakie zadawano nam pytania – nie pamiętam. Przed oczami miałem płomienie, w uszach głos Paula, jakby mógł powstać z popiołów. Nim jeszcze wzeszło słońce, widziałem tysiące twarzy, przynoszących słowa pociechy i nadziei: znajomych, których pożar wyciągnął z pokoi, profesorów, obudzonych przez syreny straży pożarnej, uczestników nabożeństwa, przerwane przez ten dramat. Wszyscy otoczyli nas, jakbyśmy byli obwożonym skarbem. Każda twarz wydawała mi się monetą, jakby ktoś na górze zarządził, że mamy znosić straty, licząc to, co zostało. Być może wiedziałem wtedy, że wkraczamy w okres bogatego ubóstwa. Bogowie, którzy to sprawili, najwyraźniej lubią czarną

komedię. Mój brat Paul, złożony w ofierze w Wielkanoc. Skorupa żółwia zrzucona z nieba na nasze głowy.

Nasza trójka przetrwała tę noc z konieczności. Spotkaliśmy się w szpitalu – Gil, Charlie i ja, znowu razem. Żaden z nas się nie odzywał. Charlie ścisnął w rękę krzyżyk, który nosił na szyi. Gil spał, ja wpatrywałem się w sufit. Wobec braku wiadomości o Paulu wszyscy woleliśmy wierzyć w jego przetrwanie, w mit o powstaniu z grobu. Mogłoby starczyć mi rozumu, by nie wierzyć w bajki o nierozdzielnej przyjaźni, podobne do opowieści o więzach rodzinnych. A jednak ten mit dawał mi siły. Wtedy i później.

– Mit, mówię. Nie nadzieja.

Pudełko z nadzieją jest puste.

Rozdział 29

Czas, jak lekarz, umył ręce. Wszyscy o nas zapomnieli, nim jeszcze Charlie wyszedł ze szpitala. Koledzy patrzyli na nas zdziwieni, jakbyśmy nie pasowali do kontekstu, byli tylko przelotnymi wspomnieniami zdarzeń, które kiedyś miały znaczenie.

Chmura przemocy, jaka zawisała nad Princeton, po tygodniu się rozplynęła. Studenci znowu zaczęli wychodzić z domów po zmroku, początkowo grupkami, później pojedynczo. Nie mogłem spać, ale gdy nocą zachodziłem do WaWa, zastawałem tam tłum. Niektórzy jeszcze rozmawiali o Currym i Paulu, ale coraz rzadziej wymieniano ich nazwiska – teraz słyhać było o egzaminach, finałach rozgrywek sportowych, ostatnim odcinku telenoweli i zwykle wiosenne plotki o jakiejś studentce, która przespała się z promotorem. Stojąc w kolejkach w dziekanacie i kwesturze, czytałem nagłówki w gazetach, by nie myśleć o samotności, gdy wszyscy byli z przyjaciółmi. Tytuły wyraźnie sugerowały, że świat poszedł naprzód, a my zostaliśmy w tyle. Siedemnastego dnia po Wielkanocy „Princeton Packet” doniósł na pierwszej stronie, że plan budowy podziemnego parkingu został odrzucony. Na dole drugiej strony gazeta poinformowała, że bogaty absolwent Princeton ofiarował dwa miliony dolarów na odbudowę Ivy.

Charlie wyszedł ze szpitala po pięciu dniach, ale jeszcze przez dwa tygodnie chodził na zabiegi rehabilitacyjne. Lekarze proponowali operację plastyczną klatki piersiowej, gdzie skóra stała się szorstka

i pomarszczona, ale Charlie się nie zgodził. Odwiedzałem go w szpitalu prawie codziennie – nie byłem tylko raz. Charlie prosił o przyniesienie czipsów, podręczników, wyników rozgrywek bejsbolu. Starał się, bym miał powody przychodzić.

Kilka razy pokazywał mi swoje blizny. W pierwszej chwili sądziłem, że chce sobie udowodnić, że nie czuje się okaleczony i jest silniejszy od tego, co mu się zdarzyło. Później zrozumiałem, że było dokładnie odwrotnie. Chciał mieć pewność, że ja wiem, jak się zmienił. Obawiał się, że gdy wskoczył do tunelu w ślad za Paulem, przestał uczestniczyć w życiu Gila i moim. Radziliśmy sobie bez niego, każdy samotnie dochodził do siebie. Wiedział, że to, czym żyliśmy, wkrótce wyda się obce każdemu z nas, i chciał, byśmy rozumieli, że on jest w tej samej sytuacji i to nasz wspólny los.

Zaskoczyło mnie, że Gil często go odwiedzał. Byłem przy dwóch jego wizytach; za każdym razem towarzyszyło temu pewne napięcie. Obaj czuli się winni, a te spotkania pogłębiały ich niepokój. Choć to nie miało najmniejszego sensu, Charlie wyrzucał sobie, że nie był z nami w Ivy. Chwilami widział nawet na swoich rękach krew Paula, tak jakby Paul zginął z powodu jego słabości. Gil czuł, że już dawno się z nami rozstał, w sposób, który trudno opisać. To, że Charlie miał poczucie winy, choć zrobił tak wiele, dodatkowo pogarszało stan Gila.

Pewnego wieczoru Gil mnie przeprosił. Żałował, że nie zachowywał się inaczej. Zasłużyliśmy na coś lepszego. Po tej rozmowie ani razu nie zauważyłem, by oglądał stare filmy. Jadał

w restauracjach coraz dalej od kampusu. Gdy zapraszałem go na lunch do mojego klubu, za każdym razem znajdował jakąś wymówkę. Dopiero po czwartej lub piątej odmowie zrozumiałem, że nie chodziło mu o towarzystwo – nie chciał po drodze oglądać Ivy. Gdy Charlie wyszedł ze szpitala, jadaliśmy razem śniadania, lunche i obiady. Gil natomiast coraz częściej jadł i pił w samotności.

Stopniowo przestano zwracać na nas uwagę. Początkowo czuliśmy się jak pariasi, gdy wszyscy mieli dość rozmów na nasz temat, a później, gdy o nas zapomnieli, czuliśmy się jak duchy. Nabożeństwo żałobne za duszę Paula odbyło się w kaplicy, ale wszyscy, którzy przyszli, zmieściliby się w małej klasie. Przyszło mniej studentów niż profesorów – byli to głównie koledzy Charliego z pogotowia i Gila z klubu, którzy chcieli okazać im współczucie. Po nabożeństwie podeszła do mnie tylko profesor LaRoque, która kiedyś pierwsza wysłała Paula do Tafta – a i ona interesowała się głównie *Hypnerotomachią* i odkryciami Paula, nie zaś nim samym. Nic jej nie powiedziałem; celowo zachowywałem dyskrecję, ilekroć rozmowa schodziła na *Hypnerotomachię*. Wydawało mi się, że nie mogę zdradzać nikomu tajemnicy, skoro Paul chciał, by znali ją tylko przyjaciele.

Zainteresowanie całą sprawą odżyło na krótko, tydzień po wiadomości o rezygnacji z budowy podziemnego parkingu, gdy okazało się, że przed wyjazdem z Nowego Jorku do Princeton Richard Curry zlikwidował wszystkie swoje aktywa i utworzył fundusz powierniczy. Gdy bank odmówił ujawnienia, kto jest beneficjentem

funduszu, Ivy zażądało odszkodowania za pożar. Wrzawa ucichła dopiero wtedy, gdy zarząd klubu postanowił, że nie kupi nawet jednego kamienia na odbudowę za pieniądze Curry'ego. Gazety donosiły, że dochody z funduszu są przeznaczone dla jednej osoby, kilku dziennikarzy wymieniło nawet nazwisko Paula, co sam podejrzewałem.

Dziennikarze nic nie wiedzieli jednak o rozprawie Paula, dlatego nie mogli w żaden sposób zrozumieć motywów Curry'ego. Wobec tego zainteresowali się historią jego znajomości z Taftem, aż wreszcie zmieniło się to w farsę – wyjaśnienie całego zła, które niczego nie wyjaśniało. Plotki głosiły, że dom Tafta nawiedza duch. Nowi członkowie instytutu nie chcieli tam mieszkać, a wyrostki z Princeton rzucali sobie nawzajem wyzwania, kto odważy się włamać.

Klimat fantastycznych teorii i sensacyjnych nagłówków przyniósł nam jedną korzyść: nikt nie zasugerował, że Gil, Charlie i ja zrobiliśmy coś złego. Nie byliśmy dostatecznie efektowni, by ktoś przypisał nam istotną rolę w tych sensacyjnych wydarzeniach, zwłaszcza że lokalna prasa mogła pisać o Rasputinie Tafcie i szalonym Currym, który go zabił. Policja i władze uniwersyteckie oznajmiły nam, że nie zamierzają wystąpić przeciw nam z jakimikolwiek oskarżeniami. Przypuszczam, że naszym rodzicom ulżyło, gdy dowiedzieli się, że spokojnie skończymy studia. Jak zwykle nie miało to większego znaczenia dla Gila, a ja również nie mogłem się zmusić, by bardzo się tym przejąć.

Myślę natomiast, że Charlie odetchnął. W coraz większym stopniu żył w cieniu tych wydarzeń. Na każdym kroku spodziewał się jakiegoś nieszczęścia, co Gil nazwał kompleksem prześladowania. Moim zdaniem Charlie po prostu wbił sobie do głowy, że mógł uratować Paula. Czekala go zatem jakaś kara za zaniechanie – jeśli nie w Princeton, to gdzieś indziej. Charlie nie obawiał się prześladowania, tylko sądu.

Jedynym źródłem przyjemności w czasie ostatnich dni w Princeton była dla mnie Katie. Początkowo przynosiła jedzenie dla mnie i dla Gila, gdy Charlie był jeszcze w szpitalu. Po pożarze w klubie ona i inni studenci drugiego roku założyli tymczasową spółdzielnię – razem kupowali i gotowali. Katie martwiła się, że nic nie jemy, dlatego zawsze gotowała dla nas trojga. Później zabierała mnie na spacer, twierdząc stanowczo, że słońce sprzyja powrotowi do zdrowia, a w promieniach kosmicznych występują ślady litu, które można absorbować tylko o świcie. Robiła nawet zdjęcia, zupełnie jakby dostrzegała w tych dniach coś wartego zapamiętania. Jako fotograf była przekonana, że problem sprowadza się do właściwego naświetlenia.

Gdy Ivy przestało odgrywać istotną rolę w jej życiu, Katie była jeszcze bardziej taka, jak chciałem, żeby była; znikło jej podobieństwo do tej strony osobowości Gila, której nigdy nie rozumiałem. Zawsze miała dobry humor. Dzień przed rozdaniem dyplomów zaprosiła mnie do siebie po kinie. Twierdziła, że chce, bym pożegnał się z jej

koleżankami z pokoju. Wiedziałem, że to nieprawda, ale odpowiedziałem, że tej nocy nie mogę. Zbyt wiele rzeczy przypominałoby mi o stałych punktach jej życia, rodzinie, przyjacielach i psie sypiającym przy jej łóżku w New Hampshire. Ostatnia noc w jej pokoju, w otoczeniu wszystkich stałych gwiazd jej świata, byłaby zbyt drastycznym przypomnieniem, jak niestabilne było moje życie.

Przez kilka ostatnich tygodni śledziliśmy również, jak policja zmierza do zakończenia dochodzenia w sprawie pożaru w Ivy. Wreszcie w piątek przed rozdaniem dyplomów, jakby miał to być sygnał na koniec roku, lokalne władze obwieściły, że dochodzenie potwierdziło, „zgodnie z relacjami naocznych świadków”, że to Richard Curry „spowodował pożar w budynku Ivy Club, w którym zginęły dwie osoby”. Na potwierdzenie tej hipotezy przedstawiono dwa odłamki szczęki, które pasowały do karty dentystycznej Curry’ego. Wybuch gazu w budynku sprawił, że nie udało się znaleźć innych szczątków.

Jednak dochodzenie nie zostało zamknięte i władze nie wypowiedziały się na temat losu Paula. Wiedziałem dlaczego. Zaledwie trzy dni po wybuchu inspektor wyznał Gilowi, iż nie tracą nadziei, że Paul przeżył. Wszystkie znalezione szczątki, jakie udało się zidentyfikować, należały do Curry’ego. Przez kilka dni czekaliśmy na powrót Paula, mając nadzieję, że zniknął wskutek tymczasowej utraty pamięci i pojawi się w jakimś znanym miejscu. Gdy tak się nie

stało, komisja dochodzeniowa uznała, że lepiej nie wypowiadać się na ten temat, niż podsycać złudne nadzieje.

W dzień rozdania dyplomów było ciepło, zielono i spokojnie. Trudno było uwierzyć, że mogło się zdarzyć coś takiego, jak podczas Wielkanocy. Gdy siedziałem z kolegami z roku na dziedzińcu Nassau Hall, w tocie i bircie, czekając, aż zostanę wywołany, zobaczyłem nawet przelatującego motyla. Patrząc na wieżę, wyobrażałem sobie, jak dzwon bez serca cicho bije: to Paul świętuje nasz sukces, pozostając za granicą tego świata.

Wszędzie napotykałem zwidy. Studentki w wieczorowych sukniach z balu w Ivy, tańczące na niebie jak aniołki ze sceny narodzenia Chrystusa i zapowiadające nowy rok. Nadzy olimpijczycy, biegający po dziedzińcach, niewstydzący się swojej nagości. Łacińskie oceny rozpraw, niezrozumiałe żarty. Przez chwilę wyobrażałem sobie, że to Taft zwraca się do nas, a za nim stoi Francesco Colonna, a jeszcze dalej chór pomarszczonych filozofów, powtarzający uroczysty refren, jak pijani apostołowie śpiewający *Hymn bojowy republiki*.

Po ceremonii raz jeszcze wróciliśmy we trójkę do naszego pokoju. Charlie postanowił pojechać do rodziny w Filadelfii i przed rozpoczęciem studiów medycznych jesienią przez całe lato pracować w pogotowiu. Po długich wahaniach wybrał uniwersytet Pensylwanii, ponieważ chciał być blisko domu. Gil zbierał swoje graty z sypialni z energią jakiej się po nim nie spodziewałem. Wyznał, że jeszcze tego

wieczoru wylatuje z Nowego Jorku. Postanowił wybrać się na jakiś czas do Europy, akurat do Włoch. Potrzebował czasu, by zastanowić się, co dalej.

Gdy Gil wyjechał, Charlie i ja po raz ostatni sprawdziliśmy pocztę. W skrzynce znaleźliśmy cztery niewielkie, identyczne koperty z formularzami zgłoszenia do książki telefonicznej i adresowej absolwentów. Wziąłem swoją i Paula, który najwyraźniej nie został jeszcze skreślony z listy studentów. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wypisali dla niego dyplom, który teraz leży w jakiejś szufladzie. Natomiast na czwartej kopercie, przeznaczonej dla Gila, jego nazwisko zostało przekreślone i zastąpione moim. Poznałem charakter pisma Gila. Otworzyłem kopertę. Gil wypełnił formularz, podając adres hotelu we Włoszech. *Tom* – dopisał na wewnętrznej stronie koperty – *zostawiam Ci list przeznaczony dla Paula. Pomyślałem, że może chciałbyś go mieć. Powiedz Charliemu, że bardzo przepraszam za pośpieszny wyjazd. Na pewno mnie zrozumiecie. Jeśli będziesz we Włoszech, odezwij się.* – G.

Przed rozstaniem uściskałem Charliego. Tydzień później zadzwonił do mnie do domu, żeby spytać, czy zamierzam przyjechać na spotkanie naszego rocznika za jedenaście miesięcy. Tylko Charlie mógł wymyślić taki pretekst, żeby zadzwonić. Długo rozmawialiśmy. Na koniec spytał, czy dam mu adres Gila we Włoszech. Kupił pocztówkę, jaka pewnie mu się spodoba. Próbował opisać ją przez telefon. Zrozumiałem wtedy, że Gil nie podał mu adresu do korespondencji. Tak naprawdę nigdy do końca się nie pogodzili.

Nie pojechałem do Włoch ani tego lata, ani później. W ciągu kolejnych czterech lat Gil i ja widzieliśmy się trzy razy, podczas spotkań absolwentów. Stopniowo mieliśmy sobie coraz mniej do powiedzenia. Jego życie toczyło się równie przewidywalnie jak słowa litanii. Wrócił na Manhattan i, podobnie jak ojciec, został bankierem. W przeciwieństwie do mnie dobrze się starzał. W wieku dwudziestu sześciu lat ożenił się z piękną kobietą, rok od niego młodszą, która przypominała mi gwiazdę ze starego filmu. Gdy zobaczyłem ich razem, nie mogłem już twierdzić, że w życiu Gila brakuje regularności.

Znacznie lepiej przetrwała moja przyjaźń z Charliem. Szczerze mówiąc, to zasługa Charliego. W całym moim życiu nie spotkałem kogoś, kto wkłada więcej wysiłku w zachowanie przyjaźni i nie pozwala na jej wygaśnięcie tylko z powodu odległości i blaknięcia wspólnych wspomnień. Na pierwszym roku studiów medycznych ożenił się z kobietą, która przypominała mi jego matkę. Ich pierwsze dziecko, córka, otrzymało jej imię. Drugie, syn, zostało nazwane Tom, na moją cześć. Jako kawaler, mogę uczciwie ocenić, jak Charlie spełnia obowiązki ojca, nie martwiąc się o wynik porównania. Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób, by oddać mu sprawiedliwość: Charlie jest jeszcze lepszym ojcem niż przyjacielem. W jego stosunku do dzieci jest naturalna opiekuńczość, niezłomna energia i ogromna wdzięczność za dar życia, którą zawsze okazywał w Princeton. Dziś jest pediatrą, lekarzem z Bożej łaski. Jego żona powiedziała mi, że co któryś weekend Charlie bierze dyżury

w pogotowiu ratunkowym. Mam nadzieję, że pewnego dnia, tak jak Charlie wierzy, w godzinie sądu znajdzie się w niebie. Nigdy nie spotkałem lepszego człowieka.

Trudniej mi wyjaśnić, co działo się ze mną. Po skończeniu studiów wróciłem do Columbus. Poza krótkim wyjazdem do New Hampshire, spędziłem trzy letnie miesiące w domu. Nie wiem, czy dlatego, że mama rozumiała moją stratę lepiej niż ja sam, czy czuła zadowolenie, że mam już – a raczej mamy – Princeton za sobą, w każdym razie była bardziej otwarta niż kiedykolwiek. Dużo rozmawialiśmy, mama żartowała. Jadaliśmy razem, tylko we dwoje. Siadywaliśmy na wzniesieniu, z którego kiedyś zjeżdżałem na sankach, a siostra wciągała mnie na górę, i mama opowiadała, co sama robiła i jakie ma plany. Zamierzała otworzyć drugą księgarnię, tym razem w Cleveland. Wyjaśniała, jak prowadzi interes i księgi handlowe, mówiła o możliwości sprzedania domu, który teraz miał stać pusty. Zrozumiałem z tego tylko to, co najważniejsze: życie mamy wreszcie zaczęło toczyć się dalej.

Ja nie miałem kłopotu z tym, by moje życie potoczyło się dalej. Problemem było raczej zrozumienie. Inaczej niż w przypadku ojca, w miarę upływu lat inne niejasności w moim życiu stawały się zrozumiałe. Mogę sobie wyobrazić, o czym myślał Richard Curry wtedy, w Wielkanoc: że Paul znalazł się w takim samym położeniu, w jakim kiedyś był on sam, i byłoby rzeczą nie do wytrzymania, gdyby czekał go los Billa Steina, Vincenta Tafta lub nawet Curry'ego.

Stary przyjaciel mojego ojca wierzył w dar, jakim jest możliwość rozpoczęcia od zera, w czeki *in blanco* bez ograniczeń: po prostu nie zdołaliśmy go w porę zrozumieć. Gdy jeszcze żywiłem nadzieję, że Paul przeżył, miałem powody, by tak sądzić. Mogłem wyobrazić sobie, że po prostu rozstał się z nami, uciekł tunelem i postanowił nie wracać. Przecież dziekan nie dał mu większych szans na dyplom, ja zaś odmówiłem wspólnego wyjazdu do Chicago. Gdy spytałem, gdzie chciałby być, odpowiedział uczciwie: w Rzymie, ze szpadlem. Ja natomiast nie miałem okazji, by zadać ojcu takie pytanie, choć dziś myślę, że był człowiekiem, który udzieliłby mi szczerzej odpowiedzi.

Przypuszczam, że jest tylko jedno wyjaśnienie, dlaczego studiowałem anglistykę, skoro straciłem wiarę w książki. Dlaczego, badając książkę Colonna, już po tym, jak odrzuciłem miłość ojca do niej, nadal miałem takie poczucie możliwości? Otóż wierzyłem, że ojciec zostawił mi klocki, bym mógł złożyć w całość jego obraz. Gdy przyjaźniłem się z Paulem, gdy zajmowałem się *Hypnerotomachią*, miałem wrażenie, że jestem bliski znalezienia odpowiedzi. Dopóki pracowaliśmy razem, mogłem mieć nadzieję, że w końcu go zrozumieć.

Kiedy ta nadzieja znikła, przyjąłem ofertę i zostałem programistą. Ofertę pracy, którą dostałem dzięki rozwiązaniu zagadki, przyjąłem dlatego, że nie udało mi się rozwiązać innej. Czas w Teksasie mijał tak szybko, że nie potrafię wyjaśnić, co tam robiłem. Letnie upały nie przypominały mi niczego, co kiedyś znałem, dlatego tam zostałem. Katie i ja pisywaliśmy do siebie niemal co tydzień

przez ostatnie dwa lata jej studiów w Princeton. Czekałem na jej listy, nawet, gdy zaczęły nadchodzić coraz rzadziej. Po raz ostatni widziałem ją podczas wycieczki do Nowego Jorku z okazji moich dwudziestych szóstych urodzin. Ostatecznie nawet Charlie zrozumiał, że czas rozdzielił Katie i mnie. Gdy szliśmy przez Prospect Park w słoneczny, jesienny dzień, blisko galerii Brooklyn, gdzie Katie pracowała, zacząłem rozumieć, że rzeczy, które kiedyś były nam drogie, pozostały w przeszłości, w Princeton, a przyszłość nie zastąpiła ich wizją rzeczy, które jeszcze się nie zdarzyły. Wiedziałem, że Katie miała nadzieję, iż w ten weekend zacznie coś nowego, wyznaczy nowy kurs według nowego układu gwiazd. Jednak możliwość powtórnych narodzin, która tak długo podtrzymywała na duchu ojca i pozwoliła mu zachować wiarę w syna, była artykułem wiary, który wydawał mi się coraz bardziej wątpliwy. Po tym spotkaniu zacząłem coraz szybciej znikać z życia Katie. Niedługo potem po raz ostatni zadzwoniła do mnie do biura. Wiedziała, że problem leży po mojej stronie. To moje listy stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Jej głos przypominał mi cierpienie, którego się nie spodziewałem. Katie powiedziała mi, że nie będzie się odzywała, dopóki sam nie zrozumie, jak wygląda nasza sytuacja. Na zakończenie podała mi numer telefonu do nowej galerii i powiedziała, że bym zadzwonił, gdy sytuacja się zmieni.

Sytuacja się nie zmieniła. W każdym razie nie z mojego punktu widzenia. Nowa księgarnia mamy już po krótkim czasie okazała się

udanym przedsięwzięciem. Mama zaproponowała, bym przyjechał i przejął starą w Columbus. Odpowiedziałem, że trudno mi opuścić Teksas, gdzie już zapuściłem korzenie. Odwiedziły mnie siostry, raz przyjechał Charlie z rodziną. Wszyscy udzielali mi rad, jak mam obudzić się z tej drętwoty, jak ją pokonać, niezależnie od jej natury. W rzeczywistości po prostu obserwowałem, jak zmienia się świat wokół mnie. Z każdym rokiem widzę dookoła coraz młodsze twarze, ale wszystkie są podobne, jak banknoty z kolejnych emisji, nowi bogowie starej denominacji. Pamiętam, jak podczas wykładu z ekonomii profesor Brooks uczył nas, że jeden dolar, jeśli krąży dostatecznie długo, wystarcza, by kupić wszystko – tak jakby wymiana była świeczką, która nigdy się nie wypala. Teraz widzę tego samego dolara w każdym procesie wymiany. Nie potrzebuję już dóbr, które można za niego kupić. Zwykle w ogóle nie wydają mi się dobrami.

To Paul najlepiej znosił upływ czasu. Zawsze był przy mnie taki sam, dwudziestodwuletni i błyskotliwy, jak niezniszczalny Dorian Gray. Gdy zaczęły się rozpadać moje plany małżeństwa z profesorką Uniwersytetu Teksaskiego – która, jak to dziś dostrzegam, przypominała mi jednocześnie ojca, matkę i Katie – dzwoniłem co tydzień do Charliego i coraz częściej myślałem o Paulu. Zastanawiam się, czy nie miał racji, odchodząc tak, jak to zrobił. Ambitny, walczący, młody. My, jak Richard Curry, znosimy klęski związane z wiekiem, nasza obiecująca młodość kończy się rozczarowaniem. Wydaje mi się teraz, że śmierć jest jedyną ucieczką przed czasem. Być

może Paul wiedział, że stale walczy z przeszłością, teraźniejszością i wszystkim, co je rozróżnia. Nawet obecnie to on prowadzi mnie do najważniejszych konkluzji w życiu. Wciąż uważam go za swojego najbliższego przyjaciela.

Rozdział 30

Nie mogę zatem wykluczyć, że podjąłem tę decyzję, nim jeszcze otrzymałem pocztą przesyłkę. Być może przyspieszyła ona cały proces, jak alkohol, który Parker rozlał w sali balowej klubu tamtego wieczoru. Nie mam jeszcze trzydziestki, a czuję się stary. To dopiero wigilia piątego spotkania naszego rocznika, a mam wrażenie, że minęło pięćdziesiąt lat.

Wyobraź sobie, powiedział mi kiedyś Paul, że terażniejszość jest tylko odbiciem przyszłości. Wyobraź sobie, że spędzamy życie, wpatrując się w zwierciadło przed nosem i mając przyszłość za plecami. Widzimy tylko to, co jest tu i teraz. Niektórzy z nas doszliby wówczas do wniosku, że łatwiej poznamy jutro, odwracając się i patrząc prosto w przyszłość. Nie zdając sobie z tego sprawy, straciliby jednak klucz do perspektywy, z jakiej patrzyli. Nigdy nie mogliby bowiem zobaczyć w przyszłości siebie samych. Odwracając się plecami do zwierciadła, staliby się jedynym elementem przyszłości, jakiego ich oczy nie mogłyby zobaczyć.

Wtedy myślałem, że Paul papuguje mądrości, jakie usłyszał od Tafta, który z kolei zapożyczył je od jakiegoś greckiego filozofa – twierdził on, że przez całe życie każdy cofa się w przyszłość. Nie mogłem dostrzec, ponieważ odwróciłem się w złą stronę, że Paul myślał o mnie. Przez lata koniecznie chciałem uporządkować swoje życie, uparcie tropiąc przyszłość. Wszyscy mówili mi, że muszę zapomnieć o przeszłości i myśleć o przyszłości, i w końcu

zrealizowałem ten postulat lepiej, niż tego oczekiwali. Zacząłem jednak wyobrażać sobie, że wiem dokładnie, co czuł mój ojciec, i mogę zrozumieć, dlaczego różne rzeczy na pozór zwracały się przeciw niemu bez żadnego powodu.

W rzeczywistości nie mam o tym pojęcia. Zwracam się teraz ku terażniejszości i stwierdzam, że nie przeżyłem takich rozczarowań, jakie spotkały jego. W pracy, o której początkowo nic nie wiedziałem i która nigdy mnie nie zainteresowała, odniosłem spore sukcesy. Moi przełożeni są zachwyceni, że od pięciu lat ostatni wychodzę z biura i nie wzięłem nawet jednego wolnego dnia. Nie znając prawdziwych przyczyn, błędnie uważają to za dowód zaangażowania.

Kiedy porównuję to z zachowaniem ojca, który nigdy nie robił niczego, czego nie lubił, zaczynam coś rozumieć. Nie znam go teraz lepiej niż kiedyś, ale wiem coś o swojej postawie przez wszystkie te lata, gdy wpatrywałem się w przyszłość. Żyłem na oślep i pozwalałem, by świat mnie mijał, i to akurat wtedy, gdy myślałem, że już nawiążę z nim walkę.

Dziś wieczorem, długo po wyjściu z biura, postanowiłem zrezygnować z pracy w Teksasie. Przyglądałem się, jak słońce zachodzi nad Austin, i nagle zdałem sobie sprawę, że w ciągu całego mojego pobytu tutaj ani razu nie padał śnieg, nawet w połowie zimy. Niemal zapomniałem, co to znaczy kurczyć się w zimnej pościeli i marzyć, by ktoś leżał obok. W Teksasie jest tak gorąco, że łatwiej uwierzyć, iż lepiej sypiać samemu.

Gdy wróciłem z pracy, w domu czekała na mnie paczka: niewielka tuba, owinięta brązowym papierem, oparta o frontowe drzwi. Była zaskakująco lekka, jakby pusta. Na opakowaniu widniał tylko mój adres i numer przesyłki, brakowało adresu nadawcy. Przypomniałem sobie, że Charlie miał mi przesłać plakat – reprodukcję obrazu Eakinsa z samotnym wioślarem na rzece Schuylkill. Próbował mnie przekonać, bym przeprowadził się bliżej Filadelfii, gdyż, jego zdaniem, tam czułbym się lepiej niż w Austin. Poza tym, stwierdził, jego syn powinien częściej widywać ojca chrzestnego. Charlie uznał, że się oddalam.

Sprawdziłem najpierw pocztę: oferty kart kredytowych, zawiadomienia o loteriach, reklamy. Nie było nic, co wyglądałoby na list od Katie. W końcu otworzyłem rurę. W świetle ekranu telewizora wydawała się pusta, nie dostrzegłem ani plakatu, ani listu. Dopiero, gdy wsunąłem palce do środka, wyczułem rulon przyciśnięty do bocznych ścianek rury. Z zewnątrz wydawał się gładki, od środka szorstki. Wyciągnąłem go gwałtowniej, niż powinienem, biorąc pod uwagę, co to było.

W rurze znajdował się obraz olejny na płótnie. Rozwijając go, myślałem początkowo, że Charlie przesadził i kupił mi oryginał, gdy jednak zobaczyłem obraz, wiedziałem, że to nie od niego. To nie była amerykańska praca z XIX wieku lub jeszcze wcześniejsza. To był europejski obraz o tematyce religijnej z pierwszej prawdziwej epoki malarstwa.

Trudno opisać wrażenie, że trzyma się w rękach przeszłość. Zapach płótna był znacznie silniejszy i bardziej złożony niż woń czegokolwiek w Teksasie, gdzie nawet wino i pieniądze są młode. Ten sam zapach czułem niekiedy w Princeton, w Ivy, a zwłaszcza w najstarszych salach w Nassau Hall. Teraz jednak był on skoncentrowany w małym rulonie, silny i gęsty.

Płótno było ciemne od werniksu, ale po chwili rozpoznałem temat. W tle widać było egipskie rzeźby, obeliski z hieroglifami i nieznane mi posagi. Na pierwszym planie stał mężczyzna, przed którym korzyło się kilku innych. Przyjrzałem się kolorom. Jego szaty były bardziej kolorowe i jaskrawe niż cała scena, wyraźnie odcinały się od pustynnego otoczenia. Od lat nie myślałem o tym człowieku. Był to Józef, teraz wysoki egipski urzędnik, nagrodzony przez faraona za wyjaśnienie jego snu. Józef właśnie powiedział swym braciom, kim jest. Tym samym braciom, którzy wiele lat wcześniej chcieli go zabić, a później sprzedali w niewolę. Teraz przyszli kupić od niego ziarno. To był Józef, który odzyskał swą szatę.

Na cokołach rzeźb malarz umieścił trzy inskrypcje. CRESCBAT AUTEM COTIDIE FAMES IN OMNI TERRA APERUITQUE IOSEPH UNIVERSA HORREA. *Gdy był głód na całej ziemi, Józef otwierał wszystkie spichlerze.* Druga to: FESTINAVITQUE QUIA COMMOTA FUERANT VISCERA EIUS SUPER FRATRE SUO ET ERUMPEBANT LACRIAME ET INTROIENS CUBICULUM FLEVIT. *Ogarnęło go wielkie wzruszenie na widok brata, że aż łzy nabiegły mu do oczu; odszedł*

więc do swego pokoju i tam się rozplakał. Na cokole trzeciego posągu był tylko podpis SANDRO DI MARIANO – lepiej znany pod przewiskiem, jakie nadał mu starszy brat: „mała beczka”, czyli Botticelli. Data pod podpisem wskazywała, że płótno ma ponad pięćset lat.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w obraz, którego dotykała jeszcze tylko jedna para rąk, od kiedy został ukryty pod ziemią. Tak piękny, że żaden humanista nie mógłby mu się oprzeć, z pogańskimi rzeźbami, których Savonarola nigdy nie chciał zaakceptować. Niewiele brakowało, a zostałby zniszczony, ale przetrwał, wciąż pełen życia pod warstwą sadzy i werniksu. Ocalony, po tylu latach.

Odłożyłem płótno na stół, bo nie mogłem utrzymać go dłużej w trzęsących się rękach. Sięgnąłem do rury; szukałem czegoś, czego wcześniej nie zauważyłem. Listu, notatki, symbolu. Nie znalazłem niczego. Mój adres na opakowaniu wypisany był odręcznie, bardzo starannie. Nic więcej. Tylko stemple pocztowe i kod przesyłki.

Nagle coś mnie uderzyło w tym kodzie. 39-055-210185-GEN4519. W tym tkwiła jakaś regularność, logika zagadki. To była wiadomość, numer telefonu.

Sięgnąłem na półkę po almanach, który dostałem na Boże Narodzenie wiele lat temu, z tablicami chronologicznymi, danymi klimatycznymi, numerami pocztowymi i telefonicznymi. Nagle okazał się przydatny. Na końcu znalazłem listę numerów automatycznych połączeń międzynarodowych.

39 – to kierunkowy do Włoch.

055 – to Florencja.

Patrzyłem na kolejne symbole i znowu czułem pulsowanie krwi, dobrze znane z dawnych czasów dudnienie w uszach. 21 01 85 to na pewno lokalny numer telefonu. GEN4519. Może to numer pokoju w hotelu, może numer wewnętrzny.

Gdy był głód na całej ziemi, Józef otwierał wszystkie spichlerze.

Spojrzałem na obraz, potem jeszcze raz na rurę.

GEN4519.

Ogarnęło go wielkie wzruszenie na widok brata, że aż łzy nabiegły mu do oczu.

GEN4519. GEN45.-19. Genezis. Księga Rodzaju 45:19.

W moim ówczesnym domu łatwiej było o almanach niż o *Biblię*. Musiałem poszperać wśród starych książek na strychu, by znaleźć *Biblię*, którą Charlie – rzekomo przypadkowo – zostawił podczas ostatniej wizyty. Miał nadzieję, że zdoła podzielić się ze mną swoją wiarą, pewnością, jaką ona daje. Niezmożony Charlie, nigdy nietracący nadziei.

Mam ją już przed sobą. Ustęp 45. to zakończenie historii, jaką namalował Botticelli. Po wyjaśnieniu braciom, kim jest naprawdę, Józef ofiarowuje im liczne dary, tak jak przed tern jego ojciec. Po tym, co sam przecierpiał, zaprasza braci głodujących w Kanaanie, by przybyli do Egiptu i dzieli się z nimi swym bogactwem. Ja, który popełniłem błąd i przez całe życie usiłowałem wyrwać się z cienia

ojca, który sądziłem, że mogę osiągnąć cel, relegując go do przeszłości, doskonale to rozumiem.

Zabierzcie ojca waszego i przybywajcie. Niech wam nie będzie żal zostawić sprzętów waszych, gdyż wszelkie bogactwa Egiptu będą wasze.

Podnoszę słuchawkę telefonu.

Zabierzcie ojca waszego i przybywajcie. Jak on to zrozumiał, gdy nawet ja jeszcze tego nie pojąłem?

Odkładam telefon i sięgam po kalendarz, by na wszelki wypadek jak najszybciej zanotować numer. Na pustych stronach są tylko dwa wpisy: nowy na H – Paul Harris i stary na M – Katie Marchand. Dziwnie się czuję, dopisując nowe nazwisko, ale przez cały czas walczę z myślą, że znam tylko serię cyfr na opakowaniu paczki. To jedyna szansa, która może zniknąć wskutek najmniejszego błędu, okazja, która może zmienić się w nicość, gdy spadnie na nią kropla wody.

Podnoszę spoconymi rękami słuchawkę. Nie wiem, jak długo siedzę i zastanawiam się, jak mam to wyrazić w słowach. Za oknem sypialni jest ciemno, w pogodną teksaską noc widzę tylko czyste niebo.

Niech wam nie będzie żal zostawić sprzętów waszych, gdyż wszelkie bogactwa Egiptu będą wasze.

W końcu zaczynam naciskać guziki telefonu. Nigdy nie przypuszczałem, że zadzwonię pod ten numer, nigdy nie sądziłem, że znowu usłyszę ten głos. Wyobrażam sobie odległy dzwonek telefonu

w innej strefie czasowej. Po czwartym sygnale w słuchawce rozlega się głos:

„Dodzwoniłeś się do Katie Marchand w Hudson Gallery na Manhattanie. Proszę zostawić wiadomość po sygnale”.

Pisk.

– Katie – mówię do milczącej sekretarki. – To ja, Tom.

Jest prawie północ według czasu teksaskiego.

Cisza po drugiej stronie jest deprymująca. Zapewne poddałbym się, ale na szczęście wiem dokładnie, co chcę powiedzieć.

– Jutro rano wyjeżdżam z Austin. Przez jakiś czas będę podróżował, nie wiem jeszcze, jak długo.

Na moim biurku stoi nasza fotografia, oprawiona w ramkę. Oboje trzymamy w wyciągniętych rękach aparat skierowany na nasze twarze. Za nami widać uniwersytecką kaplicę, cichą i kamienną. Nawet teraz słyszę w tle szept Princeton.

– Gdy wrócę z Florencji – mówię do studentki drugiego roku na zdjęciu, nim automatyczna sekretarka przerwie połączenie – chcę się z tobą zobaczyć.

Odkładam słuchawkę na widełki i znów wyglądam przez okno. Trzeba będzie się spakować, zadzwonić do biura podróży. Uświadamiam sobie wagę tego, co postanowiłem zrobić, lecz jednocześnie przychodzi mi do głowy, że gdzieś w mieście powtórnych narodzin Paul wstaje z łóżka, wygląda przez okno i czeka. Na dachach gruchają gołębie, w dali słychać bicie kościelnych dzwonów. Choć dzielą nas kontynenty, jak zawsze obaj siedzimy na

naszych materacach, razem. Na sufitach, tam gdzie wkrótce się znajdę, będą święci, bogowie i aniołowie. Wszędzie, dokąd się udam, będę widział rzeczy, przypominające o wszystkim, czego czas nie może zniszczyć. Moje serce jest jak ptak w klatce, który stroszy pióra pełen oczekiwania. We Włoszech wschodzi słońce.

Uwagi autorów

Tożsamość autora *Hypnerotomachii* od pięciuset lat pozostaje niepewna. Wobec braku rozstrzygających dowodów na rzecz Francesca Colonna z Rzymu lub jego weneckiego imiennika uczeni nadal głowią się nad dziwnym akrostychem *Poliam Frater Franciscus Columna Peramavit*, niekiedy uznając go za dowód tajemniczych zamiarów autora.

Girolamo Savonarola (1452-1498) przez krótki okres był religijnym przywódcą Florencji; w tym czasie część obywateli miasta go wielbiła, część nienawidziła. Dla jednych stanowił symbol duchowej odnowy i reform skierowanych przeciw zepsuciu owych czasów, dla innych był tylko człowiekiem, który spalił na stosach niezliczone obrazy, rzeźby i rękopisy i z tego jest najlepiej znany.

Do czasu opublikowania *Reguły czterech* nikt nie udowodnił istnienia związku między Savonarolą i *Hypnerotomachią*.

Richard Curry modyfikuje wiersz Browninga *Andrea del Sarto* tak, by mu pasował, a Tom, pamiętając, jak zacytował go Curry, robi to samo. Browning pisał: *Ja robię to, o czym wielu marzy przez całe życie* (podkreślenie autorów). Tom i Paul mówią niekiedy o książkach naukowych, między innymi Braudela i Hartta, używając skróconych tytułów. Paul, w swym entuzjastycznym opisie Florencji, wymienia twórców działających na przestrzeni paru wieków i stwierdza, iż „żyli w tym samym czasie”. Tom pozwala sobie na skrócenie oficjalnej

nazwy Princeton Battlefield State Park – mówi Princeton Battlefield Park – oraz przypisuje *Take the „A” Train* Duke’owi Ellingtonowi, zamiast Billy’emu Strayhornowi. Podczas pierwszego spotkania z Katie sugeruje, że nazwisko poety E.E. Cummingsa miało być napisane małymi literami, podczas gdy Cummings (przynajmniej w tym kontekście) prawdopodobnie wolałby konwencjonalną pisownię.

Autorzy są odpowiedzialni za inne wymysły i uproszczenia. Naga Olimpiada zwykle zaczynała się o północy, nie zaś o zachodzie słońca, co sugerujemy w *Regule czterech*. Jonathan Edwards rzeczywiście był trzecim rektorem Princeton i zmarł w takich okolicznościach, jak opisaliśmy w powieści, lecz nie zainicjował świątecznych ceremonii tu przedstawionych. Wymyśliliśmy je sami. Kluby studenckie przy Prospect Avenue każdego roku organizują wiele przyjęć, lecz ten konkretny bal w Ivy Club, w którym wziął udział Tom, jest literacką fikcją. Rozkład pomieszczeń w Ivy i kilku innych budynkach został dostosowany do naszych potrzeb.

Należy jeszcze wspomnieć, że czas wywarł swój wpływ na pewne elementy życia w Princeton, tak dobrze znane Tomowi i jego kolegom. Rocznik Katie był ostatni, który miał okazję wziąć udział w Nagiej Olimpiadzie na dziedzińcu Holder, w nocy po pierwszym śniegu (w styczniu, nie zaś w kwietniu). Władze uniwersytetu zakazały jej organizowania na krótko przed ukończeniem przez Toma studiów w 1999 roku. Ukochane drzewo Katie, Dąb Mercera, który kiedyś stał w Princeton Battlefield State Park, zważył się 3 marca 2000

roku z przyczyn naturalnych. Można go jeszcze zobaczyć w filmie Waltera Matthaua *I.Q.*

Pod wszystkimi innymi względami staraliśmy się w miarę możliwości wiernie przedstawić historię renesansowych Włoch i Princeton. Jesteśmy głęboko wdzięczni tym dwóm wspaniałym miejscom, tak sprzyjającym życiu intelektualnemu.

I. C. i D. T.

Podziękowania

Jesteśmy winni podziękowania wielu osobom. Pisaliśmy *Regułę czterech* prawie przez sześć lat, a w życiu dwóch dwudziestoparolatków to wieczność.

Przede wszystkim dziękujemy Jennifer Joel – überagentce, przyjaciółce i muzie – która uwierzyła w nas na długo przed innymi, oraz Susan Kamil, która kochała nas jak własne dzieci i pracowała nad rękopisem z takim zapałem, z jakim robiliby to Tom i Paul.

Dziękujemy też innym, bez których pomocy książka ta nie mogłaby powstać: Kate Elton, Margo Lipschultz, Nickowi Ellisonowi, Alyssie Sheinmel, Barb Burg, Theresie Zoro, Pam Bernstein, Abby Koons i Jennifer Cayea.

Ian chciałby zacząć od wyrażenia wdzięczności Jonathanowi Tze. Pomysł rozprawy Paula, z którego w znacznej mierze wywodzi się ta powieść, jest w połowie jego. Dziękuję ludziom z Princeton: Anthon Grafion zasugerował napisanie pracy o *Hypnerotomachii*, Michael Sugrue nigdy nie szczędził nam słów entuzjastycznego poparcia, a mądrość i przyjaźń Davida Thurna miała dla nas wielkie znaczenie. Mary O'Brien i Bettie Stegall z Thomas Jefferson High School for Science and Technology reprezentowały literaturę i twórczość na tej pustyni. Joshua „Ned” Gunsher był źródłem inspiracji w sprawie przygody Toma z sercem dzwonu i pomógł nam opisać rozkład pomieszczeń w Ivy Club, nim jeszcze przerobiliśmy go w wyobraźni. Przez piętnaście lat Davin Quinn był dla mnie źródłem

pociechy i wskazówek w pisaniu; wraz z Robertem McInturffem, Stewartem Youngiem i Karen Palm był dla nas wzorem w pracy nad książką o przyjaźni. Moi rodzice, siostra Rachel i narzeczona Meredith zachowywali wiarę, gdy nikła nadzieja, nie tylko przez ostatnie sześć lat, ale zawsze, gdy wyglądałem na przypadek beznadziejny. W porównaniu z ich miłością nawet radość z pisania wydaje się bez znaczenia.

David chciałby przede wszystkim podziękować Samuelowi Baumowi, Josemu Lianie i Samowi Shawowi za przyjaźń i wskazówki redakcyjne. Dziękuje również wszystkim, którzy byli pomocni na tak wiele różnych sposobów, jak różne są ich nazwiska: Sabah Ashraf, Andy i Karen Barnett, Noel Bajerano, Marjorie Braman, Scott Brown, Sonesh Chainani, Dhruv Chopra, Elena DeCoste, Joe Geraci, Victor i Phyllis Grann, Katy Heiden, Stan Horowitz, rodzina Joel, David Kanuth, Clint Kisker, Richard Kromka, John Lester, Tobias Nanda, Nathaniel Pastor, Mike Personick, Joe i Spencer Rascoff, Jeff Sahrbeck, Jessica Salins, Joanna Sletten, Nick Simonds, Jon Stein, Emily Stone, Larry Wasserman i Adam Wolfsdorf. Członkowie mojej rodziny – Hyacinth i Maxwell Rubin, Bob i Marge Thomason, Lois Rubin i wszyscy Thomasonowie, Blountowie, Katzowie, Cavanaghowie i Nasserowie – zawsze mnie wspierali, za co jestem im bardzo wdzięczny. Przede wszystkim z całego serca dziękuję Jamesowi i Marcii Thomasonom, Janet Thomason i Ronowi Feldmanowi – żadne słowa nie wystarczą, by im podziękować, oraz Heather Jackie, której wystarczą cztery litery BTPT.

Obaj chcielibyśmy wyrazić wdzięczność Olivierowi Delfossowi, przyjacielowi i fotografowi, który o mało nie został trzecim autorem *Reguły czterech*.